

MARION ZIMMER BRADLEY

A DEL REY BOOK



Fenton could enter the magic
worlds of Faerie—but
only by leaving his body behind.

Ballantine
28830
\$2.50

THE HOUSE BETWEEN THE WORLDS



MARION ZIMMER

BRADLEY

Dom swiatow

przełożyli: BEATA KOŁODZIEJCZYK

I BARTEK LICZBIŃSKI

WYDAWNICTWO ALFA WARSZAWA

1995

Tytuł oryginału

The House Between the Worlds

POULOWI ANDERSONOWI, pisarzowi fantasy, poecie i popularyzatorowi sag skandynawskich, za zapoznanie mnie z jego kilkoma ulubionymi legendami zwłaszcza tymi, które dotyczą Alfarów elfów Północy – jak również za uświadomienie mi, że są dobrem wspólnym Świata Literatury.

MARION ZIMMER BRADLEY

NOTA AUTORKI

Oczywiście, w kampusie Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley (ani nigdzie indziej) nie stoi budynek o nazwie Smythe Hall. Nie ma tam też Instytutu Parapsychologii czy zespołu wykładowców i studentów opisanych w tej książce. Kampus uniwersytecki jest naturalnie miejscem realnie istniejącym i starałam się w tej powieści odzwierciedlić z grubsza jego topografię. Pozwoliłam sobie na usytuowanie Smythe Hall w pobliżu faktycznie istniejącego Barrows Hall. Stało się to możliwe dzięki wykorzystaniu znajomości prawdziwego kampusu, widocznego z okien mego domu.

Jeżeli w tekście użyłam nazwiska jakiegokolwiek żyjącej osoby, jest to nieuniknione. Każde nazwisko wymyślone przez pisarza prędzej czy później zostanie nadane człowiekowi urodzonemu na tym ludnym kontynencie.

MARION ZIMMER BRADLEY

ROZDZIAŁ 1

Cameron Fenton zaczynał się denerwować. Biały, sterylny pokój, w którym się znalazł, przypominał szpital, a wrażenie to wzmagał natrętny odór środków dezynfekujących i leków. Fenton nie spodziewał się, że same przygotowania wyprowadzą go z równowagi, ale sterylne pomieszczenie, białe fartuchy, wysokie, twarde łóżko sprawiały, że czuł się nieswojo. Profesor Garnock stał odwrócony plecami, a podenerwowany Fenton spoglądał w stronę drzwi.

Można się było jeszcze rozmyślić. W każdej chwili mógł po prostu wstać i wyjść. Jakim cudem ja się w to wszystko władowałem? Ciekawość, odpowiedział sam sobie. Ciekawość. Ten sam co zawsze i wszędzie pierwszy stopień do piekła.

Wcześniej na dole, kiedy Garnock przytoczył to powiedzenie w swoim przytulnym, choć obdrapanym, starym gabinecie, ukrytym na uboczu nowoczesnego Smythe Hall, brzmiało ono zupełnie inaczej. Gabinet profesora był zavalony książkami, wysokimi stertami papierów, a ściany obwieszane intrygującymi wykresami. Sam Garnock wydawał się wtedy inny. Siedział za biurkiem w starym tweedowym płaszczu i rozluźnionym krawacie. Na brzegu blatu stał kubek z wystygłą już kawą. Pod wrażeniem słów profesora Fenton zapomniał o swojej.

–Początki były takie same jak w przypadku każdego środka halucynogennego – powiedział Garnock i wskazał palcem czasopismo leżące na jego kolanach. – Po raz pierwszy dowiedzieliśmy się o tym z *Psychedelic Review*. Sprowadzono grupkę naszprycowanych dzieciaków z ulicy. Wiadomo powszechnie, że z chwilą odkrycia i zakazania jakiegokolwiek środka psychodelicznego nasza młodzież natychmiast wymyśla coś nowego. W końcu udało nam się położyć łapę na specyfiku i przetestowaliśmy tę nowość. Jeśli interesują cię detale farmakologiczne, znajdziesz je w tym artykule. Podczas badań stwierdziliśmy, że znajdujemy się w punkcie przełomowym, na który wszyscy czekaliśmy. Nasze wyniki sprawdzaliśmy wielokrotnie przy zachowaniu dostępnych zabezpieczeń. Dokonaliśmy nawet tego, czego żądano w czasie przeprowadzania testów na Uri Gellerze w Stanford, które, jak wiesz, od lat stanowią kość niezgody w środowisku. Zaprosiliśmy nieznanego magika cyrkowego, żeby przygotował wiarygodne testy i uniemożliwił badanym zafalszowanie wyników.

–Czy z tego wynika, że jest to środek, który zwiększa poziom percepcji pozazmysłowej ESP?

–Na to by wyglądało – odpowiedział Garnock. Był wysokim, potężnym mężczyzną, nosił przydługie włosy i dwudniowy zarost. Dlaczego, pomyślał Fenton, dlaczego on

sam nigdy się nie złamał i nie pozwolił sobie na długie włosy i zarost. Na kampusie w Berkeley nikt by tego nie zauważył. Ale Lewis Garnock, profesor parapsychologii, wyróżniał się w tłumie i Fenton zastanawiał się dlaczego... Powrócił myślami do słów Garnocka i zapytał:

–Na ile jest to niebezpieczne?

–Żadnych poważnych skutków ubocznych nie stwierdzono po dwustu próbach klinicznych, przeprowadzonych najpierw na zwierzętach laboratoryjnych, a potem na ludziach.

–Czy można powiedzieć, że efekt ESP został definitywnie dowiedziony?

Garnock kiwnął głową.

–Jednoznacznie. Większość środków odurzających, jak wiadomo, obniża możliwość percepcji pozazmysłowej. Poddaj badanego działaniu jakiegokolwiek narkotyku, a jego zdolność odgadywania kart z talii Zenera znacznie się pogorszy i to jeszcze przed pojawieniem się innych skutków działania narkotyku. Jeden czy dwa kieliszki alkoholu likwidują zahamowania wewnętrzne i podnoszą poziom ESP o kilka punktów, ale niech badany wypije jeszcze kilka kieliszków, a w pełni utraci zdolność ESP, nim się upije.

–A ten nowy środek... – Antaril.

–Antaril. Kto go tak nazwał?

–Bóg jeden wie, najprawdopodobniej komputer. Tak czy inaczej nowy środek zwiększa poziom ESP, słuchaj teraz uważnie, Cam, zawsze o co najmniej pięćdziesiąt procent, a czasami o czterysta, a nawet pięćset. Przy średniej dawce antarilu, a wciąż pracujemy nad dawką optymalną, czterech badanych w Duke odgadło osiem zestawów kart Zenera pod rząd. Jak widzisz, prawdopodobieństwo przypadku wydaje się wykluczone.

Fenton zagwizdał. Śledził przebieg eksperymentów Rhine'a, od kiedy zainteresował się parapsychologią. W czasie pierwszych trzydziestu lat ich trwania odnotowano jedynie cztery przypadki bezbłędnego odczytania kart Zenera, ale i temu wielu nie dawało wiary.

Garnock przyjrzał mu się uważnie i powoli skinął głową.

–Tak – powiedział – to przełom, bez dwóch zdań.

Otrzymaliśmy w końcu taki rodzaj dowodów, na które tyraliśmy przez lata. Dowodów, jakie możemy podsunąć tym, którzy wciąż podważają istnienie

spostrzegania pozazmysłowego.

Fenton wiedział o tym doskonale. Zacytował teraz najczęściej przytaczaną opinię o parapsychologii:

–„W każdej innej dziedzinie jedna dziesiąta zebranych materiałów dowodowych byłaby przekonująca. W przypadku parapsychologii dziesięciokrotnie większy materiał dowodowy nie wystarcza, by przekonać kogokolwiek.”

Garnock ciągnął swoją myśl:

–Jeśli naprawdę natrafiliśmy na to, o czym myślę, wszystko, przez co przeszliśmy, miało swój głęboki sens. Te długie lata, które przesiadywałem tutaj znosząc upokorzenia, jakie spotykają każdego uznanego psychologa poważnie traktującego parapsychologię. moja długoletnia walka o założenie Instytutu Parapsychologii na Wydziale Psychologii czy choćby gnębienie moich studentów wymogiem analizy matematycznej i komputerowego sprawdzania wszystkiego, cokolwiek miało być zaakceptowane, i wreszcie sposób, w jaki zmieniali moich najlepszych studentów w treserów szcurków, kiedy bezwzględnie wymagali czterech semestrów psychologii behawioralnej. A nawet po tym wszystkim wypominano im, że to parapsychologia wyprała im mózgi.

Twarz miał surową, oczy wpatrzone daleko przed siebie. Po chwili jednak otrząsnął się.

–Weź te materiały do domu, Cam, przeczytaj w nocy i zawiadom mnie, czy się decydujesz.

Fenton zabrał do domu gruby plik papierów z detalami farmakologicznymi, a następnego dnia wrócił z nowymi pytaniami.

–Czy efekt ESP jest niezawodny, czy każdy go doznaje?

–Niezupełnie. Sześć osób na dziesięć. Dokładnie jak w szwajcarskim zegarku, sześć na dziesięć.

–A te cztery?

–Niektórzy tracą przytomność bardzo szybko i urywa się kontakt z prowadzącym badanie, więc nie wiemy, co się z nimi dzieje. Po przebudzeniu są w stanie opowiedzieć dokładny przebieg snów i halucynacji. Sally Lobeck, pamiętasz ją jeszcze ze swoich czasów, próbuje przeanalizować sny badanych i halucynacje ze względu na ich zastosowanie przy badaniu fenomenu jasnowidzenia. Ja sam mam co do tego wątpliwości, ale Sally chce napisać doktorat, więc zaaprobowaliśmy jej pomysł. W co dziesiątym przypadku, w rzeczywistości jest ich mniej, badany

przechodzi chwilowy wzrost poziomu ESP, następnie jednak zapada w stan halucynacji, a po przebudzeniu opowiada o dokuczliwych bólach i okresowej utracie orientacji. To i tylko to, jak dotąd, można by podciągnąć pod niepożądane skutki uboczne, są one jednak przejściowe. Przetestowaliśmy sto cztery osoby, czyli wcale nie tak wiele, a więc możemy jeszcze napotkać skutki uboczne, które dotychczas nie wystąpiły.

Cameron Fenton miał wtedy tak naprawdę tylko jedno ważne pytanie.

–Kiedy rozpoczynamy?

Teraz, kiedy przygotowania dobiegły końca, Fenton zaczynał się denerwować. Nie przypuszczał, że warunki będą aż tak kliniczne.

Na laboratoryjnym piętrze Smythe Hall, w samym Instytucie Parapsychologii, przeprowadzano nieformalne testy. Z powodu zaostrzonej kontroli medycznej odbywały się w luźnej atmosferze. Stało się to konieczne. Fenton nie był behawiorystą, ale wiedział, że aby uniemożliwić niepożądane reakcje badanych, należy eliminować jakiegokolwiek wywołujące je bodźce. W czasie pierwszych badań percepcji pozazmysłowej na uniwersytecie w Duke nie uniknięto błędów. Same badania były nudne, po prostu bardzo nudne dla badanych. Mieli odgadywać zestaw kart za zestawem, a na dodatek nie byli informowani na bieżąco o osiąganych wynikach. Sytuacja ta sprawiła, że w wielu wypadkach zniechęceni badani o wysokim poziomie ESP przerywali eksperyment w połowie. Mimo najlepszych ich intencji wczesne badania osłabiały skutki podniesionego poziomu ESP z powodu nudy i zmęczenia.

Teraz same testy były proste. Badanego sadzano za potężnym, drewnianym ekranem i zakładano mu końskie okulary, żeby się nie dekoncentrował. Prowadzący badanie, który siedział za ekranem, kolejno odkrywał dwadzieścia pięć kart z talii Zenera. Należało się skupić na ulotnym odczuciu, jakie ogarniało badanego na myśl o danej karcie, na której mógł być krzyż, gwiazda, fala, koło lub kwadrat. Zrobioną przez badanego listę porównywano z tą, którą przygotował prowadzący test. I to było wszystko.

Rachunek prawdopodobieństwa wykazywał, że na chybił trafił można odgadnąć od czterech do sześciu kart. Jeśli badany był zmęczony, niewyspany lub w złej formie, nie odgadywał zwykle nic. Badania należało jednak kontynuować. Od czasu gdy po każdym prawidłowym odgadnięciu prowadzący „nagradzał” badanego zapalającym się światełkiem, wyniki rosły. Zdarzały się przypadki, że wsłuchawszy się w swoje ulotne przeczucia, odgadywano dziewiętnaście kart pod rząd. Ale ciągle nie było wiadomo, jak to się dzieje. W głowie badanego pojawiały się obrazki, które należało w kolejności zapisać. Nie osiągało się nic siląc się lub próbując odgadnąć kolejność kart. Najlepiej było poddać się przepływowi fal alfa. Badanych przyzwyczajono do

tego, że podczas testu podłączano ich do elektroencefala

lografu. Każdy z nich miał już swoje ulubione warunki, w których poddawał się badaniu. Kilkakrotnie przetestowano studentów, którym podano minimalną dawkę LSD. Szczęście Garnocka nie miało granic, gdy eksperyment ten zakończył się fiaskiem.

Profesor odetchnął z ulgą, gdyż Paul Lawford po wielu perypetiach wyleciał w końcu z Instytutu Parapsychologii.

–Brakuje nam jeszcze tylko oskarżenia, że wymuszamy na studentach branie narkotyków – powiedział wtedy.

Przyzwyczajono się już do studentów pierwszych lat, strojących sobie żarty z magistrantów, którzy zaczynają się bawić w czarownice. Nauczono się, jak radzić sobie z polityką wydziałową. Wydział Psychologii nigdy nie otrząsnął się do końca z szoku, jakim było ustanowienie i sfinansowanie Katedry Parapsychologii. A kiedy katedrę przekształcono w niezależny Instytut Parapsychologii, niezależny od Wydziału Psychologii, na równych prawach z Instytutem Psychologii Kształcenia, trzech profesorów psychologii zagroziło rezygnacją. Jako powód podali przypuszczenie, że Wydział Psychologii w Berkeley powoli stanie się pośmiewiskiem dla świata akademickiego. Przywyknięto do wyrzucania za drzwi żartownisiów przychodzących z prośbą o przepowiednie i nagabywaczy, którzy byli przekonani, że profesor Garnock – naukowiec z wieloletnim dorobkiem i licznymi tytułami – i wszyscy jego asystenci sprzymierzyli się z bliżej nieokreślonych i nieczystych powodów, aby uparcie podtrzymywać istnienie mistyfikacji zwanej percepcją pozazmysłową. Nauczono się znosić studentów, którzy podawali się za media i poddawali testom. Ponieważ nie byli w stanie odgadnąć ani jednego zestawu kart, odchodzili utwierdzeni w przekonaniu, że to wszystko jest jednym wielkim spiskiem. Wreszcie trzeba było sobie radzić z temperamentem, a czasami z nadmierną pyszałkowatością tych studentów, którzy rzeczywiście mieli zdolności medialne...

Nie. Do nich nie dało się przyzwyczać.

Na przekór wszystkim trudnościom instytut ciągle pracował, wbrew myślom – Boże, jak natrętnym – po co właściwie zajmować się faktem, czy ktoś jest esperem, czy nie. Co jakiś czas pojawiał się osobnik z niepodważalnym talentem.

Dzikim, samorodnym talentem.

Niespotykanym. Bardzo, bardzo rzadkim. Cameron Fenton był nim w pewnym stopniu obdarzony. Nie nazbyt hojnie, ale wystarczająco, by odgadnąć zestaw kart przynajmniej raz dziennie. Ale byli też ludzie, którzy robili to regularnie, co godzina. Bezbłędnie odgadywali po czterdzieści par kart, jedna po drugiej. Kolejność kart

zależała od tego, jak zostały wrzucone przez urządzenie do tasowania. Nikt nie wiedział, jak to robili, ale zawodowi magicy potwierdzali, że nie ma mowy o mistyfikacji.

I dlatego instytut nieustannie pracował. Dlatego ciągle przeprowadzano nudne testy na percepcję pozazmysłową, zmuszając chichoczących studentów, aby im się poddawali. Przychodzili bardzo sceptyczni, z kieszeniami pełnymi zużytych już dowcipów na temat ESP.

Zastanawiał upór, z jakim ludzie ostatniego ćwierćwiecza dwudziestego wieku ciągle wmawiali sobie, że nie wierzą w istnienie percepcji pozazmysłowej. Fentonowi przypominało to wywiad z pewnym mężczyzną, który twierdził, że Ziemia była płaska w dniu lądowania pierwszego człowieka na Księżycu. Zwolennik tej tezy wciąż utrzymywał, że statek kosmiczny nie mógł okrążyć Ziemi, gdyż ta nie jest kulista. „Ten statek pewno gdzieś odleciał”, przyznawał. „Zrobił duże koło, ale do Księżyca nie doleciał, bo to niemożliwe.” Nie ufał również zdjęciom. „Oszukane”, podtrzymywał. „W dzisiejszych czasach ze zdjęciami można zrobić wszystko, wystarczy spojrzeć na tricki filmowe.”

Obserwując Garnocka przygotowującego test Fenton pomyślał, że to pewnie właśnie dlatego sam zdecydował się kiedyś na parapsychologię – właśnie dlatego, żeby jego umysł nie stał się podobny do umysłów wyznawców poglądu o płaskiej Ziemi, do takiego rodzaju ludzi, którzy odrzucają każdy racjonalny fakt mogący podważyć ich stare przeświadczenia. Freud nigdy nie zdołał zgromadzić tylu dowodów na istnienie podświadomości. Einstein przeprowadził mniej badań statystycznych nad strukturą atomu. W każdej innej dziedzinie nauki dowody matematyczne zniweczyłyby wszelkie wątpliwości. Jednak w przypadku parapsychologii ciągle usiłowano podważyć dowody na istnienie zjawisk z tej dziedziny. A należałoby się skupić na ich badaniu i określaniu konsekwencji zastosowania tej wiedzy we współczesnym świecie.

Oczywiście, było kilka wyjątków - eksperymenty Rhine'a czy Hoyta Forda w Teksasie, który pierwszy zaczął wymagać kursu parapsychologii jako niezbędnego warunku ukończenia studiów psychologicznych. A wśród tych, którzy mieli odwagę mówić o tym pełnym głosem, znajdował się uczeń Forda, Lewis Wade Garnock, profesor parapsychologii na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley. No i Fenton, który po tylu latach spędzonych z dala od uczelni powrócił, by wspólnie pracowali nad dowodami.

Czy wciąż mam wątpliwości? A może chcę przekonać właśnie samego siebie?

-I jak, Cam, jesteś gotów? Fenton skinął głową.

-Czy mam położyć się na łóżku?

Garnock uśmiechnął się półgębkiem.

–Wygląda to tak, jakbym stał się freudystą na stare lata. To tylko na wypadek utraty przytomności. Łatwiej sobie wtedy z tobą poradzimy.

Fenton zdjął buty i wdrapał się na łóżko. Ułożył wygodnie poduszkę, rozluźnił kołnierzyk, podwinął rękawy do łokci. Odetchnął z ulgą, gdy przed ukłuciem igły poczuł mrożący chłód znieczulenia miejscowego. Nienawidził zastrzyków.

–Za chwilę poczujesz się nieco ociężały – powiedział Garnock. – Poproszę, żeby podano zestaw kart. Fenton zamknął oczy i próbował zapanować nad

lekkimi zawrotami głowy i ogarniającą go dezorientacją. Przez chwilę zastanawiał się, czy zawroty są rzeczywiste, czy może są skutkiem sugestii.

Garnock ostrzegał go, że będzie się czuł otępiały. Wspomnę później profesorowi, żeby nie mówił badanemu, czego ma się spodziewać, postanowił Fenton. Powoli zaczynało mu się zbierać na wymioty; narastające uczucie mdłości sprawiało, że głos Garnocka wywoływał w nim rozdrażnienie.

–Czy jesteś gotów do odczytywania zestawu, Cam? Czy możemy zaczynać?

Czemu nie, u diabła, w końcu urządzamy całą tę szopkę właśnie po to.

Cameron Fenton wstał ze szpitalnego łóżka i podszedł do ekranu. Siedziała za nim prowadząca badanie, niewidoczna z łóżka, i rozkładała karty. Ponownie zakręciło mu się w głowie, ciężko zrobił jeszcze parę kroków i poczuł, jak jego ręka przechodzi przez drewniany ekran. Nie przestraszył się jednak. Wolno spojrzął za siebie i bez zdziwienia stwierdził, że ciągle leży na łóżku. Jego bezwładne, ospałe ciało odezwało się stamtąd: – Kiedy tylko zechcesz, doktorze.

Garnock wziął do ręki papier i pióro.

Dobrze, że to on notuje, pomyślał Fenton i spojrzął na swoje ciężkie ciało. Żaden z nas nie utrzymałby teraz niczego w rękach... Żaden z nas? Kimże więc jestem? Swoim własnym ciałem astralnym? Zachciało mu się śmiać. Nigdy nie wierzył w te teorie. A może to naprawdę efekt percepcji pozazmysłowej, bo przecież mógł tam stać i widział karty rozkładane za ekranem przez rudowłosą Marjie Anderson.

–Koło.

–Koło – powtarzał Garnock i zapisywał. – Gwiazda.

–Gwiazda. – Fala.

–Fala.

Marjie wykladała karty jedna za drugą, a Fenton przesyłał informacje do swojej półprzytomnej połowy na łóżku, która powtarzała je bezrefleksyjnie. Lepiej zrobię kilka błędów, bo pomyśli, że ściągam. Zabawne... nigdy wcześniej nie ściągałem. Fenton zmieszał się. Czyżbym ściągał? A może to naprawdę percepcja pozazmysłowa? Moje zmysły należą przecież do tego ciała na łóżku, które nic nie widzi, czyli nie ściągam. Ale mimo to stoję tu obserwując Marjie i czuję się nieswojo.

Powiedział coś w tym rodzaju, a Garnock zachłannie zanotował.

–Więc wiesz, że to Marjie, nieprawdaż? Bardzo ciekawe. Następna karta.

–Kwadrat. – Kwadrat. – Gwiazda. – Gwiazda. – Krzyż. – Krzyż.

I tak dalej dwadzieścia pięć kart. Garnock podniósł się i obszedł ekran.

–Możesz być spokojny – powiedział Fenton – to świetna tura, nie mogło być lepiej.

Garnock poszedł za ekran, tam gdzie siedziała Marjie, która nie słyszała nic z tego, co mówił Fenton. Spojrzał na porządek kart zanotowany przez kobietę i porównał go z listą trzymaną w ręku. Jego twarz wyraźnie zmieniła wyraz. To przerażające. Fenton usłyszał myśli Garnocka. Doskonały wynik, mój Boże, skąd on to wiedział?

Gdy Garnock przyszedł z powrotem, Fenton powiedział:

–Mówiłem ci.

Profesor starał się, aby jego twarz nie wyrażała żadnych emocji.

–Dobra robota, Cam. Czy chcesz to powtórzyć? – Jasne, ile razy zechcesz – odparł Fenton. Garnock dał Marjie znak, żeby zaczęła od nowa. – Gwiazda.

–Gwiazda. – Fala.

–Fala.

Tym razem było jednak trudniej. Wprawdzie Fenton widział karty tak dobrze jak wtedy, ale miał kłopot z kontrolowaniem głosu wydobywającego się z bezwładnego ciała na łóżku. Męczyło go też wrażenie, że świat wokół blednie i powoli znika. Nie odpowiedział, kiedy Marjie wyłożyła następną kartę, więc Garnock ponaglił go:

–Fenton, następna karta.

–Ty myślisz, że ja tam leżę na łóżku – odezwał się Fenton grubym, niewyraźnym głosem – a tak naprawdę stoję przy Marjie i obserwuję, jak wyklada karty.

–Ciekawe – rzekł Garnock i zanotował coś na kartce. – Może zechciałbyś opowiedzieć mi więcej o swoich wrażeniach?

–Cholera! – krzyknął Fenton wysokim, drżącym z niepokoju głosem. – Mówię ci, nie próbuj na mnie tych swoich psychologicznych sztuczek.

–Tak, tak, oczywiście. Czy chcesz dokończyć test, Cam?

–Po co? Mam ci udowodnić, że mogę mieć jeszcze jeden bezbłędny wynik? W porządku. Gwiazda, fala, kwadrat, koło, koło, gwiazda...

–Stój, nie tak prędko, Marjie nie nadąża...

–Może rozłożyć je później, podaję kolejność, w jakiej są ułożone w talii – wyjaśnił Fenton świadom, że jest w stanie przejrzeć karty ułożone jedna na drugiej. – Fala, gwiazda, koło, fala, kwadrat...

Garnock notował w szaleńczym pośpiechu, a Fenton słyszał jego myśli. Coś takiego zdarzyło się wcześniej tylko raz. Zabawne, spodziewałem się, że Fenton może być jednym z tych, którzy w ogóle nie zareagują na antaril...

–Czy chcesz powtórzyć test jeszcze raz, Cam? zapytał profesor, a w myślach dodał: Zanim stracimy z nim kontakt...

–Nie – odpowiedział Fenton. – Mam trudności z utrzymaniem siebie w kupie.

Pokój zanikał, ale Fenton poczuł swoje ciało jako jednolite, co go uspokoiło. Słyszał bicie swego serca, czuł dłonie ściskające jedna drugą i krew bezpiecznie szumiącą w żyłach.

Odwrócił się od Marjie i przeszedł przez ścianę na korytarz. Dostrzegł jeszcze swój bezwładny, wiotczący korpus, a przy nim zaniepokojonego Garnocka.

–Cam?

Nie chciał patrzeć, co będzie dalej. Wyszedł ze Smythe Hall i ruszył przed siebie.

ROZDZIAŁ 2

Na powietrzu poczuł się lepiej. Przerazało go nieco, że chodnik jakby szarzał i zanikał, bladł i marszczył się. Chociaż nie, to nie było przerażenie. Miał poczucie, że nic go tak naprawdę nie przeraża. Był w euforii. Ale jedna rzecz mu przeszkadzała. Kiedy stąpał po jakiegokolwiek sztucznej powierzchni, niepokoila go niepewność każdego kroku, natomiast idąc po ziemi czuł się znacznie lepiej.

Ceglane budynki kampusu wokół Fentona zacierały się powoli i odrealniały. Byłoby niezwykle, pomyślał, tak po prostu przejść sobie przez ściany Dwinelle Hall. Ale nie zrobił tego. Również ciała spacerujących studentów wydawały mu się nie całkiem realne, jakby niematerialne. Kiedy niechcący przeszedł przez jedno z nich, nawet tego nie poczuł. Wszystko było niepokojące, tak, to odpowiednie słowo.

Dla próby chciał przejść przez drzewo, ale, zaskoczony, poczuł boleśnie silny opór. Przekonywał się, że świat, w którym się znalazł, ma swoje ściśle określone prawa i reguły. To nie sen, w którym wszystko jest możliwe. Jedną z reguł Fenton już poznał: obiekty zbudowane przez człowieka właściwie nie istnieją, ale ziemia, drzewa, a także skały – o czym się przekonał, kiedy skaleczył łydkę – są całkowicie realne. Ale dlaczego ludzie są niematerialni? Przecież są istotami należącymi do świata natury, zastanawiał się. To nie miało sensu. Nie powinno się jednak stosować racjonalnych zasad do świata, którego powstanie było efektem zażycia środka halucynogennego.

Szedł lekko przez kampus, ledwie dotykając ziemi. Odwrócił się, ale Smythe Hall został gdzieś daleko z tyłu, a drogi i alejki zniknęły. Przyszło mu do głowy, że powinien bacznie obserwować, dokąd idzie. Jak będzie tak wędrować przez Kampus Północny, potem przez Euclid Avenue, nie widząc ulic ani samochodów, to równie dobrze nikt go może nie dostrzec i po prostu zostanie przejechany.

Nie, przecież gdziekolwiek by się znajdował, ruch uliczny nie wyrządzi mu większej szkody niż barierka przed biblioteką, przez którą spokojnie przeszedł. To proste, przecież jego ciało materialne było w Smythe Hall. Czyżbym trafił do innego wymiaru? Wystarczająco dużo naczytał się o teorii równoległych wymiarów. Musiał być na kampusie, ale w innym wymiarze – tak wyglądałby świat, gdyby kampus uniwersytetu w Berkeley był zbudowany gdzieś indziej, jeśli w ogóle...

Bzdura. To jest sen, halucynacja, jeden z efektów wywołanych zażyciem antarilu. Sally Lobeck analizuje je przecież. Może bym tak coś zanotował? Zaśmiał się do siebie. Zanotować, ale czym? Nie dość, że nie miał notesu ani pióra, to na dodatek jego ciało ciągle tkwiło w Smythe Hall. Dlaczego mam na sobie ubranie? Jeśli moje ciało jest w Smythe Hall, dlaczego ciuchy nie są tam na nim? Może dlatego, że kiedy wychodzę na ulicę, to myślę, że mam na sobie ubranie jak zazwyczaj.

Kiedyś, zanim jeszcze wybrał parapsychologię jako specjalizację, studiował psychologiczną interpretację snów i sposoby zmiany sennej percepcji. Nigdy zbyt wiele mu się nie udawało, ale nauczył się, jak zmieniać nocny koszmar w sen o oglądaniu filmu grozy. Zastosował teraz tę technikę. Zdematerializował ubranie i został nagi. No i mam dowód. Nie jestem w innym wymiarze, po prostu śnię... A może to niczego nie dowodzi? Może jestem w innym wymiarze, noszę to, o czym pomyślę, albo to, co zwykle się nosić w tym wymiarze.

Odczuł chłód. Pozwolił, aby ubranie znów go otuliło i dodał w myślach grubą kurtkę. Wyglądała dość niewyraźnie, aż doszedł do wniosku, że pomyślał po prostu „gruba kurtka”. Szybko wyobraził sobie konkretną kurtkę, która należała do wujka Stana Camerona z gór Siewa. Była w czerwono-czarną kratę, miała wytarte rękawy i łaty na łokciach. W kieszeni wyczuł małą, niedbale przyszytą łatkę. Napisałbym list do wujka Stana i spytał go, czy ma łatę w swojej kurtce. Ja nie pamiętałem, ale widać moja podświadomość pamiętała lepiej niż ja. Głodnieję. Ciekawe, czy mogę wymyślić tabliczkę czekolady w kieszeni?

Kieszenie uparcie pozostawały puste. Moc myśli ma swoje granice, nawet we śnie. Dlaczego jest tak zimno? Spojrzał w niebo, z którego leciały pierwsze płatki śniegu. Śnieg? W Berkeley? Czyżbym doszedł aż tak wysoko na wzgórze? Mieszkał w Berkeley piętnaście lat, a śnieg widział tylko dwa razy, na szczytach wzgórz. Sypało gęsto. Ziemia szybko pokryła się białym kożuchem, który stawał się coraz grubszy, im dłużej Fenton szedł. Słyszał delikatne skrzypienie śniegu pod butami. Po chwili usłyszał jeszcze jeden dźwięk, który był podobny do śpiewu dzwoneczków u sań. Dźwięk narastał, jakby coś zbliżało się w kierunku Fentona.

Potrzebny mi jeszcze święty Mikołaj, pomyślał Fenton, przefruwający w saniach zaprzężonych w osiem reniferków z Disneya. Nie, do diabła, żadnych świętych Mikołajów. Kategorycznie odmawiam marnowania czasu w nienaturalnym świecie wywołanym halucynacją i przebywania ze świętym Mikołajem. Dzwoneczkom, które było słyhać coraz wyraźniej, towarzyszył teraz odgłos miękko uderzających w śnieg kopyt. Powietrze było tak czyste, że dźwięki niosły się daleko w przestrzeń. Fenton zdał sobie sprawę, że od dawna nie dostrzega już budynków uniwersyteckich. Stał wysoko, na górskiej przełęczy, u jego stóp biegła żwirowa ścieżka. Śnieg ciągle padał. Od strony najbliższego wzgórza zbliżała się długa karawana jeźdźców. Małe dzwoneczki kołysały się u końskich uprzęży, wypełniając swym dźwiękiem mroźne, rzeńskie powietrze.

Fenton zbiegł z dróżki i ukrył się za kępą drzew. Wprawdzie mogliby go nie zauważyć nawet na środku szlaku, ale chciał mieć dobry punkt obserwacyjny.

–Sally Lobeck zechce na pewno dokładnego opisu do swojej pracy – zamruczał do siebie.

Zaraz potem usłyszał śpiew. Na początku nie mógł rozróżnić słów. Brzmiało to jak wysoki śpiew kobiet albo chóru chłopięcego, albo, pomyślał zmieszany, jak ptasi trel. Doszukał się nawet jakiejś melodii, ale była nieciągła, o przeplatających się motywach. Jeden głos lub grupa głosów podejmowała motyw, wzbogacała go i improwizowała, a następnie przejmowały go inne głosy. Dzwoneczki u końskich uprzęży dodawały melodii lekkości i niosły ją w powietrzu razem z nadciągającą kawalkadą jeźdźców. Fenton mógł ich obejrzeć teraz dokładnie. Nie był do końca pewien, czy to istoty ludzkie. Nie miał też przekonania, czy zwierzęta, na których jechali, to konie, mimo że na pierwszy rzut oka z daleka – wyglądali jak ludzie na wierzchowcach. Mieli wprawdzie oczy, uszy, nosy, głowy, ręce i nogi na swoim miejscu i nie byli podobni do dziwnych stworów z telewizyjnych seriali science fiction, ale nie należeli też do żadnej znanej ludzkiej rasy. Różnili się od ludzi w bardzo dziwny sposób. Subtelnie i prawie nieuchwytnie, choć widocznie. Podobnie rzecz się miała z ich zwierzętami, które wyglądały jak konie jasnogniadej maści, z rudymi grzywami, ale końmi nie były.

Ludzie czy nie, prezentowali się wspaniale. Byli wysocy i smukli, może nawet zbyt szczupli jak na ludzkie standardy, ubrani lekko mimo chłodu; Fenton zauważył ich nagie, śniade ramiona. Do bogato zdobionych pasów mieli przypiętą dziwną broń. Ich szczupłe twarze o dość szerokim czole zwężały się ku brodzie. Wyglądali jak ludzie, ale ludźmi nie byli.

Wszyscy, mimo że wyglądali na mężczyzn, mieli wysokie głosy – specjaliści nazwaliby je sopranem i śpiewali czysto i dźwięcznie. Fenton pomyślał, że istoty, które niosą ze sobą tak cudowną muzykę, nie mogą być niebezpieczne.

Zastanawiał się, czy zobaczyliby go. Nie znał jeszcze przecież wszystkich praw tego dziwnego świata. A gdyby tak go zobaczyli, czy zachowaliby się wrogo? Postanowił działać ostrożnie, więc przycupnął za skalnym występem.

Zobaczył czterech lub pięciu dziwnych ludzi. Pośrodku grupy jechał ktoś otulony w długi futrzany płaszcz – a może był to tylko miękki materiał, który wyglądał jak futro. Z fałd płaszcza wysunęła się smukła, niezwykle szczupła bladoświatlista dłoń podtrzymująca lejce. Jej drobne, szczupłe palce były ozdobione pierścieniami. Gdy podjechali bliżej, Fenton zrozumiał, że mężczyźni są świtą i strażą osoby jadącej w środku, która nagle zrzuciła z głowy kaptur i obnażyła długie srebrzyste włosy podtrzymywane wysadzaną klejnotami opaską. Kobieta z dziwnego ludu. I jakże piękna.

Przepiękna... magiczna... jak wyśniona. Kobieta z czarodziejskiego ludu... jak Królowa Wróżek z poematu Spensera... piękność ze snu. Fenton poczuł dziwny ucisk w piersiach. Pomyślał, że i kobieta, i muzyka są jak senne marzenie.

Wyśniona muzyka... przebudzenie zabiera ją, zostawiając głębokie poruszenie i

przekonanie, że nie będziesz spokojny, póki znów jej nie usłyszysz...

Magia, czary. Królowa Wrózek. Czy to ją widzi? Czy może trafił do Czarodziejskiej Krainy opisywanej przez poetów? Parada królowej elfów wśród witającego ją ludu. Królowa Przystworzy, Ciemności, Poranka...

Fenton zastanawiał się, czy nie zabrnął w świat jungowskich archetypów, gdzie gromadzą się zbiorowe wyobrażenia. Podniósł głowę i zobaczył u boku Królowej Wrózek inną kobietę.

Ta była niewątpliwie istotą ludzką z krwi i kości, tak jak pierwsza kobieta była wytworem magii i fantazji. Ona również miała na sobie długi, ciemnobrązowy płaszcz. Jej długie, opadające na ramiona włosy były miedzianorudego koloru. Delikatna, opalona, lekko piegowata twarz nie pasowała do ostrych rysów pozostałych jeźdźców. Fakt, że kobieta była ciepło ubrana, ostatecznie przekonał Fentona, że to istota ludzka. Natomiast Królowa Wrózek miała pod płaszczem zwiewną tunikę, a na stopach lekkie, bogato zdobione sandały; jej nagie, brązowe ramiona wyraźnie odznaczały się na tle śniegu. Rudowłosa kobieta obok niej po męsku dosiadała wierzchowca. Spod jej podwiniętej wełnianej sukni wystawały nogi w grubych spodniach i ciężkich zimowych butach. Suknia i płaszcz były solidne, podszyte futrem. Kobieta miała silne, muskularne ręce. Dłońmi wtulonymi w puszyste rękawice trzymała lejce. Tak, to była córka ludzkiego rodu. Ale co robiła w tym towarzystwie?

Fenton słyszał jej głos pośród wysokich sopranów dziwnych istot. Śpiewała tę samą co oni, łatwo wpadającą w ucho piosenkę, której słów nie rozumiał. Bezsensowny układ sylab czy nieznaną język? Fenton przypomniał sobie starą balladę, która opowiadała o księciu porwanym przez kawalkadę elfów. Ale ta kobieta była zbyt szczęśliwa jak na więźnia. Śmiała się i śpiewała razem z innymi.

Przecież nie mogą być wrogami ludzi. Fenton miał właśnie wyjść z za skały i pokazać się dziwnym jeźdźcom, kiedy śpiew i muzyka dzwonek zostały nagle brutalnie przerwane. Powietrze zadrżało od wycia rogów, wybuchów wrzasku, jazgotliwych nawoływań. Jeden ze śpiewających jeźdźców padł u stóp Fentona; czaszkę miał rozrąbaną na pół. Fenton odskoczył, żeby uniknąć zachlapania krwią tryskającą jeszcze przez chwilę z tętnicy szyjnej.

Droga zarośla się nagle od przemykających, ciemnych stworzeń, które przeraźliwie wyły i wymachiwały ostrymi jak brzytwa maczetami. Fenton natychmiast wycofał się do swojej kryjówki – ta bitwa to przecież nie jego sprawa.

Napastnicy byli trochę nieforemnie zbudowani, mieli okrągłe, przyciężkie głowy i poruszali się jak insekty. Porównanie samo cisnęło się na myśl, gdyż bardziej biegali niż chodzili, i do tego niezgrabnie. Ciemne postacie przemykały tak szybko, że Fenton nie mógł dojrzeć, czy są nagie, czy owłosione, czy mają na sobie futrzane

ubrania, czy może pokryte są długim, zmierzwionym włosiem.

Jeźdźcy próbowali opanować przerażone, stojące dęba wierzchowce i uwolnić z pasów swoją dziwną broń. Uformowali szyk przed Królową Wrózek i Rudowłosą. Jeden z jeźdźców rzucił się między atakujących a kobietę ze świetlistozielonym mieczem w dłoni, ale małe czarne stworzenie wytrąciło mu broń z ręki i zdzieliło napastnika szerokim nożem. Upadł wijąc się,

rażony w serce. Nagle jedna z kreatur krzyknęła przenikliwym głosem:

–Bracia, mamy szczęście! To sama Kerridis, Wielka Pani! Udane polowanie!

Fentona, który trwał sparaliżowany za skalnym występem, poraziła desperacka ząbność, z jaką walczyła eskorta jeźdźców. Ciemnych stworzeń wyroiło się setki. Jeźdźcy jeden po drugim własnymi ciałami próbowali osłaniać kobiety i jeden po drugim padali rozerwani na strzępy. Cameron Fenton poczuł, że robi mu się słabo na widok potoków krwi, od jęków agonii wśród wysokich głosów mężczyzn umierających jak ptaki, od wrzasku atakujących istot, które czernią swych ciał pokryły całe zbocze przełęczy.

Wielka Pani złapała w dłonie jeden ze świetlistozielonych mieczy. Walczyła z zacięciem, w milczeniu, otoczona kręgiem włochatych, nieforemnych stworzeń. Jedno z nich wytrąciło jej miecz z dłoni, więc próbowała się wycofać z niemym przerażeniem na twarzy. Fenton nie dostrzegał już pięknej Rudowłosej. Może została rozdarta na kawałki jak reszta eskorty? Poczuł, że ta myśl przyprawia go o mdłości, więc próbował z nią walczyć. Jeśli to sen, musi być jakimś koszmarem.

Królowa Wrózek była zamknięta w kręgu niekształtnych stworów. Ciągle się cofała, spychana w kierunku zbocza góry. Fenton zorientował się, wyczytawszy trwogę na jej pociągłej twarzy, że najbardziej boi się dotyku napastników, tego, że mogłaby być przez nich drażnięta.

Włochate stwory siekły na drobne kawałki krwawe szczątki eskorty, a jeszcze żywe, wyjące zwierzęta cięły na plastry i napychały sobie pyski ociekającym krwią mięsem. Fenton czuł, że wnętrzości wywracają mu się do góry nogami. Przywarł do skały i zacisnął powieki.

Boże, tego już za wiele. Pozwól mi się obudzić... obudzić się...

Nudności wykręcały mu ciało. Jak mógł czuć taki ból we śnie? Nie zwymiotował. To niemożliwe. Przecież nie ma tu mojego ciała...

Ale jednak c o ś tutaj było, w tym wymiarze. Coś, co powodowało, że czuł mdłości i ból... Nagle objawy ustąpiły.

Jeśli naprawdę jestem w innym wymiarze, jeżeli to nie sen, może zdołam im jakoś pomóc?...

Ciągle rozlegał się przeraźliwy wrzask umierających mężczyzn i zwierząt przypominających konie. Fenton wyszedł z kryjówki; nie bardzo wiedział, co może zrobić. Gdzie jest Rudowłosa? Ujrzał ją po chwili, niesioną na rękach przez grupę włochatych bestii. Teraz, kiedy mógł im się przyjrzeć z bliska, wydawały się jeszcze bardziej odrażające. Spod rzadkich, długich włosów prześwitywały ich białe ciała. Odnóża miały zakończone pazurami, ubabranymi we krwi; pyski niektórych wręcz nią ociekały.

Kobieta, którą nazwał Królową Wrózek, ciągle się cofała w zaciskającym się kręgu odrażających postaci. Zdołała podnieść z ziemi jedną z maczet, ale szybko ją upuściła, jakby oparzona. Fentonowi przyszła nagle do głowy dziwna, obca myśl: stare baśnie mówią przecież wyraźnie, że czarodziejski lud nie może dotykać żelaza...

Za chwilę byłoby po wszystkim, ale wydawało się, że napastnicy, o dziwo, boją się Królowej Wrózek tak bardzo jak ona ich. Do tej pory nikt jej nie dotknął. Teraz jeden z nich rzucił się w kierunku kobiety, zaczepił o jej suknię kościstobiałym pazurem i pociągnął w swoją stronę. Po raz pierwszy królowa krzyknęła, ale bardziej z obrzydzenia niż strachu. Próbowwała uników i wtedy Fenton zrozumiał o co chodzi. Wiedząc, że Królowa Wrózek boi się ich dotyku, stwory próbowały spychać ją i kierować wzdłuż ścieżki. Zdając sobie sprawę z ich zamiarów, kobieta próbowała utrzymać się w miejscu. Wreszcie rozeźlone stwory zaczęły ją poszturchiwać, a jeden z nich pociągnął królową za dłoń. Krzyknęła znowu, tym razem pełna bólu i przerażenia. Fenton dostrzegł, że jej smukłe palce czernieją, jakby były nadpalone. Popychając i poszturchując prowadzili Wielką Panią w kierunku wejścia do ciemnej jaskini.

Z tyłu, bez wysiłku i bez bólu wymachując maczetą, walczyła Rudowłosa, której udało się oswobodzić z rąk potworów. Broniła się z szatańską zaciekłością, jej broń ze świstem cięła powietrze rażąc napastników i odpierając ich ataki. Było ich jednak zbyt wielu. Jeden zdecydowany atak wytrącił jej broń z ręki. Kobieta upadła na ziemię i wydała z siebie – niewątpliwie ludzki – krzyk bólu.

Zdesperowany i gotowy na wszystko Fenton pobiegł w kierunku walczących; nie wiedział tylko, co może im zrobić. Było już jednak za późno. Jeden z napastników zadał kobiecie silny cios w głowę ręką swojej maczety. Rudowłosa straciła przytomność. Bestie – każda około metra dwudziestu wzrostu – podniosły kobietę bezceremonialnie i uniosły ponad głowami jak kłodę, po czym ruszyły w stronę ciemnej jaskini.

Fenton nigdy nie był w stanie opowiedzieć, co robił potem. Może podświadomie

wstydział się swojej bezczynności podczas rzezi i jedzenia żywcem eskorty, które odbywały się na jego oczach. A może ciągle miał nadzieję, że to był tylko sen i że on sam znajdował się poza prawami, jakimi rządziła się tamta rzeczywistość. Jeśli był to sen, zachowanie Fentona właściwie nie miało znaczenia. Cam chciał jednak wtedy wiedzieć, co będzie działo się dalej.

Nie znał przyczyn, dla których potem sam działał, robił to bez zastanowienia, machinalnie. Większość włoskich stworów zniknęła w jaskiniach. Droga była zasłana krwawymi szczątkami ofiar. Fenton podniósł jeden ze świetlistozielonych mieczy, które leżały porozrzucane na pobojowisku. Przypomnił sobie, w jaki sposób napastnicy wytrącali miecze z rąk kobiet i był już pewien, że bali się bezpośredniego zetknięcia z tą bronią. Zacisnął dłoń na rękojeści; obawiał się, że ręka przeniknie przez nią jak przez inne przedmioty. Poczował jednak ciężar i opór materialnego miecza w dłoni. Broń wydawała się równie rzeczywista jak drzewa i skały w tym wymiarze.

Ze świetlistozielonym mieczem w dłoni Fenton wbiegł do jaskini.

ROZDZIAŁ 3

Wewnątrz Fenton zatrzymał się. Panowała tu ciemność jak w piekle. Nie mógł dojrzeć własnej dłoni. Wokół było czarno... ciemniej jeszcze niż czarno.. ciemno jak w czeluściach lub odmętach... jak w kosmicznej przestrzeni, w której nagle zgasły wszystkie gwiazdy. I zimno. Potwornie zimno. Wydawało się, że mroźący powiew napływa z zakutego w tafli lodu nordyckiego piekła. Fenton zawadził kolanem o skałę i jęknął z bólu. Skała również była potwornie zimna. Czuł się jak w Minnesocie podczas zimy. Gdy dotknęło się metalowego uchwyty od pompy mokrą dłonią, natychmiast przymarzała, a po oderwaniu ręki kawałeczki skóry zostawały na metalu. Kiedy oparł się o skalną ścianę, poczuł, że w mgnieniu oka wyssałaby z niego całe ciepło do szpiku kości. Zostałby z niego nagi, zimny szkielet. Gwałtownie zaczął rozcierać zziębnięte ramiona, po chwili jednak stwierdził, że niewiele to daje.

Szok uderzenia o skałę sprawił, że Fenton upuścił miecz. Zobaczył na ziemi jego zielono świecący zarys. Pochylił się i wziął broń do ręki. Ku swemu zdziwieniu poczuł płynące od niej ciepło. Ujął miecz w zmarznięte dłonie, delikatnie jak żywe zwierzątko, i tym razem poczuł, jak myśl o ciepłe wypełnia jego wnętrze. Nie było mu ciepło, ale mógł już sobie wyobrazić, że tak jest i uwierzyć w to. Przezroczysty, jakby szklany miecz świecił blado, ale w miarę jak ogrzewał dłonie Fentona, światło wzmacniało się.

Istnieje wyraźny związek między trzymaniem miecza i nasilaniem się jego światła, stwierdził Cam.

Owo spostrzeżenie zastanowiło go. Myślał dotychczas, że jedną z zasad tego świata jest to, iż przebywa tu bez ciała. Ale gdybym zupełnie nie miał ciała, jak mógłbym odczuwać chłód? W mieczu było coraz więcej energii. Trzymany w dłoniach emanował ciepło i wciąż jaśniejsze światło. Był teraz całkiem gorący, nie parzył, ale dawał skuteczny odpór mrozowi. Fenton przypomniał sobie, w jaki sposób ubrał się w kurtkę wuja Stana, i pomyślał: Jeśli zadziałało raz, powinno sprawdzić się znowu. Trzymając świetlisty miecz w dłoniach wyobraził sobie, że kurtka wuja zamienia się w puchową parkę, którą miał na sobie podczas ekspedycji w góry Siewa. Przypomniał sobie też, że napis na metce informował o niezawodności kurtki do trzydziestu pięciu stopni mrozu. Musi tu być mniej więcej taka temperatura, pomyślał Cam.

Powróciła mu przytomność umysłu. Na pewno nie znajdował się już na terenie uniwersytetu ani na wzgórzach wokół Berkeley, gdzie nie było przecież jaskiń. Najbliższe, o których wiedział, znajdowały się setki kilometrów na północ od miasta, blisko jeziora Shasta Dam.

W takim razie nie był też w innym wymiarze miasteczka uniwersyteckiego w Berkeley.

W jaśniejącym blasku miecza dojrzał swoje dłonie i w niewielkiej odległości oszronione skalne ściany. Kiedy już widział i nie był skostniały z zimna, przypomniał sobie powód swego wtargnięcia do tej lodowatej krainy. Chciał przecież odnaleźć rudowłosą kobietę i Kerridis, tę, którą nazwał Królową Wrózek.

Niewyraźne wejście do jaskini majaczyło daleko z tyłu; było znacznie bardziej oddalone, niż wynikałoby to z drogi, jaką Fenton przebył. Jakby ciągle się oddalało, mimo że Cam nie ruszał się z miejsca. Czyżby była to jeszcze jedna reguła tego świata – albo snu Fentona że nie można pozostawać dłuższy czas w jednym miejscu? Nie był tego pewien, ale niewątpliwie przesunął się w głąb jaskini. Jeszcze przez chwilę mógł dojrzeć blednące z minuty na minutę dzienne światło dobiegające od wejścia. Jeśli chciał się wycofać, powinien się tam skierować już teraz, kiedy było jeszcze ledwo widoczne. Zawahał się niezdecydowany. W puchowej kurtce było mu wystarczająco ciepło, a świetlistozielony miecz ogrzewał mu ręce. Ale co na dobrą sprawę może zrobić, kiedy znajdzie Kerridis i Rudowłosą?

Właśnie miał się odwrócić i skierować do wyjścia, kiedy usłyszał kobiecy krzyk. Teraz decyzja zapadła sama. Ściskając miecz w obu rękach, Fenton już zbiegał skalistą ścieżką w głąb jaskini. Tym razem uważnie obserwował drogę, aby znów nie popełnić błędu, o którym przypominało bolące kolano. W dole, za skalnym zakrętem, ujrzał przydymione światło pochodni, usłyszał wycie rogów, wrzaski i nawoływania. Jeszcze raz był bliski zawrócenia i wycofania się. Czy znów pchał się gdzieś, gdzie miałby tym razem oglądać kobiety pokrojone w plastry i pożerane przez stwory? Tego zdecydowanie nie chciał zobaczyć. Cóż jednak mógł zrobić, żeby bestie powstrzymać?

Jeśli to sen, mam bardziej chorobliwą wyobraźnię niż sądziłem, rozważał. Nie. Cokolwiek by to było, nie jest to sen. Wystarczająco dobrze znam psychologię snów. Kiedy ktoś śni, nie zastanawia się nad stanem swojego umysłu. Jeżeli przestaje się akceptować wydarzenia albo zaczyna podważać ich realność, wtedy śniący budzi się. Stary zwrot: „uszczypnij mnie, bo chyba śnię” wyraża właśnie istotę snów. Kiedy ktoś uświadamia sobie sen, ten odchodzi lub się zmienia.

Ja nie śnię.

Skutki tego rozpoznania były łatwe do przewidzenia. Jeśli to nie sen, te paskudne stworzenia mogą zabawić się w siekanie i pożeranie również ze mną, zauważył Fenton. Nie ma co, należy stąd spadać.

Odwrócił się i ruszył ku wyjściu, a wtedy świetlistozielony miecz przygasł, by po chwili zgasnąć całkowicie. Fenton, sam w ciemnych czeluściach podziemnej jaskini, poddał się panice. Nigdy nie znajdzie wyjścia. Będzie się włóczył bez końca, aż wreszcie umrze...

Bardzo powoli odwrócił się z powrotem, by się zorientować w przestrzeni według przyćmionego, odległego światła pochodni. Zrobił krok w tym kierunku i zauważył, że miecz ponownie zaczyna świecić. Nieśmiało i blado, ale jednak...

Tytułem próby Fenton zrobił jeden krok w głąb jaskini – blask pojaśniał. Potem jeszcze jeden – światło miecza powróciło z całą swą mocą.

Chce, żebym schodził dalej...

Niedorzeczność. A może to tylko jeszcze jedno z praw świata, w którym Fenton się znalazł? Bez ciepła i światła miecza włączyłby się tu do śmierci. Albo, pomyślał zdezorientowany, środek halucynogeny przestanie działać i powrócę do swego ciała.

Tymczasem jednak miecz kierował go w określoną stronę, obdarzając swoim ciepłem i światłem.

Chyba nie mam innego wyjścia... uznał Fenton. Posuwał się w dół kamiennymi schodami, a wokół robiło się coraz cieplej. Ściany jaskini nie były już tak lodowate, zamiast szronu ozdabiała je płaskorzeźby, którym Fenton nie bardzo jednak chciał się przyglądać. Mimo to kątem oka dostrzegł, że przedstawiają niewyobrażalnie okrutne i sprośne sceny. Nic zaskakujące

go, skoro są dziełem tych włochatych bestii. Nagle kamienne stopnie skończyły się i Fenton znalazł się w przestronnej grocie.

Była pusta, miała śliską, jakby wypolerowaną podłogę. Z sufitu pokrytego dziwną konstrukcją z łańcuchów zwisały metalowe lampy, rzucające przyćmione światło. Bujały się i rysowały na ścianach przerażające, monstrualne cienie. Fenton ukrył się w jednym z nich, aby świetlistozielony miecz nie zwrócił uwagi włochatych stworzeń. Te jednak już go zauważyły i uniosły głowy. Fenton przygotował się na atak. Zupełnie jednak nie przewidział tego, co się stało. Dwa pokraczne stworzenia krzyknęły, zakryły bolące je oczy i prawie oślepione uciekły do sąsiedniej groty.

Najwidoczniej przeraził je widok broni. Nie powstrzymałaby ich w większej masie, ale tylko dwie bestie nie stanęłyby do walki z jednym człowiekiem trzymającym świetlistozielony miecz w ręku. Pozostawała im ucieczka.

Po raz pierwszy od początku swej wędrówki Fenton poczuł się nieco pewniej. Czy uciekły w stronę, gdzie reszta ich towarzyszy torturowała kobiety? Na to nie powinien liczyć. Nie był już tak bardzo przerażony i mógł spokojnie myśleć. Czuł, że miecz chroni go choć trochę.

Wolno obchodził grotę nasłuchując przy każdym z niej wylocie. Pierwsze dwa były mroczne i ciche. W trzecim dosłyszał zduszone warczenie i dostrzegł czerwony

blask, jakby odległy ogień. Czyżby znajdował się na wulkanicznym poziomie jaskiń? Coś złowieszczonego było w tym czerwonym blasku i Fenton nie bardzo chciał mieć z nim do czynienia. Obawiał się jednak, że kiedy się odwróci, jego miecz znowu przygaśnie, ale tak się nie stało. Pomyślał irracjonalnie, że może jego świetlistozielona broń też nie chciała mieć do czynienia z wulkanicznym blaskiem.

Nasłuchiwał jeszcze u wylotów dwóch czy trzech tuneli, zanim usłyszał coś, co przypominało odległe krzyki, wycie rogów, nawoływania. Wbiegł do tunelu szybko, bez zastanowienia, zostawiwszy własne myśli, które z pewnością pozbawiłyby go wytrzymałości psychicznej.

Kiedy tak biegł, czuł, że temperatura ponownie zdecydowanie rośnie, a odległe głosy stają się coraz wyraźniejsze. W świetle miecza widział równomiernie opadające podłoże tunelu. Potknął się dwa razy o niewidzialne stopnie. Dolatujące go dźwięki nabrały teraz pełnej mocy. Fenton usłyszał zduszony płacz i był pewien, że odnalazł przynajmniej jedną z ofiar.

Była to Królowa Wrózek, Kerridis. Stała otoczona kręgiem napastników, którzy spychali ją w kierunku skalnej niszy. Cofała się, próbując unikać ich dotknięć, ale stworzenia doskonale o tym wiedziały. Bawiły się więc, próbując ją ukłuć, uszczypnąć lub zadrasnąć swoimi długimi pazurami. Fenton zastanawiał się, czy gdy wbiegnie w sam środek kłębiącej się grupy, światło miecza odstraszy je. Zanim zdążył cokolwiek zrobić, zobaczył wysokiego mężczyznę, który pojawił się nagle pośród napastników.

Człowiek. Prawdziwy człowiek, tak jak Fenton. Nikt z ludu Kerridis. Był wysoki, muskularnie zbudowany, o ciemnej karnacji. Miał na sobie długie spodnie, wysokie buty z metalowymi okuciami i kurtkę z długimi rękawami. Na to narzucony długi, włochaty płaszcz, którego kolor trudno było rozpoznać w świetle bujających się lamp.

Mężczyzna przeszedł między napastnikami, którzy usunęli się przed nim jak fala odpływu. Kiedy znaleźli się w bezpiecznej odległości, Fenton zauważył ulgę na twarzy Kerridis. Gdy mężczyzna przemówił, wstręt znowu pojawił się na obliczu królowej.

–Kerridis – powiedział mężczyzna – teraz pójdiesz ze mną. Daj mi rękę. Nie ma powodu, żeby cię tak traktowali.

Kerridis w pierwszej chwili machinalnie wyciągnęła dłoń, ale nie dotknąwszy ręki mężczyzny, wycofała ją nagle, a na jej twarzy pojawił się niesmak. Mężczyzna wzruszył ramionami. Odezwał się obojętnym tonem, ale Fenton czuł, że jest zraniony i rozdrażniony:

–Jak widzisz, nie mam żadnego z waszych Kamieni Życia. Pamiętaj, Kerridis,

torturowali was nie z mojej woli. Wydałem ściśle rozkazy, żeby was nie krzywdzono.

–Czy wydałeś również rozkaz, by pomordowano moich wiernych ludzi?

–Oni nic dla mnie nie znaczą – odpowiedział surowym tonem. – Wiesz, jakie są powody wojny między nami. To twoja robota, Kerridis, nie moja.

Odwróciła się od niego, ale mężczyzna chwycił ją za ramię i zmusił do patrzenia mu w twarz.

–Chodź ze mną, a nic ci się nie stanie. Rozzłoszczona kobieta wyrwała ramię.

–Twoja wola – rzekł. – Jeśli chcesz, zawołam ich, a oni zmuszą cię do tego. Chciałem ci dać wybór, ale nie mam powodu, aby być wobec ciebie uprzejmym. Zostawić cię tu z nimi?

Na twarzy Kerridis malowała się beznadzieja i klęska. Kobieta ukryła twarz w smukłych dłoniach, a Fentonowi wydawało się, że płacze. Po chwili jednak podniosła głowę arogancko oraz pewnie i poszła za mężczyzną.

Ukryty w cieniu Fenton ruszył za nimi; miecz schował w fałdach kurtki. Pomyślał, że skoro parka jest produktem jego myśli, to blask miecza będzie przez nią prześwitywał, ale tak nie było. Kerridis i mężczyzna przeszli przez kilka pustych grot, aż zatrzymali się w ostatniej. Fenton znów dojrzał złowieszczy, czerwony blask, którego widok spowodował, że wnętrzości wykręcił mu strach. Kiedy mężczyzna przechodził obok drżącej Kerridis, Fenton widział jego wielki, zniekształcony cień na skale. Brak cienia nie był więc powszechną zasadą w tym świecie. Fenton nie rzucał cienia, bo nie był tutaj cały, a przynajmniej nie było jego ciała.

W grocie zaroilo się od włochatych stworów. Otoczyły Kerridis i wykrzykiwały coś do niej w swojej podobnej do gęganina mowie. Na powrót zniknęła jej pewność siebie. Kobieta cofnęła się pod ścianę, ale ta też była nieprzyjazna, jakby chciała zadać jej ból, więc Kerridis starała się utrzymać podarty płaszcz między sobą a powierzchnią skały. Mężczyzna kilka 'razy wymówił jej imię kojącym tonem:

–Kerridis... Kerridis... posłuchaj mnie. Nie pozwolę Pani skrzywdzić. Wiesz, czego chcę. Nie stanie ci się krzywda. Tak będzie sprawiedliwie...

–Sprawiedliwie? – Kerridis spojrzała na niego, a wyraz jej twarzy zdradzał, że jest na skraju wytrzymałości. – Ty mówisz o sprawiedliwości? – Nawet kiedy drżała ze strachu, mówiła czystym, śpiewnym głosem.

–Sprawiedliwość. Wwegzekwuję ją. Ale przysięgam, ty możesz mi ufać...

–Ufać?! Już raz ci zaufałam. Nigdy więcej! – wyrzuciła z siebie pogardliwie i

odwróciła twarz. Mężczyzna popatrzył na nią chmurnie.

–Wolisz więc moich przyjaciół? – Wskazał na pomrukujące stworzenia kłębiące się w jaskini.

–Tak. Oni są okrutni, bo taka jest ich natura odrzekła zaciskając dłonie. – A ty...

Podniosła nagle rękę, bo chciała uderzyć mężczyznę, ale ten przejrzał jej zamiar i uchylił się. Złapał ją za nadgarstek i silnie wykręcił jej rękę. Kerridis zacisnęła usta, żeby nie krzyknąć, a mężczyzna z impetem popchnął ją do skalnej niszy. Zatrzasnął za nią metalową kratę, którą jedno z włochatych stworzeń zaryglowało. Potem wszystkie podążyły za mężczyzną w głąb innego tunelu.

Fenton stał ukryty w cieniu, aż bestie zniknęły w ciemnościach. Kerridis została za żelazną kratą. Wyciągnęła dłoń i dotknęła jej palcem, ale natychmiast cofnęła rękę. Obejrzała ją i Fenton dostrzegł, że smukłe opuszki palców ma poczerwiałe, jak spalone. Wpatrywała się w nie z przerażeniem, potem znów ukryła twarz w dłoniach, jakby opuściła ją cała energia. Zdawało się, że jest całkowicie załamana.

Onieśmielony, urzeczony jej pięknem, Fenton wpatrywał się w kobietę. Mimo że nie była istotą ludzką, była jednak przepiękną kobietą. Żywą istotą, udręczoną i płaczącą, narażoną na niebezpieczeństwo. Wydawało mu się, 'że kiedyś śnił o kimś takim. Nie jak o kimś, kogo się pożąda i kocha jak mężczyzna kobietę, lecz o kimś, kogo się wielbi, komu oddaje się cześć, kogo nie dotyka nieczysta dłoń ani nieczysta myśl. Królowa Wrózek.

Ruszył w stronę jej więzienia, ale zawahał się w pół drogi. Czy od niego również odwróci się ze wstrętem? Może odrzucić ze strachu jego pomocną dłoń. Przecież nie wiedział nawet, jak może jej pomóc. Wiedział jednak, że musi spróbować.

Gdzie się podziała Rudowłosa? Był pewien, że to właśnie ją słyszał krzyczącą. Kerridis – teraz wiedział to na pewno – nie umiałaby tak krzyczeć, mimo że jedna jej dłoń była poczerwiała i skurczona z bólu, który musiał być ogromny; kobieta owinięła dłoń strzępem płaszcza.

Fenton zbliżał się do Kerridis bardzo powoli, ze świetlistozielonym mieczem w dłoni. Nagle zastanowił się, czy jego głos będzie słyszalny w tym wymiarze. Wydawało się, że uwiązał mu w gardle. Nawet tak poniżona, łkająca, owinięta strzępami płaszcza Królowa Wrózek wzbudzała respekt. Fenton nie mógłby się do niej odezwać bez należącego szacunku. Powiedzieć tak po prostu „Kerridis”, jak tamten mężczyzna? Fenton chrząknął cicho. Ku jego radości usłyszała. Odgarnęła spadające na twarz srebrzystobiałe włosy i podniosła głowę. Spojrzała prosto na Fentona.

Jej ogromne oczy wydawały się zbyt duże w stosunku do twarzy, więc zastanawiał się, czy w ogóle go widzi. Skupiła na nim spojrzenie rozszerzonych źrenic. Zdumiony

spozstrzegł, że tęczęwki mają złotawy kolor i dziwny wewnętrzny blask, jak kocie oczy w nocy. W odruchu przerażenia cofnęła się pod ścianę skalnej celi.

–Pani – powiedział Fenton. Zwrócenie się do niej w ten sposób nie wydawało się wcale sztuczne, wręcz przeciwnie, brzmiało zupełnie naturalnie. – Pani, nie chcę cię skrzywdzić.

Patrzyła na niego. Rysy jej twarzy powoli się uspokajały. Po chwili odezwała się:

–Tak, teraz widzę, że nie jesteś Pentarnem, choć wyglądasz jak on. Ale nikt, kto chciałby mnie skrzywdzić, nie przychodziłby z vrillowym mieczem. – Wskazała na świetlistozieloną broń w ręku Fentona. – Głos też masz inny niż Pentarn. Jak się tu dostałeś?

–Widziałem ich atak, śledziłem was. Jak mogę ci pomóc"

Wskazała metalową kratę.

–Jesteś z rasy Pentarna, więc możesz jej dotknąć. Czy mógłbyś ją otworzyć? Nie potrzebują zamków, aby nas uwięzić w środku. Gdybym chwyciła któryś z prętów, moja dłoń spaliłaby się natychmiast. Zresztą, jak widzisz... – Z bolesnym-uśmiechem na twarzy odsłoniła poczerwiałe palce..

Fenton wyciągnął dłoń, żeby odsunąć rygiel, ale jego ręka przeniknęła przez kratę.

Oczywiście, to ludzki produkt, skonstatował, jeśli te stwory, w co wątpię, są ludźmi. W każdym razie artefakt, ani skała, ani drewno. Nic na to nie poradzę. Ale dlaczego mogę trzymać ten miecz?

–Wybacz mi, Pani, nie jestem w stanie nawet dotknąć tej kraty. Nie mówiąc już o tym, żebym mógł cię uwolnić. Potrafię przez nią przejść, ale obawiam się, że to na nic. Pomógłbym ci, gdybym mógł.

Uśmiechnęła się. Nawet z twarzą zmęczoną strachem i płaczem wyglądała pięknie, a jej uśmiech miał magiczną moc. Fenton znów przypomniał sobie baśń o mężczyznach przyciąganych urokiem czarodziejskiej krainy. Królowa śmiała się w samym sercu horroru, mając nadpaloną dłoń. Śmiała się perlistym, magicznym śmiechem. Fenton stał teraz obok niej wewnątrz celi.

–A więc nie jesteś jednym z ludzi Pentarna? Zaprzeczył ruchem głowy.

–Kimkolwiek jest Pentarn, ja nie jestem jednym z nich.

–Nie, oczywiście, że nie. Widzę, że nie rzucasz cienia. Nie jesteś Przechodniem, ale Cieniem. Podaj mi miecz.

Fenton oddał broń w jej ręce. Lśniły ulotne, jak mgła, ale mimo to czuł ich dotyk. Nie przeniknął przez nie jak przez metalową kratę. Kobieta położyła palce na ostrzu świetlistozielonego miecza, a jego światło jakby przenikało je na wylot. Grymas bólu powoli zniknął z jej twarzy. Westchnęła tak głęboko, że Fenton zdał sobie sprawę, jak Kerridis była dotychczas opanowana.

–Wprawdzie to nie jest Kamień Życia, ale trochę pomaga – odezwała się drżącym lekko głosem. – Może teraz, kiedy ból ustąpił, spróbuję się ubrać w bardziej odpowiedni sposób.

Powoli przeciągała mieczem wzdłuż obrzeży pociętego na strzępy płaszcz. Na podstawie własnych eksperymentów z kurtkami Fenton pomyślał, że Kerridis postąpi tak samo z płaszczem, ale ona nie próbowała go zszyć w myślach. Obserwował, jak bardzo wolno obrysowuje rozdarcia mieczem. Porwane pasma przyciągały się, zbliżały do siebie i łączyły w całość.

–Jak to robisz? – spytał zdziwiony Fenton. Odpowiedziała obojętnie:

–Gdy jakiejś rzeczy, płaszczowi czy sukni, raz zostanie nadany odpowiedni kształt, ten kształt nie ginie. Nawet wtedy, kiedy podrze ją taki lud jak Irighi. Tak przynajmniej Fenton usłyszał to słowo. – Moje rany nie goją się, bo zadano mi je bronią z tego samego materiału, z którego są zrobione te pręty. – Wskazała kratę. – Zniszczenie, jakie Irighi czynią i rany, jakie zadają naszym ciałom, wymagają o wiele staranniejszej kuracji niż działanie vrillu. Może on jednak częściowo usunąć oparzenia i za jego pomocą mogę przywrócić dawny kształt ubraniom.

Ależ proste, pomyślał Fenton. Ale i tak nie do końca to rozumiem. Wiedział już, że jej płaszcz jest znowu cały i okrywa ją ciepło, mimo że ciągle wyglądał jak podarty. Jej suknia też musiała być cała i nie naruszona. Kerridis owinęła się szczelnie, żeby chronić nagie ręce i nogi od dotyku skalnych ścian.

–Dziękuję ci, nieznajomy Cieniu, za ulgę, którą mi przyniosłeś. Powiedz jeszcze, czy wszyscy moi ludzie zostali zamordowani?

Fenton spuścił głowę.

–Obawiam się, że... – zawahał się, ale Kerridis jakby czytała w jego myślach.

–Wiem, jak żelazory traktują naszych ludzi odezwała się smutnym głosem. – I waszych czasami też. Czy widziałeś, co się stało z moją towarzyszką Irielle? Ona jest jedną z was, ma włosy jak płomień...

Zaskoczony Fenton zdał sobie sprawę, że zauroczony głosem Kerridis, całkiem zapomniał o Rudowłosej.

–Usłyszałem krzyk... ale potem widziałem, jak ją unoszą w dal, całą i zdrową...

–Musisz iść – przerwała mu. – Musisz natychmiast opuścić te groty. Jesteś Cieniem. Długie przebywanie pod ziemią grozi ci niebezpieczeństwem. Oni tu po mnie wrócą. No, idź już... – zawahała się, a potem z ociąganiem podała mu vrillowy miecz. – Moje serce krwawi, gdy muszę się z nim rozstać, ale ty powinieneś go mieć, żeby znaleźć powrotną drogę. Bez jego światła mógłbyś tu błądzić w nieskończoność, a kiedy przyszedłby czas powrotu do twojego świata, znalazłbyś się w potrzasku. Nie byłoby to aż tak niebezpieczne, gdybyś był Przechodniem, ale Cienie łatwo wpadają w pułapki...

–Zatrzymaj go, Pani. Bez niego ich nie odstraszysz. Sam widziałem, że się go boją. Zobaczyły, że mam miecz i... On nie pomoże mi w wydostaniu się stąd. Za każdym razem, kiedy zwracałem się w stronę wyjścia, jego światło przygasalo.

Kerridis roześmiała się.

–Nie zgaśnie, jeżeli twoim prawdziwym celem będzie wyjście stąd. Naprawdę bardziej mi pomożesz, jeśli wydostaniesz się na zewnątrz i sprowadzisz pomoc. Nie mogę się skontaktować myślami z moim ludem. Te skały zawierają zbyt dużo metalu żelazorów. Idź już, przyjacielu...

Fenton niechętnie przyjął miecz od Kerridis. Gdy oddała mu broń, na jej twarzy znowu pojawił się grymas bólu.

–Chciałbym móc zrobić dla ciebie więcej, Pani.

–Zrobiłeś, co mogłeś. Nawet więcej, niż oczekiwałabym od Cienia. A teraz się spiesz.

Dotknęła jego twarzy swoją ulotną dłonią. Poczuł na policzku muśnięcie wiatru.

–Szkoda, że nie masz więcej wieści o Irielle. Drzę cała ze strachu o nią. Nie możesz zostać tu dłużej. No, idź już, Cieniu...

Znów poczuł na policzku jej dotyk jak muśnięcie łabędziego skrzydła.

–Moja wdzięczność i myśl będą z tobą... – dodała. Kiedy odchodził, obejrzał się za siebie. Zobaczył, że owinąwszy się starannie płaszczem usiadła na skale, ale tak, żeby ubranie chroniło ją skutecznie przed dotykiem kamienia lub kraty. Na twarzy kobiety malowała się boleść i cierpliwość.

Chociaż tyle mogę dla niej zrobić. Nie każdy ma okazję pomóc Królowej Wrózek... Przecież ona nie jest żadną Królową Wrózek. To śmieszne myśleć o niej w ten sposób, kiedy już wiem, że nazywa się po prostu Kerridis...

Fenton podejrzewał siebie jednak o to, że długo jeszcze będzie myślał o niej jako o Królowej Wrózek. Świetlistozielony miecz jaśniał w dłoni Cama, kiedy ten szedł z powrotem. Fenton pokonał tunel i wszedł do pierwszej, głównej groty, która teraz była całkiem pusta. Skierował się do jej wylotu. Już wspinał się po kamiennych stopniach i, co dziwne, wydawało mu się, że porusza się w dół, w kierunku wyjścia z jaskini. Czyżby w tym świecie przestrzeń też była iluzoryczna, bez rzeczywistego kształtu, a kierunki wynikały z samej jej istoty? Poczul lekki ból i zamęt w głowie. Ucieszył się, kiedy w końcu dotarł do pokrytej śniegiem górskiej przełęczy.

Śnieg ciągle padał. Półmrok gęstniał, robiło się ciemno. Fenton zadrzał i owinął kurtkę ciasniej wokół siebie.

–To on! – krzyknął ktoś za jego plecami wysokim, czystym głosem istoty z ludu Kerridis. – Należy do wyklętej rasy Pentarna!

Silne dłonie złapały Fentona od tyłu. Szarpnął głową i intuicyjnie odczuł, że jego obecna półrzeczywista forma pozwoli mu na prześlizgnięcie się między napastnikami albo przeniknięcie przez nich, gdyby tylko tego zechciał, pomimo że mocno odczuwał uchwyt rąk napastnika. Ale głos, który słyszał, był śpiewnym głosem ludu Kerridis, czysty kontratenor. Fenton spojrzął w twarz mężczyzny, który go trzymał, i dostrzegł podobieństwo rasy. Obcy nie wyglądał tak samo jak Kerridis. Miał kasztanowe włosy, a ona długie, srebrzystobiałe, ponadto miał szerokie, silne ramiona i był o wiele wyższy od Fentona. Ale ogromne oczy i brązową bladość cery mieli wspólne.

–Nie ruszaj się – zagroził śpiewnym głosem. Masz miecz na gardle i nawet jeśli jesteś Przechodniem, zabiję cię z równą rozkoszą jak każdego żelazora.

Fenton poczuł ucisk na szyi. Był odporny na żelazo, mógł przenikać przez metalowe pręty, ale nieznaną materię, z którego zrobiono świetlistozielony miecz, był dla niego rzeczywisty w tym wymiarze. Cam przemówił bardzo ostrożnie, tak aby miecz nie ześlizgnął się z jego grdyki:

–Przychodzę od Kerridis. Ona żyje. Prosiła, bym was do niej zaprowadził.

–To podstęp, Erril – powiedział inny głos. – Czy myślisz, że Kerridis powierzyłaby jakąkolwiek wiadomość komuś z jaskiń?

Fenton wymacał w fałdach kurtki swój świetlistozielony miecz, który przeprowadził go przez podziemne tunele, i wyjął go. Mężczyzna rzucił się na broń jak jastrząb na ofiarę, chwycił miecz i po krótkiej walce wyrwał go z ręki Fentona.

–Skąd to masz? Jak mogłeś go nieść bez kaleczenia się?

–Puść go, Erril – powiedział nagle ktoś głosem nie znośącym sprzeciwu. – Cały i zdrowy wyniósł miecz z jaskini. Puść go... Spójrz... – Światło pochodni błysnęło nad

głową Fentona. – Czy nie potrafisz rozpoznać Cienia nawet wtedy, kiedy masz go w swoich rękach? Jak ktoś taki mógłby pomóc lub wyrządzić krzywdę Kerridis?

–Ale skąd wziął miecz? – Erril posłusznie puścił Fentona i zdjął miecz z jego gardła.

Fenton spojrział na nowo przybyłego mężczyznę z ludu Kerridis. Otaczała go aura przywództwa i dostojeństwa. Odezwał się do Fentona:

–Mów szybko, skąd masz miecz.

–Jeśli o to wam chodzi – wskazał świetlistozieloną broń – podniosłem go z ziemi, gdy szczątki pozabijanych jeźdźców z eskorty Kerridis zostały na drodze. Myślałem, że mógłby mi pomóc obronić się przed tymi... tymi drugimi... Nie wiem, jak ich nazwać.

Kątem oka dostrzegł poszarpane szczątki wojowników i ich wierzchowców zgromadzone w jednym miejscu. Inni wojownicy kręcili się wokół i układali na nich kawałki drewna, budując coś w rodzaju stosu pogrzebowego. Fenton odczuwał niejasne, podświadome zadowolenie. Dobrze, że po tak okrutnej śmierci chociaż pogrzeb będą mieli taki, jak nakazuje ich obyczaj. Nowo przybyły zapytał:

–Jak tu się znalazłeś?

Ale Fenton rozzłościł się nagle.

–Wy tu stoicie wpytując mnie, kim jestem i skąd się wziąłem, a ranna Kerridis jest tam na dole, w niebezpieczeństwie. Próbowałem ją wypuścić z celi, ale moja ręka przeniknęła metal. Mają też tę drugą kobietę, która jeszcze żyła, kiedy widziałem ją ostatni raz. Może

zamiast wypytywać mnie teraz, zajmiecie się wydostaniem ich stamtąd, a mnie będziecie męczyć potem?

–On ma rację, Lebbrin – odparł mężczyzna nazywany Emilem.

Wysoki dowódca, ten, do którego zwrócono się „Lebbrin”, skinął głową.

–Nie ma sensu, żebyśmy wszyscy próbowali tam wejść. Przynieście miecze, które, są jeszcze żywe. Ty, Erril, i ty, Findhal... – zawahał się – myślę, że tylu nas wystarczy, żeby wślizgnąć się tam niepostrzeżenie i uwolnić ją. Dwunastu pozostałych... – szybko wskazał jednego po drugim – pójdzie za nami w pogotowiu. Będziecie potrzebni, gdy zaczniemy się przedzierać z powrotem.

Fenton zobaczył, że miecze pozabijanych wojowników leżą z boku, ułożone w stos. Kilka z nich jeszcze słabo świeciło. Inne stały się zimne i przezroczyste, ich płomień

wygaś. Lebbrin zgromadził ludzi i zwrócił się do Fentona:

–Cieniu, jak ci na imię? – Fenton.

–Dobrze, Fenton. Czy nie boisz się wejść z nami z powrotem do jaskini? Ile zostało ci czasu?

–Nic o tym nie wiem.

Po tych słowach Fenton przestraszył się. Przedmioty stworzone ręką ludzką nie są dla niego przeszkodą, to fakt. Ale skały, drzewa i jaskinie istnieją w sposób jak najbardziej rzeczywisty. Jeśli czas powrotu do ciała nadejdzie niespodziewanie, kiedy będzie uwięziony pod ziemią, czy wydostanie się stamtąd? Po raz pierwszy od chwili rozpoczęcia wędrówki pomyślał o swoim bezwładnym ciele, które pozostało w Smythe Hall, w tamtym, zupełnie innym świecie... Czy ma odwagę zejść z powrotem w podziemne ciemności? Zadrżał na myśl o włochatych stworzeniach, które Kerridis nazywała żelazorami, o ich maczetach, o ich przyjemnościach związanych z szatkowaniem ludzi i zwierząt. Przypomniało mu się, jak pełnymi garściami napychały sobie ryje ciągle żywymi, krwawiącymi ciałami zwierząt.

Lebbrin obserwował go ze współczuciem.

–Może nie powinniśmy cię prosić, byś tam poszedł, ale spytać, jak możemy ją odbić. Powiedziałeś, że Kerridis jest ranna. Czy ciężko?.

–Kłudy ją i drapały pazurami – wyjaśniał Fenton panując nad głosem – ale dłoń Kerridis, którą złapała jedna z bestii, jest w najgorszym stanie: pociemniała i zwęglona.

Erril podniósł vrillowy miecz.

–Spróbuj zacisnąć dłonie na mieczu.

Kiedy ręce Fentona objęły rękojeść, Erril powiedział: – Myślę, że wystarczy ci czasu, jeżeli będziemy się spieszyć. Obserwuj swoje siły. Jeśli poczujesz, że nie możesz utrzymać broni, natychmiast powiedz jednemu z nas. Wyprowadzimy cię wtedy bezpiecznie. Podejmujesz ryzyko. Nie mamy prawa cię o to prosić. Ale Wielka Pani, Kerridis...

Fenton wiedział już, że zaryzykuje. Lebbrin spojrział na niego z uznaniem.

–Pospieszmy się. Im mniej czasu zmarnujemy, tym mniejsze twoje ryzyko. Erril! Findhal! Za mną! Reszta niech odda płomieniom ciała naszych pomordowanych braci.

Tym razem Fenton ruszył w stronę jaskiń w towarzystwie Errila i Lebbrina. Mimo trzymanego w dłoniach świetlistozielonego miecza, który zapewniał mu bezpieczeństwo, był sparaliżowany strachem. Z obu jego stron, jak ochrona, szli dwaj wysocy, uzbrojeni mężczyźni. Nie miał powodu aż tak się bać.

Jak długo już tu jestem? Ile godzin? Nie wiem, jak mierzyć czas. Właściwie nawet nie wiem, czy czas w moim świecie jest taki sam jak tu...

Przed zatopieniem się w całkowitym mroku tunelu broniło Fentona światło miecza. Odwracał się kilka razy i szukał cienia, który powinien rzucać. Jego brak był nienormalny, niepokojący. Skąd ten paniczny strach, który ogarnął Fentona? Cam potknął się na stopniach i poczuł ostre rwanie stłuczonego kolana, którym uderzył o skałę, kiedy wchodził do jaskini pierwszy raz. Kurczowo ścisnął miecz – jego ciężar działał uspokajająco.

Jest realny. Realny jak nic innego...

Ostatni wszedł Findhal, wyższy nawet od Lebbrina, uzbrojony w dwa miecze. W lewym ręku trzymał vrillowy, a w prawym długi, szeroki, zrobiony z czerwonego metalu, z rękojeścią zdobioną drogimi kamieniami. Twarz miał bladą i skupioną, a jego wielkie oczy połyskiwały w ciemnościach jak szafiry. Długie jak u Kerridis, srebrzystobiałe włosy, podtrzymywane metalową opaską, opadały mu na ramiona jak wikingowi. Erril i Lebbrin mieli na sobie tylko tuniki, ich nagie ramiona i nogi nie były niczym osłonięte przed mrozem. Fenton dostrzegł, że obaj bardzo uważnie unikają otarcia się o lodowato zimne, oszronione ściany tunelu. Potężny Findhal był ubrany jak wojownik. Jego zbroję, nagolenniki i opaskę na włosy wykonano z tego samego czerwonego metalu, a na rękach miał grube rękawice.

Wolałbym go nie spotkać w ciemnej ulicy, pomyślał Fenton, gdybym był jednym z tych stworzeń, które Kerridis nazywa żelazorami. Uciekałbym przed nim do samego piekła. Ale on przecież nie jest rzeczywisty...

Nagle z niepokojem zauważył, że jego wzrok przenika ciało Findhala, i przeraził się na dobre. Jednak miecz pozostał ciężki w jego rękach, co uspokoiło nerwy Fentona.

Dotarli do końca schodów prowadzących do pierwszej, ogromnej groty. U jej sufitu bujała się lampa, której płomień ledwo się tlił. Jaskinia tonęła w półmroku, pełna ogromnych cieni. Fenton usłyszał swój niepewny, pełen lęku głos:

–Spróbuję znaleźć właściwy tunel. Będę nasłuchiwał u każdego wylotu.

Wolno prześlizgiwał się wzdłuż ścian groty. Znakiem, który poprzednim razem poprowadził go do właściwego tunelu, był krzyk Irielle. Wiedział, że Irielle jest człowiekiem tak jak on, mimo że nie widział jej wcześniej ani z nią nie rozmawiał.

Obezważniający urok Królowej Wrózek sprawił, że Fenton zapomniał o Rudowłosej. Mogła zostać zjedzona żywcem przez żelazory albo uwięziona jak Kerridis, w chłodzie i ciemnościach, ranna i przerażona. Może jeszcze teraz krzyczy z bólu i strachu, torturowana przez te stwory? Przerazenie sparaliżowało go, ale zmusił się, by uważnie nasłuchiwać przy wejściu do każdego tunelu.

–Którędy, Fenton? Którędy? – ponaglał nerwowo Erril.

–Nie wiem. W jednym z tuneli widoczne było światło.

Fenton przechodził od wylotu do wylotu podziemnych korytarzy, szukając tego jednego z migoczącym w oddali światłem, ale ciągle nie mógł się zdecydować. Pamiętał, że lampa rzucała cień na wejście do pierwszego tunelu. Do tego właśnie uciekły dwa żelazory ujrawszy światło jego miecza. W świetle bujającej się pod sufitem lampy widział napiętą, przestraszoną twarz Lebbrina.

–Nie mogę się z nią skontaktować myślowo oznajmił Lebbrin – bo skały są przesycane metalem żelazorów. Wiem, że tu jest, ale straciłem orientację w przestrzeni. Jeżeli Fenton nam nie pomoże, jesteśmy zgubieni...

Powoli, badając grunt pod nogami, Fenton przesuwiał się od otworu do otworu w skale. Ten jest ciemny, zauważył. Do niego uciekli ci dwaj. Tak, tędy, to ten, w którym widziałem światło. Ale iść teraz w prawo czy w lewo?

Potknął się o występ skalny i oparł rękę o ścianę, żeby nie upaść. Kiedy cała jego dłoń przyłgnęła do palącej z chłodu skały, krzyknął z bólu. Obejrzał dłoń w niewyraźnym świetle latarni; spodziewał się widoku szerniałych, tak jak u Kerridis, nadpalonych palców. Lebbrin wyciągnął spod płaszcza mieniący się wieloma barwami złotawy łańcuch, który nosił pod tuniką na piersiach. U dołu łańcucha połyskiwał łagodnie duży, biały klejnot. Pospiesznie, ale nie gwałtownie Lebbrin ujął palce Fentona i na chwilę przycisnął je do kamienia. Ból natychmiast ustąpił. Mężczyzna odezwał się głosem pełnym niepokoju:

–Fenton, spiesz się, cokolwiek dzieje się z nią teraz...

–Myślę, że to ten... – Ale nie był do końca pewien. Nie pamiętał, czy wejście do tunelu znajdowało się z lewej, czy z prawej strony tego ze światełkiem. Czyżby zupełnie się zgubił?

–Prędko – poganiał Lebbrin. – Wydaje mi się, że tędy...

–Musimy zaryzykować – powiedział Findhal i pierwszy rzucił się w przepastną czerń podziemnego korytarza.

Tunel okazał się za wąski. Fenton stanął pewien, że się pomylił. Stopnie były tu

bardziej strome, wysmarowane czymś śliskim i nieprzyjemnym. Findhal mruknął zniechęcony i również stanął, niepewny co robić. W tej samej chwili rozległo się wycie rogów. Findhal odskoczył w tył, z powrotem w stronę głównej groty. Po drodze odepchnął Errila i Lebbrina i bezwiednie popchnął Fentona na ścianę. Obnażony, szeroki miecz błysnął w jego dłoni, natomiast vrillowy Findhal trzymał w zębach, żeby oświetlał mu drogę. Gdy wpadł do jaskini, rozległ się zgrzyt krzyżujących się mieczy, wrzaski, dzikie zwierzęce odgłosy. Erril i Lebbrin wyciągnęli zza pasa swoje miecze i już biegli za Findhalem torując sobie drogę między ogromnymi bestiami z wyszczerzonymi kłami, które zalewały grootę.

Fenton został nie zauważony u jej wylotu. Trzymanie się z dala było chyba najlepszym rozwiązaniem. Kiedy jednak jedna z bestii, podobnych do wilków, rzuciła się na niego, wbił w jej gardło miecz aż po samą rękojeść. Oniemiały ze strachu zobaczył, jak zwierzę padło na ziemię. W pierwszej chwili Fentonowi wydawało się, że cała grota jest pełna kłapiących zębami i wyjących stworzeń, ale teraz, gdy stał z boku, zorientował się, że jest ich pięć czy sześć. Findhal od razu zabił dwa. Lebbrin i Erril walcząc plecy w plecy próbowali odeprzeć dwa kolejne, ale gdy nadciągnęły jeszcze dwa, znaleźli się w wielkiej opresji. Erril poślizgnął się na kamiennej posadzce mokrej od krwi pozabijanych wilków i upadł. Fenton ruszył mu z pomocą; po chwili ugodził napastnika mieczem. Zwierzę ryknęło, kłapnęło szczęką i jego potężne kły zbliżyły się do nogi Fentona. Lebbrin też został ugryziony i krwawił. Ogarnięty przerażeniem Fenton zatopił miecz w ciele zwierzęcia; miał wrażenie, że zanurza broń w puchowej poduszce. Stworzenie było bezcielesne, ale gdy upadło, kłapało w powietrzu, kopało i rzucało się konwulsyjnie. Po chwili znieruchomiało. Dwa pozostałe wilki wycofywały się spoglądając na przeciwników wzrokiem, który według Fentona wyrażał inteligencję wyższą niż u zwykłych zwierząt.

Findhal schował miecz do pochwy.

–Szybko! Jeżeli Pentarn jest aż tak zdesperowany, że wytraca na nas swoje wilkołaki, to nie wyobrażam sobie, co nas jeszcze czeka! Tędy!

Kiedy opadł już ferwor walki, Fentonowi zrobiło się niedobrze. Jak to możliwe, że ten zwierz go ugryzł, skoro jego ciała wcale tu nie było. Strzępy spodni wisiały wokół nóg Fentona. Z obrzydzeniem odwrócił wzrok od zakrwawionego, poszarpanego ciała. Rana doskwierała pulsującym silnym bólem. Findhal pochylił się i spojrzał na krwawiące miejsce.

–Rana zniknie, kiedy i ty znikniesz. A teraz chodź szybko.

W połowie tunelu Fenton dostrzegł migoczące światełka w grocie, w której za pierwszym razem widział włochate stwory maltretujące Kerridis. Zdawało się, że grota jest pusta. Findhal zwrócił się wściekły do Fentona: – Jeśli to pułapka, to ja...

Ale Lebbrin powstrzymał go ruchem ręki i wskazał niszę w skale. Wszyscy dostrzegli w niej zarys skulonej postaci w płaszczu; siedziała w kucki na skalnej posadzce.

–Kerridis! Pani! – Findhal rzucił się w tamtą stronę, ale kształt się nie poruszył. Mężczyźni zgromadzili się przy metalowej kratce i zachowywali bezpieczną odległość, a Fenton przez nią przeniknął.

–Nie ma jej tu – oświadczył przestraszony – to tylko zwinięty płaszcz.

Erril i Lebbrin wydali jęk przerażenia, a Findhal odezwał się:

–Bez paniki, może to i lepiej. Żaden z nas nie zdołałby przecież otworzyć kraty. Jeżeli zabrali Kerridis gdzie indziej, może ciągle mamy szansę ją uwolnić.

Lebbrin wyjął jeszcze raz biały klejnot spośród fałd tuniki i w skupieniu patrzył na niego przez chwilę. – Tędy! – krzyknął, rzucił się w stronę jednego z tuneli i zanurkował w ciemnościach. Usłyszeli jego krzyk wyrażający mieszaninę bólu i zaskoczenia. Erril pobiegł za Lebbrinem i również wrzasnął z bólu. Fenton i Findhal ostrożnie podążyli za nimi. Fenton zatrzymał się u wejścia do tunelu, a potem wszedł ostrożnie, ale mimo to poślizgnął się na czymś i zaczął zjeżdżać; po drodze obijał się dotkliwie. Wylądował w końcu na ciałach dwóch poprzedników. Z góry spadło jeszcze ciężkie cielsko Findhala i przygniotło ich; na ziemi uformował się stos.

Wolno się podnosili. Przygnieciony Fenton z trudem łapał oddech, Erril został skaleczony w żebra, kiedy miecz spadającego Findhala ześlizgnął się po nich. Na szczęście jednak nic poważnego się nie stało. Wzdłuż korytarza były umocowane pochodnie. Ich przydymione światło i mdlący zapach wypełniały przestrzeń. W końcu tunelu było widać ostre, czerwone światło, w którego blasku ujrzeli sylwetkę żelazora. Siedział bokiem do nich, oparty o ścianę i coś przeżuwał. Fenton przypomniał sobie obserwowaną bitwę i nie chciał się zastanawiać, co stworzenie mogło żuć. Findhal powstrzymał gestem pozostałych i zaczął się skradać wzdłuż ściany tunelu ze świetlistozielonym mieczem w jednej, a metalowym w drugiej dłoni. Irighi usłyszał go, zerwał się na równe nogi i machnął kilka razy maczetą, ale miecz Findhala w mgnieniu oka spadł na jego szyję i odciął mu głowę. Z przewracającego się na ziemię ciała tryskała krew.

Findhal odskoczył; potrzasał ręką ochlapaną krwią. Twarz miał wykrzywioną z bólu.

–Lebbrin, daj mi twój Kamień Życia... – zaczął, ale Lebbrin nie słuchał. Minął go spiesząc ku skalnej niszy, której pilnowało włochate stworzenie.

–Irielle! Dzięki Powietrzu i Ogniewi! – wydyszał ciężko. – Dokąd zabrali Kerridis?

–Nie wiem.

Fenton podszedł bliżej i zobaczył, że odnaleźli rudowłosą towarzyszkę Kerridis.

–Prowadzili ją tędy kilka chwil temu, porykując i ujadając – ciągnęła rudowłosa kobieta. – Pentarn był z nimi. Myślałam, że już ich ścigacie.

–Czy jest ranna? – dopytywał się Erril z grymasem na twarzy.

–Nie wiem, poszturchiwali ją, jak to zwykle czynią, więc mniemam, że musi być pokłuta i poparzona odpowiedziała Irielle.

Fenton mógł się jej teraz przyjrzeć. Ona także została uwięziona za metalową kratą, która była zamknięta na skobel i kłódkę. Prawdopodobnie dlatego, że Irielle – inaczej niż Kerridis – nie bała się dotknąć metalu. Dziewczyna wyglądała na wyczerpaną, potłuczoną i przerażoną. Było widać, że walczy ze swoją słabością, aby wziąć się w garść.

–Jeżeli mógłbyś mnie uwolnić... ty... – powiedziała, przy czym wskazała na Fentona. – Klucz jest przy pasie żelazora.

–On jest Cieniem – rzekł Findhal. – Mógłby wziąć w rękę klucz, gdyby naprawdę tutaj był. Teraz to jednak niemożliwe.

Irielle roześmiała się histerycznie.

–Czyżby tylko Pentarn był w stanie coś dla mnie zrobić? Pozostanę tu, aż skały rozsypią się w proch, a wtedy...

–Mam wrażenie, że możemy zadziałać trochę wcześniej – odrzekł Findhal naciągając rękawice. Przyciągnął ciało Irighi do kraty. – Czy możesz dosięgnąć do klucza, dziecko? – zwrócił się do kobiety.

Irielle uklękła, wyciągnęła rękę przez kratę i próbowała chwycić klucz.

–Przekręć go trochę, ojcymie. Wiem, że to nieprzyjemne. O tak. – Jej smukłe palce objęły klucz. Próbowwała wyciągnąć rękę tak, aby sięgnąć nim zamka, ale kłódka tkwiła poza zasięgiem kobiety. – To już jest ponad moją wytrzymałość – powiedziała po kilku nieudanych próbach umieszczenia klucza w kłódce od wewnątrz kraty. – Nie mogę dosięgnąć, żaden z was też nie może...

–Chwileczkę – odezwał się Fenton. Przypomniawszy sobie, że miecz, który trzyma w dłoni, jest dla niego w tym wymiarze tak rzeczywisty jak dla pozostałych. Jego końcem ostrożnie podniósł kłódkę i przekręcił ją tak, żeby dziurka od klucza znajdowała się jak najbliżej Irielle. Przedsięwzięcie wymagało zręczności, bo kłódka co chwila ześlizgiwała się z ostrza świetlistozielonego miecza, który zupełnie nie nadawał się do tego rodzaju operacji. W końcu Fenton zdołał przytrzymać kłódkę i

Irielle mogła do niej włożyć klucz.

Przekręciła go ze zgrzytem i zamek ustąpił. Dziewczyna pchnęła gwałtownie kratę, która otworzyła się z piskiem zardzewiałych, dawno nie oliwionych zawiasów. Irielle podziękowała Fentonowi obezwładniającym uśmiechem.

–Jesteś bardzo sprytny, Cieniu!

–Wielki mi spryt – odparł posępnie Fenton. Gdybym tak mógł pogimnastykować się przy kracie od celi Kerridis, przecież tam nie było nawet kłódki...

–Co się stało, to się nie odstanie – przerwał Lebbrin. – Wszystko w porządku, Irielle? Nie zranili cię? Potrząsnęła głową, ale ciągle jeszcze ciężko oddychała.

–Nie, ale Pentarn dość obrazowo i dosadnie opisał swoje plany względem mojej osoby. Szarpał mnie przy tym mocno, więc ugryzłam go w nadgarstek. Jest w nie najlepszym nastroju. Nie rozzłościłabym go, gdybym wiedziała, że Kerridis jest ciągle w jego mocy. Jeszcze zechce wyładować na niej swoją wściekłość... – Jej twarz wykrzywiła się z przerażenia. – Poprowadzili ją tamtędy, w stronę ognia...

–Pospieszmy się, za mną! – krzyknął Findhal. Musimy ich odnaleźć jak najprędzej. – Ruszył pierwszy wskazując drogę.

Fenton zauważył, że biegnie lekko, długimi krokami. Nie takimi jak ludzie, niezupełnie takimi... Wszyscy podążyli za Findhalem.

Na końcu korytarza Fenton zobaczył płomień. U wylotu tunelu dostrzegł pęknięcia w podłodze, przez które prześwitywał ogień. Miał wrażenie, że poruszają się nad poziomem skalnym prowadzącym w dół, do wnętrza wulkanu.

Irielle biegła u boku Fentona.

–Jak się tu znalazłeś? Czy przeszedłeś przez Dom Światów?

–Nie wiem, o czym mówisz.

–Oczywiście, skąd możesz wiedzieć. Gdybyś wiedział, byłbyś Przechodniem, a nie Cieniem. Ale mam nadzieję, że nie wszedłeś Bramą Pentarna...

Fenton potrząsnął głową. To wszystko brzmiało jak czarna magia.

–Niczego nie jestem pewien. Obudziłem się i znalazłem tutaj. Długi czas myślałem, że śnię. Czy to twój świat? Wyglądasz, jakbyś była istotą ludzką, tak jak ja. Nie jesteś jedną z nich... – Wskazał sylwetki Lebbrina, Emila i ogromnego Findhala idących przed nimi.

–Jedną z Alfarów? Nie – odpowiedziała i westchnęła. – Nigdy w pełni nie będę jedną z nich. Mimo to Kerridis jest dla mnie tak miła, jakbym była jej podrzutkiem. A ty? Skąd pochodzisz? Po jakim przechadzasz się świecie, kiedy jesteś w swoim ciele?

–Przyszedłem tu z Berkeley, z Kalifornii. Potrząsnęła głową.

–Nie mam pojęcia, gdzie to może być. To nie jest żaden ze światów, które dane mi było oglądać z Domu Światów... – Przerwała nagle i popędziła naprzód. Spójrz! Chyba wreszcie znaleźli...

Trzej wojownicy, których Irielle nazwała Alfarami, skupili się w jednym miejscu i spoglądali w dół na koszmarną scenę rozgrywającą się na niższym poziomie. Grota czerniła się od gęstej masy włochatych żelazorów wyjących i piszczących przenikliwymi, wysokimi głosami. Jeden z nich stał na środku i wykrzykiwał jakieś słowa. Wyglądało to jak przemówienie wodza. Fentonowi przyszło do głowy nieprzyjemne skojarzenie z oglądanymi zdjęciami z wieców Hitlera. Na szczęście, na słowa żelazora nikt nie zwracał najmniejszej uwagi. Z odległego końca groty, ze szczelin w podłodze wydobywała się para i smród siarki. Irielle wskazała coś dłonią i wtedy Fenton zauważył Kerridis, brutalnie wciśniętą w kąt, otoczoną żelazorami. Z daleka połyskiwały pukle jej jasnych włosów i brązowawa skóra.

–Musimy się do niej przebić – stwierdził stanowczo Lebbrin. – Dobrze, że mamy miecze. W walce na krótki dystans są nawet lepsze niż na otwartej przestrzeni. Swoją drogą, nigdy nie myślałem, że zginę strawiony przez żelazora. Zdaje się, że nie mamy innego wyjścia...

Erril powstrzymał go.

–Nie, mój Panie! – rzucił szorstko. – Nie wolno ci tego robić. Nawet dla Kerridis. Posiłki podążają za nami. Wkrótce tu będą, a wtedy mamy szansę. W przeciwnym razie tylko zmarnujesz swoje życie. – Zwrócił się do Findhala tonem nie znoszącym sprzeciwu: Wracaj szybko i przyprowadź ich tutaj. Powinni być już w drodze. Jeżeli zdążą, mamy duże szanse. – Odwrócił głowę. – Fenton! Weź miecz i spróbuj się prześlizgnąć wzdłuż ściany w kierunku Kerridis. Może sobie pomyślą, że im się przywidziałeś, jeśli ukryjesz miecz pod

ubranie. Spróbuj podejść jak najbliżej do Pani. Będziesz mógł ją chociaż trochę chronić. Przynajmniej powiesz jej, że pomoc nadciąga. Prędko!

Kto?... Ja?... Ja mam tam iść, pomiędzy te obrzydliwce? pomyślał Fenton. Jednak plan Errila był rozsądny. Żelazory nie widziały Fentona wcześniej. Ich uwagę zwracał prawdopodobnie blask miecza w niewidzialnej dla nich dłoni.

Sparaliżowany strachem, Fenton skinął głową na znak zgody. Miał świadomość, że Kerridis otoczona przez bestie, które poszatkowały i żywcem pożarły jej eskortę, boi

się znacznie bardziej niż on. Tylko to sprawiło, że się zgodził. Ścisnął miecz w dłoni, a potem ukrył go pod parką. Przykleił się do ściany i wolno zaczął się posuwać po obrzeżu groty.

Było bardzo gorąco. Ogień buchał gdzieś pod spodem, a w powietrzu wisiały opary siarki. Powinienem wymyślić sobie coś lżejszego zamiast kurtki, pomyślał Fenton. Teraz jednak było zbyt niebezpiecznie, żeby się na tym skupiać.

Przemykał pod ścianą między igrającymi na niej cieniami i próbował się poruszać w ich rytmie. Mijał zgrzytające, podrygujące żelazory, dla których miał być przywidzeniem. Ich mowa brzęczała mu w uszach jak trajkotanie dzikich fok.

Nagle serce Fentona zamarło z przerażenia. Jeden z żelazorów patrzył prosto na niego. Fenton stał nieruchomo, aż Irighi odwrócił obojętny wzrok. Fenton obawiał się, że kichnie podrażniony dymem, którego kłęby w coraz większych ilościach buchały szczelinami w podłodze.

Grotty wulkaniczne? Gdzie, u diabła, jestem? Taaak. W piekle – całkiem niezła podróbka. Nic dziwnego, że przypadkowi księża studiujący opisy Krainy Czarów w średniowiecznych legendach, uważali, że tak wygląda piekło. Spiczaste uszy, zapach siarki, czerwony ogień. I te piekielne... stwory... kłębiące się wokół.

W tym momencie Fenton doznał największego szoku w swoim życiu. Przyglądał się jednemu z Irighi, który podrygiwał i wrzeszczał jak potępiona dusza w beczce ze smołą, a potem nagle zniknął. Na jego miejscu zaskoczony Fenton dostrzegł metalowe rurki, kwadrat ściany i dwuczęściowe drzwi z napisem WINDA.

Zamknął mocno powieki, a gdy je otworzył, znowu był w grocie. Jestem pewnie gdzieś na terenie uniwersytetu, w piwnicy jakiegoś budynku.

Zacisnął dłoń na mieczu i doznał drugiej niemiłej niespodzianki. Jego palce zaczęły przechodzić przez rękojeść. Z wysiłkiem zdołał utrzymać ją w dłoni. Wrażenie było bardzo nieprzyjemne, jakby zanurzał rękę po nadgarstek w lepkiej, chłodnej mazi.

To jest sygnał ostrzegawczy. Chyba zaczynam znikać. Powinienem się stąd wydostać na otwartą przestrzeń. Jeżeli winda pojawi się znowu, pobiegnę tam na złamanie karku i wskoczę do niej... Nie, gdyż mój palec przejdzie przez jej przycisk. Ale mógłbym znaleźć jakieś schody i próbować po nich wejść...

Ogarnięty paniką rozglądał się wokół, ściskając w dłoni miecz. I wtedy ujrzał Kerridis. Był już bardzo blisko niej. Tylko parę kroków, nie więcej, dzieliło go od miejsca, gdzie stała otoczona przez żelazory.

Diabło sprytnie. Wiedzą, że boi się ich dotyku. Wystarczy, że są wokół i jakby tkwiła w celi. Należałoby stąd uciekać, ale powiem jej przynajmniej, że pomoc nadciąga...

Nie wiedział, jak przebić się przez zbitą masę żelazorów. Nie obawiał się, że mogą go zobaczyć, ale mimo to ryzyko przerażało Fentona. Ogromne, stalowe maczety zdawały się wyjątkowo rzeczywiste z odległości paru kroków.

Jak ja się potem wydostanę? Nieźle się urządziłem. Oni wszyscy będą potrzebni, żeby ratować Kerridis... Grota zamigotała i przestała istnieć na jedno mgnie

nie oka. Tym razem rękojeść miecza wyslizgnęła się z dłoni Fentona i broń upadła na skalną posadzkę; rozległ się ś w i e t 1 i s t o z i e 1 o n y dźwięk. Jeden z żelazorów zobaczył miecz i podbiegł bliżej. Stał i zaczął się rozglądać dokoła. Widział tylko miecz! Fenton pochylił się, podniósł broń, przeskoczył przez szczelinę w ziemi i zaczął ciąć mieczem skłębione ciała żelazorów niby cukrową watę. Przebijał się w stronę Kerridis.

–Kerridis, Pani – szepnął i zastanowił się, czy go słyszy.

Rozejrzała się wokół. Jej wielkie, miodowe oczy wypatrywały go w ciemnościach.

–Czy to ty... nieznajomy Cieniu?

–Pomoc nadchodzi – szepnął znowu. – Irielle, Erril i Lebbrin są w drodze, a Findhal ściąga posiłki. Z całej siły starał się utrzymać w ręku miecz. Kerridis wyciągnęła dłoń i zabrała mu go.

–Ty przecież zaczynasz znikać – zauważyła. – Jesteś w dużym niebezpieczeństwie. – Jej głos drżał z troski o niego.

Żelazory, wyraźnie zaniepokojone faktem, że dzieje się coś, czego nie widzą, kręciły się w pobliżu. Kerridis pewnym ruchem zakreśliła mieczem krąg, więc cofnęły się trochę; mruzczały i porykiwały podejrzliwie. Nagle z odległego końca groty doszedł ich donośny, śpiewny okrzyk:

–Oho, hej! Alfarowie! Kerridis! Kerridis!

Findhal i jeszcze jeden wojownik uzbrojony podobnie jak on biegli długimi susami przez gęstwę żelazorów, ścinając ich głowy jak makówki przy każdym szerokim machnięciu mieczem.

–Patrz, patrz! – krzyknęła Kerridis w podnieceniu. – To Findhal razem z ludźmi mego brata! Zwróciła się do nich i odkrzyknęła tym samym tonem: – Oho, hej! Alfarowie! Do mnie, jestem tutaj!

Człowiek ubrany w wysokie buty, którego nazywali Pentarnem, torował sobie drogę wśród kłębowiska żelazorów, zmierzając w stronę Kerridis. Wrzeszczał:

–Prędko! Zabrać ją stąd przed walką, inaczej wszystko przepadnie! Za mną, prędko!

Próbował chwycić Kerridis za ramię, ale Fenton wyrwał miecz z jej dłoni i pchnął nim Pentarna. Zdołał przebić jego płaszcz, ale miecz zrobił się tak miękki, że Fenton nie mógł dłużej trzymać go w ręku. Broń jakby oddawała uderzenie z równą siłą i w tym momencie grota znów zniknęła na moment.

Och, nie! Nie teraz!

Fenton zamrugał powiekami, rozejrzał się wściekły po piwnicznym składowisku rur, piecyków i rupieci. Po chwili był z powrotem w cuchnącej siarką grocie. Poczucił na gardle ręce Pentarna, które jednak przeszły przez nie jak przez mgłę.

On mnie widzi, ale nie może mi nic zrobić...

–Cholerny Cień! – zazgrzytał Pentarn i wrzasnął na swoich ludzi.

Findhal jednak już torował sobie drogę, zamasyście tnąc mieczem. Głowy żelazorów, pierścieniem otaczających Kerridis, spadały jedna za drugą, a reszta stworów rozpierzchła się w przerażeniu. Irielle i Lebbrin już klęczeli przy Kerridis i pomagali jej się podnieść. Rudowłosa otuliła ją płaszczem, a Lebbrin ujął w dłoń jej poczerniałą, nadpaloną rękę. Wydobył spod ubrania biały klejnot wiszący mu na szyi i zacisnął wokół niego dłoń Kerridis. Białe światło pasmami przeświecało między palcami kobiety. Krzyknęła z bólu, ale Lebbrin stanowczym ruchem przytrzymał jej dłoń na kamieniu. Po chwili bezsilnie opadła na jego ramiona z grymasem cierpienia na twarzy.

Setki żelazorów dogorywały wokół nich. Irielle spojrzała na Fentona, który walczył ze swoją niemocą. Od razu się zorientowała, że jego sytuacja pogarsza się z minuty na minutę i zwróciła się do Lebbrina:

–Lebbrinie, Cień, który tak bardzo nam pomógł, zaczyna znikać. Powinniśmy wyprowadzić go stąd jak najprędzej.

–Nie zawracaj mi teraz głowy Cieniem, moje dziecko. Spójrz, Pani jest ciężko ranna. Kamień Życia nie wystarcza.

–I to się nazywa honor Alfarów? On narażał się dla Kerridis, doskonale o tym wiesz! Czy ktoś z was wyprowadzi go na zewnątrz, czy ja mam to zrobić?

Nagle z tyłu dobiegł ich krzyk Errila: – Pentarn! Nie pozwólmy mu umknąć!

Fenton zauważył brodatego mężczyznę przeskakującego przez rozrzucone na ziemi ciała żelazorów. Po chwili, kiedy obraz groty bladł i drżał w jego oczach, dostrzegł jeszcze dziwny szary i owalny kształt. Pentarn pędził ku temu czemuś, a Erril deptał

mu po piętach. – To Brama! Prędko, on nie może...

Ale Pentarn zdołał dotrzeć do owego szarzejącego kształtu i wniknąć weń, jakby to były drzwi. Po prostu wyparował. Nie można było inaczej tego określić. Potem owalny kształt zwęził się do cienkiej pręgi, obrócił i po chwili też zniknął.

Wszedł do jakiejś dziury, a potem pociągnął ją za sobą! stwierdził w myślach Fenton. Jedynie w ten sposób można było wyrazić to, co się stało.

Ludzie Findhala rozprawiali się z żelazorami, jednych dobijali, pozostałe zmuszali do ucieczki do innych grot i tuneli. Jeden z żelazorów poślizgnął się w kałuży krwi swego pobratymca i wpadł w szeroką szczelinę w podłodze. Fenton dostrzegł, jak płomień połykają wrzeszczącego stwora.

Findhal wziął Kerridis na ręce.

–Musimy się stąd wydostać. Oni mogą mieć jakiś sposób, żeby zepchnąć nas na niższy poziom prosto w ogień. Chodźmy!

Zaczęli pospiesznie wycofywać się przez główną grootę, potem tunelem, którym tu przyszli. Irielle ponaglała gestem Fentona, aby biegł za nimi. Tymczasem Findhal z Kerridis na rękach zaczął już wchodzić pod górę. Irielle pociągnęła go za połą płaszcz i powiedziała:

–Nie tędy, jest inna droga. Widziałam, jak przechodzili tamtędy... – Odwróciła się i pobiegła do tunelu, który wskazała.

Findhal z obolałą Kerridis na rękach podążyli za nią. Obok Irielle, próbując dotrzymać jej kroku, biegł Fenton. Ale od czasu do czasu tunel zniknął na moment i Fenton upuszczał wtedy miecz. Kiedy broń upadła mu po raz trzeci, podniosła ją Irielle, która ciągle ponaglała Fentona, zmuszając go do morderczego wysiłku.

Tunel migotał Fentonowi przed oczami coraz prędeziej i Cam z trudem mógł cokolwiek dojrzeć, ale zdawało mu się, że wyszli już na światło dzienne. Stali teraz na oblodzonej półce skalnej. Wiał silny wiatr i ostro zacinał deszcz. Fenton poczuł, że woda zalewa mu twarz. Alfarowie pochylili się nad Kerridis i próbowali ochronić ją własnymi ciałami.

Fenton ujrzał jeszcze, że przez zasnuite dymem niebo i przez wysokie drzewa przebłyskują nieśmiało promienie słońca... i zorientował się, że jest w gaju eukaliptusowym na terenie uniwersytetu w Berkeley. Właśnie potknął się o stertę śmieci i wtedy... świat znów zamigotał.

Fenton zobaczył rozwiane rude włosy Irielle, moknące w strugach ulewy. Spojrzał na jej mokrą twarz, która zaskoczona i zatroskana, zwróciła się ku niemu i...

zniknęła. Tym razem na dobre.

Wszyscy oni zniknęli. Cały ich świat przestał istnieć. Fenton zdał sobie sprawę z tego, że jest wyczerpany i głodny, że skaleczona o skałę noga bardzo go boli, a kurtka wisi na nim w strzępach. W pasie czuł przykre rwanie, jakby jakaś siła ciągnęła go za to miejsce. Spojrzał na siebie i zobaczył coś szarego, wystającego zeń jak pępowina. Ruszył posłusznie w kierunku, w którym ciągnęła go siła; nie mógł jej stawić oporu. Po chwili zorientował się, że jest holowany w stronę Smythe Hall.

Było późno i kampus prawie opustoszał, tylko kilku studentów przejeżdżało na rowerach przez Sproul Plaza. Fenton zobaczył światła w budynku centrum studenckiego na Telegraph Avenue. Jednak nieprzejednana siła ciągnęła go w kierunku Smythe Hall. Dryfował schodami w górę, przeszedł przez kubek z mydlinami, którymi samotny woźny mył schody. Przeniknął przez ścianę pomieszczenia, w którym znajdowało się laboratorium. Zobaczył jakiś folder rozłożony na miejscu, na którym siedziała Marjie podczas testu, a obok karty z talii Zenera. Na łóżku pod ścianą leżało jego ciało; pochylał się nad nim Garnock, próbując zmierzyć Fentonowi puls. Teraz Cam wyraźnie zobaczył coś szarawego wychodzącego z jego pępka i prowadzącego do pępka ciała leżącego na łóżku, jak się domyślił.

Który z nich jest mną? zastanawiał się zdezorientowany. Cóż to jest ta srebrna nić? Uniósł się nad łóżkiem, a potem nagle, zszokowany, jakby ześlizgnął się w swoje ciało.

Poruszył głową. Noga zaboląa go tak bardzo, że zdał sobie sprawę, iż wszystko, co przecierpiał, jest tylko echem rzeczywistego bólu.

–Dobry Boże... – odezwał się Garnock i spojrzał w otwarte oczy Fentona. – Zaczynałem się poważnie niepokoić o ciebie.

Fenton zamrugał powiekami i potrząsnął głową. Sen? Czyżby to wszystko była halucynacja wywołana narkotykiem? Kerridis, Irielle, Lebbrin, Findhal... czyżby nikt z nich nigdy nie istniał naprawdę?

Usiadł, pochylał się i podwinął nogawkę spodni. Ból nogi był nie do zniesienia. Rana po uderzeniu o lodowatą skałę poczerniała, a opuchlizna podchodziła krwią.

–To na pewno była halucynacja – powiedział Garnock, kiedy spoglądał na spuchniętą nogę przyjaciela. – To się czasami zdarza. Pamiętasz ten eksperyment z pierwszego roku z hipnozą i kostką lodu? Przypominam sobie, że powiedzieliśmy ci, iż zostałeś dotknięty rozgrzanym do czerwoności pogrzebaczem i od razu wyskoczyła ci blizna pooparzeniowa.

Fenton nie słuchał. Poniżej rany na łydce zauważył ślady zębów.

Ślady zębów! Właściwie należało powiedzieć: ślady kłów! Kłów, które wilkołaki odcisnęły na jego ciele. Garnock zacierał ręce z zadowolenia.

–Umówię cię z Sally jeszcze dziś wieczorem. Na pewno będzie chciała zrobić pogłębioną analizę, nim wszystko zapomnisz. Wiesz, jak szybko zapomina się sny. Najlepiej~zaczynij robić notatki już teraz. Mam tutaj magnetofon, może chcesz podyktować mi wszystko, dopóki masz to świeżo w pamięci?

Fenton nie słuchał. Przyglądał się czerwonym, paskudnie wyglądającym śladom od kłów na łydce.

ROZDZIAŁ 4

Następnego ranka Cameron Fenton zmierzał powoli w stronę Smythe Hall na spotkanie z Sally Lobeck. Posłusznie opowiedział Garnockowi wszystkie do świadczenia ze snu. Zostały nagrane na taśmę, zanim pozwolono mu opuścić poprzedniego dnia laboratorium. Wiedział dobrze, że treść snów szybko się zaciera, tworząc mieszaninę zapamiętanych faktów i wymysłów. Gdy skończył opowieść, zapadał już zmrok i Garnock pozwolił mu odpocząć.

–Umówię cię z Sally na jutro, o dziesiątej. Ma 0 ósmej zajęcia z pierwszym rokiem, wprowadzenie do parapsychologii – poinformował go Garnock.

Dobrze, że to ona, a nie ja. Fenton nie lubił zajęć z pierwszakiemi.

–Czy odpowiada ci czwartkowy termin następnej sesji? Podzieliliśmy badanych na dziesięć grup. Z doświadczenia wiemy, że lepiej idzie, kiedy między sesjami jest przynajmniej trzydniowa przerwa.

–W porządku.

–Teraz już lepiej coś zjedz – radził Garnock po ojcowsku. – Możesz stwierdzić, że dopadł cię wilczy apetyt. Kilku badanych miało tego rodzaju doznania, ale jeszcze nie wiemy czy to reguła. Nie znamy, jak dotąd, fizjologicznych efektów ubocznych wywoływanych przez antaril. Sami nam o tym nie powiedzą, zwykle wolą opowiadać o istotniejszych rzeczach.

Faktycznie, Cam czuł, że zjadłby konia z kopytami, i dobrze mu z tym było. Przypomniawszy sobie młodzieńcze eksperymenty z LSD, których tak bardzo nie lubił. Uwrażliwiały podniebienie i całkowicie zabijały apetyt. Schudł wtedy pięć kilogramów, a przecież wcale nie był za gruby.

Teraz kiedy szedł przez kampus, mimowolnie wypatrywał znaków, które zapamiętał ze swojej sennej wędrówki. Chyba tędy wyszedłem ze Smythe Hall, przez tę ścianę obok stojaka na rowery. Założę się, że napis WINDA, który wtedy widziałem, musiał się znajdować gdzieś w piwnicach Barrows... Z trudem powstrzymywał się, żeby nie pójść i nie sprawdzić na własne oczy. Było jednak jasne, że pod terenem uniwersytetu Berkeley nie ma żadnych jaskiń, tym bardziej grot wulkanicznych.

Ale jeżeli widziałem schody i napis z Barrows, a one rzeczywiście tam są, byłby to jeszcze jeden dowód na istnienie percepcji pozazmysłowej.

Zdecydował jednak, że nie będzie sprawdzał. W końcu nie był w stu procentach pewien, czy nigdy wcześniej nie zajrzał do piwnic Barrows Hall i czy eksperyment nie ujawnił tylko kilku informacji z podświadomości. Postanowił zweryfikować istnienie

schodów i napisu po zakończeniu całego eksperymentu. Jednak chciał napomknąć o tym Sally, kiedy będzie jej opowiadał sen.

Pamiętał Sally Lobeck z czasów studenckich. Była kościstą dziewczyną o wielkich oczach i ładnych, równych zębach. Miała gęste i ciemne, długie do pasa, zwykle przetłuszczone włosy, których nie czesała. Nosiła duże, zbyt ciężkie okulary, długie kolorowe spódnice i sandały. Gdy zobaczył ją znowu, był mile zaskoczony. Całość dorównała pięknu wielkich oczu. Za delikatnymi srebrnymi oprawkami okularów zobaczył gęste, czarne rzęsy. Była wysoką, przystojną młodą kobietą, ubraną elegancko, choć we własnym stylu. Ciemny, gruby jak pięść warkocz przerzuciła przez ramię.

–Czy przyniósł pan ze sobą kasetę, panie Fenton? Proszę usiąść. Kawy?

–Tak, poproszę. – Spojrzał zachłannie na dzbanek. – W cywilu dziesiąta rano to dla mnie za wcześnie.

Uśmiechnęła się i podała filiżanki. – Z cukrem?

–Tak, czarna z cukrem. Dziękuję. – Kiedy brał filiżankę z jej rąk, zauważył, że ma długie, szczupłe palce. Natychmiast przyszła mu na myśl Kerridis krzycząca z bólu, kiedy Lebbrin zaciskał jej poczerwiałe palce na świecącym kamieniu. Fenton zastanawiał się, gdzie ona teraz jest, czy poparzenia na jej ręce się zagoiły. Po chwili zły na siebie odpędził te myśli.

Kerridis, Irielle to tylko kobiety ze snu... Żadna z nich nie istnieje naprawdę...

–Może pan postawić filiżankę tutaj, panie Fenton. Proszę się obsłużyć, jeżeli zechce pan jeszcze kawy. – Proszę do mnie mówić Cameron, a najlepiej Cam. – Przepraszam, ciągle biorę pana za wykładowcę.

Tam, skąd pochodzę, nie mówiliśmy do wykładowców po imieniu.

–A skąd pochodzisz?

–Z małego miasteczka obok Fresno, położonego w dolinie – odpowiedziała. – Tam jeszcze nie zdecydowali, czy uznać fakt nadejścia dwudziestego wieku za oczywisty.

Cam pomyślał, że to najpewniej wyjaśnia jej okres hipisowskiego buntu, który na szczęście już się skończył.

–Co oni tam myślą o wyborze przez ciebie parapsychologii jako specjalizacji?

–Nie wiem – odparła chłodno. – Nie pytałam i chyba mnie to nie obchodzi. Czy możemy zacząć? Cam zorientował się, że tu przebiega granica strzeżonego

terytorium spraw osobistych, na które nie powinien wchodzić. Wyjął kasetę z nagraniem swojej opowieści, sporządzonym na żądanie Garnocka. Obserwował, jak Sally szczupłymi palcami obsługuje magnetofon i jeszcze raz wspomnienie dłoni Kerridis przemknęło mu przez myśl.

–A teraz, jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym usłyszeć wszystko od początku. Przesłuchamy taśmę i dodasz to, co przeoczyłeś. Będę ją zatrzymywała, żeby zadawać ci pytania. Zgadzasz się?

–To twoje badanie – odpowiedział. – Ale zdaje się, że nie bardzo wiem, nad czym właściwie pracujesz. Oparła się wygodnie na krzesło i skrzyżowała ręce za głową.

–Sama dobrze nie wiem, dokąd to wszystko prowadzi. Kiedy zaczynałam, myślałam, że wiem. Ale teraz to już zupełnie coś innego. Pomysł wzięłam z artykułu w prasie psychologicznej o halucynacjach z motywami religijnymi, jakich doświadczyli badani eksperymentalnie na LSD. Stwierdzono, że duża liczba osób miała po LSD różne przeżycia religijne. Czytałeś o tym?

Fenton przytaknął.

–Pytanie, które wtedy przyszło mi do głowy, było następujące: czy przeżycia były poprzedzone podświadomymi oczekiwaniami, czy sama natura doświadczenia była taka, że kierowała ku wizjom o treści religijnej? Krótko mówiąc, czy zjawisko jest obiektywne czy subiektywne? A jeśli obiektywne, to czy docieramy do zbiorowej podświadomości ludzkości? Sedno sprawy polega na tym, czy istnieje korelacja pozytywna między jakością doświadczenia religijnego a myślami i emocjonalnymi przeżyciami badanego, czy zachodzi korelacja negatywna, czy może nie ma żadnej.

–Jakie były wnioski?

–Jak zwykle były wyjątki. Żydzi i zagorzali protestanci miewali wizje Matki Boskiej, ogromna liczba ateistów miała różne wizje religijne – często pojawiał się obraz Buddy – nie wiadomo dlaczego. Ale w zasadzie występowała korelacja pozytywna z wyobrażeniami religijnymi z dzieciństwa, które były wyzwalane przez hipnotyczne powroty do przeszłości. Wtedy właśnie pomyślałam, że spróbuję dokonać podobnej analizy marzeń sennych po antarilu. W jakim stopniu zależą od wcześniejszych doświadczeń człowieka, i tym podobne. I znów chcę sprawdzić, czy mamy do czynienia z podświadomością zbiorową, czy z doświadczeniem jednostkowym.

–Garnock uważa, że to jednak doświadczenie jednostkowe – wtrącił Fenton. – Kiedy nagrywałem moją historię na taśmę, powiedział: „Brzmi to tak, jakbyś naczytał się kiedyś Tolkiena.”

Sally uśmiechnęła się. Wargi miała może zbyt szerokie, aby je nazwać pięknymi. Za to uśmiechała się czarująco, o wiele ładniej niż przed laty.

–Czy rzeczywiście się naczytałeś?

–Czytałem Tolkiena, kiedy byłem mały, ale nie pamiętam wiele.

–Tak, ale jeśli twoje doświadczenie po antarilu miało źródło właśnie tam... – powiedziała Sally. Myślę, że Tolkien mógł zrobić na tobie większe wrażenie, niż zdajesz sobie z tego sprawę.

–Hmmm, możliwe – odparł Fenton – ale jeżeli to podświadomość zbiorowa, prawdopodobnie moje doświadczenie było takie samo, jakie miał kiedyś Tolkien. W każdym razie tamci ludzie nie wyglądali tak, jak wyobrażałem sobie elfów z jego książek.

–Dobrze, posłuchajmy taśmy – powiedziała Sally. Włączyła kasetę i manipulowała chwilę pokrętkami dużego, bez wątpienia profesjonalnego sprzętu. – Zamierzam nagrać wszystko jeszcze raz. Oczywiście, jeśli nie masz nic przeciwko temu, Cam. Nagram to, co powiedziałeś Garnockowi, komentarze własne i wszystko, co zechcesz jeszcze dodać. Zgadzasz się?

–Jasne.

–Dobrze. – Podyktowała do mikrofonu jego nazwisko i datę. – Dwa centymetry sześciennie antarilu podane dożylnie. Utrata przytomności poprzedzona trzema bezbłędnymi odczytami talii Zenera przy oddzieleniu ich ekranem od badanego. – Wyłączyła mikrofon. – Co się stało, jak straciłeś kontakt z Garnockiem?

–Właściwie nigdy nie straciłem przytomności. Po prostu trudniej było mówić.

Sally włączyła magnetofon i Fenton usłyszał swój własny głos: „...sprawę, że leżące na łóżku, oddzielone ode mnie ciało ma coraz większe trudności z mówieniem w spójny sposób. Wyszedłem przez ścianę.”

–Chwileczkę. – Sally zatrzymała taśmę i zaczęła nagrywać. – Czy jesteś pewien, że wyszedłeś przez ścianę, a nie normalnie, drzwiami?

–Tak, przez ścianę. Odczuwałem to tak, jakby jej tam wcale nie było. Jak przechodzenie przez mgłę. – Czy możesz dokładnie opisać, co widziałeś wtedy na korytarzu?

–Było dużo studentów. Pamiętam... – zmarszczył brwi – wysokiego, rudego faceta w okularach i białym, za dużym swetrze. Przeszedłem dokładnie przez niego...

–Z opisu wynika, że to Buddy Ormsby. – Sally notowała. – To pierwszak z mojej grupy. Spróbuję sprawdzić, czy był o dziesiątej w holu. Coś jeszcze?

–Dziewczyna na niebieskim rowerze przejeżdżająca obok Smythe Hall... – Fenton opisywał szczegółowo wszystko, co widział po drodze, a potem sposób, w jaki kampus powoli zanikał.

–Wróćmy do nagrania. – Sally znów włączyła magnetofon i usłyszeli głos Fentona: „Blondynka w jasnych dżinsach jechała na niebieskim rowerze. Na plecach miała nosidełko w biało-niebieskie paski, w którym siedziało dziecko. Kiedy wlałem na nią, bałem się, że je przestraszę...”

–Znam ją – wtrąciła Sally. – Jessica zabiera dziecko na wszystkie wykłady. Dowiem się, czy przejeżdżała wtedy tamtędy. Tylko jasnowidz mógłby poświadczyć, czy ją tam widziałeś. Ale jedźmy dalej...

Znów wróciła do nagranego opisu wędrówki Fentona. W skupieniu wysłuchiwała opowieści o znikającym kampusie, pojawieniu się czerwono-czarnej kurtki, o śpiewach w oddali. Kiedy tak słuchała, Fenton zdał sobie sprawę, że nie zapomniał nic z tego, co się wydarzyło. Wszystko pamiętał tak wyraźnie jak każde inne wydarzenie z niedawnej przeszłości. Szczegółowa przepytanka Sally przydawała wspomnieniom ostrości. Kiedy słuchał siebie opisującego pierwszy atak włośchatych stworów, pomyślał o komentarzu Garnocka, któremu opis skojarzył się z bohaterami powieści Tolkiena.

Rzeczywiście jest jakaś nić łącząca elfów i innych bohaterów Tolkiena z moimi. Ale nie pamiętam, żebym kiedykolwiek wyobrażał ich sobie w ten sposób...

Usłyszał własny głos z taśmy: „Powiedzieli do niej»Kerridis«...”

–Chwileczkę. – Sally przerwała odtwarzanie. Czy jesteś przekonany, że właśnie o to imię chodzi? Czy mógłbyś je powtórzyć, proszę. – Fenton powtórzył, a Sally za nim kilkakrotnie. Zamyśliła się i zapisała je szybko fonetycznie.

–Ke-ri-dis?

–Właśnie tak. Tylko bez takiego silnego akcentu na pierwszą sylabę. A dlaczego pytasz?

–Czy jesteś pewien, że nie brzmiało to jak Keridwen?

–Absolutnie. Najpierw ten stwór wykrzykiwał imię pełnym głosem, a potem powtarzali je inni.

–Keridwen to walijska bogini. Forma przedstawienia Matki-Ziemi. Nie pamiętasz mitologii komparatywnej? – spytała Sally i włączyła z powrotem taśmę.

Fenton zamyślił się. W końcu znał dobrze teorię mówiącą, że podświadomość nigdy

nie traci żadnej informacji. Jeżeli imię jego Królowej Wrózek brzmiało prawie identycznie jak imię bogini z walijskiej mitologii, oznaczało to klęskę. Później, kiedy wspomniał, że nazwał Kerridis Królową Wrózek, Sally znów mu przerwała:

–Czytałeś „Królową Wrózek” Spensera?

–Nie, ale wiem, że jest taki... poemat czy sztuka. – Dlaczego wymyśliłeś dla niej właśnie to imię? – Nie wiem – odpowiedział Fenton – po prostu to mi przyszło do głowy. Może myślałem o bajce dla dzieci. No wiesz, tej o Tamie Lane i Królowej Wrózek.

–Jak słyszę, sam nie byłeś żadną z postaci? Wydawało się, że Sally jest rozzarowana.

Gdy znowu zaczęła słuchać taśmy, Fenton pomyślał, że to wszystko wygląda jakoś dziwnie. Nie byłby zaskoczony, gdyby został we śnie porwany, a następnie wykupiony przez kobietę na białym koniu z poematu „Królowa Wrózek”. Ale spotkać samą królową potrzebującą ratunku? Było to wypaczenie treści poematu, z którego należało wyciągnąć wnioski dotyczące psychiki samego Fentona. Nie był jednak pewien jakie.

Jeżeli jest tak, że podczas snu odchodzą wszystkie lęki, to dlaczego nie brałem aktywniejszego udziału w akcji ratunkowej i często zachowywałem się jak bierny obserwator? I ta sprawa z przenikaniem rąk przez metal...

Znów usłyszał swój głos z taśmy: „Mężczyzna był wysoki, miał długie bokobrody i krótką, ciemną brodę. Królowa nazywała go Pentarnem...”

–O! – wyrwało się Sally. – Mamy też Pentarna... – Co mówisz?

–Nic, nic. – Uciszyła go ruchem dłoni.

Później, kiedy usłyszała fragment o Kerridis i o jej strachu przed zetknięciem z metalem, spytała:

–Czy słyszałeś opowieść o elfach, które nie mogą dotykać zimnego metalu?

–Nie jestem pewien – odpowiedział Fenton. Mogłem ją gdzieś słyszeć. – Próbował sobie przypomnieć, co wie o zwyczajach mitologicznych bohaterów. Nie pamiętam gdzie. Albo czytałem. Czy nie ma jej w opowiadaniach Kiplinga, jedno z nich ma chyba tytuł: „Zimne żelazo”? A może, niech pomyślę, lady Charlotte Guest, nie... u Yeatsa w „Baśniach i legendach irlandzkich”. Było tam coś o kawałku zimnego metalu, który położony w kołysce nie ochrzczonego dziecka miał zapobiec wykradzeniu go przez wróżki czy coś w tym rodzaju... Ale doprawdy nic dokładnie nie pamiętam.

Sally przerwała mu tylko jeszcze raz, żeby spytać o jedno z imion:

–Ariel?

–Irielle – poprawił ją. – Pierwsza głoska wyciągnięta dłużej. Dźwięk bardziej miękki, przepiękny... Na koniec Sally przejrzała notatki i sprawdziła, czy są poprawnie sporządzone.

–Dlaczego tak wnikliwie zajmujesz się snami? Jak pamiętam, ich analiza okazała się ślepą uliczką w psychologii. Czy istnieje jakikolwiek dowód na to, że funkcjonuje coś takiego jak podświadomość zbiorowa, czyli że ludzie sięgają w swych snach do zbiorów tych samych motywów?

Sally uśmiechnęła się pobłaźliwie.

–Nie wolno ci pytać mnie o to, Cam. To się nazywa naprowadzanie świadka na trop. Nie chcę ci absolutnie nic sugerować. Zobaczmy się po następnej sesji.

Fenton przypomniał sobie nagle zdanie, które wyrwało się niechcący Sally: „Mamy też Pentarna.” Czyżby oznaczało to, że ktoś przed nim widział już Pentarna we śnie?

Sally opisała teczkę z notatkami, dołączyła do nich kasetę i włożyła wszystko do pudełka. Fenton obserwował ją, kiedy zamykała je w szufladzie. Miał ochotę wysłuchać innych nagrań i porównać relacje. Czyżby komuś innemu przyśnił się Pentarn?

Cholera, to imię brzmi jakoś znajomo. Może to postać z jakiejś bajki dla dzieci, którą słyszałem dawno temu i zapomniałem?

–Chcesz jeszcze kawy?

–Nie, dziękuję – odpowiedział spoglądając na zegarek. – Minęły trzy godziny, ale jest wystarczająco wcześnie, żebym cię zaprosił na drinka do Rathskeller.

–Dziękuję, Cam, o pierwszej mam seminarium. – Zatem innym razem?

–Dlaczego nie. Teraz muszę już biec na zajęcia. Dziękuję za czas, który mi poświęciłeś. – Podała mu przyjaźnie rękę. – Kiedy masz następną sesję

–W czwartek o trzeciej.

–Zobaczmy się w piątek, dobrze? Nagraj od razu wszystko, bo zapomnisz szczegóły.

Z laboratorium wyszli razem i Sally zamknęła drzwi na klucz. Kiedy szli holem, mówiła:

–Najpoważniejszy problem, z jakim borykają się parapsychologowie, oczywiście oprócz tego, że ciągle musimy walczyć o prawo do istnienia, jest taki, że mając ogromną liczbę danych, ciągle nie możemy wypracować syntez i hipotez. Nie wiemy, czy dane zjawisko należy do sfery biochemii, patologii neurologicznej, czy wiąże się z indywidualnymi umiejętnościami pacjenta.

–Nigdy nie zastanawiałem się nad tym w ten sposób – rzekł Fenton.

–Kłopot w tym – ciągnęła Sally – że każde z tych przyporządkowań jest częściowo potwierdzone. W badaniach nad antarilem Garnock dąży do wykazania, że percepcja pozazmysłowa jest efektem zakłócenia biochemii przednich płatów półkul mózgowych. Pobudzone środkiem psychodelicznym dają efekt ESP – proste jak drut. Jest również przypadek potwierdzający wyjaśnienie neurologiczne. Byłeś jeszcze tutaj, kiedy testowano Ellen Ransford?

Fenton twierdząco skinął głową. To było w tym samym roku, kiedy Sally przyszła do jego grupy studentów, ale nie wspomniał o tym. Czuł, że Sally niechętnie przypomina sobie tamtą mało atrakcyjną, szorstką dziewczynę, którą była, i nie bardzo chce, żeby ją kojarzyć z elegancką i interesującą asystentką idącą teraz u jego boku.

–Ellem o ile pamiętam – zaczął – miała rewelacyjne wyniki testów, ale tylko na początku, w czasie wstępnych zaników widzenia. Przed tymi upiornymi migrenami, jakie ją nachodziły. Wtedy zaczęła brać środek przeciwbólowy, który pomagał. Lek powstrzymał migreny, ale przy okazji zlikwidował efekt ESP. Fenton przypomniał sobie Ellem małą blondynkę, która po testach bała się światła. Zaciskała mocno oczy, a jej twarz zalewała się łzami. Jedynie ona miała bezbłędny odczyt zestawu kart, o jakim słyszał tamtego roku. – Co w końcu stało się z Ellen? Powołano mnie wtedy w czerwcu. Czy wróciła na uczelnię w październiku?

–Tak – odparła Sally – na krótko. Możesz sobie wyobrazić, że stała się ulubionym zwierzątkiem doświadczalnym całego instytutu. Pamiętam, że pewnego dnia Stefanson z Akademii Medycznej robił jej EEG, podczas gdy Mortwell z Psychologii upierał się, że jej migreny są rezultatem defektu osobowości, a zatem są psychosomatyczne. Dosłownie skakali sobie do oczu, a Ellen siedziała z elektrodami przypiętymi do głowy i płakała. Potem dostawała ataków epilepsji i musiała brać dilantin. Ponieważ brała dilantin bardzo długo, oczywiście zniknęła jej wysoka percepcja pozazmysłowa. To także częściowo potwierdza neurologiczne podstawy zjawiska.

–Co się z nią teraz dzieje?

–Pracuje piętro wyżej, w Instytucie Psychologii. Miała romans z młodym asystentem Mortwella. Chyba byli razem przez jakiś czas. Porzuciła swoją specjalizację i zajęła się psychologią behawioralną. Słyszałam, że satysfakcjonuje ją obserwowanie

szczurów biegających po labiryntach. – Skonsternowana Sally spojrzała na zegar. – Cam, już się spóźniłam na seminarium. Do zobaczenia w piątek. – Wbiegła na schody nie obejrzawszy się.

ROZDZIAŁ 5

Tym razem Fenton wiedział, czego się spodziewać. Bezbłędnie odczytał pięć zestawów kart, nim ponownie zaczęły się kłopoty z kontrolowaniem głosu. Kiedy Garnock poprosił go, żeby zwrócił uwagę na urządzenie do tasowania, Fenton odmówił.

–Ty myślisz, że chodzi o spostrzeżenie pozazmysłowe? – zdołał powiedzieć. – Ależ nie. To jest rozszczepienie.

–Mógłbyś wyjaśnić? – spytał Garnock opanowanym, neutralnym tonem, który zadziałał Fentonowi na nerwy w tym stanie świadomości.

–Nie, nie mógłbym – odezwał się opryskliwie. Zbyt trudno mi mówić... – I jak poprzednio wyszedł przez ścianę.

Miał niesmak, bo wiedział, że nie powinien obwiniać Garnocka za swoje podenerwowanie. Kiedy poczuł, że świat wokół zanika, uświadomił sobie, że jeśli zostanie dłużej w laboratorium, przejdzie przez podłogę.

Teren uniwersytetu zasnęła mgła i Fentonowi trudno było znaleźć ślady poprzedniej wędrówki. Skierował się na północ, w stronę gaju eukaliptusowego, który prawdopodobnie istniał w obu światach, i szukał charakterystycznego układu drzew. Drzewa, owszem, były, ale nie eukaliptusy. Rosły wysoko, miały posrebrzane cienkie gałęzie i puszyste białe kwiaty. Nie znalazł ani śladu górskiej przełęczy, gdzie po raz pierwszy widział Alfarów, zaatakowanych przez żelazory.

Zatrzymał się na chwilę. Sam nie wiedział, dlaczego jest absolutnie pewien, że będzie w stanie wrócić do tego samego miejsca, w którym opuścił tamtą krainę. Ale kiedy docierał do gaju eukaliptusowego, świat Alfarów zniknął, a kampus już się pojawił. Więc gaj, albo przynajmniej kępa drzew, istniał w obu wymiarach. Jednak tylko tutaj – w Berkeley – był to gaj eukaliptusowy. Fenton dotknął drzewa na próbę. Okazało się, że jest twarde i rzeczywiste, a ostre kolce zraniły go w palec. Czy palec jego ciała, które zostało na łóżku w Smythe Hall, zaczął krwawić? Oczywiście, nie miał zamiaru wracać i sprawdzać. Dotychczas zorientował się, że obiekty wytworzone przez człowieka nie są dla niego realne, podobnie jak w czasie pierwszej podróży. Również tak samo jak wtedy obiekty naturalne stawiały opór. Ale ciągle nie wiedział, czy wrócił do tego samego wymiaru, czy może teraz to zupełnie coś nowego. Czy był z powrotem w świecie Alfarów, czy czeka go zupełnie nowa przygoda?

Ostatnia myśl sprawiła, że zasępił się nagle. Zdał sobie sprawę, że przez cały czas skrycie oczekiwał powrotu do Alfarów – i do Irielle. Chciał zobaczyć Irielle jeszcze raz.

Jeżeli prawa snu nie stanowią inaczej, wymusi, żeby był to ten sam świat...

Nie. Będzie grał w otwarte karty. Postara się przeżyć tę przygodę bez żadnego nastawienia i uprzednich oczekiwań, które mogłyby wpłynąć na rzeczywistość. Jest naukowcem, a nie dzieckiem, które bawi się senną przygodą i zaludnia ją wybranymi przez siebie dobrymi wróżkami i złymi goblinami. Zaakceptuje każde doświadczenie, jakie przyjdzie mu przeżyć.

Ta decyzja spowodowała, że nie czuł już takiej euforii jak przedtem. Czyżby kraina Alfarów znaczyła dla niego tak wiele? Jeśli to tylko sen, halucynacja, jakie to ma znaczenie? Ale to mój sen, powinienem więc móc wybrać, co mam śnić... To wszystko powinno mi powiedzieć coś o mnie samym. Jestem psychologiem, powinienem zrozumieć, co oznacza moje pragnienie powrotu do krainy Alfarów.

To jednak nie był cel eksperymentu. Fenton postanowił, że zachowa się w porządku i zaakceptuje wszystko, co się wydarzy. Ruszył znów na północ; starał się trzymać tej samej drogi.

Nie mógł rozpoznać żadnych znaków w terenie i tym razem nie padał śnieg. Ale pierwszym dźwiękiem, jaki usłyszał, był chrzęst ubitego śniegu pod butami. Znowu ubrał się w długą, ciepłą parkę, nie czuł więc chłodu. Nie widział przełęczy. Czyżby znalazł się w innym świecie?

Tylko szary świt był taki sam. Fenton zdał sobie sprawę, że w świecie, w którym się teraz znalazł, nie zobaczył do tej pory ani słońca, ani księżyca. Nie dostrzegł też żadnego śladu obecności ludzkiej lub podobnej do ludzkiej. Tylko raz, gdy szedł przez las, jakieś małe zwierzątko wyskoczyło z ukrycia i przeskakiwało z drzewa na drzewo. Fenton spojrzał na nie i zauważył, że nie jest to ani wiewiórka, ani inne dzikie zwierzątko, jakie znał.

Las stawał się coraz gęstszy. Fenton zawahał się, czy iść dalej. Powinien wrócić po śladach, zanim zupełnie się zgubi i odnaleźć drogę, którą widział poprzednim razem. Prowadziła obok jaskiń Irighi, a on nie bardzo chciał się dowiedzieć o nich więcej, niż już wiedział. Ale z drugiej strony, jeśli Kerridis razem z eskortą podróżowała właśnie tą drogą, to musi ona prowadzić gdzieś tam, gdzie przebywają Alfarowie. Fenton zorientował się, że z uporem niegodnym naukowca zakłada, iż znów jest w krainie Alfarów.

W każdym razie teraz nie wejdzie do żadnych diabelskich podziemi. Oprócz tego, że odrzucał wszystkie freudowskie interpretacje symboli, jakich można by się łatwo doszukać w jego opowieści, wiedział, że miał dużo szczęścia, iż wyszedł z tamtego świata cało i zdrowo. No i teraz nie miał świetlistego miecza.

Dobrze. To już ustalone. Żadnych jaskiń tym razem. Ale gdzieś w końcu musi wejść,

bo inaczej niczego się nie dowie.

Las wciąż gęstniał. Coraz więcej było eukaliptusopodobnych drzew, wyglądających na wiecznie zielone, o ciemnych, niebieskawych igłach. Wokół rosły też jakieś krzewy. Przeważnie gęste i zielone, obsypane jasnoczerwonymi jagodami. Fentona kuśiło, żeby je spróbować. Jeśli nie było tu jego ciała, to przecież nie mógłby się otruć. Ale jakaś myśl powstrzymywała go przed tym zamiarem. Po chwili zorientował się, co to było. Niewyraźne wspomnienie z kursu mitologii komparatywnej.

W baśniowych światach nie należy nic jeść ani pić... przypomniał sobie. Bzdura. Zdecydowanym ruchem urwał gałązkę z jagodą, którą włożył do ust i wolno rozgryzł. Po chwili splunął. Miała gorzki, miętowy smak. Wcale nie zachęcała do tego, aby łamać zakazy. W smaku i zapachu przypominała trochę pastę do zębów. Spojrzał na rozgniecioną, wyplutą jagodę i zobaczył, że upadła na coś, co wyglądało jak leśna ścieżka. Trudno byłoby nazwać ją drogą, nie przypominała nawet wydeptanej przecinki, wyglądała raczej jak ścieżynka zajęcy. Był to pierwszy znak wskazujący, że las jest przez cokolwiek zamieszkały. Ale równie dobrze Fenton mógł pójść tym śladem, jak w każdą inną stronę.

Kiedy już postawił nogę na ścieżce, zauważył, że jest jeszcze węższa, niż wyglądała z daleka. Coś na kształt pręgi na grubym podszyciu, otoczonej gęstymi krzakami. Wydawało się, że pręga niknie gdzieś z przodu, w krzakach dzikiej róży. Kiedy próbował się przez nie przedrzeć, czepiały się jego ubrania. Z drugiej strony dostrzegł inną ścieżkę i poszedł ją sprawdzić, ale ta również z bliska wyglądała jak cienka linia. Bezskutecznie poszukując innej drogi, Fenton zdał sobie sprawę, że ścieżki zamykają się przed nim, jakby one same i drzewa chciały go odepchnąć i wyrzucić stąd. To wszystko nie miało najmniejszego sensu.

Przecież to jest wyśniona kraina. Skąd wiem, że wszystko ma tu mieć sens?

–Zupełny idiotyzm? – powiedział głośno i usłyszał, jak jego głos ciężko zawisł w powietrzu. Spostrzegł jeszcze jedną ścieżkę, prowadzącą przez gęste zarośla, wbiegł na nią prędko, ale gdy to tylko zrobił, stała się cienka jak gałązka.

Fenton wściekł się.

–Słuchaj, tego robić nie wolno – powiedział znowu głośno. – Będę tędy szedł, chcesz czy nie. Jeśli każda ścieżka znika, gdy postawię na niej nogę, to zrobię sobie jakąś sam! – Zaczął iść ścieżynką wydeptaną przez zające, pierwszą, jaką zobaczył. Na początku musiał się przedzierać przez krzewy dzikiej róży, potem jednak ścieżynka zrobiła się szersza, aż stała się prawdziwą leśną ścieżką, na której dostrzegł ślady stóp.

–O wiele lepiej – rzekł ponownie głośno. Kiedy szedł dalej, ścieżka zmieniała się

powoli w drogę, jakby sama podróż czyniła ją większą i bardziej realną.

Zastanawiał się, czy drogi w tym świecie podlegają zasadzie Heisenberga. Pamiętał, że polega ona na tym, iż sam proces obserwowania przedmiotu zmienia tenże przedmiot. Jeżeli zasada Heisenberga działa wszędzie, to parapsychologia byłaby dobrym polem dla obserwacji jej skutków.

Fenton spostrzegł, że gęste krzaki przed nim trochę się przerzedzają i ustępują z drogi jak uniżona dwórka zapraszająca gościa. Daleko z przodu promienie światła przedzierały się przez gęste drzewa. Poszedł w tamtym kierunku i pomyślał, że może światło też go będzie zwodziło jak błędny ogień. Ale ono ani drgnęło. Choć zrobiło się trochę jaśniejsze, pozostawało jeszcze dalekim, bladym przebłyskiem. Nie było to światło pochodni ani świecy, ani żarówki, nic, co mógłby zidentyfikować... Przypominało mu odbicie światła na wodnej tafli lub podobne zjawisko.

Nagle ciemność zastąpiła mu drogę. Nie spowodowała, że przestał się zupełnie poruszać, była na to zbyt nieokreślona i słaba, zbyt nierzeczywista. Na pewno nie była to ściana budynku. Jeszcze nie wiedział, z jakiego rodzaju zjawiskiem ma do czynienia, ale nie była to z pewnością stała konstrukcja. Jego kroków nie powtarzało echo, które na pewno pojawiłoby się w każdym budynku. W żadnym pomieszczeniu nie widziałby delikatnego blasku świtu.

Zatrzymał się. Nie chciał zapaść się w tę nagłą ciemność bez choćby mglistego pojęcia, czym była. Mogła przecież okazać się równie niebezpieczna jak jaskinie Irighi.

Stał obserwując dokładnie przestrzeń. Mimo że nie mógł mieć przed sobą budynku, ciągle odnosił wrażenie, że to właśnie budynek. Dwa wielkie drzewa wyglądały jak kolumny podpierające portal. Poniżej grupa drzew rosła w takim układzie, że tworzyła coś na kształt ogromnej komnaty. Bardzo daleko, wewnątrz, połyskiwały słabe światełka. Droga zniknęła spod stóp Fentona czy raczej powróciła do pierwotnego kształtu i znów wyglądała jak ścieżynka wydeptana przez zające. Czyżby była przez chwilę w jego wyobraźni?

Albo straciła powód do istnienia jako droga, kiedy już dotarłem do celu.

Nagle pomiędzy dwoma kolumnopodobnymi drzewami zobaczył dwie smukłe sylwetki. Z dziecięcą, szaloną radością zdał sobie sprawę, że znowu jest w krainie Alfarów. Żaden inny lud nie miał tak smukłej i proporcjonalnej budowy, żaden tak delikatnie wydłużonych twarzy. U pasów mężczyzn były widoczne vrillowe miecze, jaśniejące zielonkawym światłem. Rozmawiali cicho w swojej dziwnej, śpiewnej mowie. Jeden z nich przerwał nagle i zwrócił swoje wielkie, złote oczy w kierunku Fentona.

–Chyba coś słyszałem – powiedział.

–To tylko cień. Dajesz się nabrać na cień? Żaden z żelazorów nie mógłby podejść tak blisko do tego miejsca, jest doskonale strzeżone – zauważył jego towarzysz. – A myślisz, że co robili Erril i Pani całą noc? Oddział żelazorów mógłby przechodzić w odległości strzału z łuku i nic by nie zauważyły. Tak doskonale zaklęte jest to miejsce.

–Wszystko jedno. Nadmiar ostrożności nikomu jeszcze nie zaszkodził – odparł pierwszy. – Po co Findhal postawiłby nas na straży? Nie wiadomo, co szwenda się po świecie w dzisiejszych czasach. Nie obchodzi mnie, co tam wygadujesz, Rimal. Coś tu jest podejrzanego... Kiedy byłem mały, żelazory napadały na nas raz, może dwa razy w ciągu Zmiany. Teraz wdzierają się, kiedy chcą. Nie tylko w czasie zrównania dnia z nocą, kiedy Bramy są otwarte, ale zawsze, kiedy im się zachce. Coś się stało z Pieczęciami i Strażnikami. Przechodnie, Cienie, żelazory wchodzą i wychodzą, kiedy tylko mają na to ochotę. Kto sprawuje władzę myśli nad Domem na Rozstajach Światów, jeśli ciągle istnieje jakiś przeciek?

–Zadajesz zbyt wiele pytań – rzekł drugi. – Wielcy tego ludu wiedzą, co robią i to nie powinno interesować nas, maluczkich. Naszym zadaniem jest strzec Pani, tak jak zwykle.

–Nie masz racji – upierał się malkontent. – To jest również moja sprawa, że w wyniku czyjejś manipulacji Pieczęciami i Strażnikami mogę skończyć w żołądku Irighi. Przedmioty przemieszczają się, a znaków orientacyjnych nie ma już tam, gdzie zawsze tkwiły. Coś ci powiem, Rimal, nie dawniej niż wczoraj...

–Cicho! – przerwał mu Rimal.

Fenton zdał sobie sprawę, że ciekawość zaprowadziła go za daleko. Odwrócił się, żeby uciec, ale było już za późno. Poślizgnął się na gałązce i w tym momencie Rimal chwycił go za ramię.

–A ty co tu robisz? Węszysz w ciemnościach jak szpieg? Chodź tu bliżej do światła, żebym mógł ci się przyjrzeć.

Fenton pozwolił wlec się w stronę światła. Czuł, że uchwyt Rimala jest delikatny, i gdyby tylko chciał, mógłby przeniknąć przez jego ręce i uciec. Ale nie zrobił tego, gdyż obaj Alfarowie mieli przy sobie miecze, które mogły go zranić. Po trosze również dlatego, że mimo ich pogroźek, wcale nie bał się Alfarów.

–Jeden z przeklętego rodu Pentarna – stwierdził Rimal z obrzydzeniem. – Ostatnim razem kiedy Irighi porwały Panią do jaskiń i była wtedy ranna, kilku z nich kręciło się wokół.

–Ale ten nikogo nie skrzywdzi. Patrz, to Cień. Żle się dzieje na świecie, kiedy takie szumowiny pętają się po bezdrożach. Ty – zwrócił się do Fentona – co tutaj robisz?

–Zobaczyłem ścieżkę i przyszedłem nią aż tutaj odpowiedział Fenton, a strażnicy przyjrzeni mu się uważnie.

–Jeżeli ścieżka go tu przyprowadziła, to musi być jakiś powód, dla którego znalazł się u nas – uznał Rimal.

Drugi potrząsnął głową i powiedział:

–Nigdy nic nie wiadomo. Teraz szpiedzy docierają wszędzie.

–Zaprowadźcie mnie do Kerridis albo do Findhala, oni mnie znają – odezwał się Fenton.

–Bez wątpienia, ale Pani i Findhal wolą przebywać w towarzystwie lepszym niż twoje.

–Zaprowadźcie mnie więc do Irielle...

–Ha! Nie mówiłem! Nie można ufać nikomu z rodu Pentarna. Pani ma ciągle zbyt łagodne serce, i nie chce oddalić swego ulubionego podrzutka.

–Irielle może wam powiedzieć, że nie jestem szpiegiem i nie mam złych zamiarów. Pomagałem ją ratować...

–Słodka historia – szydził Rimal, ale drugi Alfar mu przerwał:

–To prawda. Findhal opowiadał, że jakiś Cień pomagał im wtedy. Pójdę po niego.

–Może i masz rację. Jeśli ten jest od Pentarna, Findhal szybko go załatwi. Ty! – Rimal zwrócił się do Fentona – idź wolno w tamtą stronę i nie próbuj żadnych sztuczek...

Fenton robił, co mu kazano. Czekał przez jakiś czas, a ciemność gęstniała wokół. Ogromna sylwetka wojownika pojawiła się nagle za strażnikiem.

–To ty, Cieniu – powiedział Findhal. – Zastanawiałem się, co się z tobą stało i czy wróciłeś szczęśliwie. – Stał podparty pod boki patrząc z góry na Fentona. Cam nie był mikrusem, ale przy wielkim Findhalu czuł się jak uczeń. – Irielle powiedziała – ciągnął Alfar – że jeżeli zdołasz tu dotrzeć przez wszystkie Pieczęcie i mimo Strażników, których tutaj umieścili, masz być zaprowadzony prosto do Kerridis. Chodźmy więc.

–Bądź ostrożny, lordzie Findhalu – przestrzegł go Rimal – to może być szpieg od

Pentarna...

Donośny śmiech Findhala rozległ się wśród drzew. – Może nie... Nie, Rimalu, on ryzykował życie, aby zanieść miecz Pani, kiedy była uwięziona pod ziemią tylko jeden pokład nad ogniem. Myślę, że nie musimy się go obawiać.

Rimal nie dawał za wygraną:

–To mógł być podstęp, żeby zyskać twoje zaufanie, a potem móc jeszcze lepiej szpiegować dla Pentarna. Nie ufam Cieniom. Lubię, kiedy ludzie są w jednym albo w drugim świecie, a nie tak bezsensownie szwendają się po rozstajach dróg, jedną nogą tam, drugą tu...

Findhal zignorował go i zwrócił się do Fentona: – Chodź za mną, Pani cię oczekuje.

Fenton podążył za wojownikiem do wnętrza majaku z drzew. Jeszcze raz zadał sobie pytanie, czy miejsce, w którym się znalazł, jest jakąś ogromną budowlą, której po prostu nie widzi. A może nie widzi jej dlatego, że – jak to poetycko, choć niezbyt precyzyjnie określił Rimal – została zaczarowana? A może z jakiejś zupełnie innej przyczyny.

Iluzja nie tylko trwała, ale stawała się coraz bardziej konkretna. Wokół nie było już drzew, krzewów, dywanów mchu ani zarośli, ale kolumnady, zawile korytarze, boczne komnaty obwieszane kolorowymi draperiami. Fenton nie wiedział, czy może ufać własnym zmysłom.

Nagle dobiegły go dźwięki muzyki. Wątki melodii podejmowane i dziwnie upiększane przez śpiewaków były przejmowane przez inne głosy i unoszone po następne wątki melodii pełne wysokich treli i ozdobników. W tle usłyszał dźwięk instrumentu podobny do dźwięku fletu. Piszczalki, pomyślał, nie mając pojęcia, jak właściwie brzmią piszczałki. A oprócz tego miękkie akordy płynące z potrącanych strun.

Ogromna światłość uderzyła go nagle w oczy – jakby wszystkie gwiazdy, słońca i księżycy zaświeciły jednocześnie w szarości. Fenton odruchowo podniósł rękę i zasłonił oczy. Po chwili światło osłabło; jego natężenie stało się możliwe do zniesienia albo po prostu wzrok przyzwyczaił się do ostrego blasku. Fenton opuścił rękę i wśród jasności ujrzał Kerridis.

Siedziała na tronie ozdobionym girlandami zieleni i złota. Miała na sobie długą suknię i biżuterię, a jej głowę wieńczyły błyszczące klejnoty. U stóp Kerridis klęczała mała dziewczynka i grała na piszczałkach. Po drugiej stronie ktoś delikatnie muskał struny harfy. W tle było słycać śpiew podawany z ust do ust, w osobliwym kontrapunkcie. A może najzwyczajniej w taki sposób Alfarowie komunikowali się ze sobą?

Kerridis skinęła dłonią i śpiew ustał, ale muzyka piszczałek i harf brzmiała nieprzerwanie. Dopiero później Fenton uzmysłowił sobie, że podczas jego pobytu w tym złudnym domostwie różnorodna muzyka rozbrzmiewała ciągle z różnych stron.

–Podejź tu – odezwała się kiwnąwszy do niego Kerridis. – To ty jesteś tym odważnym Cieniem. Cieszę się, że udało ci się odejść bez przeszkód. Podejź bliżej i usiądź naprzeciwko mnie, Fentarn... Fentrin... Twoje imię przypomina trochę imię Pentarna...

–Fenton – rzekł.

Kerridis roześmiała się, a jej śmiech brzmiał podobnie jak śpiew dzwoneczków, który Fenton słyszał wtedy wysoko na górskiej przełęczy.

–Fenn-trin... Och to nieistotne.

Fenton usiadł po turecku i zapadł się nieco w miękką posadzkę.

–Mam nadzieję, że wszystkie twoje rany, Pani, już się zagoiły.

Wyciągnęła ku niemu smukłą dłoń, na której widniały ciemne smugi.

–Zrobiono wszystko, co można było – odpowiedziała – ale takie rany nigdy nie goją się w pełni. Miałam szczęście, mogło być gorzej. W czasach mojej matki... ale one już nie wrócą.

–Czy często zdarzają się walki?

–To nie jest do przewidzenia, ale chyba teraz częściej niż dawniej. Kiedyś żelazory nie mogły przedrzeć się do nas z wyjątkiem określonych pór. Teraz wydaje się, że przychodzą, kiedy chcą. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że to ludzie twojej rasy i Pentarna spowodowali tę zmianę. A czy ty przychodzisz ze świata Pentarna?

Fenton zaprzeczył ruchem głowy, a potem tłumaczył wolno i niezbyt pewnie:

–To prawda, że Pentarn wygląda jak istota ludzka, ale ubiera się zupełnie inaczej niż ludzie w świecie, z którego przychodzę. Również jego uczesanie, broda i tak dalej...
– Nie był pewien tego, co mówił. Berkeley ciągle było Mekką ekscentryków, a Kampus Północy miejscem, gdzie nic nie wywoływało zdziwienia. Włosy, broda, nawet buty i płaszcz Pentarna nie wzbudziłyby sensacji. Byłyby wprowadzie zauważone, ale potraktowane jako jeszcze jedna z wielu ekstrawagancji. W każdym razie... – kończył słabo, choć wiarygodnie – nigdy go wcześniej nie widziałem...

Kerridis przyglądała mu się uważnie.

–To prawda, że wasze stroje są zupełnie różne od naszych. Rzeczywiście, jeżeli Pentarn wysłałby cię po to, abyś działał przeciwko nam, przyszedłbyś jako Przechodzień, z realnym ciałem. Mimo to nasi ludzie są podejrzliwi. Rzecz zrozumiała, przecież tak wielu naszych wiernych kompanów zginęło niedawno. Nawet Irielle nie była wolna od podejrzeń... – Kerridis umilkła i zamyśliła się.

Na dźwięk imienia Irielle Fenton ośmielił się przerwać ciszę:

–Mam nadzieję, że Irielle czuje się już dobrze po koszmarach przejściach u żelazorów?

–Na szczęście nie była poważnie ranna, tylko bardzo przestraszona – odpowiedziała Kerridis i uniosła rękę. – Irielle, dziecko, podejź tu, porozmawiasz z nim...

Irielle była teraz ubrana w długą, brązową suknię wykończoną futerkiem, która w kroju przypominała stroje Alfarów, ale była znacznie cieplejsza. Alfarowie troszczyli się o wygodę ludzi żyjących wśród nich i postarali się, żeby Irielle miała ciepłe ubrania; uszanowali jej inne niż ich potrzeby. Włosy Irielle były zaplecione, upięte wysoko i coś połyskiwało w nich prawie tak jak klejnoty we włosach Kerridis. Irielle uśmiechnęła się do Fentona nieśmiało.

–Tak się cieszę, że wróciłeś do nas. Większość Cieni przychodzi tylko raz, potem zapewne gubią się w snach i nie mogą odnaleźć drogi. A jak udało się tobie? Czy znalazłeś Bramę?

Fenton zaprzeczył ruchem głowy.

–Nie, to jest część eksperymentu – powiedział, a Kerridis i Irielle zwróciły na niego pełne niezrozumienia oczy. Pewnie w tym świecie, w którym wydawało się, że magia jest czymś zupełnie normalnym, nie było czegoś takiego jak eksperymenty.

–Czy napijesz się z nami, Fenn-tara? – Jeśli mogę... – zawahał się.

Kerridis zmarszczyła lekko brwi i Fenton przestraszył się, że popełnił jakąś niegrzeczność. W końcu był przyjmowany na dworze, a używał wybiegów wobec propozycji, która wydawała się królewskim rozkazem. Irielle pochyliła się i zaczęła szeptać Kerridis do ucha, aż ta roześmiała się i rozchmurzyła.

–Ależ tak, zapomniałam. Niektórzy Przechodnie i Cienie wyobrażają sobie, że jeżeli zjedzą tu coś lub

wypiją, zostaną tutaj uwięzieni. W pewnych okolicznościach jest to możliwe. Jeżeli przyszedłbyś z ciałem, niektóre rzeczy mogłyby być dla ciebie niebezpieczne. Ale tego nauczysz się potem. – Wzięła w dłonie ozdobną filiżankę, dotknęła nią lekko swoich warg, a następnie podała Fentonowi – Chcę, żebyś mnie zrozumiał, to da ci

iluzję odświeżenia. Ale jeżeli naprawdę jesteś głodny albo spragniony, nie zaspokoisz swych potrzeb.

Fenton wziął od niej filiżankę. Przez chwilę myślał, że jego ręka przeniknie przez nią jak przez metalowe kraty, ale chłodna i twarda filiżanka pozostała w jego dłoni. Przechylił naczynie i napił się, przy czym uważnie mu się przyglądał. Napój był zimny i orzeźwiający, ani słodki, ani cierpki, na pewno bez alkoholu. A filiżanka... jaka szkoda, że nie może zabrać jej ze sobą, na potwierdzenie swojej opowieści.

A gdybym tak zabrał... Mówią, że złoto zabrane z baśni na światło dzienne zamienia się w garść suchych liści. Jeżeli ten świat jest prawdziwym, równoległym światem albo innym wymiarem naszego, to gdzie jest słońce? Gdzie jest księżyc?

Jeszcze przez chwilę Fenton trzymał pustą filiżankę w dłoniach, próbując zapamiętać linię wzoru, aby narysować ją potem dla Sally. W końcu oddał naczynie Irielle. Kerridis uśmiechnęła się przyjaźnie do obojga i powiedziała:

–Lebbrin już idzie, dzieci. Na pewno ma mi do przekazania coś ważnego. Muszę was oddalić. Zajmij się gościem w naszym imieniu, Irielle. Zaprowadź go do gaju. – Lekko skinęła głową i pozwoliła im odejść.

Kiedy Irielle wyprowadziła Fentona na zewnątrz, jeszcze raz dobiegły go strzępy śpiewnej mowy Alfarów. Szedł za rudowłosą dziewczyną wśród dziwnie skonstruowanych ścian tego niezwykłego domostwa, które zarazem było i nie było nimi otoczone. Jak dotąd ciągle nie wiedział, czy są na zewnątrz, czy wewnątrz. Ale czy takie definicje dotyczyły tej rzeczywistości?

Rzeczywistość, zastanawiał się. Co to jest rzeczywistość?

–Nic nie mówisz – odezwała się Irielle.

–Słuchałem muzyki. Czy potrafisz mówić tak jak oni, kiedy jesteś z nimi?

Roześmiała się.

–Niezupełnie. Mówię tak jak ich dzieci. Przeważnie rozmawiają ze mną wolniej. Nie aż tak wolno jak Pani rozmawiała z tobą, ale wolniej niż mówiłaby do kobiet Alfarów.

Weszli na bardziej oświetlony teren i Fenton poczuł, że są na zewnątrz, choć drzewa nadal ich otaczały. Irielle spytała:

–Nie przeszkadza ci chłód?

–Nie bardzo. Ale myślę, że tobie jest zimno.

–Już się przyzwyczaiałam – odpowiedziała. – Pamiętam, że kiedy tu przybyłam, było mi bardzo zimno i płakałam przez to dzień i noc. – Usiadła na ziemi i wskazała mu miejsce obok. – Wydaje mi się teraz, że to było bardzo dawno temu. Od kiedy mam ciepłe ubranie, chłód nie przeszkadza mi w ogóle, ale w jaskiniach żelazorów to co innego. Inny rodzaj zimna.

–Jak się tu znalazłaś, Irielle? – spytał i pomyślał: Ona jest człowiekiem takim samym jak ja... Spojrzała na niego trochę zaskoczona.

–Jestem podrzutkiem, oczywiście.

Oczywiście. Jestem podrzutkiem, oczywiście. Cokolwiek by powiedzieć o tym świecie albo o tym wymiarze, ma on sens tylko w ramach swoich praw. A czego ja się spodziewałem? Jeżeli spotkasz ludzką istotę w czarodziejskiej krainie, czymże ona może być, jeśli nie podrzutkiem?

Ale kim w tej krainie jest podrzutek?

–A Pentarn, czy on też jest podrzutkiem? Twarz Irielle wykrzywiła się z pogardą:

–Pentarn? On podrzutkiem? Nikt z Alfarów nie dałby złamanego szeląga za kogoś takiego jak on. Nie, myślę, że Pentarn dostał się przez Dom na Rozstajach albo przez Bramę, bo jest Przechodniem; rzuca cień i ma ciało. Widziałam go jedzącego i pijącego tutaj. Może trzymać w rękach zimne żelazo tak jak ja. Ale nie może być przybranym dzieckiem Alfarów. Nie zna wielu z naszych zasad i nie boi się żelazorów. Myślę, że się z nimi jakoś dogadał, a tego nie zrobiłby żaden podrzutek Alfarów.

–Co to znaczy podrzutek, Irielle?

Spojrzała na niego zaskoczona. Była człowiekiem i nie miała nic z chłodnej elegancji Alfarów. Była ciepła, oddychała. Jednak jedną rzecz ma z nimi wspólną, pomyślał Fenton. Jej twarz jest pełna wyrazu, natychmiast odzwierciedla myśli i zmienność nastrojów.

–Jak zdołałeś przyjść do nas, jeśli tak mało wiesz? Kobiety Alfarów rodzą coraz mniej dzieci. Pani opowiadała mi, że z biegiem dni i miesięcy rodzi się ich o wiele mniej niż kiedyś. Dlatego od czasu do czasu muszą brać dzieci z innych światów. Findhal i jego żona, którzy są moimi przybranymi rodzicami, nie mają własnych dzieci. Nie ma ich ani Kerridis, ani Erril. Jedyne dziecko zostało zamordowane przez żelazory, nim się urodziłam.

–Kradną dzieci?

–Możesz to i tak nazwać – odparła rozdrażniona. – Biorą tylko te, które cierpią na brak miłości i w końcu by umarły. Kerridis wzięła dziecko z wielkiej ochronki, gdzie

maleństwa były zostawiane z płatnymi opiekunkami. Połowa z nich umarła przed ukończeniem drugiego roku życia, pozbawiona opieki. Reszta wyrosła na niedorozwiniętych ludzi tylko dlatego, że zostali pozbawieni matczynej miłości. Czy Alfarowie powinni dopuszczać, aby umierały nie opłakiwane, kiedy sami tęsknią za dziećmi, których nie mogą mieć?

Fentonowi przypomniały się obrzydliwe opisy wiktoriańskich sierocińców, w których dzieci umierały na coś, co nazywało się melancholią. Jedynym lekiem na tę chorobę jest miłość i rodzicielska opieka. Był pewien, że nadal istniały domy dla dzieci opóźnionych w rozwoju i sierot, w których są one zaniedbywane, gdzie w dalszym ciągu, jak się wydaje, śmierć jest łaskawym wybawicielem.

–Ale jak mogą zabierać dzieci, żeby nikt tego nie zauważył? – zapytał.

–Na miejscu dziecka zostawiają jego obraz – dodała Irielle od niechcienia – który żyje jeszcze przez jakiś czas, a potem umiera. Nie ma to wielkiego znaczenia, bo płatni opiekunowie właściwie tylko na to czekają. Nikt nie zauważa zmiany. Ale ja nie znalazłam się tu w ten sposób, byłam wystarczająco duża, żeby pamiętać... Wypadłam z dorożki i płacząc głośno wołałam rodziców, którzy nie odpowiadali. Musieli zginąć. – Na twarzy Irielle znowu było widać przeżywany ból i strach. – Pamiętam, że leżałam przywalona dorożką, a wokół widziałam pełno krwi... i wtedy pojawił się Findhal. Wyjął mnie spod żelastwa, nie wiem, jak to zrobił, że mam wszystkie kości całe, i powiedział, że jeśli mnie tu zostawi, będę już na zawsze sparaliżowana. Ale może mnie zabrać gdzieś, gdzie zostanę wyleczona i będę mogła bawić się i biegać jak dawniej. Zapytałam go... – pogrążyła się w zadumie, a rysy jej twarzy zastygły -...zapytałam, czy rodzicie pójdą ze mną. Odparł, że oni już nie żyją, ale on i jego Pani mogą być dla mnie ojcem i matką, tam w ich świecie, tak długo, jak będę żyła. Zobaczyłam... właściwie nie widziałam dokładnie, co zostawił w rozbitej dorożce, ale powiedział, że to coś nie będzie długo trwało, a potem zostanie pochowane razem z moimi rodzicami. Następnie wziął mnie na ręce i znalazłam się tutaj. Spójrz. Podwinęła długą spódnicę i pokazała szczupłą, bladą nogę. – Wyraźnie widać, że ciało miałam rozdarte aż do kości. Kuracja trwała bardzo długo. Dopiero po jej zakończeniu ponownie mogłam chodzić. Wszyscy byli bardzo opiekuńczy i wyrozumiali...

Fenton spojrzał z przerażeniem na straszne blizny. Zastanawiał się, jak było możliwe zaleczenie takich ran? Goleń i łydka wyglądały jak kłębowisko pozrastanych blizn. Dziewczyna obciągnęła suknię i powiedziała:

–To obrzydliwe, wiem. Plecy wyglądają jeszcze gorzej. Dlatego zawsze noszę długie stroje, nawet teraz, kiedy nie przeszkadza mi chłód i mogłabym nosić piękne suknie, takie, jakie noszą kobiety Alfarów. Ale podobnie jak oni nienawidzę brzydoty.

Dobry Boże, to cud, pomyślał Fenton. W naszym świecie wyleczenie takich ran

wymagałoby szczytów sztuki medycznej, a w końcu i tak dziewczyna straciłaby nogę. Jeśli uratowali ją od kalectwa, to zabranie jej tu było wybawieniem.

Fentonem zawładnęła czułość wobec dziewczyny. Irielle wcale nie była doskonałą księżniczką z bajki. Była cudem ocaloną ofiarą Bóg wie jak niebezpiecznego wypadku w jakimś świecie, który mógł – ale wcale nie musiał – być światem Fentona.

–I znalazłaś się tutaj, tak? – zapytał Cam. Skinęła głową.

–Jako przybrana córka Findhala. Mieszkałam z nimi, aż dorosłam, ale on ciągle jest moim ojcem... Kiedy dorosłam, Kerridis wezwała mnie tutaj, abym stała się jedną z ich śpiewaczek i pomocnic. – Podniosła wzrok i spytała: – A jak ty się tu dostałeś?

Fenton usiłował opowiedzieć coś o eksperymencie naukowym, ale wyrazista twarz Irielle wykrzywiła się z niesmakiem.

–Mam nadzieję, że ten mądry człowiek, twój profesor, nie jest jednym z tych, którzy z głupiej ciekawości próbują zniszczyć osnowę Bram. Jeśli są naruszone, żelazory mogą przez nie wtargnąć, kiedy im się żywnie podoba, a nie tylko podczas zrównania dnia z nocą, gdy jesteśmy dobrze przygotowani. A może ten człowiek jest sprzymierzony z Pentarnem i chce zniszczyć Bramy?

–Ależ skąd!

–W takim razie po co to robi?

Fenton znów próbował coś wyjaśnić, ale czuł, że brzmi to dość mętnie. Jak miał wytłumaczyć naturę parapsychologii komuś, kto żył w świecie, którego prawa były aż tak różne?

Irielle zlekceważyła jego próby.

–Byłoby lepiej, gdybyś mógł wejść tu przez Dom na Rozstajach. Spróbuję go dla ciebie znaleźć, ale nie wiem, czy jest to teraz możliwe... – Umilkła, a na jej twarzy malowało się zafrasowanie.

Fenton miał chwilę na obserwację gry emocji na twarzy Irielle. Piękna, niemal przezroczysta skóra była tak delikatna, że widział niebieskawy zarys żył na skroniach dziewczyny. Wydawało się, że Irielle tętni życiem tak mocno, iż przy niej każda kobieta, którą Fenton kiedykolwiek widział, wyglądała na ospałą, niezdarną i ciężką.

Jest nieprawdziwa, jest tylko kobietą ze snu. Nie wolno mi myśleć o niej tak, jakby była rzeczywista. Nierzeczywista? Przecież przy niej każda kobieta, którą dotychczas poznałem, przypomina jedynie mglisty zarys osoby, jaka przyśniła mi się wiele lat temu!

Wąską brodę Irielle trzymała na zgięciu dłoni. Siedziała nieruchomo, a mimo to zdawało się, że jest pełna energii. W jej oczach pojawiały się delikatne błyski i cienie. W końcu podniosła głowę i powiedziała:

–Moglibyśmy poszukać Domu na Rozstajach, może nauczyłybyś się go rozpoznawać, gdybyś raz go zobaczył...

–Poszukać go? To ty nie wiesz, gdzie on jest, Irielle?

–Nie zawsze jest w tym samym miejscu – odparła poważnie. – Często zmienia położenie. Albo... możliwe, że jest w tym samym miejscu, tylko czasami nie chce być odnaleziony.

Fenton parsknął śmiechem, po prostu nie mógł się powstrzymać.

–To najbardziej zabawna rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałem.

Rzeczywistość, w której się znalazł, na każdym kroku zaskakiwała i nieomal wyprowadzała z równowagi. Jak mógł w ogóle myśleć, że ten świat jest wystarczająco konsekwentny logicznie, aby był prawdziwy!

Śmiech i rozczarowanie Fentona rozżłościły Irielle. Dziewczyna spłoszyła się i zerwała na równe nogi jak ptak gotujący się do lotu. Jej drobne ciało drżało od nagłej niechęci.

–Cóż ty możesz o tym wiedzieć, Cieniu! Fenton szybko wyciągnął dłoń na zgodę.

–Irielle, Irielle, nie złość się. Przepraszam, ale nie jestem w stanie pojąć, jak możesz twierdzić, że coś zbudowanego z martwej materii, Dom na Rozstajach, jak go nazywasz, nie chce być odnaleziony?

Spojrzała na niego poważna, zakłopotana. Odpowiedziała powoli:

–Nie wiem... Byłam w Domu na Rozstajach kilka razy, ale nigdy nie wyglądał tak samo, nigdy też nie stał w tym samym miejscu. A może on pozostaje taki sam, a wszystko wokół się rusza, choć wydaje się, że jest inaczej. Prymitywne ludy myślały kiedyś, że Słońce krąży wokół Ziemi, a dziś już tylko bardzo małe dzieci nie wiedzą, jak jest naprawdę.

Wbrew swemu postanowieniu spojrzał w niebo. – Czy słońce tu świeci?

–Nierzadko, to prawda... Właśnie dlatego Melnia, żona Findhala, pozwalała mi zaglądać do innych światów. Mawiała, że skoro urodziłam się pod słońcem, powinnam je oglądać częściej niż tutaj, bo inaczej mogę się rozchorować. To Melnia nauczyła mnie, że trudno znaleźć Dom na Rozstajach, kiedy się go rzeczywiście

szuka. Najłatwiej trafić na niego przypadkiem. Czy nie zdarzało ci się, że trafiasz w jakieś miejsce przypadkiem, ale gdy potem chcesz je odszukać, nie potrafisz?

Fenton zmarszczył brwi i przypomniał sobie małą, dziwną księgarnię w North Beach. Przechodził obok niej dwa razy, kiedy była zamknięta i za każdym razem przystawał, żeby pogapić się na wystawę, która doprawdy była pokusą dla każdego bibliofila. Przewędrował potem wszystkie ulice San Francisco, żeby wejść do niej w godzinach otwarcia, ale za nic nie mógł jej znaleźć. Opowiedział o tym rudowłosej Irielle. Dziewczyna pokiwała głową i odezwała się:

–Podobnie jest z Domem na Rozstajach, nawet jeśli widziałeś go już w jednej z form, które przybiera. Myślę, że kiedy go szukasz, aktywizuje coś... jakiś klucz, jakąś obronę. Twoje myśli to czynią. Nie powinien być odnajdywany. Mogą to robić jedynie ci, którzy mają tam rzeczywiście jakiś interes. Findhal może wchodzić i wychodzić z niego, kiedy tylko chce. Zdaje się, że teraz również Pentarn... – znów umilkła i zamyśliła się. Potem nagle uniosła twarz i uśmiechnęła się. Fenton poczuł dziwny ucisk w piersiach. Nie, nie wolno mi tak myśleć o Irielle – o kobiecie ze snu...

Wyciągnęła ku niemu smukłą dłoń i uśmiechnęła się jeszcze raz. Zdawało mu się, że uśmiech rozjaśnił jej twarz silnym płomieniem wewnętrznego blasku.

–Poproszę Findhala – oznajmiła. – Jest moim przybranym ojcem i nigdy niczego mi nie odmówił. Spytam go, jak znaleźć Dom na Rozstajach, żebyś mógł przychodzić tu, kiedy tylko zechcesz.

Dotyk jej dłoni był ledwo wyczuwalny, jak pocałunek ducha, ale silnie podziałał na umysł, ciało i emocje Fentona. Usłyszał swój głos, dziwnie zmieniony:

–Chcesz, żebym wrócił, Irielle?

–Oczywiście, że chcę – odpowiedziała łagodnie. Alfarowie są dobrzy, ale tak często jestem wśród nich samotna. Nie mogę rozmawiać z nimi tak jak z tobą. Jestem bardzo samotna, a ty... jesteś taki jak ja. Obiecuj mi, proszę, że wrócisz, Fenn-tarn.

Nic w jego długim życiu nie było tak bolesne jak owa zwykła prośba: „Obiecuj, że wrócisz.” Skąd miał to wiedzieć? Skąd miał wiedzieć, że zdoła tu wrócić kiedykolwiek? Skąd miał wiedzieć – i to było szczytem jego rozpaczyny – czy ten świat w ogóle istnieje?

–Fenn-trin, co się stało? – Patrzyła na niego głęboko poruszona. Siedziała bardzo blisko. Zwróciła ku niemu swą piękną, wyrazistą twarz. Fenton odwrócił się od dziewczyny, dławiony bólem.

–Och, proszę... Fenn-tarn, powiedz mi, o co chodzi? Dlaczego jesteś taki... taki zmartwiony? Przyszedłeś jak cień, odchodzisz jak upiór... Dlaczego jesteś taki

smutny?

Zdołał odpowiedzieć, choć słowa z trudnością przeciskały mu się przez gardło:

–Nie wiem, czy będę mógł znaleźć się tu jeszcze raz. Chcę, ale... Ja nie mam władzy nad tym, czy przy

chodzę, czy odchodzę. Nie mogę nawet być pewien, czy... – Głos Fentona załamał się, ale Cam zmusił się, by mówić dalej: – Nie jestem pewien, czy to nie jest sen, czy ty nie jesteś snem, czy nie stworzyłem cię sam w moim sennym marzeniu... – Poczul, że słowa przerwał mu głośny szloch, wydobywający się z dna gorczy i beznadziei.

Twarz Irielle odzwierciedlała jego rozpacz.

–Och, tak bardzo mi ciebie żal... – szepnęła. Kto ci to zrobił, Fenn-trin, i dlaczego?

Nawet przeinaczanie jego imienia było czymś, co chwyta za serce i pogłębia poczucie beznadziejności. Irielle spontanicznie zarzuciła mu rękę na szyję. Czuł jej lekkie jak piórko, prawie pozbawione ciężaru ciało. Nawet nie słyszał, czy dziewczyna oddycha. Ale była przy nim, jej ręce oplatały jego ciało.

–Nie płacz, Fenn-tarn, ja istnieję naprawdę. Jak mam ci to udowodnić? Skąd wiesz, że ty jesteś rzeczywisty? Może całe życie jest jednym, długim snem, podczas gdy my czekamy na coś jeszcze. – Odrzuciła w tył głowę, spojrzała mu w oczy i odezwała się drżącym, ale pewnym głosem: – Chciałabym ci udowodnić, że... Chciałabym dodać ci otuchy... Mogę ci tylko powiedzieć, że... – Nagle zdała sobie sprawę, że go obejmuje.

Zobaczył, jak jej twarz czerwieni się powoli, pąsowieje zawstydzona. Przy intensywności doświadczania życia wyczuwał, że skromność jest jedną z ważniejszych cech charakteru dziewczyny. Skromność. Tym słowem już dawno nie określamy kobiet w naszym świecie, pomyślał Fenton. Ale do niej pasuje...

Odwróciła się i próbowała znów zapanować nad sobą. Zobaczył, że jej usta rozchyliły się raz i drugi, nim zdołała mówić. Po chwili wyszeptała ledwo słyszalnie:

–Mogę ci tylko powiedzieć coś, o czym Kerridis wspomniała mi raz, kiedy byłam mała i dopiero tu przybyłam. Nie mogłam jeszcze chodzić, rany bardzo mnie bolały i płakałam z zimna. Ciągle tęskniłam za mamą i ojcem, mimo że Melnia była bardzo dobra, a Findhal siedział przy mnie całe dni i śpiewał, abym mogła zapomnieć o bólu, jaki sprawiała kuracja Kamieniami Życia. Kerridis przyszła porozmawiać ze mną i spytała o moje samopoczucie. Odpowiedziałam, że to wszystko ciągle jest dla mnie jakimś dziwnym, sennym koszmarem. A ona wskazała ptaka na gałęzi i rzekła: „Życie jest snem, moja mała. Cóż my naprawdę wiemy? Ty i ja możemy być sennym marzeniem tego ptaka, który śni, że wreszcie ma słuchaczy. Może ten świat jest

snem, a może twoje poprzednie istnienie nim było, aż obudziłaś się, żeby poznać prawdę, która od dawna na ciebie czekała. Równie dobrze możesz być moim snem albo snem Melnii. Snem o tym, że ma swoje wytęsknione dziecko; nie mogła go przecież urodzić." – Głos Irielle brzmiał głucho, odlegle.

Fenton zauważył:

–Jest takie powiedzenie starego filozofa: „Śniło mi się, że jestem motylem. Czy to ja śnię, że jestem motylem, czy to motylowi przyśniło się, że jest mną?"

Irielle pokiwała głową i usłyszał, jak smutno westchnęła.

Co mnie napadło? pomyślał. Nie zapanowałem nad sobą i przestraszyłem ją tak bardzo?

Przyciągnęła do siebie jego dłonie i powiedziała miękko:

–Musisz tu wrócić. Poproszę Findhala, żeby cię zaprowadził do Domu na Rozstajach, kiedy będziesz musiał już iść. Mam pomysł... Czy znasz może takie miejsce, które należy jednocześnie do twojego i do mojego świata? Moglibyśmy się tam spotykać. Jeżeli ty nie będziesz mógł przyjść do mnie, to może ja będę mogła wtedy przyjść do ciebie.

Kiedy Fenton pieścił jej delikatne palce, które spoczywały na jego dłoni jak lotne cienie, pomyślał: Nigdy nie uwierzę, że Irielle nie istnieje. Gdzieś w jakiś sposób istniała, w świecie równie prawdziwym jak jego. Jakim byłbym parapsychologiem, pomyślał znowu, gdybym odrzucał istnienie każdej rzeczywistości, której nie da się zmierzyć moimi kryteriami?

Smutek i rozgoryczenie sprawiły, że znów powoli dochodził w nim do głosu naukowiec. Fenton zmarszczył brwi i odparł zamyślony:

–Jest taka kępa drzew. W moim świecie znajduje się blisko miejsca, w którym pracuję. A w twoim też są tam drzewa, mają białe puszyste kwiaty...

–Znam to miejsce. Jest dobre albo było dobre do niedawna. Ostatnio zdarza się, że żelazory włamują się do nas tamtędy. Mam jednak nadzieję, że jego dobry duch będzie utrzymywać żelazory z daleka od drzew. – Irielle zastanawiała się przez chwilę głęboko. Chodź, zaprowadzę cię tam. To dobra przestrzeń do powrotu do twojej krainy. Jeśli nie pójdziemy tam zaraz, zaczniesz znikać. To bardzo nieprzyjemne, ja wiem...

Jeszcze raz wyciągnęła ku niemu rękę. Poczł lekkie muśnięcie delikatnych palców.

–Musimy przejść przez Wielką Komnatę – powiedziała Irielle. – Wprawdzie nie

jestem już dzieckiem i mogę chodzić, dokąd tylko chcę, ale Findhal bardzo się przejął, kiedy zostałam porwana przez żelazory. Prosił, żebym nie wychodziła bez opieki z zaklętych miejsc, do których żelazory nie mogą dotrzeć, nawet jeśli mają ze sobą talizmany, które im umożliwiają otwarcie Bramy. Zawsze był dla mnie wspaniałym ojcem, więc nie chcę łamać danych mu obietnic.

Fenton nie poczuł się urażony, mimo że bardzo chciał być sam na sam z Irielle. Myśl, że dziewczyna mogłaby znów wpaść w ręce żelazorów, była wystarczająco przekonująca.

Irielle poprowadziła go z powrotem przez labirynt Wielkiej Komnaty. Odruchowo Fenton zaczął szukać miejsc, które pomogłyby mu zorientować się w przestrzeni. Nie dostrzegł jednak nic, co przypominałoby elementy – zamku? domostwa? budynku? – przez który już raz przechodził. Czyżby Irielle prowadziła go przez inne jego części? Albo, co zaczynał podejrzewać, ta dziwna budowla zmieniała swój kształt, przez co wydawała się wciąż czymś innym. Domyślał się, że w tym wymiarze bardzo trudno jest odnaleźć stałe punkty orientacyjne. Podśluchana rozmowa dwóch strażników potwierdziła jego przypuszczenia.

Irielle znalazła Findhala w miejscu ogrodzonym, które wyglądało na bardziej trwałe. Fenton skojarzył je natychmiast z wytwórnią i składem broni. Leżały tam vrillowe miecze, owinięte w jakiś połyskujący materiał podobny do błyszczącej tkaniny wplecionej we włosy Irielle. Zbroje, tarcze i świecąca broń były ułożone obok. Irielle pospieszyła w stronę Findhala. Rozmawiali w języku Alfarów, którego Fenton zupełnie nie rozumiał. Ale mógł obserwować jej twarz, na której malowała się każda odpowiedź. Wydawało się, że Findhal sprzeciwia się temu, co mówiła. Dwa lub trzy razy spojrzął na Fentona z wyraźnym niezadowoleniem. W końcu skinął głową i powiedział tak wolno, że Fenton usłyszał i zrozumiał:

–Bierz ze sobą miecz, Irielle, zawsze kiedy wychodzisz poza zaklęte miejsca. Oczywiście również wszędzie tam, dokąd idziesz w towarzystwie tego Cienia. – Skinął na dwóch Alfarów, by towarzyszyli Irielle.

Dziewczyna wróciła do Fentona z zasępioną miną. – Mój ojciec nie ufa ci – oznajmiła. – Głównie dlatego, że tu wróciłeś. Większość Cieni tego nie potrafi, w związku z tym podejrzewa, że jesteś w jakiś sposób związany ze światem Pentarna. Wcale nie chciał słuchać, kiedy prosiłam, żeby pokazał ci Dom na Rozstajach, nie chciał ci też dać talizmanu, który umożliwia odnalezienie Domu w każdej chwili. Nie wierzy żadnemu mojemu słowu, mimo że wcześniej nigdy mu się to nie zdarzyło.

–Cóż takiego uczyniłem, że Findhal wątpi w moją uczciwość? – postawa Findhala zaboląła Cama z powodu braku racjonalnych przesłanek. Było to nie fair. W końcu podczas pierwszej wizyty podjął wielkie ryzyko, aby zaprowadzić ich do uwięzionej Kerridis i pomóc Irielle wydostać się z pułapki.

Irielle mówiła dalej wolno, ociągając się:

–Ciągłe się obawia, że możesz być szpiegiem Pentarna, przysłanym, aby zdobyć nasze zaufanie. Pentarnowi już nikt tu nie ufa. Myślę, że Findhal nie pozwoliłby mi nigdzie z tobą iść ani tym bardziej spotykać się, gdybym była młodsza. Nie miej do niego żalu – dodała po chwili. – Musisz wiedzieć, że to jego Pani, Melnia, została zamordowana, gdy żelazory wtargnęły tu po raz pierwszy poza określonym czasem i nie byliśmy na to przygotowani. Wtedy jeszcze ufał Pentarnowi, a nawet polubił go trochę. Do tej pory nie może sobie tego wybaczyć. To straszne nieszczęście. – Twarz Irielle posmutniała. – Wyobraź sobie, że ktoś, kogo... kogo kochasz, umiera w męczarniach w rękach żelazorów.

Fenton poczuł nagłą potrzebę wzięcia Irielle w ramiona, pocieszenia jej, uchronienia przed bólem powracających wspomnień.

–Ty też bardzo ją kochałaś, prawda?

–To ona była moją matką, bo tej prawdziwej właściwie nie pamiętam. Nie mogła mieć dzieci, ale żyli razem przez wiele, wiele lat. Dlatego Findhal zaryzykował wyjście na światło słoneczne, mimo że to wyjątkowo niebezpieczne dla Alfarów, i zabrał mnie z rozbitej dorożki. Bardzo mnie potem kochała... Findhal cierpiał później długo na ostre bóle oczu, obawiał się nawet, że grozi mu ślepotą. Większość Alfarów nigdy by tak nie ryzykowała. Jest tylko kilka w miarę bezpiecznych pór: kiedy Bramy są otwarte, przy wschodzie lub zachodzie słońca, podczas ostatniej fazy zachodzącego księżyca. Musiał ją kochać bardziej, niż mogę to sobie wyobrazić. A teraz ja jestem jedynym żywym wspomnieniem po niej. Drży z obawy, że mógłby mnie stracić. Tak wielu jego braci zginęło od czasu, kiedy Pentarn sprowadził na nas tyle nieszczęść...

–Ale po co? – nie wytrzymał zaszokowany Fenton. – Po co Pentarn miałby wam to wszystko robić? – I pomyślał: Jaki normalny człowiek łączyłby się z żelazorami przeciw Alfarom?

Irielle spojrzała na niego i potrząsnęła głową.

–A w jakim celu zdrajca wydaje swych przyjaciół? Ta odpowiedź miała wystarczyć Fentonowi. Wracali przez Wielką Komnatę, do kępy drzew, która w jego świecie była gajem eukaliptusowym. Fenton powoli uprzytamniał sobie, że krajobraz ulega głębokiej przemianie, a dotychczasowe punkty orientacyjne zmieniają swoje położenie. Rozpoznał kilka szczegółów otoczenia – skałę z występnym kształcie ptasiego dziobu; kilka krzewów z jagodami o dziwnym, miętowym smaku; ścieżkę, która rozszerzała się przed idącym, zagajnik. Ale obraz całości był wyraźnie inny. Fenton wspomniał o tym Irielle, a ona dziwiła się jego niezrozumieniu.

–Cała przestrzeń, którą widzisz wokół, jest oczywiście otwarta, czyli nie została

zakłęta. Czyżby w twoim świecie było inaczej? Jakże nudno musi żyć w świecie, w którym krajobrazy nigdy się nie zmieniają.

Fentonowi przeszkadzała nieco obecność dwóch ludzi Findhala, którzy, uzbrojeni, szli za nim i Irielle z vrillowymi mieczami u pasów. Fenton i Irielle musieli mówić szeptem, aby strażnicy ich nie słyszeli. Irielle, na polecenie Findhala, przypięła miecz do wąskiego, ozdobnego skórzanego pasa w talii.

Chciałbym zabrać jeden z ich mieczy w mój wymiar i sprawdzić, co się z nim wtedy stanie, pomyślał Fenton. Nie chciał teraz o to prosić wiedząc, jak są dla nich cenne i jak skutecznie bronią przed żelazorami. Może później, kiedy będę już odchodził, uda mi się pożyczyć jeden, a potem zbadać go u siebie. Myślał, że miecz byłby niezbitym dowodem na to, że ten świat naprawdę istnieje. Nawet dla Garnocka.

Istnieje, uznał Fenton, nawet jeżeli zmienia się tak jak senne krajobrazy. Jest również możliwe, że ta kraina ma coś wspólnego z naszymi snami... Po chwili złapał się na szokującej myśli: W końcu marzenia senne pojawiają się tylko w okresach snu, zwanych REM, które charakteryzują się szybkim ruchem gałek ocznych. Tak nazwano potem ten typ aktywności mózgu...

Ale czy tak jest naprawdę?

–Czy to ten gaj eukaliptusowy istnieje również w twoim świecie, Fenn-tarn?

Fenton potwierdził ruchem głowy i nagle stwierdził, że ciągle przekręcanie jego imienia zaczyna mu działać na nerwy. Powtórzył je dwa razy i spytał Irielle:

–Czy aż tak kojarzy ci się z Pentarnem?

–Tak – odpowiedziała z drżeniem – tak bardzo, że aż boję się je wymawiać. Czy nie masz innego imienia, którym mogłabym cię nazywać, Cieniu?

–Na imię mam Cam, albo Cameron, jak wolisz. – Cameron! – Oczy Irielle błysnęły z niespotykaną dotąd siłą.

–O co chodzi, Irielle?

Dziewczyna przycisnęła ręce do piersi, by stłumić wielkie wzruszenie.

–Ja nazywałam się między innymi Cameron, kiedy... kiedy żyłam w świecie pod słońcem. Cam-eron powtórzyła powoli zamyślona. = Cam-eron. Cameron... Teraz czuję, że to nie przypadek, iż właśnie ty tu się znalazłeś. Czy jest możliwe, że to jeszcze jedna pułapka, która ma mnie skusić?

–Ty nazywałaś się Cameron? – Czyżby więc naprawdę pochodziła z jego świata?

Cameron było dość popularnym nazwiskiem, ale jako imię, nadawane na chrzcie, było raczej niespotykane. Było to nazwisko rodowe przodków jego matki. Dawno, kilka pokoleń wstecz, przybyli ze Szkocji.

Irielle walczyła z własną pamięcią, a jej twarz mieniła się coraz to nowymi emocjami.

–Irielle to imię, które nadała mi Melnia. Powiedziała, że moje poprzednie jest szorstkie, i raniło jej wrażliwy na dźwięki słuch. Nie słyszałam go już później... po tym, jak odeszłam ze świata pod słońcem. Wydaje mi się, że nazywałam się Emma... Emma Aurelia Cameron... – mówiła niepewnie. – Pamiętam, jak jeszcze w tamtym świecie uczyłam się je pisać na czymś w rodzaju szarej, kamiennej płytki białym, chropowatym kamykiem. – Irielle skupiła się na chwilę, potem uklękła na ziemi między drzewami. Ludzie Findhala podeszli bliżej, a kiedy Fenton oparł rękę na jej ramieniu, zbliżyli się jeszcze bardziej i spoglądali dość podejrzliwie.

Irielle próbowała napisać coś palcem na ziemi, ale ta była zbyt zmarznięta. Po chwili wyciągnęła zza pasa miecz i z wysiłkiem kreśliła linie na twardej ziemi; jej twarz wykrzywiła się.

Pochłonięta czynnością, Irielle odezwała się:

–Tak bardzo mi trudno przypomnieć sobie... Trudno. Nie robiłam tego tak dawno, że zapomniałam. Myślę, że byłam wtedy za mała, żeby dobrze... dobrze pisać. Ale wyglądało to tak.

Fenton przyjrzał się uważnie niezdarstwu, dziecinnemu pismu:

,E l~ l~, ~ ~ ~ l~l ~ o N

Zaskoczony, gapił się na nie przez chwilę. Czyżby jako dziecko uczyła się pisać kredą na tabliczce? Jak dawno temu? Jaki był to okres w jej świecie? Gdzie to się działo? Po ruchu rąk było widać, że nie bardzo wiedziała, jak trzymać się ołówek lub długopis. Ale słowa i litery były bez wątplenia angielskie, a imię amerykańskie lub europejskie.

Podrzutek? Nagle strażnicy wydali ostrzegawczy okrzyk. Irielle podskoczyła przerażona, a miecz upadł przed nią na ziemię. Ludzie Findhala stanęli u jej boków.

Wróg Alfarów, pokraczny żelazor, biegł między drzewami i był już blisko. Fenton kątem oka dostrzegł nadchodzącego za nim Pentarna. W tej samej chwili zdał sobie sprawę, że drzewa wokół dziwnie falują. Raz widział eukaliptusy, a za chwilę znowu szare gałęzie z białymi, puszystymi kwiatami.

–Irielle...

–Odczep się od niej, ty... – Jeden ze strażników z pogardą odepchnął go na bok. Fenton nie czuł już uderzenia, ale raniącą go wściekłość w głosie Alfara. Znow zaprowadziłeś ją w pułapkę Wynos się stąd, a jeśli pojawisz się jeszcze raz, przysięgam, że Findhal obetnie ci głowę!

–Nie! To nieprawda, przysięgam... Irielle... Irielle... Twarz dziewczyny mignęła mu przed oczami. Dostrzegł przestraszone, błagalne spojrzenie Irielle. Alfarowie walczyli. Słyszał szcęk mieczy, które uderzały o ogromne noże w rękach straszliwego żelazom. Poczuł silne uderzenie w tył głowy. Świat wybuchnął mrokiem i już nie powrócił.

Nad głową Fentona ciemniał gaj eukaliptusowy. Jak długo leżał nieprzytomny między drzewami? Wokół falował jego świat i Fenton czuł uporczywe szarpnięcia... Muszę wracać do ciała...

Co by się stało, gdybym został poza nim zbyt długo? Irielle! Czy udało jej się uciec? Czy straż Findhala zdołała jej zapewnić bezpieczeństwo? Patrzył z wściekłością na rosnące wokół drzewa, jakby chciał wymusić na nich odpowiedzi i dowiedzieć się, gdzie jest dziewczyna.

Może nadal jest gdzieś tutaj, leży obok walcząc ze śmiercią albo już nie żyje, a ja nie mogę jej zobaczyć... Fenton czuł dręczącą go niemoc. Po raz drugi wyrzucam go z tej krainy w najistotniejszym momencie, kiedy stawała się dla niego realna i bliska.

Jak mógłby tam wrócić? Czy w ogóle mógł wrócić? Czy było tam coś wystarczająco realnego, do czego można by wracać?

Po chwili zauważył coś na ziemi pomiędzy drzewami. Znaki były częściowo zatarte przez ślady stóp, prawdopodobnie zdeptane podczas walki, ale ciągle widoczne, wyryte głęboko mieczem w ziemi, która w tamtej krainie była zamarznięta.

~ r~, ~ ~ ~ A M N

Reszta liter zniknęła, ale tych kilka przetrwało tutaj, w tym świecie. Dowód.

Uniesienie Fentona zostało nagle przerwane, kiedy uświadomił sobie swoje położenie. Ciągle był poza swym ciałem, we śnie, czy jakkolwiek by nazwać ten stan.

Muszę tu przyjść jak najprędzej, sprawdzić te znaki, zrobić zdjęcie, jeżeli się da...

Wstał powoli i poczuł zdecydowane szarpnięcia w okolicy pasa. Pozwolił kierować sobą w stronę Smythe Hall aż do miejsca, gdzie leżało jego ciało.

ROZDZIAŁ 6

Na drzwiach laboratorium parapsychologicznego wisiała kartka:

**SALLY LOBECK odwołuje zajęcia w tym
tygodniu.**

**W ważnych sprawach proszę dzwonić: WA
56-77312**

Głos Sally przez telefon był poirytowany i oschły. – Chyba zwichnęłam sobie nogę w kolanie. Mój

były mąż ma samochód z automatyczną skrzynią biegów i do końca tygodnia postaram się z nim zamienić, ale na razie jestem uwięziona i nie mogę prowadzić swojego. Najlepiej by było, gdybyś tu przyjechał. Mam względnie dobry sprzęt do nagrywania. Nie mogę sobie pozwolić, żeby mi przepadł cały tydzień rozmów i spotkań. Poza tym za tydzień już nic nie będziesz pamiętał.

Sally udzieliła Fentonowi jeszcze kilku wskazówek związanych z dojazdem, przy czym ograniczyła się do niezbędnej wymiany grzeczności.

–Może coś kupić po drodze, skoro jesteś więźniem swego domu?... – zapytał Fenton.

–Nie, dziękuję – ucięła szorstko. – Nic mi nie potrzeba. Tylko nie zapomnij zabrać taśmy, którą nagraliście z Garnockiem.

Przechodząc przez kampus w kierunku Euclid Avenue, Fenton zastanawiał się, czy Sally rzeczywiście aż tak go nie znosi. Może po prostu nie lubi mieszania pracy z życiem prywatnym i wolałaby chłodną i oficjalną atmosferę własnego gabinetu w Smythe Hall? Nastrój Sally wydawał mu się nieodpowiedni. Nie lubił tego rodzaju osobistych niesnasek w czasie pracy, która była – albo powinna być – obustronnym, szczerym wysiłkiem i zaangażowaniem.

Szedł ścieżką w pobliżu kępy drzew eukaliptusowych i wiedziony impulsem zboczył z niej na chwilę. Przyszedł tu wprawdzie poprzedniego dnia, po wyjściu z gabinetu Garnocka, ale nagrywanie taśmy przeciągnęło się i było już bardzo późno. Nie mogli tego przełożyć, bo pospiesznie nagrywali, żeby Fenton nie zapomniał szczegółów. Kiedy dotarł na miejsce, urobiło się bardzo ciemno; wszystkie latarnie były wyłączone; oszczędzano energię elektryczną. Mógł wprawdzie wrócić tu z latarką, ale po kilku gwałtach na terenie kampusu wzmocniono ochronę. Nie bardzo

wyobrażał sobie, jak wytłumaczyłby to, że kręci się między drzewami szukając na ziemi śladów liter, które napisał ktoś w innej rzeczywistości.

Nawet przy świetle dziennym nie chciałby tego tłumaczyć.

Berkeley powiększa się każdego roku, pomyślał Fenton. Za moich czasów studenckich było to jeszcze ciągle małe miasteczko. Niektórzy studenci zostawiali mieszkania nie zamknięte, a kradzieże zdarzały się bardzo rzadko. Jeżeli dzisiaj zostawi się otwarte mieszkanie, choćby tylko po to, aby wyrzucić śmieci, można tego gorzko żałować.

Zagajnik był prawie pusty. Nieduża grupka studentów siedziała przy stoliku na sekwojowej ławie z komputerowym notesem. Figurki ludzi skakany przed nimi na kolorowej planszy; grali pewnie w Dungeons Dragons' [prawa autorskie do gry są własnością TSR Hobbies, Inc. (przyp. aut.)]

albo coś w tym rodzaju. Długo przetrwała ta moda, zauważył Fenton. Sam grałem w to jak opętany, kiedy studiowałem. Moda na tę grę odchodziła, a potem wracała dwa lub trzy razy, podobnie jak moda na deskorolki i frisby. Te spostrzeżenia nie wprowadziły go w dobry nastrój. Poczuł się starszy i bardziej zmęczony od tych studentów, poubieranych w kolorowe i nieco zwariowane stroje, którzy pochylali się rozbawieni nad małymi figurkami rycerzy, czarnoksiężników, wojowników.

A niech to szlag... Miał jeszcze wystarczająco dużo naukowego dystansu, by sobie uzmysłwić, że postacie z jego doświadczeń po antarilu nie różniły się zbyt od tych, które występowały w epizodach gry Dungeons Dragons.

Całkiem zapomniałem, że grałem w to bez przerwy na pierwszym i drugim roku studiów. Pamiętam, że kiedyś rozgrywaliśmy partię, która ciągnęła się, z przerwami, prawie dwa tygodnie. Nie pobiliśmy jednak rekordu – słyszałem, że jacyś ludzie z Newman Hall grali przez cały semestr – ale cóż to była za gra! Musiała zapaść mi głęboko w pamięć. Może stąd właśnie wzięły się sylwetki Alfarów?

Uświadomienie sobie tych kilku faktów nie poprawiło Fentonowi samopoczucia, ale przygnębiło go jeszcze bardziej.

Do diabła, chcę, żeby to było realne! Myśl, że Irielle może być sennym marzeniem, wytworzonym po części pod wpływem powieści Tolkiena, a po części gry Dungeons Dragons z czasów studenckich, przerażała go.

Popatrzył na zdeptaną ziemię między drzewami eukaliptusowymi. Oczywiście, z napisu wrytego w ziemi nie zostało ani śladu. Jeżeli nie zdeptała go wieczorem jakaś parka poszukująca samotności, żeby odprawić swoje godowe rytuały, to z pewnością dzieła zniszczenia dokonali studenci idący na poranne wykłady. Nie miał zamiaru wypatrywać znaków z nosem przy ziemi na oczach grupki młokosów

zebranych wokół planszy ze skaczącymi figurkami, znaków, które zostały po magicznym mieczu z innego wymiaru... albo wszystko to śniło mu się tylko i było halucynacją wywołaną narkotykiem.

Znajduję sobie świetne wymówki, żeby nie szukać i nie upewnić się.

Rozzłoszczony sam na siebie, zaczął z determinacją wypatrywać drzewa, pod którym klęczeli z Irielle tuż przed napadem żelazom. Ślady butów biegnące w różnych kierunkach tworzyły taką gmatwaninę, że nawet Sherlock Holmes nie wydedukowałby z nich nic sensownego.

–Hej, koleś, masz jakiś problem? – zapytał jeden z graczy. – Zgubiłeś szkła kontaktowe, czy co?

–Nie jestem pewien – odpowiedział Fenton; czuł się jak kretyn. – Chyba zostawiłem tu coś wczoraj w nocy, ale nie wiem na pewno.

–Imprezka była, co? – Student cmoknął. Przeszli obok Fentona, a za nimi unosiły się kłęby dymu z długich, brązowych papierosów. Cam skrzywił się rozpoznawszy słodki zapach marihuany. Opasłe tomy regulacji prawnych dotyczących marihuany zalegały pewnie stosami na jakichś półkach, ale były nieskuteczne i całkowicie lekceważone. Za ponad uncję narkotyku płaciło się jedynie dziesięć dolarów. Prawo antynikotynowe wydawało się o wiele bardziej surowe.

Fenton nie był zagorzałym zwolennikiem żadnej z tych używek. Nie obchodziło go również, czy ktoś pali czy nie, dopóki nie wymuszał na nim samym biernego palenia. Próbował więc teraz unikać unoszących się oparów narkotyku i odwrócił twarz do wiatru. I wtedy zobaczył wydrapane linie, które mogły być „E”, zniekształconym „M” lub częściowo startym „M” pochylającym się w odwrotnym niż trzeba kierunku. Niepewne, koślawe, dziecinne pismo Irielle.

Pobożne życzenia? Albo dowód na to, że chcę zbyt wiele? Jeżeli te litery są realne, to Irielle rzeczywiście istnieje.

Ale nie był pewien. Nie mógł być pewien. Kuszącą myśl, żeby poprosić grających w Dungeons Dragons, aby podeszli i stwierdzili, czy to mogłyby być litery, szybko odsunął. Świadcowie? Pięciu odurzonych studentów, którzy – co wywnioskował po zapachu uprawiali w domowym ogródku, a potem suszyli na powietrzu najlepszy gatunek marihuany. Wyobrażał sobie, co każdy przeszkolony prowadzący dochodzenie badacz zrobiłby z tego rodzaju dowodem, co on sam by zrobił, gdyby ktoś przedstawił mu takich świadków.

W tej samej chwili poczuł, na widok resztek nie zatartych liter cała, męcząca go depresja zniknęła bez śladu. Nadzieja, możliwość ciągle istniały. Istniała szansa, że Irielle może być rzeczywista. Czy raczej Emma Cameron.

Sally Lobeck mieszkała w brązowym domu, w jednym z niewielu w pobliżu Arch Street, których nie wyburzono pod budowę akademików podobnych do wielkich pszczelich uli. Mały korytarz, który był kiedyś holem wejściowym, przebudowano, aby zmieścić domofony, skrzynki na listy, monitory i inne najnowocześniejsze instalacje przeciwwłamaniowe. Na próżno Fenton szukał nazwiska LOBECK na wizytówce lub skrzynce na korespondencję. Potem, dopisane ołówkiem pod TUNNER, zobaczył wreszcie LOBECK, S. Prawda, wspomniała przecież coś o eks-mężu, z którym była w dobrych układach – albo przynajmniej na tyle dobrych, żeby pożyczyć samochód – i mogła ciągle nosić jego nazwisko lub nosiła je, kiedy wynajmowała mieszkanie.

Nacisnął guzik i po chwili usłyszał zniekształcony przez domofon głos Sally:

–Schodami w górę i na lewo, Cam.

Zabrzączał dzwonek, Fenton pchnął drzwi i udał się na górę.

Sally otworzyła drzwi. Nogę miała grubo obandażowaną, wyglądała mizernie i blado. Nie była u fryzjera... Sama, nie najlepiej, przyczesła włosy. Miała na sobie sfatygowaną podomkę, przy której brakowało kilku guzików. Wykonała ręką zamaszty, przepraszający gest.

–Sam widzisz, dlaczego taki tu bałagan. Wejdz, Cam. Jeżeli chcesz się napić kawy, to musisz sobie zrobić. Wytrzymuję na tej nodze do dwóch minut. Ciężko pokuśtykała w kierunku sofy zawalonej książkami i papierami.

–Sam nic nie chcę, ale może tobie coś zrobić? – Kawy – odpowiedziała; na jej twarzy pojawił się grymas bólu. – Stanie na tej nodze, żeby zrobić sobie kawę, wymaga większej wytrzymałości.

–Och, w takim razie...

Sally miała mały, elektryczny ekspres do kawy. Zgodnie z jej wskazówkami Fenton znalazł pojemnik z kawą i włączył ekspres do sieci. W kuchni, podobnie jak w całym mieszkaniu, panował nieład. Kiedy kawa była gotowa, Cam zaniósł filiżankę Sally. Podniosła naczynie do ust i uśmiechnęła się błogo.

–Zdołałam sobie zrobić tosta i ugotować jajko, ale brakowało mi filiżanki porannej kawy.

–Powinnaś być w szpitalu. Nie zawieźli cię do Cowell? Jak to się stało?

–To? – Wskazała zabandażowane kolano. – Czysta głupota. Zrobiłam coś, za co sprząłabym małe dziecko. Codziennie wykonuję ćwiczenia baletowe z pożytkiem dla talii. I nagle spróbowałam je robić bez przebrania się w strój do świczeń.

Poślizgnęłam się i upadłam. Nie podarłam spódnicy, ale mam kontuzję kolana. Zbiegł się tłum. Znieśli mnie na noszach. Ale nie mogłam zostać w szpitalu, za dużo umówionych spotkań mam w tym tygodniu.

–Czy jest pęknięte? Potrząsnęła głową.

–Mówią, że nie. Tylko rzepka się przemieściła i mięsień jest stłuczony. Ale boli paskudnie, bardziej niż złamanie. – Odstawiła filiżankę, żeby unieść nogę obiema rękami i położyć ją na sofie. – Kiepsko, ale jakoś sobie radzę.

–Musi być ci ciężko, skoro mieszkasz tu sama. – Jedyne rzecz, której nie mogę zrobić, to wejść i wyjść spod prysznic. A jeżeli chodzi o higienę... Wiesz, wychowałam się na dość prymitywnej farmie i mycie się w kuchennym zlewie nie jest dla mnie wielkim problemem... oczywiście pod warunkiem, że taka sytuacja nie trwa zbyt długo. To już lepsze niż gnienie w szpitalu i zamartwianie się tym wszystkim, co powinnam robić tutaj. – Mówiła ponuro, ze złością. Dobrze, że mój były mąż zgodził się na tymczasową zamianę samochodów. Jego auto mogłabym' prowadzić nawet bez jednej nogi. Jest wyposażone w automatyczną skrzynię biegów i ma tylko jeden pedał, nie byłoby więc kłopotów ze sprzęgłem. Prawdopodobnie wybiorę się na wykłady już pojutrze.

–Kiedy się rozwiedliście? Wzruszyła ramionami.

–W obliczu prawa trzy miesiące temu, w rzeczywistości ponad półtora roku. Byłam potem przez jakiś czas zwolenniczką Wyzwolonych Kobiet, krótko żyłam nawet w kobiecej komunie. To było wartościowe doświadczenie, zorientowałam się, że życie w grupie jest zupełnie nie dla mnie. Okazało się, że zbyt lubię moją prywatność i nie potrafiłabym pracować w grupie, i znosić innych ludzi, bez przerwy kręcących się wokół. Ale one stwierdziły, że moja reakcja bierze się stąd, iż tak naprawdę w głębi duszy jestem drobnomieszczańską żonką. A ja po prostu przekonałam się, że lepiej znoszę samotne życie niż samotność w stadzie innych ludzi. Fenton pokiwał głową ze zrozumieniem.

–Z tego samego zdałem sobie sprawę w wojsku oznajmił. – Przedtem pomysł życia w komunie bardzo mi się podobał. Później zrozumiałem, że byłbym gotów zabić dla możliwości posiadania własnego pokoju zamykanego od środka na klucz.

–Małżeństwo mi nie przeszkadza – powiedziała i wzruszyła ramionami po raz drugi. – Ale okazało się, że Tom nie jest po prostu tym człowiekiem, który mógłby być przy mnie do końca życia. Kiedy kobieta wychodzi za mąż głównie po to, by uciec z domu, nie zastanawia się zwykle nad zagadnieniem, czy wytrzyma z wybranym mężczyzną do końca życia.

–Masz przynajmniej to szczęście – rzekł Fenton że nie musisz sama wychowywać

dziecka.

Twarz Sally stężała nagle.

–Też tak sobie mówiłam zaraz po śmierci Susanny. Miała trzy latka.

Napięcie na jej twarzy powstrzymało Fentona od wyrażenia współczucia w jakikolwiek sposób.

O Boże, chyba się zagalopowałem.

Zobaczyła, jak bardzo czuje się zakłopotany i zrobiło jej się go żal.

–Nie mogłeś wiedzieć... Zabierzmy się wreszcie do roboty, dobrze? Czy przyniosłeś kasetę nagranych z Garnockiem? Włóż do magnetofonu i przyciśnij czerwony guzik, PLAY.

Jej sprzęt stereofoniczny był ogromny i, jak nic poza nim w mieszkaniu, bardzo zadbane: dokładnie odkurzony, a taśmy z nagraniami skrupulatnie poukładane. Sally miała dużo muzyki klasycznej, trochę dobrego jazzu, jakiś folk, ale nic nowszego. Fenton przyglądał się kasetom z nagraniami, nie zwracając uwagi na własny głos dobiegający z taśmy. Wreszcie się zainteresował w momencie, kiedy Irielle oświadczyła, że poprosi Findhala o pomoc w odnalezieniu Domu na Rozstajach, żeby Fenton mógł przychodzić, kiedy tylko zechce. Słyszał, jak drży mu głos: „A potem doświadczyłem silnego przyływu uczuć...”

Sally wyciągnęła rękę, by zatrzymać taśmę, a następnie zwróciła się do Fentona; jej głos znowu był profesjonalnie chłodny:

–Mógłbyś opisać te emocje?

Ton Sally uderzył go. Już miał ochotę powiedzieć: „Tak, mógłbym, ale nie mam zamiaru”, lecz upomniał sam siebie. Był w końcu naukowcem biorącym udział w projekcie badawczym, a nie pacjentem, który poddaje się indywidualnej, psychologicznej analizie swoich snów i fantazji. Odpowiedział tak oschle, jak tylko umiał:

–W tym właśnie momencie wydawało mi się, że bardzo chcę, żeby moje przeżycia były realne. Można by powiedzieć: żeby były rzeczywistością obiektywną, a nie subiektywną.

–To się czasami zdarza – zauważyła z roztargnieniem, jakby przestała się na chwilę kontrolować. Znam to uczucie. – Chyba przyłapała się na braku panowania nad sobą.
– Jedziemy dalej, Cam. Przerywaj, jeżeli będziesz chciał coś dodać.

Ale Fenton nie chciał już nic dodawać. Słuchał swoich słów i obserwował dłonie Sally robiącej notatki. Miała długie, szczupłe ręce, delikatnie zwężone w nadgarstkach. Jej smukłe blade palce były zakończone wąskimi paznokciami, błyszczącymi, ale nie pomalowanymi. Sally jest zwyczajną kobietą, pomyślał, szczególnie teraz, ubrana w nijaką podomkę. Ale ma piękne dłonie, i jest w nich coś... coś w sposobie, w jaki nimi porusza, co zmusza mnie, by pomyśleć o Kerridis, kiedy podawała mi delikatnie rzeźbioną metalową filiżankę. Zachęcony wspomnieniem, wziął do ręki ołówek i próbował naszkicować filiżankę i delikatny wzór na jej brzegu. Ale gdy podał rysunek Sally, nawet na niego nie spojrzała, odłożyła go na bok i wysłuchała do końca nagrania.

Potem, po dłuższym milczeniu, oświadczyła:

–Cam, myślę, że powinieneś poprosić Garnocka, by wykluczył cię z projektu.

Zareagował z przerażeniem: Nie zobaczyłbym już nigdy Irielle... Boże! Ale czyż nie jest to dowód na to, co mówi Sally?

–Jestem psychologiem – powiedziała z wymuszonym uśmiechem. – Otrzymałam licencję Amerykańskiego Stowarzyszenia Psychologicznego, jeżeli to ma jakieś znaczenie. Naprawdę nie chcę stracić interesującego przypadku, a niewątpliwie jesteś jednym z najbardziej ciekawych badanych. Analiza tego materiału byłaby frapująca, jesteś w pracy bardziej pomocny niż wszyscy pierwszacy z tej grupy. Ale, jak mówię, jestem psychologiem. Czubkiem, jeśli wolisz. Dla twojego dobra poproszę Garnocka, by wyłączył cię z projektu. To staje się dla ciebie zbyt realne...

Fenton sam był psychologiem i wiedział, że w tym co mówi Sally, jest dużo racji. Był wystarczająco biegły w swojej dziedzinie, żeby zdawać sobie sprawę, iż w parapsychologii badacz musi wykazać się dużymi umiejętnościami skutecznego zapobiegania własnym neurotycznym fantazjom i potrzebom. Właśnie ten wymóg, o czym Fenton wiedział, dzielił parapsychologów na badaczy i tak zwanych Wyznawców Prawdy Objawionej. Badacz dążył do prawdy bez emocjonalnego przywiązania do jednej teorii i bez przeciwstawiania się każdej innej.

Jednak dążenie, aby się dowiedzieć, czy jego doświadczenie było rzeczywistością obiektywną, czy subiektywną, wydało mu się równie ważne. Odpowiedział Sally:

–Rozumiem, do czego zmierzasz. Postaram się zwrócić na to uwagę. Ale mój raport zawiera opis emocjonalnego zaangażowania, które było częścią mojego doświadczenia, taką samą częścią jak każda inna.

–To prawda – przyznała.

–Chciałbym, mimo zagrożeń, kontynuować badanie.

Wzruszyła ramionami.

–Cóż, niebezpieczeństwo czyha na ciebie, nie na mnie. – Wzięła do ręki szkicownik z rysunkiem filiżanki. – Chciałabym to zatrzymać i dołączyć do reszty materiałów, jeżeli pozwolisz. Czy znasz pracę Warlocka Signs and Symbols of the Celtic Faith in Ireland („Znaki i symbole celtyckich wierzeń w Irlandii“)?

Fenton zastanawiał się przez chwilę, a potem zaprzeczył:

–Nie sędzę. Folklorystyka porównawcza nigdy mnie nie fascynowała. Nie mogę przysiąc, że nie przeglądałem kiedyś tej książki, zresztą nie ma sensu próbować teraz tego udowodniać. Dlaczego pytasz?

Potrząsnęła głową i odparła:

–Och, nic takiego... – Włożyła rysunek do segregatora. – Myślę, że to wszystko, czego potrzebuję.

Kiedy Fenton wychodził, zawahał się.

–Jak radzisz sobie z zakupami, gotowaniem, tym wszystkim?

–Jakoś sobie radzę. Nie jestem wzorową panią domu. Jak zdążyłeś zauważyć, nie wysilam się zbytnio. Nie narzekam i nie przeszkadza mi puszkowe jedzenie. Nie mam ochoty męczyć się i stać na tej nodze tylko po to, żeby coś ugotować.

Dostrzegł grymas bólu powoli rysujący się na twarzy Sally. Spontanicznie zaproponował:

–Co byś powiedziała na to, gdybym skoczył do Chińczyka i przyniósł trochę smakołyków do jedzenia?

–Nic nie sugerowałam – odrzekła sucho.

–Nawet mi to nie przyszło do głowy – odparł lekko poirytowany. – Chyba jesteś trochę nadwrażliwa, Sally. Czy nie przyszło ci nigdy do głowy, że facet może wykonać zwykły gest ludzkiej życzliwości bez niecnych zamiarów? Wyobraź sobie, że ja sam lubię chińską kuchnię, a poza tym znudziły mi się posiłki we własnym towarzystwie. A może wolisz rybę z frytkami albo kurczaka z rożna?

Zaśmiała się i potrząsnęła głową.

–Broń Boże, nic innego nie jadłam przez ostatni rok mojego życia z Tomem. Jednym z powodów, dla których rozpadł się nasz związek, był fakt, że przestałam gotować. Oboje prowadziliśmy na uniwersytecie zajęcia w pełnym wymiarze godzin i zupełnie

nie rozumiałam, dlaczego po powrocie do domu ja mam gotować kolację, a on leżeć z nogami do góry i czytać profesjonalne czasopisma. Rzuciłam więc gotowanie, prałam tylko własne rzeczy i tak dalej. Oczywiście nie spodobało mu się to. Teoretycznie rzecz biorąc, zgadzał się w zupełności, że powinnam brać na siebie połowę obowiązków, ale gdy przyszło do praktyki, odnosił się do tego mniej więcej tak: „Po co mi żona, jeśli nie może za mnie prac i sprzątać?” Tak było we Fresno, tak jest teraz, i będzie na wieki, in saecula saeculorum, amen. W każdym razie uwielbiam chińskie jedzenie. Szczególnie wonton. Prawie wszystko oprócz smażonych kałamarnic. Jestem starym szczurem lądowym z Fresno i kiepsko sobie radzę z poskręcanyimi czułkami kałamarnic, nawet po usmażeniu.

Fenton narzucił na siebie płaszcz.

–Jeżeli o mnie chodzi, uwielbiam kaczkę. Kaczkę w każdej postaci, kaczkę pieczoną, kaczkę wonton, kaczkę z rusztu, kaczkę z migdałami...

–W takim razie zdaję się na twój wybór.

Posmakowawszy różności na wynos z Hop Lee Chinese, zaczęli rozmawiać swobodniej. Podejrzliwość gospodyni zniknęła i Sally zaczęła opowiadać, w jaki sposób poważnie zainteresowała się parapsychologią.

–Moja matka była spirytystką – mówiła Sally. Ciągle miała do czynienia z różnymi nawiedzonymi i mediami, oczywiście jedno gorsze od drugiego. Ale chodziła też do uzdrowiaczy i rzeczywiście nigdy nie chorowała. Zaintrygowało mnie to – czyżby jej wiara w dziwne zjawiska utrzymywała ją przy zdrowiu? Wtedy zdecydowałam się na studiowanie psychologii, ale szybko się zorientowałam, że psychologia jako nauka „obcina” co najmniej połowę ludzkiej psychiki. Kiedy dorastałam we Fresno, wszystko co wiedziałam o religii, zawężało się do Biblii i, sam rozumiesz, nie mogłam tego zaakceptować. Ciągłe, obłudne powoływanie się na Biblię współistniało ze ślepą wiarą w materializm naukowy, a obok tego w model nauki, który skończył się w 1960 roku wraz z przełomem w fizyce współczesnej.

Uświadomiłam sobie, że takie poglądy dotyczące nauki są równie irracjonalne jak obłudne traktowanie Pisma świętego. Wielogodzinne modły o zbawienie duszy z jednej strony, a z drugiej nieustanne wysiłki, aby szczęśliwy moment pójścia do nieba odsunąć choćby o jeden dzień. Albo niedostrzeganie faktu, że ukochana nauka robi idiotów z pastorów i podważa w religii wszystko, w co tak śmiertelnie wierzą. Na jakiś czas dałam sobie w ogóle spokój z religią. Ale szybko zrozumiałam, że nie mogę tak po prostu zamienić religii na naukę, jak to czyni wielu ateistów. Zaczęłam szukać innego modelu wszechświata, który mogłabym uznać za swój. Kiedy się uczyłam w college'u, dowiedziałam się, że nowa fizyka w prostej linii prowadzi do nowej psychologii, a dalej do modelu parapsychologicznego. No i... – wzruszyła ramionami – jestem właśnie tutaj. A jak było z tobą?

–Zajmowałem się ludźmi niezwykle utalentowanymi – zaczął Fenton – i zafascynował mnie pomysł poznania źródła ich nieprzeciętnych umiejętności. Na pierwszym roku studiów zobaczyłem, jak człowiek podłączony do EEG modyfikuje wykres swoich fal mózgowych posługując się biofeedbackiem, a potem obserwowałem jogina, który zmieniał rytm bicia serca i ciśnienie krwi podczas medytacji. Poszedłem na zajęcia do Garnocka, potem jeszcze raz i... wciągnęło mnie.

–Można by napisać ciekawą pracę – zauważyła Sally. – Byłaby próbą wyjaśnienia przyczyn, dla których różni ludzie wybierają parapsychologię. Choćby na podstawie tego, co sądzą psychologowie od samego początku, jest to próba skompensowania przez danego człowieka własnych, neurotycznych potrzeb. Ja szukam innego modelu wszechświata, by porzucić stary, zbyt uproszczony, który wpojono mi w dzieciństwie w prowincjonalnym Fresno. Ty poszukujesz wyjaśnienia dotyczącego władz ludzkiego ciała i umysłu, które są dla ciebie niezwykle i pociągające. Chcesz udowodnić, że człowiek naprawdę je ma. Jestem przekonana, że wykonanie profilu psychologicznego każdego pracownika naszego instytutu byłoby interesujące i wartościowe z naukowego punktu widzenia. Dowiedzielibyśmy się, do jakiego stopnia badania, które prowadzi dany naukowiec, zaspokajają jego neurotyczne potrzeby.

Sally uśmiechnęła się nagle inaczej, ciepło i czarująco.

Jeszcze raz, ku własnemu zaskoczeniu Fenton pomyślał o Kerridis. Ona miała jasne włosy, a Sally jest brunetką, ale głos, kiedy się nie kontroluje i kiedy ustępuje jej zawziętość, ma miękki i melodyjny, a dłonie subtelne. Łatwo mógł sobie wyobrazić Sally wykonującą ćwiczenia baletowe. Byłaby piękna, gdyby się odprężyła. Napięcie czyni ją nijaką, prawie brzydką. Zaczął się zastanawiać, czy tworząc wyobrażenie Kerridis, jeżeli rzeczywiście je tworzył, podświadomie nie wzoruje się częściowo na Sally. Odezwał się miękkiem głosem:

–Jakie potrzeby neurotyczne ty zaspokajasz, Sally? – Och... – Ciągle się uśmiechała, spokojna. – Może chcę sobie udowodnić, że inni ludzie też mają neurotyczne problemy, że nie jestem osamotniona w swojej neurozie, a ci z Fresno nie są tacy mili i normalni, jak myśleli o sobie. Myśleli tak o wszystkich oprócz mnie.

Przeciągnęła się jak kot, ale zaraz potem skrzywiła; ból znów pojawił się na jej twarzy, napięcie powróciło, Sally złapała się za kolano.

Fenton spytał szybko:

–Masz jakieś proszki przeciwbólowe?

–Dostałam coś od lekarza w Cowell. Jest w szafce w łazience. – Nie protestowała, kiedy poszedł przynieść lek.

Fenton grzebał chwilę w nie uporządkowanej apteczce, aż znalazł fiolkę z pigułkami, na której widniało nazwisko Sally, trzy dni wcześniejsza data i instrukcja: „Dwie tabletki w razie ostrego bólu.” Przyniósł Sally dwie tabletki i szklankę wody. Począł, aż połknie, odniósł szklankę, usiadł obok Sally, schylił się i, powodowany nagłym impulsem, pocałował ją.

Wzdrygnęła się i odchyliła w bok. Fenton opanował się prędko i odsunął od niej.

–Przepraszam, Sally. To było... mało eleganckie wykorzystanie okazji.

Zaprzeczyła ruchem głowy. Miała zgrabną i długą jasną szyję.

Fenton pomyślał, że chciałby pocałować ją jeszcze raz.

–Nie bez mojego zaproszenia, Cam. Jak już prowokuję, to nie powinnam uciekać. – Poprawiła się na siedzeniu i dodała niepewnie: – Jak miałbyś inne pomysły, co by mnie zbyt nie martwiło, musiałyby poczekać do chwili, kiedy mój staw kolanowy znów osiągnie stan używalności. Obawiam się, że w takiej sytuacji mogłabym jedynie doznawać sensacji fizycznych, i to dość nieprzyjemnych, w okolicy kolana.

Było oczywiste, że Sally odkryła karty i Fenton już się nie bał, iż zostanie odepchnięty. Pochylił się znowu i pocałował jej białą szyję. Jednocześnie poczuł niesmak z powodu tego, co robił.

Obcowaniem z realną kobietą wynagradzam sobie strach, pomyślał Fenton, że Irielle może się okazać nierzeczywista... I to właśnie w pewnym sensie było mało eleganckim wykorzystaniem Sally. A może zachowywał się tak z powodu jej przypadkowego podobieństwa do nieosiągalnej Kerridis?

Jednak kiedy ramiona Sally otoczyły jego szyję, uznał, że problem jest całkowicie wydumany. Ona była tutaj naprawdę, i chciał ją. Wiedział i akceptował fakt, że z powodu fizycznej niedyspozycji Sally kochanie się z nią nie będzie czynnością zbyt wyrafinowaną, zanim nie ustąpi dolegliwość jej kolana. Ale nie była to pierwsza z brzegu pokusa, bo naprawdę Sally go obchodziła. Chciał widzieć, jak napięcie i gorycz znikają z jej oblicza, jak się odpręża, jak powraca jej czarujący uśmiech. Zamiast spiętej, oschłej i niedostępnej twarzy, którą pokazywała studentom, chciał znowu widzieć Sally taką, jaką widział przez krótką chwilę. Raz ujrawszy blask innej Sally zza surowej fasady, poczuł, że nie będzie w pełni zadowolony, nim jej nie wyciągnie – dla siebie – na światło dzienne.

Delikatnie, opuszkami palców pogładziła go po policzku.

–Byłam zazdrosna – rzekła cicho – że tak bardzo może cię pociągać dziewczyna ze snu. Miałam na ciebie ochotę, nawet poprzednim razem. Było trudno nie... nie okazać tego. – Westchnęła bezsilnie. – Fresno umiera we mnie wolno. Można zabrać

dziewczynę ze wsi zabitej dechami, ale trudniej wyrzucić z niej tę wieś. A we Fresno kobiety tego nie okazują... Och, Cam, Cam, nie powinnam tak mówić...

–Nie – przerwał jej pocałunkiem – nie powinnaś. Ale nawet w tym nagłym przypiływie czułości czuł się niespokojnie, wrednie.

Czy zdradzał Irielle z Sally? A może Sally... z Irielle?

ROZDZIAŁ 7

Wypadek z kolanem Sally był pierwszym z serii drobnych niepowodzeń, które załamały tej zimy prace Instytutu Parapsychologii. Najpierw Marjie, asystentka Garnocka, a potem sam Garnock rozchorowali się na szalejącą podczas zimy teherańską grypę, jak ją nazwano. Dwie następne sesje Fentona w laboratorium ESP, z antarilem, zostały odwołane. Fenton miał więc aż za dużo wolnego czasu i męczyły go domysły, czy Irielle pomyślała sobie, że zapomniał o niej albo że przestraszył się grózb Findhala i boi się wrócić.

Ciekawe, czy jest jakiś sposób, żebym dostał się do tamtego wymiaru, tak jak to zrobił Pentarn – jako byt cielesny? Irielle nazywała osobę w tym stanie Przechodniem, a nie Cieniem, ale co to naprawdę oznaczało? Pentarn rzucał cień i mógł dotykać przedmiotów.

Cam uznał, że zagalopował się trochę. Musi przestać o tym myśleć i szybko wrócić na ziemię. Nie powinien naiwnie wierzyć, że tamta nieznana kraina, którą odwiedził, jest obiektywnie istniejącym światem.

Stracił poczucie pierwotnej celowości eksperymentów Garnocka – przetestowania środka, który niezwykle podnosił percepcję pozazmysłową. Wiedział, choć nie przyznałby się głośno do tego, że eksperyment profesora zupełnie przestał go interesować, czuł się jak zdrajca, ale był tego najzupełniej pewien – rzeczywiście eksperyment go nie obchodził. Jakie znaczenie miał fakt, że podczas rozszczepienia wywołanego antarilem Fenton mógł podejść bez ciała do Marjie i zobaczyć karty, które wykladała w przestrzeni niedostępnej dla jego normalnych zmysłów? I tak nikt by w to nie uwierzył. Przypomniało mu się zdanie wypowiedziane przez kogoś w czasach, kiedy uczęszczał do szkoły niedzielnej: „Nawet gdyby ktoś powrócił z krainy śmierci, nikt by mu nie uwierzył.” Ogólnie rzecz biorąc, Fenton był w wystarczającym stopniu psychologiem, by zdawać sobie sprawę z tego, że ludzie wierzą jedynie w to, w co sami chcą wierzyć i porządkują fakty w sposób dogodny dla siebie. Czy resztę swego życia miał spędzić na rozstrzyganiu niekończącego się sporu z wyznawcami poglądu o „płaskiej ziemi” umysłu ludzkiego? Czy propagatorzy programu kosmicznego nie tracili bezsensownie czasu i energii na bezowocnych próbach przekonania owych Wyznawców Prawdy Objawionej, którzy lepiej wiedzieli, że nikt nigdy nie był na Księżycu? Co więcej, byli również przeświadczeni, że rządy i społeczności naukowe czterech państw uknuły spisek, którego celem była gigantyczna mistyfikacja.

Jakie znaczenie miałyby więc definitywne udowodnienie istnienia u wybranych ludzi zdolności do postrzegania i słyszenia zjawisk pozornie znajdujących się poza zasięgiem ich zmysłów? zastanawiał się Fenton. Większość z nas i tak od dawna uznaje realność zjawisk związanych z działalnością jasnowidzów i mediów. Czemu

więc mielibyśmy wkładać tyle wysiłku w przekonanie niedowiarków, którzy sami twierdzą, że nawet przy dziesięć razy bardziej przekonujących dowodach ich stanowisko nie zmieniliby się ani o jotę?

W tym punkcie Fenton przerwał bieg myśli jednym trzeźwym pytaniem: co w ogóle możemy uznać za fakt rzeczywiście zaistniały?

Jeśli Irielle naprawdę zdołała w gaju eukaliptusowym wypisać mieczem na ziemi swe imię i nazwisko, EMMA CAMRON, to w realność tego faktu musiałby uwierzyć nawet najbardziej sceptyczny z umysłów. Czemu więc nie nalegałem, by pójść tam zaraz po przebudzeniu się, zastanawiał się Fenton, razem z Garnockiem i paru innymi bezstronnymi świadkami z Instytutu Parapsychologii? Czy rzeczywiście chciałem to udowodnić, czy tak naprawdę – bałem się tego?

Jeżeli rzeczywiście Irielle, czy Emma Cameron, zostawiła po sobie ślad, wówczas natura ostatecznej rzeczywistości byłaby tak dalece różna od dotychczasowych wyobrażeń Fentona na jej temat, że podważałoby to wiarę w realność najbardziej nawet oczywistych faktów. Jasnowidzenie i zdolności mediumiczne były bez znaczenia, gdy stawką stawała się cała rzeczywistość.

Czy to właśnie jest przyczyną, dla której ludzie śmiertelnie boją się percepcji pozazmysłowej i nie dają wiary podstawowym faktom? zastanawiał się Fenton. Z naukowego zaś punktu widzenia sam Fenton był winien przestępstwa, jakim okazało się zignorowanie lub nieprzebadanie przypuszczalnie zaistniałego faktu. Nie do wybaczenia było pozostawienie sprawdzenia zjawiska aż do następnego dnia, po czym zlekceważenie zamazanych śladów.

Tak czy inaczej było już za późno. Deszcz dawno rozmył resztki śladów. Teraz gdy nie miało to już najmniejszego znaczenia, Fenton powrócił do gaju eukaliptusowego i przyglądał się błotom między drzewami w miejscu, w którym Irielle, jeśli takowa kiedykolwiek istniała, napisała: EMMA CAMRON. Niewybaczalnym błędem było zignorowanie tego śladu; należało zaciągnąć tu Garnocka siłą dla uzyskania dowodu. Czemu Fenton tego nie zrobił?

Sally. Sally była realna. Obawiał się, że mu nie uwierzy, obawiał się jej oskarżenia o tworzenie na swe potrzeby wyimaginowanych kobiecych postaci. Sally była rzeczywista, a on nie chciał wierzyć, że mógłby odepchnąć od siebie bezsprzecznie istniejącą kobietę w pogoni za bytem z narkotycznego snu. Podtrzymując uparcie wobec Sally swe przeświadczenie o realności Irielle, nie mógłby w żaden sposób zapobiec jej niewypowiedzianej pogardzie dla mężczyzny, który odrzuca zaangażowanie uczuciowe w związku z żywą kobietą po to, by marzyć o istotach będących wytworem fantazji. Królowe Wróżek, podrzutki! Na pierwszy rzut oka wyglądało to jak mrzonka wariata. Dobra, niech więc będzie tak, jak chce Sally; ona analizuje symbolikę senną w halucynacjach wywołanych antarilem, on będzie grał

według ustalonych przez nią zasad.

Sally. Fenton czuł, jak powoli, dzień po dniu coraz bardziej poddaje się wpływowi tej kobiety. Coraz rzadziej chowała się w jego obecności za zimną, oschłą fasadą. Stało się zwyczajem, że jadali razem kolację, parę razy został potem na noc, raz zdołał ją nawet namówić, żeby poszła na noc do niego. Jakkolwiek by nazwać ich relację, nie wyglądała na przypadkową. Sally nie była kobietą stworzoną do przypadkowych romansów i wydawało się, że nie chciałyby, aby Fenton próbował poszerzyć formułę ich związku.

Fenton bardzo się przejął, kiedy na drzwiach gabinetu Garnocka zobaczył kartkę informującą, że wszystkie planowe testy i zajęcia w laboratorium Instytutu Parapsychologii nie odbędą się z powodu absencji pracowników. Trwało to już trzeci tydzień. Zbliżała się semestralna przerwa wielkanocna i szanse, że projekt zostanie zakończony w tym kwartale, malały.

Fenton zadzwonił do Sally do domu, ale nie podnosiła słuchawki. Zatelefonował więc do jej gabinetu w instytucie. Odebrała, lecz jej głos brzmiał odlegle, szorstko i obco.

–Garnock miał nawrót choroby – wyjaśniła. Wiesz, jak to jest z grypą, a on na dodatek nie dba o siebie. Jestem tu praktycznie sama i wszystkiego doglądam. Według mnie powinniśmy zamknąć kramik do końca semestru, nie zaliczyć studentom zajęć, a umożliwić im powtórzenie w następnym semestrze, lecz przypuszczam, że rektor uniwersytetu mógłby narobić sporo szumu, co zresztą byłoby całkiem na miejscu.

–Stypendyści i wszyscy, którzy chcą bronić prac magisterskich, będą mieli kłopot.

–Tak, to prawda.

–Czy mogę ci w czymś pomóc, Sally?

–Nie, muszę nadrobić trochę papierkowej roboty, natomiast w weekend powinnam przeczytać trzydzieści prac pierwszaków. Może masz ochotę to zrobić i ocenić za mnie te wypociny?

Nie odpowiedział.

–Dlaczego nie wymagasz maszynopisów? – zapytał. – Cholera, masz rację. Zatrważające jest, w jaki sposób uczą, albo raczej nie uczą, pisma ręcznego w szkole. Nie umiem przeczytać bez cierpień pracy napisanej odręcznie, nawet jeśli jakikolwiek student pierwszego roku wykrzesze z siebie więcej niż pół strony. Dzięki Bogu, że chociaż w szkole średniej wymagają kursu maszynopisania. Mówiąc poważnie, Cam, masz na to ochotę?

–Czemu nie, oceniasz według średniego poziomu grupy?

–Ani myślę – odparła Sally. – Obiecałam im, że postawię trzydzieści cztery piątki, jeżeli będą umieli dziewięćdziesiąt procent tego, czego od nich wymagam, no i jeśli będą mi to w stanie udowodnić. Ale z drugiej strony równie chętnie postawię trzydzieści cztery dwójki, jeśli nikt nie nauczył się przynajmniej trzydziestu procent całego materiału. Jeśli zdecyduję, że powinnam postawić trzy piątki, dziewięć czwórek, nie więcej niż sześć dwójek, to będę się oszukiwać na oczach moich studentów. Oceniam więc, co rzeczywiście przyswoili sobie o parapsychologii. Jedyne polecenie, na które mieli odpowiedzieć, brzmiało: „Napisz, czego się dowiedziałeś podczas rocznego kursu.” Jeżeli ściągnęli z podręcznika fragmenty tekstu, cóż zrobić, będę musiała stwierdzić, że nie nauczyli się niczego więcej. Chodzi mi o sprawdzenie ich umiejętności wartościowania i stosunkowywania się do zagadnień. Oczywiście, w dzisiejszych czasach jest to poświęcenie, ale moim zdaniem ocenianie według średniego poziomu grupy jest nagradzaniem zgodności z autorytetami zamiast oryginalności myślenia. Uważają, że zbyt wiele wymagam. Większość pierwszaków wybiera grupę Joe'ego. On stawia stopnie według średniego poziomu i żeby zaliczyć, wystarczy rozwiązać tylko test oceniany potem przez komputer.

–Właśnie dlatego nie uczę. – Fenton roześmiał się. – Umarłbym, gdybym miał zdecydować, który z tych dwóch sposobów oceniania jest lepszy.

–A czym zamierzasz się zajmować, skoro nie uczysz, Cam?

–Bóg jeden wie. – Poczuli się nagle nieswojo. Na szczęście nie muszę się o to martwić jeszcze przez najbliższych kilka miesięcy, a potem, cóż, przyjdzie mi się z tym zmierzyć. Ale, całe szczęście, jeszcze nie teraz. Sally, czy chciałabyś, żebym przyniósł coś na kolację?

–Nie, tym razem moja kolej na wymyślanie posiłku. W drodze powrotnej do domu spróbuję kupić jakieś sałatki. Ale miałabym do ciebie prośbę, żebyś kupił i przyniósł ze sobą kilka kaset magnetofonowych, jeśli nie sprawi ci to kłopotu.

–Będę o siódmej – odparł Fenton. Milczał chwilę i dodał: – Kocham cię.

–Kocham cię – powtórzyła cicho i odłożyła słuchawkę.

W sklepie, gdzie można było kupić kasety, tanie nagrania i baterie, czekał na odbiór zamówienia, o które prosiła Sally. Mimo woli słyszał rozmowę stojącej obok młodej kobiety ze sprzedawcą. Nic nie brzmi tak wyraźnie jak własne nazwisko niespodziewanie wypowiedziane na głos w publicznym miejscu.

–Nie – powiedziała kobieta. – To jest zamówienie na nazwisko Cameron, ja nazywam się Dameron. Proszę poszukać pod „D” jak David, tam pan je znajdzie.

–Czy Frances Dameron to pani? – zapytał sprzedawca szperając w szufladzie.

Kobieta odebrała paczkę, zapłaciła i wyszła. Sklepowa pomyłka stała się przyczyną powrotu Fentona do wspomnienia o Irielle.

Cameron nie było rzadkim nazwiskiem. Było to jedno z imion Cama nadanych mu na chrzcie. Matka nazwała go Michael Cameron Fenton, po swoim ojcu. Ponieważ zdarzyło się tak, że na jego pierwszym roku było czterech facetów o imieniu Michael, zaczęli go nazywać Cam i tak już zostało. Ale nazwisko Cameron było tak popularne, że prawdopodobnie zajmowało po kilka stron w każdej książce telefonicznej w całym kraju. Jeżeli spróbowałby zlokalizować Emmę Cameron, która – prawdopodobnie – zginęła wraz ze swoimi rodzicami w wypadku w jakimś powozie zaprzężonym w konie, kilka pokoleń wstecz, w niewiadomym mieście, w nieznanym kraju... Nie, znalezienie igły w stogu siana byłoby łatwiejsze – dzięki temu, że przynajmniej by się odróżniała. Tak wyglądała rzeczywista ocena sytuacji. Sama Irielle była wtedy zapewne zbyt mała, żeby się orientować, który był rok, a nawet w jakim państwie rzecz się działa. Próba dedukcyjnego przeprowadzenia identyfikacji Emmy przypominała próbę dojrzenia gołym okiem konkretnej gwiazdy w odległej Mgławicy Andromedy.

Fenton włożył kasety do kieszeni i wolno ruszył Telegraph Avenue. Było późne wiosenne popołudnie. Ulica roiła się od studentów, neohipisów, bezdomnych i włóczęgów, stały na niej stragany z biżuterią, słodyczami własnego wyrobu, wyrobami ze skóry, modnie farbowanymi podkoszulkami, papierosową bibułą.

Nagle Fentonowi zaszedł drogę niechlujnie wyglądający młody człowiek. Mógł być studentem, choć Cam nigdy go nie widział na terenie kampusu. Był ogolony na zero – według ostatniej mody. W każdym uchu miał trzy dziurki, a w każdej z nich tkwiło kółko. Fenton słyszał wcześniej, że ma to tajemnicze, ezoteryczne znaczenie, dotyczące prawdopodobnie preferencji seksualnych osobnika, ale nie wiedział jakich i zbytnio go to nie obchodziło.

–Hej, koleś! – odezwał się nieznajomy. – Co byś powiedział na działkę dobrej, legalnie w domciu wysianej, na wietrze suszonej trawy? Żadna tam meksykańska fuszerka, naładowana nawozami sztucznymi czyściutki oryginalny towar z San Diego.

Fenton potrząsnął głową.

–Przykro mi, stary. Nie używam. – Co ty, świadek Jehowy, czy jak...?

–Nic z tych rzeczy, stary. – Fenton wzruszył ramionami. – Trawa drapie mnie w gardle, i tyle. Przykro mi. – Ruszył w swoją stronę, ale uparty neohipis powlókł się za nim.

–Słuchaj, koleś, towar jest prima Bort. Spróbuj przez fajkę wodną i koniecznie schłódź wodę kostkami lodu, a wtedy zobaczysz, jaka to łagodna trawka. Naprawdę znajdziesz się po ciemnej stronie księżycy, poza czasem.

Fenton roześmiał się.

–Szkoda, stary, że aż tak się wysilasz, i to na próżno. Najzwyczajniej w świecie nie lubię trawy.

Młody człowiek wyglądał na przygnębionego.

–Nie wygłupiaj się, koleś. Przez ciebie będę musiał wynająć swój pokój albo zastawię elektroniczne organy, już drugi raz w tym miesiącu! A może zrobisz prezent swojej dziewczynie? Mam taki specjalny towar, o zapachu piżmowym. Słowo daję, nakręca panienki że hej! Całkiem zapominają o hamulcach, stary, jeśli w ogóle wiesz, o czym nawijam.

Fenton znowu się uśmiechnął. Cokolwiek by nie powiedzieć o problemach Sally, zahamowań nie miała.

–Naprawdę, nie potrzebuję. – Nie masz dziewczyny?

–Nie ma hamulców.

–Na pewno by się jej spodobało. No, weź, koleś, chociaż powąchaj – kusił handlarz. Po chwili dodał szeptem: – A jeżeli nie lubisz legalnego towaru, może mógłbym ci skombinować tytoń. Dobry, czysty towar przeschuglowany z Ekwadoru. Mogę też załatwić Owsley albo Sandoz acid, ale to już twardziochy... A może masz jakieś inne potrzeby?

–Czy masz antaril? – zapytał Fenton w nagłym przebłysku.

Student cofnął się o krok.

–Trzeba by się trochę zakręcić – powiedział – ale większość tego, co jest na rynku, to kwas z domieszką datury. I tak niewielu koleś wie, o co biega. Ale znam takiego gościa, który zarzeka się, że jego towar jest prawdziwy. Mógłbym tu być o jedenastej wieczorem, jeśli chcesz... – zasugerował.

Fenton zawahał się, a potem rzucił od niechcienia: – Dobra, znajdę cię.

–Będę na pewno – obiecał łysy student i odszedł. Fenton przeszedł na drugą stronę ulicy. Minął mnóstwo małych sklepików, w których sprzedawano meksykańskie taco, krawaty, kolorowe przepaski, słodkości, rysunki i obrazy. W jednym z nich ujrzał kilka rysunków Rackhama przedstawiających elfów i gobliny, które przypomniały mu

nagle z ogromną mocą Kerridis pośród żelazorów. Kusiło go, żeby wejść do sklepu i kupić rysunek, ale drzwi były zamknięte na skobel. Przyjdę tu i kupię go, postanowił. Sally mogłaby wtedy zobaczyć, jak wyglądali. Po chwili zdał sobie sprawę, że elfina na ilustracji jeszcze bardziej niż Kerridis w dziwny sposób przypomina mu Sally.

Ciekawe, pomyślał, czy mogłem widzieć ten obrazek jako dziecko? Prawdopodobnie w dzieciństwie Fentona książki z bajkami ilustrowanymi przez Rackhama były popularne, nawet jeżeli nie pamiętał ich w świadomy sposób. Sally sugerowała właśnie coś takiego.

Wolno szedł przez kampus. Pokusa, żeby się zatrzymać w gaju eukaliptusowym i przyglądać ziemi, przestała go dręczyć. Ostatni deszcz na pewno zmył wszelkie ślady.

Fenton zmarszczył brwi na myśl o antarilu... Jeśli projekt nie będzie kontynuowany, zdecydował się spotkać z hipisem. Nie znał się najlepiej na środkach odurzających. Nawet w czasie rozkwitu swoich hipisowskich szaleństw odmawiał zgody na okazyjne zabawy z przypadkowym towarem, po którym miał nastąpić odlot.

Zadzwonił do drzwi Sally; przywitała go pocałunkiem. Była świeża, odprężona, o wiele mniej zamknięta i podejrzliwa niż kiedyś.

–Daj, wezmę twój płaszcz. Kupiłam po drodze kurczaka, muszę jeszcze dokończyć sałatkę. Masz ochotę mi pomóc... obrać avocado na przykład?

Kiedy Fenton kroił w plasterki avocado i pomidory, ujrzał przypięte do ściany zdjęcie małej dziewczynki, której złociste włosy były uczesane w dwa wiotkie kucyki. Nic nie powiedział, ale Sally dostrzegła jego spojrzenie.

–To Susanna – wyjaśniła. – Pragnęłam ją zapamiętać właśnie taką. Tom chciał, żebym usunęła wszystko z pola widzenia. Obrazki, zabawki, wszystko, tak jakby nigdy jej nie było. I od razu chciał mieć drugie dziecko. Ale ja... ja nie mogłam. Nie chciałam, żeby inne dziecko zastępowało Susannę. Wolałam jeszcze zaczekać i wtedy... dopadło mnie to paskudne poczucie winy. Kiedy nie było już Susanny, zdałam sobie sprawę, że nic mnie nie wiąże z Tomem i nie muszę z nim być. To tak, jakbym chciała, żeby umarła, abym ja mogła odejść i wreszcie być wolna. Wiem, że to było niezdrowe, ale nie mogłam z tym żyć. Dopiero teraz wiem, że nawet jeśli Susanna by żyła, wcześniej czy później i tak odeszłabym od Toma. Wspomnienia już tak nie bolą... – Pochyliła się nad tacą z liśćmi sałaty i darła je długimi, szczupłymi dłońmi, które tak bardzo przypominały Fentonowi ręce Kerridis... – Proszę – odezwała się znowu i podała mu miskę z sałatką. – Mógłbyś zanieść na stół?

Postawił miskę na środku stołu. Usiedli, a Sally otworzyła pudełko z kurczakiem.

–Niezbyt eleganckie, to prawda, ale z pewnością zapychające... – skomentowała.

Na brzegu stołu leżała sterta papierów, którą Sally zdążyła usunąć, by nie spadła na nie kropla tłustego sosu z kurczaka.

–Mógłbyś je odłożyć na biurko, tam za tobą? Dziś wieczorem muszę przegrać to z powrotem na taśmę... Na karcie tytułowej dostrzegł swoje nazwisko: M.C.Fenton. Zaczął więc przeglądać strony, ale Sally zmarszczyła brwi i potrząsnęła głową.

–To nie fair, Cam, zaufałam ci...

Z ociąganiem odłożył plik papierów na biurko i wrócił do kurczaka.

–Nie przesadzałybyś, chyba mam prawo przejrzeć dokumenty mnie dotyczące.

–Już ci to tłumaczyłam, Cam.

–No dobrze, dobrze. Przyniosłem ci kasety. Są w kieszeni płaszcza.

–Wezmę je po kolacji – postanowiła. – Dużo drogi nadłożyłeś, żeby je kupić?

–Nie bardzo. Ale kłębią się w tamtym miejscu różni natrętni faceci. Jedno z nas powinno przeprowadzić się do drugiego.

Popęłnił błąd. Sally zacisnęła usta i powrócił jej stary, oschły ton głosu:

–Nie mam ochoty na takie rozwiązanie. Jeżeli przychodzenie tutaj sprawia ci zbyt dużo kłopotu, następną sesję możemy zrobić znowu w gabinecie w Smythe Hall.

–Sally, Sally! – Wyciągnął ręce nad stołem i zarzucił jej na szyję. – Żartowałem, kochanie! Nie zwracaj się do mnie w ten sposób, na miłość boską!

Powiedziała wstrząśnięta i zła:

–Mężczyźni tak postępują. Każdy moment, kiedy kobieta idzie na ustępstwo, jest dobry, żeby go wykorzystać.

–Sally, do diabła, nie siedzi przed tobą anonimowy mężczyzna, tylko ja, a ty nie jesteś jakąś tam kobietą, lecz Sally! Kocham cię, ale lubię też wygłupiać się z tobą. – Patrzył na nią z takim wyrzutem, że musiała spuścić oczy.

–Przepraszam, Cam. Wiem, że jestem przewrażliwiona. Ale nie mówmy już o tym, dobrze? Bardzo potrzebuję niezależności, właśnie teraz. Nie chcę myśleć, że skoro jest nam tak dobrze, zaczynasz już mówić o... o wspólnym życiu. Ja nie jestem jeszcze na nie gotowa... nie wiem, czy kiedykolwiek będę. Zostawmy to teraz, dobrze?

–W porządku. – Fenton sięgnął po następną porcję sałatki. Nagle nawroty urazy i

chłodu Sally zaczynały go już ranić.

–Robili jakieś trudności z wydaniem kaset na mój rachunek?

–Nie, żadnych.

–Jestem ci wdzięczna za przysługę, Cam. Ostatnio nie lubię chodzić po Telegraph Avenue. Pełno tam świrów i włóczęgów. Wiem, że większość z nich jest nieszkodliwa, ale mimo to czuję się tam dość dziwnie.

–Dziwnie to rzeczywiście kilku z nich wygląda zgodził się Cam, zadowolony, że zmienili temat. – Jeden z handlarzy, facet z trzema kolczykami w każdym uchu, cokolwiek to znaczy, miał dla mnie ofertę specjalną, trawę o zapachu piżmowym. Twierdził, że podkręci moją dziewczynę tak, iż zapomni o wszelkich zahamowaniach.

Sally roześmiała się:

–Myślisz, że jej potrzebuję?

–Przeciwnie, próbowałem mu wytłumaczyć, że to ostatnia rzecz, jakiej mógłbym dla ciebie chcieć – odparł i uśmiechnął się głupkowato.

Wyciągnęła rękę i ucisnęła jego dłoń. Śmiejąc się ciągle, mówiła:

–Do dzieła, maleńki. Musimy przeczytać i ocenić te wszystkie prace. Kiedy już nie będzie tyle roboty, spróbuję ci udowodnić, jak bardzo nie potrzebuję tego rodzaju towaru! No i nie lubię zapachu piżma.

–Mam wrażenie, że nie będę cię zmuszał, ale ten facet doprawdy uparł się, aby mi coś wcisnąć. Proponował nawet antaril.

–A więc znów pojawił się na ulicach? Widać, że nie trudno wymyślić recepturę. No cóż, jest prosty do zrobienia i stosunkowo mało toksyczny. Lepiej, że sprzedają antaril niż coś tak zabójczego, jak metedryna w kryształkach. O ile mi wiadomo, antaril nie wywołuje szkodliwych efektów ubocznych. Ale niczego nie można być tak do końca pewnym, zwłaszcza że nie przeprowadzono wystarczającej liczby testów.

–I zdaje się, że nigdy nie zostaną dokończone. Będę siedział jak na rozżarzonych węglach, dopóki Garnock nie wróci do pracy i nie skończymy projektu.

–Ktoś cię goni, Cam? Ja się cieszę z tej chwili przerwy, bo mogę podgonić papierkową robotę, uporządkować zapisy z wywiadów ze względu na występowanie elementów symbolicznych. No i mam jeszcze do przeczytania kilka zaległych książek specjalistycznych. Po co się spieszyć?

Popełnił błąd, kiedy odpowiedział:

–Chciałbym wiedzieć, co się stało z Irielle i resztą. – Ciąg dalszy wymyśl sobie, Cam. Przecież wiesz, że to możliwe. Wystarczy, że zamienisz swoje samorzutne, podświadome fantazje w świadome. Wymyśl takie zakończenie, jakie ci odpowiada.

Odezwał się bardzo cicho:

–Nie wierzysz w nic z tego, o czym ci mówię, prawda?

–Nie, nie wierzę. Wysłuchałam zbyt wielu podobnych historii. Uważam, że mówią dużo opowiadającemu o nim samym, to wszystko. Ty tęsknisz za Królową Wrózek, za podrzutkiem, bo realna kobieta jest dla ciebie przerażającym wyzwaniem. Mogłaby mieć wymagania, prawdziwe potrzeby w prawdziwym świecie. Szczerze mówiąc, to dość powszechna męska fantazja.

Fenton poczuł ogarniający go gniew z lekkim odcieniem pogardy, ale stłumił w sobie emocje.

–A co powiesz o śladach w gaju eukaliptusowym? – Czy widział je ktoś oprócz ciebie?

–Do diabła, Sally, ja je widziałem!

–Daj spokój, Cam. Jesteś psychologiem, więc wiesz doskonale, że ludzie widzą to, co chcą widzieć. Zeznania świadków z reguły niczego nie dowodzą. Ludzie codziennie widzą latające spodki. Jeżeli byłbyś całkowicie pewien tych śladów, zrobiłbyś wszystko, aby obejrzał je ktoś jeszcze.

–To chwył poniżej pasa, Sally.

–Czyżbyś naprawdę nie widział, że oszukujesz sam siebie, Cam? Że wykreowałeś kobietę doskonałą pod względem emocjonalnym, która nie będzie miała wobec ciebie wymagań?

–Ładna mi doskonałość – odparł Fenton rozzłoszczony. – Mówiłem przecież o bliźnach, o tym, że miała wypadek, a oni zaaranżowali wszystko tak, jakby naprawdę zginęła w tym wypadku...

Twarz Sally pobladła i zastygła. – Kto powiedział ci o Susannie? – Nie wiem, o czym mówisz.

–Spodziewasz się, że ci uwierzę? Cały instytut o tym mówił. Kilka osób dało dla niej krew. Wypadek. I... – jej głos zadrżał i załamał się na chwilę -...i to, co stało się z nogą. Powiedzieli, że nawet gdyby przeżyła, byłaby okaleczona. Byłaby kaleką. Kiedy

usłyszałam to, co nagrałeś dla Garnocka, nie miałam żalu. Uznałam, iż po prostu nie pamiętałeś, że sprawa dotyczyła mnie, że to o moim dziecku mówiono...

–Sally, Sally – rzekł w osłupieniu – to wszystko musiało się stać wtedy, kiedy byłem bardzo daleko stąd. Nikt nigdy mi o tym nie opowiadał.

Ale nie uspokoiło to Sally.

–Twoje podświadome potrzeby uformowały tę historię tak, aby ci odpowiadała. Chociażby fakt, że nie mogłeś niczego dotykać... nie mogłeś nikomu nic dać, nie mogłeś być za nic odpowiedzialny, za nic, co się tam działo. Mogłeś zwyczajnie wycofać się i nie brać odpowiedzialności...

Fenton napadł na nią:

–A co z twoimi podświadomymi potrzebami niedowierzania nikomu i zrobienia ze mnie faceta, który mógłby tak po świńsku postępować? A co powiesz o swojej emocjonalnej potrzebie udowodnienia samej sobie, że każdy mężczyzna, z którym się związujesz, jest gnojem? Wtedy masz już moralne prawo rozszarpać go na kawałki, tak?

Siedziała spokojnie, nie poruszając się; miała śmiertelnie bladą twarz. Fenton był wstrząśnięty. Czyżby pozwoliła mu zbliżyć się tak bardzo, aby mógł teraz aż tak mocno ją dotknąć? Oddychała z drżeniem, aż wreszcie odezwała się:

–Punkt dla ciebie, Cam. To właśnie zrobiłam, prawda? Przepraszam. Nie chciałam... nie chciałam być nierozsądna. Ale spójrzmy na to racjonalnie...

–Czyli po twojemu – rzucił ciągle zły.

–Cam, ja jestem naukowcem, parapsychologiem. Oboje dobrze wiemy, że pobożne życzenia i praca oparta na niepewnych danych to przekleństwo każdego parapsychologa. Daj mi choćby jeden niepodważalny dowód, Cam, a będę cię słuchać. Ale to wszystko brzmi zbyt fantystycznie, podważa zbyt wiele oczywistości.

–Czy mam rozumieć, że ty już wiesz na pewno, co jest czym i nie życzysz sobie, żebym zaprzętał ci głowę innymi faktami'?

–Nie. Nie usłyszałam dotąd o żadnych faktach, to na razie same nedorzeczne teorie. O różnorodności wszechświatów, o rzeczywistości równoległej.

Fenton powiedział wolno:

–Kiedy opowiadałem ci o tym po raz pierwszy, wspomniałaś coś... Miałem wrażenie, że już wcześniej ktoś mówił ci o tym niezależnie ode mnie. Wyrwało ci się: „O, mamy

też Pentarna." Czy ktoś przede mną go widział, a może cały tłum?

–Cam, przecież wiesz, że nie mogę ci tego powiedzieć. To zniweczyłoby wszystko. Może kiedy projekt zostanie ukończony... Fakt faktem, zbieżność imion o niczym nie świadczy. Imię „Pentarn” może występować w jakiejś książce. Sprawdzam to – przerwała i popatrzyła na niego. – Cam, mówię po raz drugi i będę to powtarzać. Moim zdaniem powinieneś zrezygnować z udziału w projekcie. To wszystko jest dla ciebie zbyt rzeczywiste. Jak będziesz się czuł, gdy sam dojdiesz do wniosku, że chodzi tylko o grę wyobraźni?

–Co najmniej dwa razy lepiej niż wtedy, gdy nie będę wiedział, czy to tylko wyobraźnia, czy nie – odparł. – Sally, być naukowcem to wielka rzecz. Zaufaj i mnie w tej kwestii. Chcę potwierdzić moje doznania, przyznaję. Jednak połowa roboty to możliwość stwierdzenia na sto procent, czy wszystko co widziałem, istnieje, czy nie. Nie możesz zrozumieć chociaż tyle?

Wyciągnęła rękę nad stołem i wzięła jego dłoń w swoją. Po chwili powiedziała:

–W porządku, Cam. Ale spróbuj zachować właściwe proporcje. – Na jej twarzy pojawił się nikły uśmiech. – No dobrze, to prawda, boję się, cholera... Boję się o ciebie, Cam... Och, do diabła, niech cię szlag trafi. Myślisz, że dobrze mi w sytuacji, kiedy jakiś cholerny facet znaczy dla mnie aż tyle? – Odsunęła się z krzesłem, ukryła twarz w dłoniach i położyła głowę na stole. – Wiem, że zachowuję się, jakbym była atakowana. Nie mogę temu zaradzić. Zbyt wiele przeszłam. – Powiedziała to głuchym, tłumionym przez dłonie głosem. – Nie jestem wystarczająco dobra dla ciebie. Nie jestem dobra dla nikogo. Nie jestem dobra dla siebie samej. Gdybyś miał choć trochę oleju w głowie, uciekłbyś stąd czym prędzej i nigdy nie wrócił.

Fenton wstał, obszedł stół, ukląkł przy płaczącej Sally i objął ją. Milczał przez chwilę. W końcu ujął jej twarz w dłonie i spojrzał dziewczynie prosto w oczy.

–Czy chcesz, żebym zupełnie się zagubił? Nie chcę zagrażać twojej niezależności. I nie chcę też komplikować twojego życia. Dużo dla mnie znaczysz. Myślę, że mogłabyś znaczyć jeszcze więcej. Nie szukam panienki do łóżka. Pozwól mi spróbować.

Odwróciła od niego oczy i odpowiedziała:

–O Boże, czyżbym znowu to zrobiła? Rozumiem, że właśnie o tym mówiłeś. Mam potrzebę udowodnienia sobie, że wszyscy mężczyźni, których spotykam, chcą mnie wykorzystywać... że są źli... Muszę ciągle bronić się przed... przed ponownym skrzywdzeniem. Nie chcę tego, Cam. Wiem, że ty nie jesteś taki, ale zaczynam się zachowywać prawie jak paranoiczka. Bardzo chcę ci ufać, Cam, podobasz mi się, ale.. ale nie jestem jeszcze gotowa do dalej idących zobowiązań, nie teraz. Czy

moglibyśmy ciągnąć naszą znajomość bez wymuszania czegokolwiek i bez nacisków? Żeby... żeby sprawdzić, jak nam razem jest?

Pokiwał głową i przytulił Sally mocniej.

–W porządku. Żadnych zobowiązań. Żadnych nacisków. Będziemy brali wydarzenia takimi, jakie przyjdą i zobaczymy, co z tego wyniknie. A teraz weźmy się do semestralnych wypocin pierwszaków.

Podniosła się, żeby sprzątnąć ze stołu resztki kurczaka; pociągała jeszcze nosem.

–Widzisz, ty mówisz, że nie chcesz mnie wykorzystywać, a ja co? Używam cię do oceniania prac semestralnych!

–Doprawdy – odrzekł roześmiany – to gorsze niż śmierć, zgadzasz się? No już, daj mi te nieszczęsne produkcje, zanim stracę cierpliwość.

Pracowali niemal do północy. Kiedy już kończyli czytać i oceniać prace, Sally przysypiała z głową zwieszoną nad stołem.

–No, wreszcie skończyliśmy – powiedziała ziewając i pocierając oczy. – Gdybym chciała przeczytać je podczas przerw między zajęciami, zajęłoby mi to jeszcze kilka dni. Cam, jak mogę ci się odwdzięczyć?

–Nie ma sprawy. Spojrzenie na parapsychologię oczami pierwszaka po raz drugi okazało się interesujące – odparł. – Mam tylko nadzieję, że nie oceniałem ich bardziej surowo niż ty.

Potrząsnęła głową.

–Nie sądzę. Pewnie bardzo podobnie. Tego młokosa, który napisał, że parapsychologia może posłużyć w przyszłości do rozwijania sił okultystycznych, możemy ostatecznie... delikatnie usunąć z instytutu albo zafundujemy mu powtarzanie roku, żeby w końcu zrozumiał podstawowe wiadomości. – Sally ziewnęła.

–Idź spać, Sally – powiedział Cam – zasypiasz na stojąco. Znam drogę do wyjścia.

–Jeśli chcesz zostać, to nie ma problemu, ale ja padam na twarz...

–Nie ma sprawy, kochanie. Będzie jeszcze niejedna okazja. – Pocałował ją delikatnie.

–Proszę, zatrzaśnij zamek od drzwi, kiedy będziesz wychodził.

Sally ruszyła w stronę sypialni, a Fenton próbował wydostać swój płaszcz spod

sterty teczek i segregatorów. Jedna z foliowych kopert wysunęła się i upadła na podłogę. Pochylił się, żeby ją podnieść, ale ona jakby go prowokowała.

M.C. FENTON.

Położył kciuk na brzegu strony tytułowej. Jedno, krótkie spojrzenie i mógłby zweryfikować to, co mu mówiła Sally. A może odrzuciwszy jego opowieść jako wizję wywołaną przez emocje, nie powiedziała nic istotnego?

Nie. Zaufała mu przecież. Nie mógłby tak węszyć w jej materiałach. Niech to szlag, myślał Fenton, kiedyś odbywały się nawet sprawy sądowe, których wyroki podtrzymywały prawo studentów do wglądu w to, co było o nich napisane w poufnych papierach...

Upomniał sam siebie, aby był uczciwy. Prawa studentów dotyczyły ich ocen akademickich i postrzegania wychowanków przez egzaminatorów i wykładowców, a nie bieżącej dokumentacji badań naukowych. No dobrze, będzie grał fair. Odłożył teczkę na miejsce i wyszedł z mieszkania Sally; drzwi zamknął za sobą starannie.

Dawno już minęła jedenasta i nie spodziewał się zobaczyć nawet śladu po łysym hipisie. Mężczyzna czekał jednak. Stał zmarznięty i skulony na rogu i nie wyglądał zachęcająco. Kiedy dostrzegł Fentona, odezwał się:

–Hej, ty! Właśnie miałem cię olać! Jeszcze dziesięć minut i spłynąłbym stąd. Ale załatwiłem ci antaril... Cztery działki. Gwarantowana czystość towaru. Bez narzynania na wadze, bez lewych dodatków, bez liści bielunia ani datury. Bez cukru. Płacisz dwadzieścia cztery.

–Za dużo!

Hipis wzruszył ramionami.

–Tyle kosztuje. Nie zarobię na tym więcej niż piątaka. Słuchaj, to jest czysty towar, masz moją gwarancję. Jeśli nie zadziała, znajdziesz mnie tutaj, na rogu, cztery razy w tygodniu, i dostaniesz pieniądze z powrotem. Hej – spytał, gdy Fenton wyciągał portfel – ty przypadkiem nie jesteś profesor Fenton?

–Nie jestem profesorem.

Hipis nie zwrócił uwagi na odpowiedź.

–Wyglądasz zupełnie jak jeden profesor z uniwerku, z instytutu nawiedzonych koleś. No wiesz, oni tam polują na duchy, latające spodki i takich gości, co potrafią czytać w myślach. I jeszcze można na tym zarobić. Szkoda, że nie wystarcza na zapłacenie za studia w terminie. Człowiek musi przez nich opieprzać się i handlować towarem... To siemanko... – pożegnał się wkładając do kieszeni nie przeliczone pieniądze, a po chwili zniknął gdzieś; zmieszał się z ostatnimi już przechodniami.

Fenton schował do kieszeni kopertę z czterema niebieskimi tabletkami i ruszył wzdłuż Telegraph Avenue. Tłumy studentów i bezdomnych przeredziły się, lecz ulica nie pustoszała aż do północy. Miał ochotę wstąpić po drodze na filiżankę kawy do jakiegoś baru, ale nie zdecydował się i szedł dalej w dół ulicy. Teraz kiedy ma już antaril, zapewne wcale go nie użyje. Nic nie wiedział o skuteczności antarilu branego doustnie zamiast zastrzyku dożylnego środka o nieskazitelnej, laboratoryjnej czystości.

Ale pokusa wciąż trwała. Połknąć jedną małą, niebieską tabletkę i po kilku minutach znaleźć się w krainie Alfarów. Bez przeszkód mógłby się skontaktować z Irielle... i z Kerridis.

Nie. Eksperyment jest projektem naukowym. Nie powinienem niweczyć wszystkiego przez dołożenie niewiadomej w postaci procha kupionego na ulicy, pomyślał Fenton. Był naukowcem, co tak zawzięcie uświadamiał Sally. Ale żałował, tak bardzo żałował, że nie wiedział, o co jej chodziło, gdy powiedziała: „O, mamy też Pentarna.”

Teraz żałował, że głupie skrupuły powstrzymały go od zajrzenia do teczki. Było oczywiste, że Sally nie miała zielonego pojęcia, co ten eksperyment dla niego znaczy.

Mogło się przecież okazać, że w dzisiejszym świecie nic nie jest tym, za co ludzie od wieków to coś uznają. Że nawet parapsychologowie, którzy asekurowali się tkwiąc wciąż jedną nogą w bezpiecznych założeniach materializmu naukowego, nie mieli pojęcia o prawdziwej naturze rzeczywistości. Podśluchał kiedyś rozmowę dwóch studentów na wydziale fizyki. Twierdzili mniej więcej, że w ogóle nie mamy pojęcia o tym, czym jest rzeczywistość, ponieważ nasze zmysły prawdopodobnie w najmniejszym stopniu nie mogą nam pomóc w zbudowaniu prawdziwego obrazu i struktury czasoprzestrzeni.

Inny hipis, owinięty w wyświniony i spleśniały koc, podszedł do niego i zaczął swój rytuał cierpiętniczym głosem:

–Wrzuciłbyś parę groszy, człowieku. Fenton odpowiedział równie machinalnie:

–Przykro mi... – I zdał sobie sprawę, że stoi przed nim rząd podobnych bezdomnych i żebraków, którym będzie musiał stawić czoło. Spojrzał na drugą stronę ulicy. Dwie lub trzy witryny małych sklepików były jeszcze oświetlone. Na wystawie jednego z nich widział wcześniej rysunki Rackhama. Zdecydował się zajrzeć tam i kupić jeden dla Sally.

Przechodził właśnie przez jezdnię, kiedy zamurowało go to, co dostrzegł. Po drugiej stronie ulicy długim krokiem szedł wysoki, szczupły mężczyzna. Miał brodę, na nogach wysokie skórzane buty, był spowity w długi ciemnozielony płaszcz. W pierwszej chwili Fenton pomyślał, że to jeden z anachronistów, którzy inspirowali się

średniowiecznymi strojami. Ale tę myśl wyparła inna – nagła świadomość, że już raz widział ten wyjątkowo długi zielony płaszcz, ten charakterystyczny kształt głowy.

–Pentarn! – ryknął i rzucił się na drugą stronę ulicy.

Mężczyzna błyskawicznie podniósł głowę i rozejrzał się dokoła. Przez moment Fenton widział jego obnażone zęby, jakby jakiś znak, a potem nagle Pentarn zaczął biec prosto w kierunku małego sklepiku z rysunkami. Fenton siedział mu na plecach aż do pierwszych schodków sklepu, gdzie z całą siłą wpadł na bezdomnego człowieka, który grał na gitarze. Z kapelusza żebraka wypadły monety i rozsypały się na progu, a gitara uderzyła o framugę drzwi. Fenton już trzymał rękę na ramieniu Pentarna, ale ten wyslizgnął się, gdy żebrzący hipis wrzasnął wściekle:

–Pieprzeni anachroniści! Za mało wam pół turniejowych do wybijania sobie zębów, gnoje! Jeśli poszły mi struny w gitarze, to was...

Fenton wymamrotał jakieś przeprosiny i ruszył do środka. W wejściu zatoczył się. Nagły, silny zawrót głowy spowodował, że w oczach zrobiło mu się ciemno. Cam poczuł, że przewraca się na bok...

W dół. W dół. Przestrzeń kołysze się, wiruje... Zamrugnął oczami; pod stopami czuł twardy grunt podłogę sklepiku. Wciąż oślepiiony, przetarł oczy i rozejrzał się. Sklepik zniknął. Ryciny Rackhama zniknęły również. Nie było też śladu Pentarna, jego brody i płaszcz. Zamiast tego w powietrzu unosił się zapach pralni, środków czyszczących i było widać jej właściciela małego, drobnego człowieczka, który spoglądał na Fentona wojowniczo.

–Za późno na oddanie prania. Zamykamy punktualnie o północy.

Mrużąc ciągle oczy, Fenton wybąkał mętne wyjaśnienie, którego nie pamiętał już za chwilę. Inne drzwi. Wszedł widocznie innymi drzwiami. Pentarn zniknął, jeśli to w ogóle był Pentarn, a nie jakiś anonimowy anachronista z kampusu, który wracał spokojnie do domu z turniejowego maratonu albo zawodów. Fenton postanowił jednak spróbować. Nie mógł uwierzyć, że ten człowiek tak po prostu wyparował. Nie tak błyskawicznie.

–Czy wszedł tu przede mną wysoki mężczyzna w długim płaszczu?

–Nie w płaszczu – odpowiedział właściciel obojętnie. – Jakiś człowiek przyniósł jesionkę do prania. Szprycowałeś się pan?

Fenton zaprzeczył ruchem głowy i wyszedł. Pentarn. Czy to mógł być Pentarn?

A może to jeszcze jedna z moich fantazji?

Nie, upewnił się dobitnie. Wszedłem po prostu innymi drzwiami, to wszystko. Odwrócił się i zaczął rozglądać, szukając małego sklepiku, w którego oknie wystawowym widział rysunki Rackhama jeszcze chwilę przed wejściem tam Pentarna.

Lecz po jednej stronie pralni znajdował się kramik z pączkami, a po drugiej księgarnia z wywieszonym w oknie prozaicznym ogłoszeniem informującym studentów, że drugiego kwietnia upływa ostateczny termin zwrotu w pełni refundowanych podręczników kursowych. Fenton obszedł budynek ze wszystkich stron, ale małego sklepiku z rycinami nigdzie nie było. Po prostu nie było. Sprawdził każde drzwi, sprawdził numer każdego sklepu po kolei, przy czym zastanawiał się, czy może wzrok go zawodzi. Potem sprawdził następny budynek, a po nim jeszcze jeden, w tę i z powrotem, drzwi za drzwiami, aż do skrzyżowania z Bancroft Way przy kampusie. Wreszcie zawrócił; badał teraz przeciwległą stronę ulicy. Kiedy w końcu usłyszał zegar z dzwonnicy wybijający pierwszą, dał za wygraną. Zmarszczył brwi i zastanawiał się, czy jest ciągle przy zdrowych zmysłach.

Przecież sklepik był tam! A niech to szlag, był tam na pewno. Na własne oczy widziałem na ilustracjach Rackhama gobliny i królową elfów, która przypominała nieco Kerridis, a jeszcze bardziej Sally.

Otulił się szczelniej płaszczem, bo był przemarznięty i ruszył wolno z powrotem w kierunku swojego mieszkania. Wtedy ogarnęła go ponura myśl: Może desperacka potrzeba potwierdzenia niezwykłych przeżyć wywołała we mnie tę halucynację? Tak bardzo chciałem się upewnić, że rzeczywistość, w której przebywałem, jest prawdziwa, iż być może wymyśliłem sobie całe zdarzenie, żeby się utwierdzić w swoich przypuszczeniach.

Ale przecież widział te same rysunki wcześniej, w drodze do Sally. Kolejna, tym razem racjonalna myśl przyszła mu do głowy: Być może zauważyłem je w innej księgarni. W końcu ilustracje Rackhama są dość popularne, a właściciel mógł je najzwyczajniej zdjąć z wystawy i sprzedać.

Ale dlaczego nie było tam sklepiku? Dlaczego w chwili kiedy tam wszedłem, znalazłem się w pralni chemicznej? Dlaczego potem nigdzie nie mogłem go znaleźć? Nagle dopadła go myśl: Dzieje się tak, jakby to przeklęte miejsce chciało się przede mną ukryć. Fenton był już w domu. Usiadł na obskurnej wersalce i ciągnął rozmyślenia: Miejsce, które nie chce być odnalezione. Którego nie można znaleźć, kiedy się go szuka.

Dziwne oszołomienie, jakie ogarnęło go po przestąpieniu progu sklepiku, nie było zwykłym zawrotem głowy, podobnym do tego przy wkraczaniu w inny wymiar po dawce antarilu.

Cameron Fenton poczuł mrowienie wzdłuż kręgosłupa. Przez chwilę delikatne włoski

na szyi i na plecach wyprostowały mu się jak przestraszonemu kotu.

Czyżby zobaczył i dotarł pod sam próg tego dziwnego miejsca, które Irielle nazywała Domem na Rozstajach Światów?

ROZDZIAŁ 8

Następnego dnia Fenton wznowił poszukiwania wzdłuż całej długości Telegraph Avenue, dom po domu, od jej początku przy Bancroft aż do miejsca, gdzie roilo się od banków, szkół baletowych i stacji benzynowych, położonych na południe od nowej autostrady. Potem zawrócił. Sprawdzał ulicę na całej długości jeszcze raz, po obu stronach, i w końcu się przekonał, że sklepiu nie ma, ani z rysunkami Rackhama na wystawie, ani bez nich.

Oznaczało to jedną z dwóch możliwości: albo postać Pentarna była wytworem jego fantazji, poprzedzonym halucynacją znikającego sklepiu, w którym mężczyzna mógłby także zniknąć, albo...

Albo... co? Opowieść Irielle o Domu na Rozstajach? Nie mógł opowiedzieć Sally o tym zdarzeniu. Ona na pewno by uznała, że sam Fenton jest autorem całej historii. Usiłował sobie przypomnieć spostrzeżenia z pierwszej wizyty w krainie Alfarów i przyszła mu do głowy myśl o kurtce wujka Stana, którą wtedy miał na sobie, i pytanie, jakie wtedy zadawał. Właśnie, to mógł sprawdzić.

Teraz kiedy instytut zamknięto, na kampusie nie było nic do roboty. Nic oprócz rzutu oka na wieszaki pełne wydawnictw specjalistycznych i na tablice z ogłoszeniami. Zauważył, że ogłoszono konkurs na asystenta dla profesora na Cornell University. Według panującej zasady forowania mniejszości i tak nie miał zbyt wielkich szans będąc białym Anglosasem płci męskiej. Pewnie woleliby czarnego, Meksykanina albo kobietę – ale i tak wysłał zgłoszenie. Zastanawiał się, czy Sally zechciałaby mieszkać w stanie Nowy Jork. To bardzo daleko od Kalifornii, gdzie Sally ma krewnych. Z drugiej jednak strony nie wydawało się, aby łączyła ich nadmierna zażyłość.

A Irielle? pomyślał Fenton.

Ze złością nakazał sobie zapomnieć o Irielle, która zresztą najprawdopodobniej nigdy nie istniała. Sally zaś była rzeczywista. Sally była istotą ludzką, i potrzebowała go. Poważne wahania związane z wyborem realnej kobiety zamiast jawy ze snu zakrawały na szaleństwo. Może zasługiwał na wszystko, co Sally mu powiedziała?

Jedno było pewne: bardzo dawno nie odwiedzał swoich krewnych, a wujek Stan z pewnością ucieszy się na jego widok.

Jechał drogą na północ. Skręcając tuż przed Sacramento, aby mknąć dalej autostradą numer pięć, myślał o tym, co Irielle mówiła mu o Domu na Rozstajach. Nie można go znaleźć wtedy, gdy się go szuka – tak mówiła. Tak, to niewątpliwie dotyczyło również sklepiu z rycinami. Ale dlaczego właściwie sklepik miałby być Domem na Rozstajach? Kamuflaż... Czy mógłby być zakamuflowany w tak racjonalny

sposób, jako coś zupełnie prozaicznego? Skoro jednak w znanej Fentonowi rzeczywistości nie było podobnego zjawiska, to właściwie jakie znaczenie miał wygląd Domu?

W porządku. Przypuśćmy na moment, że istnieje coś takiego jak Brama między dwoma wymiarami, dom, który w jakiś sposób istnieje pomiędzy światami.

Musiałby być przemyślnie skonstruowany według specjalnych reguł. Jak by więc wyglądał?

Cameronowi Fentonowi wydawało się, że powinien być podobny do centrum komputerowego. Pomyślał kwaśno, że chyba pomieszał rzeczywistości. Gdyby wymyślał film science fiction, w którym miałyby funkcjonować brama między światami, to oczywiście musiałyby być skonstruowana z komputerów. Komputery były nowoczesnym odpowiednikiem przedmiotów magicznych, bo jak powszechnie uważano, zawierały w sobie coś nie do końca zrozumiałego. Większość ludzi, którzy produkowali filmy science fiction, i ci, którzy chodzili je oglądać, nie do końca znali się na komputerach, ale wiedzieli, że za ich pomocą można dokonywać dziwnych, trudnych, czasem prawie niemożliwych operacji. A zatem dla nich odpowiednikiem dei ex machina było centrum kontroli komputerowej.

Nie było jednak podstaw do przypuszczeń, że Dom na Rozstajach, Brama między dwoma wymiarami, miałby wyglądać jak coś już Fentonowi znanego albo coś możliwego do ogarnięcia zmysłami. Wniosek z tego, że prawdopodobnie nie wyglądał. Może wyglądał tak jak coś zupełnie niemożliwego do uznania przez jego zmysły za normalne zjawisko. A wtedy jego umysł przekształcił to doświadczenie w coś stanowiącego sensowny i zrozumiały kształt. Jak sklepik z rycinami.

Albo pralnia chemiczna? pomyślał Fenton. Może gdybym poszedł dalej przez pralnię, dotarłbym tam, gdzie podążał Pentarn. To właśnie powinienem był zrobić! Dogonić go, podążyć za nim i dotrzeć tam, gdzie próbował uciec...

Ten nagły zawrót głowy, którego doznał, gdy stał niezdecydowany na progu sklepiku... Pentarn przedarł się przez podobne oszołomienie i dotarł w jakieś inne miejsce... A Dom na Rozstajach odszedł razem z Pentarnem i pozostawił Fentona w najbardziej prozaicznej pralni w jego wymiarze.

Ale, ale, rozmyślał Fenton patrząc na wijącą się przed nim autostradę i szczyt Mount Shasta, który zaczynał bawić się z nim w chowanego, widziałem ten sklepik wcześniej, kiedy szedłem do mieszkania Sally... Widziałeś go, kiedy był zamknięty na skobel. Widziałeś go, gdy nie mogłeś wejść do środka. Jednak wtedy, kiedy Pentarn tam wszedł... ten jeden raz... był otwarty. A potem widocznie odpłynął w inny wymiar...

Zdaje się, że zaczynam gonić w piętkę. Jeżeli nie przestanę myśleć w ten sposób, wyładuję niedługo w pokoju bez klamek w Napa.

Fenton próbował odsunąć podobne myśli, przekonując się, że wszystko, czego doświadczył, było dziwną halucynacją spowodowaną obsesyjnym niepokojem związanym z projektem przetestowania antarilu. Nie mógł zwierzyć się Sally. Wykorzystałaby jego przypuszczenia jako jeszcze jeden dowód na to, że utracił obiektywizm naukowy wobec testu i powinien się z niego wycofać jak najprędzej.

I wtedy nigdy nie zobaczyłbym Irielle...

Ta właśnie myśl, jak przypuszczał, oznaczała, że Sally miała rację i że powinien się wycofać...

Wykończony podróżą, dotarł wreszcie do miasteczka Siewa, na północ od Shasty.

Odnalazł małą, boczną dróżkę, skręcił w nią, przejechał przez drewniany mostek i wjechał na podwórko. Para ciekawskich kóz spuściła łby i szarżowała w jego kierunku, dopóki ich nie odegnał; śmiał się przy tym w głos. Musiał je odstraszać, kiedy szedł w stronę domu.

–Wujku Stanie! To ja, Cam! – zawołał.

Nikt nie odpowiadał. Kuchnia, zazwyczaj obskurna, była czysta i pusta. Wujek musiał pracować gdzieś na ranczo albo – jeśli Fenton miał pecha – prowadził jakąś grupę młodych zapaleńców w góry.

Zauważył filiżankę kawy na kuchni, która okazała się zimna jak lód, więc nie znaczyło to nic. Fenton zapalił gaz i postawił kawę na ogniu. W czasie gdy się podgrzewała, poszedł sprawdzić, czy górski sprzęt wuja jest na miejscu. Jego wielki śpiwór wisiał na haku w sypialni, zapewne się wietrzył, a gruba parka wisiała za drzwiami. Wuj nie mógł zatem być daleko. Fenton wrócił do kuchni. Kawa zaczynała się gotować, więc nalał sobie filiżankę i popijał wolno usiadłszy przy stole nakrytym ceratą. Po jakimś czasie poszedł do sypialni gościnniej i przeszukał szafkę.

Czerwono-czarna kurtka, którą wuj trzymał dla niego na wyprawę w góry, wisiała właśnie tam. Kiedy włożył rękę do kieszeni, znowu poczuł mrowienie na plecach – wyczuł pod palcami małą, niedbale przyszytą, szorstką łatkę.

Potwierdzenie? Nie. Niekoniecznie. Mogło to znaczyć tylko tyle, że jego podświadomość miała lepszą pamięć niż on sam. Dosłownie zemdliło go ze złości. Jak mógł udowodnić, że nie wiedział czegoś, nie czytał o czymś, nie widział czegoś. Wszyscy od czasów Oscara Wilde'a znali bezskuteczność prób udowodnienia twierdzeń negatywnych. Oskarżony nie może udowodnić, że nie zrobił czegoś, bo to prokurator musi udowodnić, że zrobił.

Tylko przy badaniach parapsychologicznych badacze muszą wszystko udowodnić, myślał Fenton z ostrym poczuciem niesprawiedliwości. Zamiast sytuacji, w której ktoś musiałby mu udowodnić, że kłamie, on musiał udowodnić, że nie kłamie. Miał dowieść nawet tego, że nie poddawał się oszustwu podświadomości. Czy ktoś kiedykolwiek musiał udowodniać aż tyle twierdzeń negatywnych? Jak miał przekonać kogokolwiek, że nigdy wcześniej nie czytał ani nie widział czegoś podobnego do tego, co przeżył z Alfarami i żelazorami?

Nic dziwnego, że tak wielu parapsychologów zmęczyło się już napastliwymi, nieludzkimi krytykami, według których byli oszustami, kłamcami, kawalarzami, ludźmi nieuczciwymi intelektualnie.

Fenton siedział znów przy stole, popijając stygnącą gorzką kawę i czuł się zniechęcony. Po co to wszystko? Przecież może nie przekonać Sally. Jeśli nie przekona Garnocka ani Sally, cóż z tego wyniknie? Nikt więcej już nigdy mu nie uwierzy, nawet jeśli opisałyby wszystko w książce. Czy udowodniłby cokolwiek? Po prostu jeszcze jeden świr z Wydziału Psychologii...

Powiniennem rzucić eksperyment w diabły i wrócić do szczurów biegających po labiryntach, pomyślał. Zdając sobie sprawę, że doprowadza się do skraju depresji, od której uciekając przyjechał właśnie tutaj, zarzucił na siebie czerwono-czarną kurtkę wuja i wyszedł na chłodne, rzeźkie, górskie powietrze. Kozy gromadziły się wokół niego z rosnącą natarczywością, więc musiał je odpędzać, żeby przejść, co dziwnie przypominało Pentarna maszerującego wśród żelazorów.

Tylko że kozy były nieszkodliwe. Może trochę dziwaczne i nieznośne, ale całkiem niegroźne. Szedł wąską ścieżką za domem, prowadzącą w kierunku wzgórza, wzdłuż której rosły dęby i jałowce górskie. W czystym, łatwo przenoszącym dźwięki powietrzu usłyszał rytmiczne uderzenia i domyślił się natychmiast, że wuj rąbie drzewo gdzieś w pobliżu.

Wysoko, na zboczach gór, śnieg jeszcze nie stopniał. Kilka kilometrów stąd, na szczytach, śnieg zalegał grubymi warstwami i połyskiwał w oddali. Powietrze było zimne i mroźne, szron ozdabiał trawę po obu stronach ścieżki. Kiedy Fenton tak szedł, przypominał sobie znikający szlak, który zaprowadził go do królestwa Alfarów. Ale teraz czuł twardy grunt pod stopami.

Czyżby we śnie odwiedził krainę niezupełnie mu obcą? Echo uderzeń topora było coraz wyraźniejsze. Fenton zaczął wspinać się po stromej dróżce w kierunku hałasu. Między uderzeniem a jego echem zalegała cisza.

–Wujku Stanie?! – zawołał Fenton.

Uderzenia ustały na moment, więc Fenton zawołał jeszcze raz:

–Wujku Stanie, jesteś tam?! To ja, Cameron! Obszedł powalony pień drzewa i dotarł na polankę. Na jej krańcu dostrzegł wysokiego chudego mężczyznę w spłowielej flanelowej koszuli, który ścinał drzewo. Mężczyzna przerwał na chwilę pracę, zamachał ręką na powitanie i krzyknął:

–Kończę za minutę! Skończę tylko z tym tutaj! Po chwili drzewo zważyło się, złamawszy po drodze gałęzie sąsiednich drzew i krzewy. Nie było bardzo duże. Stanley Cameron już podążał w kierunku siostrzeńca, z toporem przewieszonym przez ramię, ocierając czoło rękawem koszuli.

–Cześć, Cam, miło cię widzieć. Przyjechałeś dzisiaj prosto z Berkeley? – Wyciągnął rękę.

Fenton pochwycił silną dłoń brata swojej matki i uściskał ją. Stan Cameron był chudym, starszym mężczyzną, jego kasztanowe włosy przyprószyła siwizna. Miał głęboko osadzone oczy, otoczone zmarszczkami jak u człowieka, który dużo czasu spędził na otwartej przestrzeni.

–Myślałem, że to grupa dzieciaków, które obiecałem poprowadzić jutro na Shastę – powiedział. Umówiłem się, że jedno lub dwoje z nich może przyjść tu dzisiaj i powspinać się dla rozgrzewki. Miałyby zaprawę przed jutrzejszym, prawdziwym podejściem. Potknął się na porozrzucanych kawałkach drewna. Jeszcze minuta, tylko pozbieram trochę na podpałkę. Trzeba robić co się tylko da, aby utrzymać czystą ściółkę i zapobiec zagęszczaniu drzew. Kozy obgryzają dolne liście, ale i tak wszystko szybko odrasta. Zwykle pożar wybucha co pięć, dziesięć lat. Czasami powodem jest burza z piorunami. Teraz żyje tu bardzo wielu ludzi i wszyscy drżą na myśl o ogniu. Nie możemy więc do niego dopuścić. To nie to co kiedyś. Dawniej te tereny były zupełnie dziewicze. Duży pożar może uczynić cuda na zarośniętych, dzikich terenach, lecz na ziemi zamieszkannej jest koszmarem. Cam, jak udało ci się wyrwać tutaj w środku roku akademickiego?

–Instytut zamknięto z powodu szalejącej grypy. Nie mógłby przecież powiedzieć wujowi, że przyjechał tu tylko po to, aby sprawdzić, czy w kieszeni kurtki jest łąta!

–Nie wiem, jak wy tam wszyscy wytrzymujecie w tym smogu – rzekł wujek Stan. – Powinieneś przeprowadzić się tutaj.

Fenton uśmiechnął się.

–Nie wytrzymałbym samotności, wuju.

–No, to znajdź sobie fajną dziewczynę – radził Stan Cameron. – Ożeń się z nią i przeprowadźcie się tutaj, a potem zrobisz stadko małych Fentonów i samotność już ci nie zagrozi. Dam ci kilka kóz.

Fenton roześmiał się. Wuj ponawiał swoją propozycję niezmiennie, od kiedy Cam wyszedł z wojska.

–A co, masz dziewczynę?

–Można to tak nazwać – odpowiedział Fenton. Jeszcze nie jest przygotowana do zamążpójścia, ale... – Daj jej trochę czasu. Dziewczynom tak naprawdę tylko o to chodzi, nawet jeżeli mówią coś zupełnie innego.

–Może za twoich czasów... – Fenton próbował delikatnie protestować, ale stary człowiek uśmiechnął się tylko.

–Tak było i będzie. Nie można działać wbrew prawom natury.

–Myślę, że może osiągnęliśmy taki moment, w którym kobiety przestały już uważać biologię za jedyny wyznacznik sposobu życia, wuju Stanie.

–Może i tak – odparł wuj niewzruszony – ale czy myślisz tak lub inaczej, nie ma to żadnego wpływu na naturę. Pokaż mi roślinożernego lwa, a przegrałem, i przyznam, że prawa natury nie są wyznacznikami życia. Ale w innym wypadku zaufam naturze. Zbyt długo zajmuję się kozami, aby lekceważyć jej prawa.

Fenton roześmiał się.

–Nie wiem, jak Sally zniosłaby porównanie z kozami.

–A więc na imię ma Sally? Przywieź ją tutaj kiedyś – zaproponował Stan Cameron. – Obiecuję, że nie będę porównywał jej do żadnej kozy. Na pewno życie tutaj spodobałoby się jej. Czysty, przyjazny klimat. Jeśli lubi łązić po górach, to zabrałbym was oboje na Shastę.

–Niedawno stłukła sobie kolano, ale może kiedy się zagoi... – Myśl o przedstawieniu Sally ostatnim członkom rodziny sprawiła Fentonowi znaczną przyjemność. – A co ona robi?

–Pracuje w moim instytucie. Parapsychologia. Stary człowiek wzruszył ramionami.

–To nie najgorzej. Przynajmniej rozumiecie swoje problemy zawodowe, a to ważne.

Coś nagle zaszeleściło w krzakach.

–Szop pracz – wyjaśnił Stan Cameron, a Cameron Fenton poruszył się niespokojnie.

Żelazor – dziwny, kościsty i pokraczny – przebiegł przez sam środek polanki, podniósł topór wuja Stana i uciekł, a po chwili zniknął w szeleszczącym poszyciu.

Fenton krzyknął coś niezrozumiałego i zaczął biec. Wkrótce zorientował się, że wrzeszcząc przedziera się przez zarośla.

–Hej, Cam, Cam, wracaj! Co się stało!?! – krzyczał wuj, gdy Cam się zatrzymał i rozglądał zdezorientowany.

–Wziął twój topór...

–Nie bądź głupi, szop nie może przecież zabrać siekiery – skomentował praktycznie wuj Stan.

–To nie był szop.

–To co to, u diabła, było? – Stan Cameron domagał się odpowiedzi, a przy okazji rozglądał wokół pnia ściętego drzewa. – Dobry Boże, wygląda na to, że rzeczywiście siekiera zniknęła, a niech to! Muszą tu być ślady szopa. – Wrócił z nachmurzoną miną. – W tych lasach nie żyją aż tak duże zwierzęta, aby mogły gwizdnąć topór. Prawie nie ma niedźwiedzi, ale one kradną głównie jedzenie. Szopy pracze natomiast mogą ukraść wszystko, lubią żarcie kóz – umieją unieść pokrywę wiadra i wleźć do środka. Raz znalazłem tak jednego. Był przeżarty, nie mógł ani wyleźć, ani w ogóle się ruszyć. Ale żaden szop nie byłby w stanie gwizdnąć siekiery, a niedźwiedzie nie lubią zapachu przedmiotów, które ludzie trzymali w rękach... Cam, jesteś błąd jak ściana! Usiądź! – Silne ręce wuja znusiły go, aby usiadł na pniu. – Słuchaj, synu, nawet jeśli był to niedźwiedź, nie zechce cię skrzywdzić, dopóki ty nie zechcesz skrzywdzić jego. Był o wiele bardziej przestraszony niż ty. Uciekł, już go nie ma.

–To nie był niedźwiedź, wuju Stanie. Nie był to też szop. Widziałem go.

–Co to więc było?

–Wyglądał... wyglądał jak mały człowiek. Karzeł. Niski. Pokraczny. Owłosiony. – Fenton podniósł się i ruszył w stronę śladów. – Czy twierdzisz, że to są ślady szopa?

Mimo wszystko nie wierzył, że żelazory mogłyby zostawiać ślady. Oznaczało to, że były cielesne również w tym wymiarze. Widać nie pojawiły się w tym świecie tak jak on w krainie Alfarów – jako cień bez ciała, który nie mógł dotykać przedmiotów. One rzucały cienie, zostawiały ślady, porywały zimne, stalowe topory...

Ukląkł, żeby zbadać ślady: były wąskie, z wyraźnie odcisniętymi palcami. To nie zwierzę zostawiło tu swoje ślady.

–Nie – odezwał się Stan Cameron znad ramienia Fentona – to nie są ślady szopa ani niedźwiedzia, ani żadnego znanego mi zwierzęcia. Powiedziałbym nawet, że są ludzkie, gdybym wiedział po co, u licha, jakiś człowiek miałby biegać boso w miejscu, gdzie pełno krzewów iglastych, grzechotników i trujących dębów, chyba że...

–Nie. Ktokolwiek to był, nie był istotą ludzką wtrącił Fenton.

Wuj spojrzał na niego uważnie.

–Mówisz tak, jakbyś wiedział, kim był.

–Tak. – Fenton spojrzał bezradnie na starego człowieka i rzekł: – Ale ty mi nie uwierzysz.

–Dlaczego nie? Przecież nie będziesz mnie okłamywał, prawda? Do tej pory zawsze mogłem ci ufać. Myślę, że uwierzę we wszystko, cokolwiek mi opowiesz, nawet gdyby brzmiało to trochę nieprawdopodobnie. Oczywiście, jeśli nie będziesz mi wciskał kitu dla zabawy. Widziałeś, co porwało mój topór?

–Widziałem. Widziałem go, chciałem powiedzieć... je... już wcześniej. Nie wiem, jak je określić. Jedyna nazwa, jaką słyszałem, to żelazory.

–Powiedziałeś, że widziałeś je już wcześniej. Spróbuj opisać, jak wyglądały.

–Niskie. Na oko metr wzrostu. Włochate. Okropne. Cuchnęły potwornie. Ja... – Fenton zdał sobie sprawę, że się trzęsie, a kolana odmawiają mu posłuszeństwa. Przysiadł więc na zwałonym pniu, dłonie mu drżały. – Zobaczyć żelazora... tutaj. – Sytuacja wyglądała wystarczająco źle, kiedy wiedział, że nie mogą go skrzywdzić, bo nie było go tam w pełni, a tylko śnił albo miał halucynacje, ale one były tutaj... materialnie, mogły rzucać cień, kraść topory... zimny metal... zostawiać ślady. – Widziałem... widziałem kiedyś całą grupę, jak szatkowały konia i jadły go, jeszcze żywego. Żywego i jęczącego. O Boże, mówiłem, że mi nie uwierzysz...

–Z reakcji twojego organizmu domyślam się, że widziałeś coś, co rzeczywiście tobą wstrząsnęło, Cam powiedział wuj Stan. – Sam widziałem w tych lasach różne rzeczy. Czasami tak dziwne, że nie potrafiłbym tego wyjaśnić. Był tu pewnego lata zespół specjalistów, którzy szukali czegoś, co nazywali Wielką Stopą. Była też grupa reporterów, ganiających po lesie i polujących na to coś z takim zapalem, jakby mieli do czynienia z Marsjanami. Ale wiem też, że nie dalej jak dwieście lat temu ludzie nie wierzyli, że istnieją goryle, a orangutany odkryto za mojego życia. Ciągłe mogą istnieć na tej planecie zwierzęta, o których nie mamy pojęcia. W górach Siewa rozciągają się ogromne, naprawdę przeogromne połacie dziewiczych terenów.

Jeśli pojawiają się na jakiś czas i znikają... jeśli nie są tutaj na stałe... Fenton wahał się powiedzieć o tym wujowi.

–Słuchaj – rzekł wuj Stan – chcę przeszukać dobrze teren i spróbuję znaleźć siekierę. Coś ją podwędziło, to pewne. Nie byłem to ja, nie byłeś to ty, nie był to niedźwiedź, tyle wiemy. Sprawdźmy, czy nie porzucono jej gdzieś w pobliżu. Jeśli jej nie ma, to nie ma. Nieraz ginęły mi narzędzia. Ale zawsze poszlaki wskazywały na to,

że zabierały je szopy. Paskudne z nich typki. Nigdy tylko nie słyszałem, żeby szop mógł ukraść tak duży przedmiot. Pójdźmy po śladach i wtedy zobaczymy co dalej.

Mimo że Fenton był już spokojniejszy, nie przyjął entuzjastycznie propozycji przeczesywania zarośli, w których mógł się ukrywać żelazor lub nawet kilka.

–Poczekaj – powiedział wuj Stan. – Pozwól tylko, że wezmę strzelbę. Jeśli to jakieś nieznane zwierzę albo mała człekokształtna, może być niebezpieczna, a my nie mamy pojęcia, gdzie mogła się ukryć. Nie chcę nic ustrzelić, ale sam też wolałbym wyjść z tego cały i zdrowy. Najlepiej by było odtransportować owo stworzenie do zoo lub do jakiejś placówki badawczej zajmującej się zwierzętami. Na pewno byłoby głupotą nachodzić je w środku lasu. Mówiłeś, że te stworzenia są wystarczająco inteligentne, aby używać noży.

–Używają noży. – Głos Fentona brzmiał ponuro. Wuj Stan poszedł do domu i wrócił z karabinem oraz strzelbą. Wręczył Fentonowi strzelbę.

–Nie korzystam z broni palnej zbyt często – powiedział. – Jeżeli już strzelam, to solą, żeby odstraszyć szopy, gdy robią się zbyt natrętne. Mniej więcej raz w roku poluję na jelenia; jedyne mięso, które jeszcze jadam. Jeśli nie odstrzeli się kilku jeleni, wówczas populacja staje się zbyt liczna i głodują zimą. Ludzie zrobili się bardzo wrażliwi na punkcie jeleni, od kiedy wystrzelali wszystkie kuguary. Niedźwiedź zaatakuje cię tylko wtedy, kiedy jest chory albo bardzo przestraszony, ale na rozwścieczonego niedźwiadka wolałbym nie wdepnąć. Magazynek śrutu mógłby nie wystarczyć, a tylko zachęcić do pościgu... Nie lubią hałasu. Ale jeżeli trafimy na coś, z czym nigdy nie miałem do czynienia, wolę nie mieć pustych rąk.

Fenton bez słowa przyjął broń. On również nie miał ochoty napatoczyć się na żelazora z pustymi rękami, a tym bardziej na całe stado.

Swoją drogą ciekawe, czy broń wyrządza im krzywdę? pomyślał. Tak, są przecież wystarczająco materialne, zostawiają ślady...

Wędrowali przez kilka godzin. Ale ślady zniknęły w końcu na twardej ziemi i wypatrywanie nic już nie dało. Stan Cameron westchnął w końcu.

–No cóż, to chyba na tyle – powiedział i ruszyli z powrotem.

–Wuju, czy masz aparat fotograficzny? Mężczyzna pokiwał głową.

–O tym samym myślałem. Powinniśmy mieć jakiś dowód, że nie ganialiśmy przez cały dzień za stadem dzikich gęsi.

Zrobili zdjęcia. Ale światło nie było już dostatecznie jasne i Fenton zdawał sobie sprawę, że zdjęcia wyjdą nieostre, za ciemne, a ślady niewyraźne. Nikt w instytucie

nie uznałyby ich za dowód naukowy potwierdzający istnienie żelazorów w tym wymiarze.

A czy Sally uznałyby je za wystarczające? Nagle Fenton znów się rozszłościł. W każdej innej dziedzinie oprócz tej zeznanie stosunkowo uczciwego świadka albo przynajmniej świadka o dobrej reputacji zostałyby uznane, chyba że ktoś udowodniłby, że było inaczej.

Mój Boże, nawet Freud nie musiał udowadniać istnienia libido, id czy superego, rozmyślał Fenton, musiał tylko osiągać wyniki potwierdzające przypuszczenia... Niektórzy uważają, że i wyników nie było, a Freud tylko ogłaszał, że je osiąga.

Nic dziwnego, że parapsychologowie mają już tego dość i wolą spędzić resztę życia w Klubie Ciekawej

Książki zamiast w laboratorium. Przypuśćmy, że Einstein musiałby udowodnić istnienie jądra w atomie. Przypuśćmy, że ludzie, którzy nie rozumieją jego matematyki, stwierdziliby, iż Einstein był oszustem, że wymyślił sobie działania matematyczne w taki sposób, aby mu pasowały i że cały Wydział Matematyki Uniwersytetu w Princeton brał udział w szalbierstwie dla draki.

W małej, ubogiej kuchence górskiego domu krzątał się Stan Cameron, odgrzewając fasolę i przygotowując sałatkę. Do pieca włożył blachę pełną biszkoptów. Fenton zaoferował się z pomocą, ale wuj odmówił. Tłumaczył, że wie, co gdzie w kuchni się znajduje i poza tym że jest ona zbyt mała, aby dwie osoby deptały sobie po piętach. Nalał pełny dzbanek świeżej kawy i zaproponował siostrzeńcowi piwo.

–Kupiłem kilka butelek, kiedy ostatnim razem byłem w mieście.

Fenton podziękował i usiadł do stołu.

–Proszę, częstuj się, jedz, Cam. Tu są porządne serwetki, ja nie lubię tych papierowych gówierek. Pochylił na moment głowę i wymamrotał: – Panie, w imię Twojego Syna, który mówił: „Daj nam chleba powszedniego”, pobłogosław ten pokarm na nasze zdrowie, i moje życie w Twojej służbie. Amen.

Fenton, który w żadnym sensie nie był religijny, pomyślał nagle, że to może być przyczyna, dla której jego wuj jest bardziej gotowy do uwierzenia w niewidzialne. Prawdopodobnie reprezentował inny system wartości i inny rodzaj doświadczenia niż ten, który można było zdobyć w laboratorium naukowym.

–Kawy? Jest też herbata, jeśli wolisz, Cam.

–Proszę kawę... dziękuję... Świetnie przyrządzasz fasolkę, wujku.

–A twoja dziewczyna umie zrobić takie biszkopty? Fenton uśmiechnął się.

–Nie wiem. Sally nie gotuje zbyt często. – Cieszył się z podjętego tematu. Chciał, żeby podczas obiadu zrelaksowali się i nie myśleli o niedawnych wypadkach. Opowiedział Stanowi trochę o Sally, o tym, że pochodzi z Fresno, że ma dyplom z parapsychologii i pracuje jako asystentka. O tym, że miała już męża, ale się rozwiedli i że zmarło jej dziecko.

–Czy już się jej oświadczyłeś?

–Jeszcze nie. Żartowałem trochę na ten temat. Sally nie jest na razie przygotowana, aby znów myśleć o małżeństwie.

–Mówi się, że jeśli mężczyzna żeni się drugi raz, to szczęśliwy był z pierwszą żoną, a jeśli kobieta drugi raz wychodzi za mąż, to będzie szczęśliwa z drugim mężem. Oczywiście, nie zawsze tak jest. Bóg jeden wie... byłem szczęśliwy z Louise, twoją ciotką, a po jej śmierci... przepraszam, jeśli cię uraziłem, ale nigdy nie mogłem przywyknąć do tych głupich zwrotów „odeszła” albo „połączyła się ze światem wiecznym”. Śmierć to śmierć, a dusza idzie do Boga i nie widzę przyczyny, dlaczego miałbym nie mówić „śmierć”!

–Zgadza się. – Widział zbyt wielu zabitych ludzi w Wietnamie, żeby teraz bawić się w używanie eufemizmów umożliwiających ominięcie obrzydliwości zjawiska. – Wierzysz w istnienie duszy, wujku Stanie?

–Nie mam powodu, by nie wierzyć – odpowiedział cicho starszy człowiek. – Jeżeli się okaże, że jej nie ma, to i tak nic nie straciłem, bo wiara uczyniła moje życie szczęśliwszym. Jeżeli śmierć jest niczym więcej jak tylko wieczną ciszą, i tak nigdy nie poznam różnicy albo będę mógł się pośmiać z własnej głupoty. A jeżeli dusza istnieje, dostanę się w sferę życia wiecznego i będę się cieszył, że nie uwierzyłem demaskatorom złudzeń. Nie za bardzo jednak wierzę w Boga, który posyła ludzi do piekła tylko dlatego, że w Niego nie wierzą, wzięwszy pod uwagę rodzaj dowodów, jakie ludziom pozostawił na swe istnienie. Więc może pewnego dnia znów ujrzę Louise, a ten pomysł bardzo mi się podoba. A może nie zobaczę, ale i z tym będę jakoś żył. Wydaje mi się, że jesteś trochę podobny do mnie. Nie obchodzi cię, co ludzie myślą o tym, w co wierzysz i co robisz, wystarczy, że to ma dla ciebie znaczenie.

Fenton westchnął głęboko.

–Wuju Stanie, bardzo chciałbym ci wszystko opowiedzieć, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Jadąc tutaj nie myślałem, że coś będę mówił, nie po to przyjechałem, ale...

–Jakby się właściwie zastanowić, synu, do tej pory nie powiedziałeś, dlaczego tu

jesteś.

–Przyjechałem obejrzeć kurtkę. Ściśle mówiąc, dziurę w kieszeni twojej kurtki. Ale myślę, że teraz chciałbym opowiedzieć ci wszystko po kolei.

Opowiadanie zajęło trochę czasu. Stan Cameron nie przerywał, w milczeniu wysłuchał szczegółowej opowieści o dwóch wizytach Fentona w krainie Alfarów. Ale kiedy siostrzeniec doszedł do swoich prób udowodnienia realności zdarzeń, zmarszczył brwi. Kiedy Fenton opowiadał o spotkaniu Pentarna na Telegraph Avenue, starszy pan oparł podbródek na dłoni i z uwagą obserwował wzór na obrusie. W końcu się odezwał:

–Kiedy byłeś mały... ale wysłuchaj cierpliwie do końca, co mam ci do powiedzenia, zanim uznasz, że jestem po stronie demaskatorów złudzeń, Cam. Wysłuchaj wszystkich argumentów, a nie tylko tych, które ci pasują. Niewykluczone, że kiedy byłeś mały, mogłeś słyszeć o Emmie. Ale choć z drugiej strony nie mam co do tego pewności, wiem jednak na pewno, że nie widziałeś starego albumu.

Drżącymi rękami Fenton sięgnął po kubek z kawą.

–Czy mam przez to rozumieć, że żyje albo żyła kiedyś Emma Cameron? Oczywiście, są ich pewnie setki, ale...

–Ale chyba nie dzisiaj. Emma jest jednym z tych imion, których nie słyszy się już w tych czasach tak często. Kiedy moja matka była dziewczynką, należała do bardzo popularnych. O tym właśnie chciałem mówić. Ojciec opowiadał mi o swojej ulubienicy, kuzynce. To było jeszcze w ubiegłym stuleciu, chyba w latach pięćdziesiątych, w czasach powozów i końskich zaprzęgów, oczywiście. Ojciec mówił, że jego ulubioną kuzynką była Emma Cameron. Zginęła w wypadku w dorożce, razem z matką i ojcem. Miała wtedy sześć, może siedem lat. Wydaje mi się, że jednak nigdy ci nie opowiadałem o kimś, kogo tak po prostu lubił mój ojciec. Louise też nie mogła ci opowiadać, bo ojciec chyba nie mówił jej o tym. Ale mieli jedno wspólne zdjęcie, mój ojciec i jego kuzynka Emma, zrobione, kiedy oboje byli brzdącami. To stare zdjęcie zachowało się jako jeden z rodzinnych portretów. Wiesz, wszyscy są na nim sztywni i upozowani jak figury woskowe. Pewnie dlatego, że aparaty fotograficzne mieli jeszcze niedoskonałe i musieli długo stać nieruchomo, zanim zrobiono im zdjęcie. Album leży schowany gdzieś głęboko; spróbuję go wyciągnąć. Może po cichu wygrzebałeś go kiedyś?...

Fenton nie mógł mówić z wrażenia. Nie wiedział dobrze, czy sprawiła to wiedza o Emmie Cameron, która prawdopodobnie była żywą osobą... czy fakt, że informacja o niej pochodziła z jego podświadomości, która nigdy niczego nie zapomina. Podrzutek. Dziwny wydawał mu się wybór dla niej imienia i nazwiska istoty kiedyś żyjącej, i opis wypadku, w którym zginęła.

Albo nie zginęła, pomyślał, tylko została przerzucona w inną rzeczywistość, w której mogła przeżyć mając takie rany...

Spróbował stłumić drzenie w głosie wywołane podnieceniem i odezwał się:

–Wujku Stanie, czy mógłbyś teraz poszukać tego albumu?

–Pewnie, właśnie chciałem to zaproponować odparł Stan. – Czy możesz sprzątnąć naczynia ze stołu?

Fenton cieszył się, że ma czym zająć ręce i myśli, podczas gdy Stan Cameron buszował w sąsiednich pomieszczeniach, otwierając stare pudła i szuflady. Cam posprzątał naczynia, pozmywał, schował jedzenie do lodówki, zaparzył świeżą kawę. Potem krzyknął coś do wuja i wyszedł na podwórko, aby zagnać kozy na noc do szopy. Naniósł im widłami paszy – zajęcie znane z poprzednich pobytów u wuja – głaskał przyjazne łby zwierząt, które ocierały się o jego uda i kolana, drapał młode, wierzgające i wierzące się kozy za pojawiającymi im się dopiero rogami. Myśl, że jeden z żelazorów mógłby się znaleźć pośród tych przyjaznych, ufnych stworzeń, przyprawiła go o drzenie.

Oto jedno z zagadnień, które próbował rozstrzygnąć. Jeżeli żelazory były w tym wymiarze wystarczająco materialne, że kradły w biały dzień siekierę, to jest pewne, że mogłyby pożreć kozę. Pytanie brzmiało: dlaczego żelazory, które są w końcu żywymi istotami, a nie potworami z bajki czyniącymi zło, kłopotczą się w ogóle z przechodzeniem w inne wymiary? Jeśli chciałoby się wyjaśnić rzecz zwykłym głodem, ten motyw, przyczyna ich działań, wystarczał, aby wykluczyć je z kategorii filmowych potworów.

Główne prawo psychologii uczyło przecież, że każda czynność żywej istoty ma jakąś przyczynę. To nie musiał być powód, który Fenton osobiście uznałby za wystarczający lub logiczny, ale mógłby okazać się wystarczający dla istoty wykonującej daną czynność.

A głód był bądź co bądź podstawową przyczyną... lecz jeśli wziąć pod uwagę poczynania żelazorów z końmi Alfarów, mało zaskakującą. Fenton zatrzasnął kłódkę na drzwiach szopy dla kóz bardzo uważnie, ale zdał sobie sprawę, że nie stanowiłaby przeszkody dla rozjuszonych żelazorów. Szopa dla kóz to, niestety, nie ostatnie miejsce, w jakim spodziewałby się straszydeł.

Kiedy wrócił do domu, wuj Stan siedział przy kuchennym stole, a album w splewiałej oprawie leżał przed nim.

–Zamknąłeś kozy w szopie? Dziękuję, Cam.

–Wszystko w porządku, lubię to robić. Wuju Stanie, czy zginęła ci kiedyś koza w

okolicznościach, których nie potrafiłbyś wyjaśnić?

–Tak blisko dzikich terenów? Oczywiście! Jedna lub dwie w ciągu roku. Parę razy stwierdziłem, że to kuguar je porwał. Wolę tracić kilka co roku niż przeprowadzić się stąd bliżej miasta. – Zmrużył oczy. – Myślisz o tych hultajach, które zabrały moją siekierę? Przypuszczam, że to możliwe. Nigdy zresztą nie badałem ciał zwierząt aż tak dokładnie. Zamykam kozy na noc w szopie. Niektórzy farmerzy mieszkający w okolicy zostawiają swoje na pastwisku, a potem czekają zaczajeni z bronią, żeby strzelać do kugarów i kojotów. Ja myślę, że dzikie zwierzęta mają prawo jeść, a jeżeli nie chcę, żeby jadły moje kozy, to moja w tym głowa, aby kozy zabezpieczyć z dala od ich terytorium i na czas, kiedy polują. Inni farmerzy nie widzą tego rozwiązania. – Przysunął stary album w stronę Fentona i otworzył na pierwszej stronie. – Nie przeglądałem go od śmierci Louise. Tych fotografii nigdy uważnie nie oglądałem. Może powinienem je kiedyś oddać do muzeum, które byłoby zainteresowane dokumentami o Kalifornii w dawnych czasach. Tutaj. – Wskazał jedno ze zdjęć grubym, szorstkim palcem.

Fotografia przedstawiała dwie upozowane, stojące rodziny. Dwie kobiety w zamiatających podłogę, długich sukniach, z kołnierzykami zapiętymi pod samą szyję jak na poprzednią epokę przystało i dwóch mężczyzn z kocimi wąsikami... Jeden z nich był wyraźnie podobny do Stana Camerona i samego Cama Fentona... Przed nimi stało dwóch chłopców. Jeden miał szyję ściśniętą krawatem i przyciasnym kołnierzykiem (musiało mu być bardzo niewygodnie), drugi, mniejszy i tłustawy, miał na sobie marynarskie ubranko i czarne podkolanówki. Obok nich stała mała, drobna dziewczynka. Jej długie włosy poskręcane w loki opadały na kołnierzyk jasnej sukienki...

Cam Fenton wypuścił ciężko powietrze. Nie taką Irielle poznał. Jej lśniąco rozwiane włosy, kiedy śpiewała u Alfarów... Ale kształt małej bródki, obniżone łuki brwiowe... Tak, to była Irielle.

Stan Cameron wskazał małego tłustego chłopca w marynarskim ubranku:

–To mój ojciec a twój dziadek, ojciec twojej mamy. Ten drugi chłopiec to mój wuj Jerome. Zginął we Flandrii w czasie pierwszej wojny światowej, rok czy dwa przed moim urodzeniem, ale ciągle dużo o nim opowiadano. Gaz musztardowy, ta okropna broń owych czasów. Kiedy byłem dzieckiem, słuchaliśmy o niej tak dużo jak teraz ty o napalmie. Wuj Jerome jest pochowany na Polach Flandryjskich, tam gdzie co roku w rocznicę zawieszenia broni sprzedają maki. Każde nowe pokolenie myśli, że to ono wymyśliło wojenne ludobójstwo. Pewnie myśleli tak również ci, którzy w średniowieczu zrzucali z murów kubły z gotującą się smołą. Tak czy inaczej, to jest Emma, kuzynka mojego ojca. Jej rodzina była... no cóż, nieważne, nie będziemy się zagłębiać w zawłości drzewa genealogicznego rodziny. Zginęła trzy miesiące po zrobieniu tego zdjęcia, razem z wujem i ciotką mojego ojca.

Fenton popatrzył jeszcze raz na filigranową buzię i loki dziewczynki z epoki wiktoriańskiej, utrwalone na wyblakłej fotografii w kolorze sepii. Irielle. Emma Cameron. Zginęła w wypadku w latach dziewięćdziesiątych dziewiętnastego wieku... albo zniknęła w innym wymiarze, gdzie czas płynął zupełnie inaczej, więc ciągle mogła mieć dwadzieścia lat. Jak wyglądałaby dzisiaj Emma Cameron? Prawdopodobnie miałyby około pięćdziesiątki, jeśli jeszcze by żyła.

Ciekawe, czy jeżeli przeprowadziłbym ją w ten wymiar, zastanawiał się Fenton, czy nie groziłby jej ten stary numer z Zaginionego horyzontu, natychmiastowa, nagła przemiana w zgrzybiałą staruszkę albo rozsypanie się w proch? Odruchowo wzruszył ramionami.

Stan Cameron wyjął ostrożnie kartę ze starego albumu i szukał dużej koperty, aby ją zapakować.

–Myślę, że chciałbyś wziąć tę fotografię – powiedział. – Lepiej, żebyś ty ją miał niż ja. Nie ma sensu, by te rzeczy wały się po kątach, aż ktoś wyrzuci je razem ze śmieciami po mojej śmierci, zwłaszcza że wtedy na pewno nie będę ich potrzebował, wszystko jedno co ze mną będzie potem. Tak czy inaczej, nie czuję też zbyt dużego sentymentu do zdjęcia mojego ojca w marynarskim wdzianku, w wieku lat sześciu. W końcu jest on też twoim dziadkiem. Weź to zdjęcie, Cam. Jednak na twoim miejscu nie spodziewałbym się, że przekonasz kogokolwiek. Ludzie, którzy nie zechcą ci uwierzyć, są równie zapiekli w swym przekonaniu jak ci, którzy uwierzą od razu.

Fenton pokiwał głową, co oznaczało, że zgadza się ze zdaniem wuja. Wziął zdjęcie zapakowane w kopertę i schował je w samochodzie. Nie zamierzał wprowadzić podetknięcia fotografii pod nos Sally i powiedzieć: „Widzisz, Sally, ona istniała naprawdę”, ale dobrze było wiedzieć, że taka osoba w ogóle kiedykolwiek żyła.

Tej nocy nie zmrużył oka. Leżał w dużym pokoju skromnego, farmerskiego domu i nasłuchiwał. Każdy, najmniejszy szmer brzmiał w jego uszach jak kroki skradającego się żelazora. Jeśli istniało niebezpieczeństwo, że żelazory mogą przekradać się do tego wymiaru, by pożerać kozy i konie – a przecież ludzie stanowią dla nich równie smaczną kąsk – to wolałby, żeby niezwykle przeżycia były tylko sennym majakiem.

Ale nie przypuszczał, że ma wybór. Czy Cam Fenton wierzył w istnienie żelazorów, czy też nie, dla nich samych nie miało to najmniejszego znaczenia.

Cam jęknął i wstał, żeby poszukać aspiryny w apteczce wuja. Jeśli żelazory naprawdę istniały, to nie mógł milczeć o tym fakcie. Miał obowiązek ostrzec ludzi o bardzo poważnym niebezpieczeństwie, które im zagrażało. Nie chciał nawet wyobrazić sobie żelazom pojawiającego się gdzieś w okolicach kampusu w Berkeley.

Czuł się jak człowiek porwany przez UFO, który wraca na Ziemię, aby poinformować jej mieszkańców o zagrożeniu z kosmosu.

Już to sobie wyobrażam, pomyślał. Mogę się spodziewać co najmniej wyrzucenia z instytutu z powodu nieodwracalnego zidiocenia, jeśli zacząłbym ostrzegać ludzi, by uważali na włosy, pokręcone karły w gaju eukaliptusowym!

ROZDZIAŁ 9

Jadąc z powrotem autostradą do Berkeley, Fenton przez całą drogę oskarżał się o moralne tchórzostwo.

Żelazory istniały. Tak wyglądał problem w telegraficznym skrócie. Wobec tego Fenton powinien ostrzec ludzi.

Ale przed czym, na miłość boską, mam ich ostrzegać? pytał uparcie sam siebie. O tym, że małe, włochate i obrzydliwe potworki mogą nagle wyskoczyć z nicości, porwać, poćwiartować i pożreć żywcem? I tak nikt by mi nie uwierzył. Mogę się jedynie spodziewać, że sam natychmiast zostanę schwytany i wsadzony do czubków. A tam, pod kojącym działaniem środków uspokajających, będę tkwił sobie na wieki wieków... Nie przyniosłoby to korzyści instytutowi parapsychologii.

W końcu nie ostrzegł nikogo przed niczym, ale zauważył, że nie był w stanie powstrzymać się od rzucania badawczych spojrzeń w stronę gaju eukaliptusowego za każdym razem, kiedy tamtędy przechodził. Często spacerował po Telegraph Avenue mając nadzieję, że dostrzeże mały sklepik, w którym widział rysunki Rackhama. Wywołał też nieprzyjemne zajście w księgarni, kiedy próbował ustalić, czy znajdowały się w witrynie sklepu owego dnia. Oczywiście, żaden sprzedawca niczego podobnego nie pamiętał lub też nie chciał się

przyznać. Osiągnąwszy taki punkt swego rozumowania, Cameron zaczął powoli przyznawać rację wszystkim, którzy traktowali parapsychologię jako wstęp do paranoi.

Może jednak powinienem się wycofać? zastanawiał się Fenton. Może rzeczywiście zaczynam wariować? Czy to jest właśnie ta przyczyna, że oni wszyscy mają takiego fioła na punkcie zbierania dowodów? Może robią to po to, by udowodnić sami sobie, że mogą żyć z niepodważalną pewnością istnienia zjawisk, które są nie do przyjęcia z punktu widzenia ogólnie obowiązujących, racjonalnych praw naukowych?

Naturalnie, można było zrozumieć sposób pojmowania ludzi przeświadczonych o tym, że wszystkie zjawiska parapsychologiczne są wytłumaczalne na bazie możliwych do zdefiniowania praw naukowych przyrody praw jeszcze nie zdefiniowanych, choć w dalszym ciągu racjonalnie dopuszczalnych. Było przecież oczywiste, że wszystkie zjawiska faktycznie istniejące są możliwe, co wynika z samego faktu ich występowania.

W tym miejscu należy jednak założyć, że prawa nimi kierujące były dotychczas do tego stopnia niewidoczne dla ludzi, że ich ujawnienie – i zaakceptowanie przez społeczność naukową – zdmuchnęłoby jak domek z kart dotychczas wypracowaną, tak zwaną wiedzę naukową i tym samym uzmysłowiłoby ludziom w przykry sposób,

że ich znajomość wszechświata, który jest im dane zamieszkiwać, przypomina znajomość psychologii teoretycznej, jaką ma testowany szczur laboratoryjny.

Czy można się więc dziwić całej społeczności naukowej, rozmyślał Fenton, że jest niezdolna do zaakceptowania informacji o nawet takim materiale dowodowym, który dziesięciokrotnie przewyższałby wymogi obowiązujące w innych niż parapsychologia dziedzinach wiedzy?

Wnioski końcowe Fentona w powyższej kwestii sprowadzały się do krótkiego spostrzeżenia: bez względu na faktyczną prawdziwość bądź fałszywość doświadczanych zjawisk był przerażony jak nigdy.

Zdał sobie później sprawę z tego, że gdyby uczucie niepewności przedłużyło się jeszcze choćby o kilka dni, załamałby się pod jego ciśnieniem. Pewnej nocy złapał się na tym, że wyjął z koperty zakupiony nielegalnie antaril i przyglądał mu się przez jakiś czas, rozważając poważnie, czy rozwiązałby jego wątpliwości raz na zawsze; ale było też możliwe, że tylko by je utrwalił. Zmagał się wewnątrz, czy nie wrzucić niebieskich tabletek do klozetu i spuścić za nimi wody, aby rozwiązać tym samym problem raz na zawsze, lecz ostatecznie włożył je z powrotem do koperty i odłożył na miejsce.

Ogromnym wysiłkiem woli opanował się i nie opowiedział Sally o swej przygodzie w górach Siewa. Nie czuł się na siłach, żeby podjąć kolejną próbę przekonania jej. Obciążało to ich stosunki na tyle poważnie, że w pewnej chwili Fenton rozważał możliwość zerwania z Sally. Była jednak na tyle zgorzkniała i nieufna wobec mężczyzn, iż pojmował, że jeżeli wycofałby się z jej życia bez słowa, decyzja ta wpłynęłaby na nią w sposób niemożliwy do przewidzenia. Z drugiej strony usiłowanie wyperswadowania jej decyzji o rozstaniu z pewnością skończyłoby się długą kłótnią, w której Sally udowadniałaby mu, jak dalece negatywnie wpłynął na jego umysł eksperyment z antarilem. Koniec końców zabierał ją popołudniami na spacer do zoo w San Francisco, po czym chodzili na koncerty jazzowe do Hertz Hall, a kończyli zwykle wieczór w jego ulubionej japońskiej restauracyjce. Pewnej nocy, gdy trzymał w objęciach śpiącą u jego boku Sally, zaczął poważnie rozważać wykradnięcie kluczy od jej mieszkania i podrobienie ich w całodobowym punkcie usług ślusarskich. Był przekonany, że prędzej czy później będzie zmuszony przejrzeć jej papiery.

Ostatecznie, pełen obrzydzenia do samego siebie za to, czego się dopuszcza, wysunął cicho jeszcze tej nocy szufladę i wyjął z niej teczkę z nagłówkiem M.C. FENTON. Zaczął szybko przerzucać kartki. Maszynopis zawierał obiektywny zapis jego opowieści o świecie Alfarów i jego przejść w jaskiniach żelazorów. Starał się nie czytać odręcznych notatek Sally na marginesach maszynopisu. Doprawdy, jestem bardzo etyczny, pomyślał ironicznie sam o sobie. Przeczytał jedynie dwie odręczne notatki obok miejsca w tekście, w którym po raz pierwszy wystąpiła wzmianka o Pentarnie. Pierwsza z nich brzmiała:

„Archetyp złooczyńcy, postać diabła? zbiorowa podświadomość?”

W drugiej Sally napisała:

„Odn: Amy Brittman – PENTARN.”

Zaczął gwałtownie przeszukiwać maszynopis z nadzieją na następne wzmianki o Amy Brittman, ale nagle przestał, gdyż poczuł, że zimny pot spływa mu po plecach. Nie. Czuł, iż musi przestać węszyć, i że nie zrobi tego już nigdy więcej. Wsunął zdecydowanie akta do szuflady i bezszelestnie ją zamknął. Po chwili leżał już w łóżku obok Sally, mocno tuląc ją do siebie i czując narastające wyrzuty sumienia.

Ale nawet nie próbował się zmuszać, żeby przestać w myślach pracować na wszystkie strony nad przypomnieniem sobie mgliście kojarzonych faktów związanych z nazwiskiem Amy Brittman. Był pewien, że gdzieś już kiedyś je słyszał. Pamiętał też dobrze moment, w którym Sally powiedziała: „O, mamy też Pentarna.”

Czy Amy Brittman była jedną z tych osób, które podłączywszy się do zbiorowej podświadomości, natrafiały niezmiennie na nazwisko „Pentarn”?

Następnego dnia kiedy sprawdzał spis nazwisk w Sproul Hall, dowiedział się, że Amy Brittman jest studentką pierwszego roku w Instytucie Psychologii Kształcenia, zgłaszającą się sporadycznie na ochotnika do udziału w eksperymentach prowadzonych przez Instytut Parapsychologii. W rubryce adresowej widniał numer pokoju jednego z akademików na kampusie w Berkeley. Telefonicznie Fenton dowiedział się jednak, że panna Brittman wyprowadziła się stamtąd trzy tygodnie wcześniej i nie zostawiła nowego adresu.

W tej sytuacji zdecydował się na przejrzanie wyników studentów zaangażowanych przy opracowywaniu wydziałowych projektów badawczych. Tam również się dowiedział, że panna Brittman – podobnie jak większość pierwszorzocznych studentów w takich sytuacjach – nie wywiązała się z obowiązku pozostawienia swego obecnego adresu. W dalszym ciągu jej nazwisko widniało na liście mieszkańców akademika. Fenton zauważył cierpko, że wiktoriańskie zasady funkcjonowania akademików w jego studenckich czasach miały jednak swoje niedoceniane a nieocenione zalety. Zaśmiał się w duchu z nieracjonalności swego spostrzeżenia, lecz nie przestał rozważać wszelkich możliwych sposobów zdobycia aktualnego adresu dziewczyny. Pragnął skonfrontować jej informacje na temat Pentarna z własnymi. W środę wieczorem zadzwonił Garnock.

–Słuchaj, Cam, wiem, że to już trochę późno, ale próbujemy wpisać projekt z antarilem z powrotem do kalendarza badań. Możesz przyjść jutro rano o jedenastej?

Fenton zauważył, że puls zaczął mu bić żywiej; poczuł dziwną pustkę w okolicach żołądka. To dowód na to, co mówiła Sally o jego nadmiernym zaangażowaniu w

sprawę i o konieczności wycofania się z projektu. Odpowiedział Garnockowi obojętnym tonem:

–Jasne, że przyjdę. Do zobaczenia jutro. Przyszedł do instytutu kilka minut przed czasem. Kiedy podwijał rękawy koszuli przygotowując się do zastrzyku antarilu, odezwał się do Garnocka:

–Mówiłeś mi kiedyś, że niektórzy badani opowiadali szczegółowo o swoich snach i halucynacjach. Czy ktoś opisywał je równie dokładnie jak ja?

Garnock wzruszył ramionami.

–Ludzie uwielbiają opowiadać swoje sny. Nie zwracam na to większej uwagi. – Zmierzył Fentonowi tętno, zanim założył opaskę uciskową. – Masz lekko podwyższony puls. Przeszedłeś gripę?

–Nie, na szczęście mnie ominęła – odparł Fenton. – Czuję się dobrze. Może to nerwy...

–Wszystko w granicach normy – powiedział Garnock przygotowując dawkę antarilu. – Czy mógłbyś kontrolować się tym razem tak długo, aby przejść trzy pełne próby? Wiemy dobrze, że możesz to zrobić, ale ostatnio traciłeś kontrolę zbyt wcześnie, żeby być w pełni przydatnym do analizy.

Mimo entuzjazmu Garnocka Fenton zdał sobie sprawę, że nie obchodzi go już, czy wynik odczytu kart okaże się bezbłędny, czy nie. Wrażenia po antarilu były oczywiście fascynujące, ale to, że działał potem jak Brama, umożliwiając dotarcie do innego wymiaru i obcej rzeczywistości, było nie tylko o wiele bardziej fascynujące, ale stało się również jedyną przyczyną udziału Fentona w eksperymencie. Również dzięki temu runęło dotychczasowe pojęcie Cama o budowie wszechświata.

Ale ta strona medalu zupełnie przecież nie obchodziła Garnocka!

Fenton poczuł lekkie mrowienie wywołane zastrzykiem podciśnieniowym i czekał na efekty.

–Czy jesteś gotów do rozpoczęcia tej tury, Cam? – Tak – odpowiedział i zostawił swoje ciało na łóżku. Obszedł ekran, aby spojrzeć Marjie przez ramię i odczytać wyłożone przez nią karty.

–Krzyż. Fala. Krzyż. Koło. Kwadrat. Fala... Zdołał bezbłędnie rozszyfrować trzy zestawy kart, w połowie czwartego poczuł jednak, jak znowu zaczyna zapadać się i przenikać przez podłogę laboratorium. Odniósł wrażenie, że jest to właściwy moment na wydostanie się z budynku. Choć spadek przez wszystkie piętra najprawdopodobniej nie narażał go na nic groźnego w tym stanie, Cam jednak nie

miał najmniejszej ochoty na zabawę w eksperymenty.

Zdarzało mu się dawniej rozmyślać nad starymi opowieściami o duchach przechodzących przez ściany. Teraz zastanawiał się, czemu nigdy nie słyszał o tym, czy spadały one również przez podłogę.

Gdy wydostał się na zewnątrz, kampus w przeważającej części rozplynął się już, co utrudniło mu bardzo identyfikację znajomych kształtów i znaków w terenie. Był zmuszony krążyć przez jakiś czas w poszukiwaniu dziwacznej kępy białych, pierzastych drzew, które w jego świecie miały swój odpowiednik w postaci gaju eukaliptusowego. Cam zupełnie nie rozumiał zjawiska zaciskania się czasu i przestrzeni, dzięki któremu podczas pierwszej „podróży” został rzucony gdzieś w sam środek gór Siewa, a teraz, zdawało się, ulokowany w pobliżu gaju eukaliptusowego na kampusie. Zakładał, że zjawisko to jest uwarunkowane jakimś prawem natury... wszystko jest uwarunkowane jakimś prawem natury. Jeżeli coś stanowiło problem, to tylko niezrozumienie przez niego tych praw.

Po dłuższym czasie udało mu się odnaleźć kępę pierzastych drzew, ale krajobraz zmieniał się w oczach i przemieszczał. Nadspodziewanie szybko zaczął zapadać zmrok. Fentonowi nie wydawało się jednak, aby błędził aż tak długo – gdy opuszczał kampus, minęła zaledwie jedenasta przed południem, a był przekonany, że nie błędził dłużej niż dwie godziny liczone według subiektywnej miary czasu jego świata. W narastających ciemnościach wschodził księżyc świecąc sponad drzew jasnym, zimnym i intensywnym światłem. Było ono wystarczające, by umożliwić Fentonowi swobodne poruszanie się po lesie bez obawy przed zwichnięciem nogi na kamieniach i kłodach czy zaplątaniem się w chaszczki ciernistych krzewów. Na odnalezienie jakichkolwiek dróg bądź ścieżki, którą poprzednio dotarł do fantastycznego pałacu z drzew zamieszkanego przez Kerridis i jej dwór, było niestety za ciemno. W pewnej chwili zaczął się zastanawiać, jakie wrażenie zrobiłby na nim dwór Kerridis, gdyby mu było dane oglądać go i doświadczać cieleśnie, a nie jako Cieniowi.

W pewnym momencie wydało mu się, że odnalazł ścieżkę, ale gdy na nią wkroczył, jakby zniknęła, a on pozostał dezorientowany, zaplątany w ciernistym gąszczu. Wszelkie obiekty należące do świata przyrody stawały mu materialny opór, mimo że był teraz Cieniem, tylko przedmioty wytworzone przez człowieka w jego świecie przenikały przez niego. Dostawał gęsiej skórki na myśl, że mógłby teraz stać na środku autostrady i widzieć przejeżdżające przez siebie rozpędzone samochody.

A jeśli założymy, pomyślał, że zmaterializuję się w pewnej chwili w podobnym miejscu...

Nie. Nie groziło mu nic takiego, jego ciało leżało przecież bezpiecznie w Smythe Hall. Nie było zupełnie

istotne, w jakim miejscu Fenton pojawi się w czasie powrotu do swego świata i wymiaru.

Od nowa rozpoczął poszukiwanie ścieżki. Musiały tu w końcu, u diabła, być jakieś drogi. Przypomniał sobie, jak Irielle opowiadała, że okolica należy do ogólnie znanych i uczęszczanych. Mówiła także, że jest to dobre miejsce, dogodne do spotkań, w którym dwa światy się przecinają. W którymkolwiek miejscu Fenton próbował opuścić kępę pierzastych drzew z zamiarem wejścia na otwierającą się, z pozoru, przed nim ścieżkę, szlak uciekał mu spod nóg pozostawiając go zaplątanego w ciernistych krzewach.

Przypomniał sobie mimo woli, jak usłyszał jednego z alfarskich strażników, który mówił o rzuceniu na szlaki prowadzące do nich zakłęcia chroniącego przed obcymi. Być może Findhal natrafiwszy na żelazom w miejscu, które dotąd uznawał za bezpieczne dla swych ludzi, odgrodził je za pomocą zapory uludy, której ofiarą padali przybysze z innych światów. Pamiętając o małym sklepiku z rycinami, który okręciwszy się wokół własnej osi i połknąwszy Pentarna, absurdalnie zniknął, Fenton był skłonny uwierzyć we wszystko.

Gdyby tylko mógł tu być w swej materialnej postaci, miałby wtedy szansę przedarcia się na siłę tak przez drzewa, jak i przez wszelką zaporę uludy...

Nagle usłyszał dźwięk, który zmroził go do szpiku kości – dziwaczną, bełkotliwą mowę żelazorów, dochodzącą z miejsca nie opodal kępy pierzastych drzew.

Przerażony przypomniał sobie słowa Irielle. Dawniej odwiedziny żelazorów były możliwe tylko podczas okresów zrównania dnia z nocą. Od niepamiętnych czasów niesamowite zdarzenia miały miejsce w trakcie pełni księżyca. Biorąc pod uwagę fakt, iż czas biegł inaczej w równoległych wszechświatach, można było założyć, że w krótkich okresach pełni księżyca, które następow

ły w obu wymiarach, światy i rzeczywistości wzajemnie się na siebie nakładały. Było jednak oczywiste, że pełnie księżyca nie mogły być zsynchronizowane.

Ale to nie ma sensu! rozmyślał Fenton. Jeśli Ziemia jest ta sama, to jej orbita, jak i Księżyca, muszą być identyczne... Ale czas może inaczej biec lub być inaczej doświadczany w odmiennych wymiarach...

Fenton doszedł do wniosku, że nie jest w stanie tego zrozumieć. Wydarzenia rozwijały się w tempie, które zmuszało go do odłożenia teoretyzowania na później. Błyskawicznie dał nura w chaszcze dokładnie w chwili, kiedy mała grupa czterech lub pięciu żelazorów pojawiła się wśród białych, pierzastych drzew.

W świetle księżyca wydały się Fentonowi jeszcze bardziej odrażające.

Zaczęły obchodzić kępę drzew i Fenton zrozumiał, że podobnie jak on żelazory wpadły w pułapkę magicznego zaklęcia Findhala. Jeden po drugim próbowały wskazywać na złudnie otwierające się przed nimi ścieżki, a po chwili lądowały w splątanym gąszczu ciernistych krzewów. Nie rozumiał tego, co mówiły, ale wiedział, że przeklinały straszliwie w swym gdacząco-mlaskającym języku. Powoli jednak, w zgodzie z dziwnymi regułami świata, w którym się znalazł – nie wiedział dokładnie, czy telepatia jest jednym ze zjawisk towarzyszących antarilowej percepcji pozazmysłowej – zaczynał rozumieć żelazory tak dobrze, jak rozumiał Alfarów.

–Cholerne ścieżki! – wrzasnął jeden z nich, taszczący ze sobą okrutnie wyglądający hakowaty topór. Rzucili na nie zaklęcia! Cholerne ciernie! Rozcinają nawet moją skórę! Na łamaniu zaklęcia zejdzcie nam prawie pół nocy!

–Cierpliwości – powiedział duży, zwalisty żelazor ze złamanym kłębem – księżyc będzie wysoko jeszcze

przez dłuższy czas, a kiedy już dotrzemy do pałacu Kerridis... – Obliznął znacząco swój owłosiony ryj.

–I ich miecze też będą na nas czekały – dodał kolejny smętnym tonem. – Właśnie to mówił Pentarn, kiedy nas tu wysyłał. Mamy zwrócić na siebie uwagę Kerridis i ich wszystkich, on tymczasem będzie szukał miejsca, gdzie są trzymane podrzutki...

–Dlaczego my zajmujemy się jego brudną robotą? – spytał markotnie Złamany Kieł, próbując wydłubać sobie drzazgę, która rozdarła mu skąpy przydziewek.

Ale trzeci z nich tylko wzruszył ramionami. Trzymał w ręku hakowaty topór, który mógł być zrobiony z każdego twardego materiału i Camowi skojarzył się z zaginioną siekierą wuja. Stało się dla niego jasne, że bestie kradną żelazne przedmioty gdzie popadnie.

–Robię brudną robotę dla Pentarna, bo wtedy dobrze sobie pojem, a przy okazji... może nawinie się jakiś podrzutek... Kobiety Alfarów są mało zabawne. Do czego nadaje się baba, która przypala się i czernieje przy każdym dotknięciu? Podrzutki to co innego... Może kiedy Pentarn upora się z tym, którego chce, pozwoli nam zabawić się z resztą. W końcu będzie nam coś winien, kiedy już zabierze go sobie z powrotem.

Fenton leżał w swej kryjówce pośród ciernistych krzewów. Z drżeniem pomyślał, że żelazory mogłyby swobodnie dobrać się do podrzutek – a przecież Irielle była jednym z nich...

–I tak nie jest w porządku! – rzucił Złamany Kieł z grymasem na twarzy. – Wszystkie nasze obecne kłopoty spowodował Pentarn. Kiedyś wyglądało to inaczej. Mogliśmy tu wpaść w czasie pełni księżyca, wykombinować taki moment, kiedy Alfarowie

tańczą przy księżycowym świetle, ukraść im konie, i zwać bez najmniejszych kłopotów. A teraz co? Podczas każdej pełni potrafią tak zaczarować główne Bramy, że nie możemy się dostać. Wszystko zaczęło się od momentu, kiedy Pentarn zwrócił się przeciwko nim. Myślę, że sami lepiej dawaliśmy sobie radę.

–No, nie do końca... Dziś wieczorem mogliśmy tu przyjść tylko dzięki niemu, i mam zamiar dobrze się bawić... pod warunkiem, że zdołam się uwolnić z tych pieprzonych krzaków! – Żelazor dzierżący hakowaty topór otarł krew z sękatego ramienia; wymachiwał toporkiem wśród gałęzi.

–Patrzcie, a niech to, nawet ich krzaki nie lubią dotyku żelaza, nic nie pomagają zaklęcia... – powiedział Złamany Kieł. – Zatoczcie duży krąg maczetami. To zajmie nam trochę czasu, ale musimy się zorientować w terenie, nim zaczniemy przedzierać się dalej. Zacznijmy tutaj. Pentarn chce, żebyśmy tam dotarli, kiedy wzejdzie Szkarłatna Gwiazda. Wtedy ściągniemy ich uwagę, a on dostanie się do podrzutków, co trochę potrwa.

Jeden za drugim żelazory zaczęły posuwać się metodycznie po okręgu, przy czym pomrukiwały pod nosem. Fenton leżał na ziemi, zmrożony do szpiku kości.

Muszę ostrzec Alfarów przed tym, co się szykuje, postanowił. Muszę im powiedzieć, że żelazory złamały zaklęcie kręgu zimnym żelazem.

Obiekty naturalne stawiały opór w tym wymiarze. Fenton nie mógł przeniknąć przez skałę i, co gorsza, mógł być pochwycony i uwięziony przez cierniste krzewy. Mimo że był w tym świecie Cieniem bez materialnego ciała, miał jedną przewagę nad żelazorami – nie krwawił przy każdym skaleczeniu. Teraz musiał tylko ostrożnie i bezszelestnie wyplątać się z krzaków, by żelazory nie usłyszały odgłosów jego zmagania. Po chwili był już poza zaczarowanym kręgiem i biegł na złamanie karku ścieżką, która ku jego zdziwieniu pojawiła mu się nagle przed oczami.

Poruszał się tak prędko jak biegnąca myśl. Po jakimś czasie dostrzegł ciemną smugę przestrzeni, złudzenie kolumn i wież. Pałac Alfarów. Dwóch wysokich strażników chodziło tam i z powrotem koło wejścia. Zapomniawszy się w pośpiechu, Fenton ruszył w kierunku jednego z nich. Ten natychmiast z vrillowym mieczem w ręku odwrócił się w stronę Cama.

–Na gwiazdy i komety! To ten Cień, przed którym ostrzegał Findhal. Nie można mu ufać! – krzyknął jeden ze strażników.

–Słuchaj, nie obawiaj się mnie – powiedział Fenton. – Żelazory są w... w zaczarowanym kręgu, złamały zaklęcie zimnym żelazem! Jest ich pięć, tyle przynajmniej widziałem, podsłuchałem rozmowę...

–Dobra, dobra, spokojnie – odparł strażnik. Opowiesz wszystko Findhalowi. Nie

rozmawiam ze szpiegami od Pentarna. A tymczasem... – Spojrzał na swojego towarzysza i skinął głową.

–Nie można uwięzić Cienia – rzekł tamten – bo po prostu przeniknie przez twoje ramiona. Popatrz sobie – zwrócił się do Fentona i wskazał na miecz zrobisz jeden podejrzany ruch, a rozplątamy cię na dwie równe części. Nikomu nie można ufać podczas pełni księżyca. Findhal mówił, że dziś wieczorem pełnia jest w czterech przynajmniej światach. Zrób jeden fałszywy ruch, a będziesz nieżywy we wszystkich czterech naraz!

Zmusił Fentona, aby szedł przed nim. Pierwszy ze strażników odezwał się:

–Myślę, że tak czy inaczej powinniśmy go rozkroić. Jak na mój gust, zbyt jest podobny do Pentarna.

–Wszyscy ludzie ze świata podrzutków wyglądają dla mnie prawie tak samo – rzekł drugi Alfar.

Przypuszczam, że wśród nich też są dobrzy i źli, tak jak wszędzie. Podrzutki są właściwie w porządku. Gdyby oni wszyscy byli tam u siebie źli, to żaden nie wyrósłby u nas na uczciwego człowieka. A przecież tak się nie dzieje. Hej, ty... – Dziobnął Fentona czubkiem miecza. – Tędy, do środka...

Krzyknął coś wysokim, dźwięcznym głosem. Po chwili pojawił się Findhal i popatrzył na Fentona bez entuzjazmu.

–Może mi wytłumaczysz, jak przedostałeś się przez zaklęty krąg? – zapytał. – Sądziłem, że zdołaliśmy się ciebie pozbyć już na dobre, mimo że Lebbrin ostrzegał mnie, że nic to nie da.

–I dobrze, że próbowaliście się mnie pozbyć – odparł Fenton – bo natknąłem się na cztery czy pięć żelazorów. One ciągle tu są. Prawdopodobnie wdzierają się przez zaczarowany krąg. Podśluchałem ich rozmowę. Chcą zwrócić na siebie uwagę twoich ludzi, a w tym czasie banda Pentarna ma napaść na podrzutki.

–Pożoga i szataństwo! – rzucił Findhal. Z jego intonacji można się było domyślić, że zaklął szpetnie, choć w świetle Fentona słowa te wcale nie były przekleństwami. – I ty próbujesz mi wmówić, że zdołali się przedrzeć przez ten krąg? To ty się przedarłeś! – oskarżył Fentona. – Przeprowadziłeś ich! To było jedno z tych miejsc, w którym żelazory nie potrafiły sobie poradzić. Nigdy nie widziałem tam żadnego z nich do dnia, w którym poprowadziłeś Irielle prosto w pułapkę właśnie do tego kręgu!

–Nie ufasz mi, to nie! – odpowiedział wściekle Fenton. – Nie wiem, dlaczego w ogóle chcę was ostrzegać przed czymkolwiek. A niech sobie tu wparują, co mnie to obchodzi! Lecz lepiej postaraj się umieścić Irielle w bezpiecznym miejscu, bo inaczej

będą jej szukały. Opowiadały różne świństwa o tym, co chcą zrobić kobietom podrzutkom!

Alfar pobladł.

–Prawda. Nie mamy czasu do tracenia z jakimś Cieniem, ale jeśli zechcesz się wyslizgnąć i skontaktować z Pentarnem...

–Ciekaw jestem bardzo, jak zamierzasz mnie więzić – odparł Fenton – skoro mogę przeniknąć nawet kraty żelazorów.

–Ale nie przedostaniesz się przez ściany Skalnego Lochu – powiedziawszy to Findhal dał znak strażnikom. – Zabierzcie go do Skalnego Lochu. Ja pójdę do Kerridis opowiedzieć jej wszystko. Muszę też sprawdzić, czy Irielle jest w bezpiecznym miejscu. – Findhal odszedł pośpiesznie.

Alfar wskazał kierunek mieczem. Fentona powoli ogarniał niepokój. – Tam – rzekł strażnik.

Fenton zobaczył skalną grotę i zadrżał, bo przyszły mu na myśl jaskinie żelazorów. Alfar wskazał mu coś, co wyglądem przypominało celę, naturalnie wyżłobioną niszę w litej skale. Drzwi delikatnie połyskiwały zielonym światłem.

–Nie uciekniesz z Lochu – powiedział strażnik Alfarów. – Jest specjalnie wzmocniony vrillem i został bardzo silnie zaczarowany.

Fenton nie obawiał się zakłęć, ale skały stanowiły dla niego przeszkodę nie do pokonania. Mimo że był Cieniem, został skutecznie, fachowo uwięziony.

Przypuśćmy, że zaczęłyby się teraz materializować, przechodzić znowu do swojego świata... i znalazłby się gdzieś pod powierzchnią, wewnątrz skały, albo w ziemi... Wcześniej czy później narkotyk przestanie działać, a jego bezcielesna część pozostałaby tutaj – uwięziona – i nie mógłby wrócić do ciała. A cóż by się stało z ciałem, w pełni „świadomym”, ale pozbawionym tego elementu osobowości, który sprawiał, że było ciałem Cama Fentona? Wzruszył ramionami. Lepiej w ogóle o tym nie myśleć. Pracując jako psycholog, zetknął się z pacjentami, którzy istnieli w totalnej próżni, pozbawieni tak oczywistej, zdawałoby się, świadomości faktu, że są istotami ludzkimi.

Wkrótce może stać się jednym z nich...

Poczynił kilka bezcelowych prób przejścia przez wzmocnione vrillem drzwi, ale w konsekwencji tylko się nieźle posiniaczył. Tak bardzo przywykł do faktu, że w tym stanie z łatwością przechodził przez ściany Smythe Hall, a nawet przez zapory żelazorów, iż nie mógł uwierzyć, że zdołano go uwięzić.

Skalny Loch. Sprytnie. Widać, że mieli już wcześniej do czynienia z Cieniami... Ta myśl przyprawiła go o drżenie silniejsze niż kiedykolwiek.

Bardzo dokładnie zbadał ściany i drzwi lochu, po czym zły i zmęczony usiadł ponownie; nic innego nie pozostało już do zrobienia. Ale był poirytowany, a złość narastała. Tak długo starał się znaleźć sposób, żeby wrócić, a tymczasem trafił do tutejszego pierdła.

Prawie z poczuciem tryumfu doszedł do wniosku, że chociaż potwierdził prawdziwość swoich przeżyć. Z samej natury stanu zwanego snem wynikało, że nie mógł on generować pasywności i nudy. Wręcz przeciwnie, zachodzące w trakcie snu zetknięcia synaps neuronowych były odpowiedzialne za barwne wizje pełne dynamicznej akcji.

Ale Fenton wiedział, co Sally powiedziałyby, gdyby przytoczył ten argument na potwierdzenie swojego doświadczenia. „Jako wykształcony parapsycholog”, papugował używane w podobnych wypadkach żargonowe zwroty psychologów, „musisz oczywiście wiedzieć, że umysł reaguje na obawę, iż twoje przeżycia są halucynacją, i wywołuje sen o uwięzieniu. W ten sposób uzyskujesz wrażenie, że jesteś w potrzasku.” I jak tu nie mówić o błędnym kole!

Fenton przypomniał sobie, że właśnie dlatego zarzucił swoje zainteresowania psychoterapią i psychologią podświadomości. Cokolwiek się wydarzyło, było natychmiast zniekształcane tak, aby pasowało do obowiązujących teorii o ego i podświadomości. Naciąganie faktów do teorii nie było ani trochę bardziej naukowe niż parapsychologia; przynajmniej próbowano udowodnić te dziwaczne hipotezy.

I przy tym Sally ciągle mu zarzucała, że nie ma wystarczająco naukowego podejścia!

Uprzytomnił sobie bezsensowność sytuacji. Nie należało denerwować się na Sally. Równie dobrze mógł wyżyć swoją złość na Findhalu albo na żelazorach.

Z tyłu odezwał się miękki głos: – Witaj, Cieniu...

Fenton poderwał się na równe nogi. Kerridis stała za kratą celi, owinięta w jasny płaszcz.

–Kerridis...

–Przykro mi, że cię uwięzili... doprawdy... Wierz mi, iż Findhal dowiedział się o moim niezadowoleniu. Ale nie miał czasu mi wyjaśnić, dlaczego tak postąpił. Ja nie wierzę, że to ty przeprowadziłeś wtedy do nas żelazory.

–Nie ja, do diabła! – wybuchnął Fenton. Gdyby mi o to chodziło, nie szamotałbym się w waszych przeklętych, ciernistych krzewach na oczach żelazorów, żeby

wydostać się z zakłętego kręgu, przybiec tu i ostrzec was.

– Powiedziałeś mi, że nie znasz Pentarna – rzekła Kerridis – i prawdą jest, że nie wyrządziłeś nam nic poza dobrem. To ciągle nie wystarcza Findhalowi. Mam nadzieję, że przyjdzie taki dzień, w którym zrozumie, iż był w stosunku do ciebie niesprawiedliwy.

Cam Fenton stwierdził gorzko: – Nie wiem czy dożyję!

– Nie możesz oskarżać Findhala... – Kerridis wyciągnęła do niego smukłą dłoń. Jeszcze raz zauroczyła go jej delikatność. Nie była prawdziwą kobietą, nie była istotą ludzką, ale kryło się w niej dziwne podobieństwo do Sally. – Findhal zaufał kiedyś Pentarnowi, tak jak my wszyscy – powiedziała Kerridis – i obwinia się za tragedie, które na nas przez to spadły.

– Ale Irielle jest przecież dorosła i wolno jej decydować o sobie. Pozwolisz mi zobaczyć się z nią? Twarz Kerridis zachmurzyła się.

– Mnie samą kusi, żeby ci pozwolić, ale jestem winna Findhalowi lojalność i nie chcę go rozgniewać. Tobie jestem winna przysługę, Cieniu. Nawet jeśli Findhal ma rację, nie możesz wyrządzić mi tu krzywdy.

– I tak bym tego nie zrobił.

Usłyszawszy to Kerridis uśmiechnęła się do Fentona. Jej uśmiech przypominał mu Sally, Sally w chwilach, kiedy było im razem najlepiej, gdy nie była podejrzliwa ani rozdrażniona, gdy dawała wolne upartemu strażnikowi, który utrzymywał na wodzy jej emocje. Fenton nie mógł wywołać tego uśmiechu wtedy, kiedy chciał go znów zobaczyć.

– To prawda, jestem ci winna przysługę – powtórzyła Kerridis – i jest również prawdą, że Irielle już dojrzała. Ona mi podlega, ale jest również moją przyjaciółką i przyrodnią córką, a nie niewolnikiem. W innym wypadku niecne historie, które Pentarn o nas opowiada, byłyby prawdą. Pozwolę Irielle, żeby sama zadecydowała. Przyślę ją do ciebie, Cieniu. – Kerridis zawahała się. – Powiedz mi, czy zakochałeś się w Irielle? Czy chciałbyś zabrać ją stąd?

– Nie wiem – odparł Fenton szczerze. – Mam powód podejrzewać, że jest moją... moją małą krewną. – Małą krewną? Z absurdalną wesołością pomyślał, że jeżeli zdjęcie wuja Stana Camerona odpowiada prawdzie, to Irielle jest kuzynką jego dziadka. – Nie mam pojęcia, co wiesz o czasie – powiedział – ale wydaje mi się, że tu upływa inaczej niż gdzie indziej. Irielle jest tutaj ciągle młoda... lecz czas płynie i nasz świat bardzo się zmienił. Gdyby miała do nas wrócić... mogłoby to być niebezpieczne. Mogłaby stać się nagle bardzo starą kobietą, albo... – zaschło mu w gardle – albo rozsypałaby się jak popiół, albo by umarła i... Czy myślisz, że tak by się

stało?

Kerridis odpowiedziała pospiesznie:

–Nie, nie! To prawda, że nie starzejemy się tak prędko jak inni, ale kiedy już osiągamy dojrzałość mężczyzny lub kobiety, zostajemy tacy sami aż do śmierci i żyjemy o wiele dłużej niż twój lud. Irielle była taka sama, póki nie wyrosła z wieku dziecięcego. Jeśli teraz zmieniałaby rzeczywistość, zaczęłaby po prostu podlegać innym prawom i starzeć się wedle nich. To wszystko. Zmiana i rozpad są dla nas straszne i niewyobrażalne i nie byłabym szczęśliwa widząc ich ohydne łapy na buzi Irielle, dlatego lepiej dla niej, żeby została. Jeżeli jej świat zmienił się aż tak i wielu jej bliskich już nie żyje, powrót mógłby się stać dla niej niemożliwy do zniesienia. Mogłaby umrzeć ze smutku... ale to w końcu zależy od tego, co was łączy. Nie jest naszą niewolnicą. Jest tu, bo ją kochamy, a nie z powodu jakiejś konieczności. – Wierzę ci.

–I ja tobie wierzę – rzekła Kerridis łagodnie. Gdybyś chciał nas zniszczyć, nie troszczyłbyś się aż tak

o los Irielle. Czy Pentarn uwierzyłby nam, gdyby nasze wyjaśnienia były podobne? Nie... – Podniosła dłoń do czoła. – To długa historia i nieprzyjemna dla ucha. Nie będę jej teraz opowiadać.

–Czy wypuścisz mnie z tego lochu dla potępieńców?

–Niestety nie – odparła. – Findhal wymógł na mnie obietnicę, że tego nie zrobię. Nigdy nie łamię danego słowa. Ale Irielle niczego nie obiecywała... Przyślę ją do ciebie.

ROZDZIAŁ 10

Po odejściu Kerridis Fentonowi nie pozostawało nic, tylko poskramiać własne zniecierpliwienie w oczekiwaniu na nadejście Irielle. Zastanawiał się, czy stojący na zewnątrz strażnicy Findhala nie okażą się mimo wszystko bardziej posłuszni osobistym rozkazom swego dowódcy i czy w ogóle dopuszczą do niego Irielle.

Te myśli z kolei skłoniły go do rozważań nad światem, w jakim się znalazł. Fenton widział jedynie skrawek powierzchni fantastycznego świata Alfarów. To, czego doświadczył, intrygowało go i fascynowało. Jak jednak świat ten wyglądał w całej swej okazałości? Czym zajmowali się Alfarowie, gdy nie byli zaprzątnięci odpieraniem napadów żelazorów? Zakładając oczywiście, że zajęcie to nie pochłaniało ich całkowicie.

Następnie zaczął rozważać, co by się stało, gdyby było prawdą, że sprzężone światy, o których opowiadała mu Irielle, obiektywnie i realnie istnieją. Nie tylko zmieniłoby to nie do poznania naturę zjawisk jego świata i wymusiło zaakceptowanie istnienia zjawisk dawno wygnanych do sfery bajek i przesądów, ale wymusiłoby przede wszystkim natychmiastowe zreformowanie wielu gałęzi ludzkiej wiedzy. Równoległe otwarcie na wiele nowych światów spowodowałoby powstanie

kolejnych katedr i instytutów na wydziałach socjologii i antropologii, zajmujących się badaniem nowo odkrytych kultur, nie mówiąc już o rewolucji, która musiałaby się dokonać w psychologii.

Rozmyślenia Fentona urwały się w miejscu, w którym zaczął rozważać międzynarodowe implikacje powyższych przemian. Te wolał pozostawić politykom. Biorąc jednak pod uwagę kłopoty Alfarów, jakie napotykali broniąc Bram swego świata przed nawiedzającymi ich żelazorami, reperkusje polityczne wynikłe z nowego kształtu rzeczywistości mogłyby być bardzo poważne. Można by sobie wyobrazić, jaki musiałby być potencjał militarny państwa zmuszonego do obrony nie tylko przed agresorem pochodzącym z tego samego świata, ale i przed wszelkimi możliwymi przeciwnikami pochodzącymi z setek innych wymiarów. Fenton uśmiechnął się kwaśno do siebie – przewidywał reakcję niektórych członków Kongresu dotyczącą zwiększenia nakładów na dodatkowe zbrojenia. Nie próbował się nawet zastanawiać, jak będą się rozrastać służby wywiadu i kontrwywiadu.

Powoli zaczynał odczuwać głód i pragnienie. Ze względu na to, że czas mijał zupełnie inaczej w świecie Alfarów, Fentonowi trudno było określić jego upływ mierzony miarą jego świata. Z oznak głodu docierających do niego od półprzytomnego ciała spoczywającego w tym momencie w Smythe Hall wynikało, że mogła się zbliżyć pora późnoobiadowa. Myśl ta przyprawiała Fentona o niepokój.

Zaczął rozważać możliwość zmaterializowania się wewnątrz litej skały. Sami Alfarowie przestrzegali go przecież, że stanowi to realne zagrożenie dla Cienia – formy, którą jak się zdawało, przyjął w tym świecie.

Czas upływał. W końcu Fentona dobiegł odległy dźwięk dzwoneczków na zewnątrz Skalnego Lochu. Cam nerwowo poderwał się na widok Irielle, która stanęła naprzeciw kraty.

–Fenton – zaczęła mówić do niego uśmiechając się nieśmiało – cieszę się, że znów do nas przybyłeś. Wybacz nam to, co spotkało cię ze strony mego ojczyma. On nie zna ciebie tak dobrze jak ja, i wiem, że przyjdzie taka chwila, w której będzie mu wstyd za to, co ci zrobił. Ale nie możemy teraz zwlekać. Czy zaczynasz już znikać? Jeśli tak, natychmiast musimy wydostać się na zewnątrz.

–Nie wydaje mi się, żebym już zniknął, przynajmniej jeszcze tego nie zauważyłem.

–Musimy jednak bardzo na ciebie uważać. Od jak dawna jesteś w naszym świecie?

–Nie mam zielonego pojęcia.

–Tak czy inaczej musimy się natychmiast stąd wydostać! – Zabrzęczała pękiem kluczy i wkrótce można było rozsunąć kraty. Jeden z wysokich wartowników Findhala zobaczył, co robi Irielle i podbiegł przerażony.

–O Pani! Pani ojciec wydał nam wyraźne rozkazy...

–A ja przychodzę z bezpośrednim rozkazem od Wielkiej Kerridis – odparła i pokazała strażnikowi coś, co trzymała w ręku. – Ona mnie tu przysłała i do niej zgłaszaj wszelkie zastrzeżenia.

Pomrukując z niezadowoleniem, Alfar oddalił się. Po chwili vrillowe kraty rozsunęły się do końca i Fenton wydostał się na zewnątrz. Poruszając się czuł potworne odrętwienie we wszystkich mięśniach. Potykał się co chwila pod wpływem skurczów, które go łapały. Dziwiło go to i porażało. Jak mogę czuć skurcze wszystkich mięśni, skoro jestem tu nieobecny ciałem? Moje ciało leży przecież teraz nieruchome w Smythe Hall.

Przystanął, by rozmasować mięśnie łydek. Irielle spojrzała na niego ze współczuciem.

–Masz na sobie zbyt lekkie ubranie jak na warunki panujące w naszym świecie. Czy nie jest ci zimno?

–Nie, ale jestem zupełnie połamany.

–Jedyne co możesz zrobić, to się rozruszać. Przyspieszmy. – Wyciągnęła do niego rękę.

Utykając, powoli biegł za nią. Minęli z boku zbrojownie Alfarów i dostali się w labirynt krętych korytarzy, z którego po pewnym czasie wyszli na zewnątrz pałacu. Było już bardzo ciemno. Wysoko nad koronami drzew obcego świata zimne, ostre światło potężnego księżyca rozjaśniało ciemności nocy. Nigdy w życiu Fenton nie widział aż tak wielkiego księżyca.

Wkładając w to wiele wysiłku, starał się przywołać przed oczami dokładny obraz kurtki wuja Stana – tej samej, która miała latę w kieszeni. Po chwili, kiedy już poczuł jej ciepło na plecach, zaczął się zastanawiać, co by się stało, gdyby wuj Stan miał ją na sobie w tym samym czasie w tamtym, prawdziwym świecie – a może jedynie w świecie, z którego obaj pochodzili?

Najprawdopodobniej nic, pomyślał. Kurtka, którą mam na sobie, jest istniejącym wyłącznie w świecie myśli analogiem prawdziwej, materialnej kurtki...

Jeśli on sam znajdował się w dwóch miejscach naraz, dlaczego z kurtką miałyby być inaczej?

–Chodźmy – popędzała Irielle ciągnąc go za rękaw. – Jest tylko jedno miejsce, w którym będziesz teraz bezpieczny: między podrzutkami. Mamy dla siebie oddzielne kwatery ze specjalnie wbudowanymi paleniskami dla podtrzymywania ciepła w pomieszczeniach. Jest tak, bo odczuwamy chłód znacznie dotkliwiej niż Alfarowie. Tam na pewno będzie ci dobrze.

–Ale przecież tam właśnie wybierał się Pentarn z bandą żelazorów – zauważył Fenton, gdy przemykali pomiędzy drzewami.

–Teraz gdy już zostaliśmy ostrzeżeni, mój ojczym oczekuje ich wraz z oddziałem opodal zarośli, gdzie na nich natrafieś – odpowiedziała – a nas, podrzutków, jest wystarczająco wiele, byśmy się mogli sami obronić, nawet przed żelazorami. Nie mam najmniejszego zamiaru pozwolić się pojmać.

Jej ciało przeszył nagły dreszcz i wyciągnęła rękę do Fentona, który szybko ją ujął. Irielle wydała mu się mała i wrażliwa jak dziecko bardzo potrzebujące pocieszenia. Zastanawiał się, czy to nie życie w dziwnym świecie Alfarów sprawiało, że była ciągle młoda i wrażliwa jak dziecko. W świecie Fentona dziewczyny w jej wieku wydawały się zwykle znacznie dojrzalsze. Działo się tak choćby dlatego, że w świecie Alfarów nie było niczego, co mogłoby jej przydać wyrafinowania współczesnej młodej kobiety.

Ile tak naprawdę ma lat? pomyślał i w tym momencie przeszył go dreszcz.

–Czy wciąż jest ci zimno? – spytała Irielle. – Boję się zabrać cię z powrotem do podziemi, na wypadek gdybyś zaczął znikać – oznajmiła. – Ale mam dla ciebie coś, co może to trochę ułatwić.

Irielle była ubrana w długą wełnianą suknię spiętą grubym pasem z przyczepionymi do niego małymi woreczkami, zupełnie podobnymi do tych, jakie nosili anachroniści do swych dziwnych strojów. Nagle Fenton zdał sobie sprawę, że musiały to być pierwowzory kieszeni. Grzebała w nich przez chwilę ze zmarszczonymi brwiami. W końcu wyjęła coś twardego, zawiniętego w kawałek jedwabnego materiału podobnego do tych, z których były zrobione ubrania Alfarów.

–Pajęczny jedwab jest bardzo piękny – powiedziała Irielle – ale nie będę go nosić, bo nie chroni mnie przed chłodem, choć wiem, że Findhal mógłby mnie w niego odziać od stóp do głów, jeśli bym tylko chciała.

Jest bardzo rzadki, ale mój ojczym niczego mi nie odmawia. Zdobyłam ten kawałek dla ciebie... wyprosiłam u jednego z podrzutków. – Bardzo ostrożnie rozwinęła kawałek materiału, który nazywała pajęczym jedwabiem.

Fenton głośno nabrał powietrza i zobaczył, że Irielle trzyma w rękach bryłkę złota. Kruszec połyskiwał, jego powierzchnia była pokryta kunsztownie wyrytymi symbolami.

–Weź go – rzekła. – To jest Talizman Bram. – Jak mógłbym go zabrać, Irielle? To bardzo cenna rzecz... bezcenna.

Dziewczyna spojrzała na niego bez zrozumienia.

–Nie mam pojęcia, czy możesz zabrać go do swego świata – powiedziała. – Nie znam wszystkich praw, według których żyją Cienie. Gdybyś był Przechodniem, mógłbyś zabrać talizman ze sobą do każdego świata. Towarzyszyłby ci w wędrówce pomiędzy nimi. Przybiera inną formę w każdej rzeczywistości. Nie wiem tylko, czy pójdzie razem z tobą, kiedy znikniesz. Ale przynajmniej spróbuj...

Fenton wydał wargi; usiłował sobie wyobrazić minę Garnocka, jeśli wróciłby do laboratorium z bryłką złota w ręku. Byłby to niepodważalny dowód istnienia krainy Alfarów. Irielle włożyła talizman w dłoń Cama. Poczul jego kojący ciężar. Wydało mu się, że jest tak twardy jak nic innego w tym wymiarze.

–Od czasu kiedy dorosłam, rzadko odwiedzam słoneczne światy – odezwała się znowu Irielle. – Bardzo pomaga mi myśl, że zawsze mogę to uczynić, kiedy tylko potrzebuję; nie jestem tu więźniem. Tego właśnie Pentarn nie jest w stanie zrozumieć...

Prowadziła Fentona w kierunku jednego z przedziwnie wyglądających zabudowań

mieszkalnych skonstruowanych z poszczepianych drzew. Od frontu było widać potężne drzwi, a przed nimi kolumnadę. Wewnątrz budowli Fenton zauważył, że ściany robią wrażenie niematerialnych. Nie miał bladego pojęcia, z czego mogą być wykonane, ale poczuł bijące od nich ciepło. Znowu musiał przyklęknąć, by rozmasować nogi, bo łapały go skurcze. Towarzyszył im teraz rwący ból w okolicy ramion, również wymagający rozmasowania mięśni. Przytrafił mu się po raz pierwszy; Fenton nie doświadczył go ani razu podczas swych poprzednich wizyt w świecie Alfarów. Dolegliwość ta gwałtownie się nasilała we wszystkich partiach mięśni – miał wrażenie, że noże wbijają mu się w ciało. Uświadomił sobie przy tym, że jest to tylko odbicie skurczów wstrząsających jego ciałem leżącym teraz bezwładnie w Smythe Hall. Wiedział dobrze, że czas jego powrotu zbliża się nieuchronnie. Potwornie męczyło go pragnienie.

Ale przecież ja wcale nie chcę wracać. Bóg jeden wie, ile czasu upłynie, zanim znów tu przybędę. Nie wiem nawet, czy jestem w stanie zabrać ze sobą talizman Irielle. Czy to nie tego właśnie dotyczą opowieści o czarodziejskim złocie, które zmienia się w zeszlą słomę z chwilą, kiedy wydobędzie się je na światło dzienne?

Irielle przyglądała mu się ze współczuciem.

–Bardzo cię boli, czy tak? – spytała bezradnie. Fenton z trudem rozprostował wszystkie kości.

–W porządku – odparł wstając. – Najbardziej chce mi się pić. Czy mógłbym dostać coś do picia? – Z nadzieją pomyślał, że woda powinna być przecież identyczna we wszystkich światach i wymiarach, tak samo jak skały i kamienie.

–Kogóż to przyprowadziłaś ze sobą, Irielle? spytał rozbawiony kobiecy głos. – Czyżbyś znalazła sobie kochankę wśród podrzutków, kiedy księżyc jest w pełni?

Irielle roześmiała się.

–Ależ nie. To jest Cień, który zaryzykował próbę wyrwania się z zaklętego kręgu, aby przestrzec nas przed Pentarnem; on znowu wysłał na nas żelazory. Fenton, to jest Cechy, moja przyrodnia siostra i przyjaciółka.

Cechy miała blond włosy, krągłe kształty i świeżą cerę. Była ubrana w długą, wełnianą suknię koloru rdzy, podobną do sukni Irielle. Fenton pomyślał, że chyba Alfarowie nie rozróżniają wszystkich kolorów, używają przecież tak niewielu barwników do swoich strojów. Uznał, że warto by zapytać o to Irielle.

Było jeszcze tyle rzeczy, o które chciał spytać Irielle, ale pewnie nigdy nie będzie miał wystarczająco dużo czasu. Ból powrócił z pełną siłą i Fentona oblał zimny pot. Irielle spojrzała na Cama ze współczuciem.

–Cecily, przynieś mu coś do picia. Nie chcę zostawiać go samego... Czy działo się tutaj coś niepokojącego?

Cecily zniknęła na chwilę i pojawiła się z czarką w dłoniach, którą podała Fentonowi. Gdy już ją trzymał, Irielle powiedziała:

–Wiedz, że ten napój nie zaspokoi naprawdę twego pragnienia, bo nie matu twojego ciała. Sprawi tylko, że będziesz się łudził, iż wypieś dostatecznie dużo.

Fenton pokiwał głową, przechylił czarkę i zaczął pić. Napój był chłodny, orzeźwiający, koił wyschnięty przelyk. Kiedy Cam już go wypił, miał dziwne poczucie przyjemnej świeżości, mimo że wrażenie nie zaspokojonego pragnienia częściowo pozostało.

Może dlatego czarodziejskie krainy są tak niebezpieczne, pomyślał. Właśnie dlatego, że w obcej rzeczywistości jedzenie i picie naprawdę nie odżywia i nie zaspokaja pragnienia. Ktoś, kto próbuje w nich przeżyć, opada z sił i umiera...

No cóż, przynajmniej przez chwilę pragnienie nie męczyło go aż tak bardzo.

–Wszędzie aż roi się od strażników – oznajmiła Cechy. – Findhal i Lebbrin przyszli raz sami i ostrzegli nas, żebyśmy nie wychodziły na zewnątrz. Findhal szukał ciebie, Irielle, i był wściekły, że cię tu nie zastał. Roześmiała się. – Nie chciałam, aby wyżywał się na tobie, gdy się znajdziesz. Powiedziałam mu więc, że poszłaś do jednego ze światów pod słońcem szukać pajęczego jedwabiu dla Kerridis... Żle zrobiłam?

–Nie – odrzekła Irielle – ale chyba nierozsądnie. Będzie się martwił, że wyszłam. Lecz jest to coś, co już robiłam i zamierzam zrobić jeszcze raz. Ona twierdzi, że nikt nie może rozpoznać pajęczego jedwabiu tak prędko w świecie pod słońcem jak ja.

Fenton przypomniał sobie połyskujący kawałek materiału, w który Irielle zapakowała talizman i spytał: – Jak on wygląda w świecie pod słońcem?

Irielle skrzywiła twarz z niesmakiem.

–Szaro i brzydko – odpowiedziała – i rwie się przy najmniejszym podmuchu. Ale jak tylko przyniesiesz go tutaj, staje się mocny, wytrzymały i bardzo piękny. W jednym ze światów pod słońcem jest go pełno w lasach, w ciemnych jaskiniach. Jest paskudny...

Pajęczyna. To oczywiste, że tu wygląda zupełnie inaczej... Czym, do diabła, jest więc rzeczywistość? Irielle ponownie zwróciła się do Cechy:

–Co zrobił Joe Tarnsson, kiedy się dowiedział o wszystkim?

–A co mógł zrobić? – odparła Cecily. – Wziął do ręki vrillowy miecz i ślubował, że wyruszy bronić swojego ojczyzna i Alfarów, choćby miało go to kosztować życie. Findhal powstrzymywał go mówiąc, że nie mógłby dalej żyć z poczuciem winy za przelaną bratnią krew, więc Tarnsson strzeże teraz naszych domów i jest trochę niezadowolony...

–To do niego podobne – stwierdziła Irielle łagodnie. – Żałuję, że tego nie widziałam.

–Ja też – odrzekła Cechy – ale i tak żadna z nas nie jest w stanie go przekonać.

Nagle usłyszeli na zewnątrz zgiełk. Coś jakby brzęk stali, krzyki, odgłosy walki. Irielle krzyknęła przerażona. W tej chwili drzwi otworzyły się z impetem. Do pokoju wtargnął Pentarn.

Był ubrany w ten sam zielony płaszcz, twarz zasłaniała mu przyłbica. Fenton rozpoznał go od razu po charakterystycznej sylwetce, wzroście, płonącej rudej brodzie. Oprócz małego vrillowego sztyletu Pentarn nie miał żadnej broni.

Ku całkowitemu zaskoczeniu Fentona zignorował zupełnie kobiety i zwrócił się prosto do niego:

–Szwendasz się między kobietami? Powinienem się tego spodziewać – stwierdził głosem pełnym pogardy. – A teraz pospiesz się, możemy stąd odejść bez dalszej walki, jeżeli naprawdę ci na tym zależy. Strażnicy nie wiedzą, że tu jestem, zajęli się żelazorami. Nie obchodzi mnie, co będzie z Alfarami, ale te kobiety są istotami ludzkimi. Nawet jeśli tu stały się zdeprawowanymi niewolnicami Alfarów, myślę, że ty również nie chciałbyś ich ujrzeć w końcu zamęczonych przez ten posępny lud. Przyłącz się do mnie, a będziesz bezpieczny.

Irielle roześmiała się figlarnie i lekceważąco.

–Przyjrzyj się jeszcze raz, Pentarn! – zakpiła. Potężny mężczyzna gwałtownym ruchem odrzucił w tył przyłbicę i w tym samym momencie Cameron Fenton doznał szoku.

Pentarn miał długie włosy i brodę, a mimo to Fenton odniósł wrażenie, że patrzy w lustro. Twarz Pentarna była jego twarzą. Teraz już wiedział, dlaczego Alfarrowie tak długo nie mogli mu zaufać.

–Pożoga i śmierć – zaklął Pentarn. – Kimże ty jesteś? – Rozwścieczony zwrócił się do kobiet: Znowu jakieś czary? Magiczne zmienianie kształtów? Gdzie on jest?

–Jest tam, gdzie nie możesz go osiągnąć, Pentarnie – odparła Cechy. – Jest tam z własnej woli!

–Kłamiesz!

–Tak, kłamię – odparła gniewnie Cechy – ale tylko po to, żeby oszczędzić ci bólu, choć właściwie nie wiem, dlaczego to robię! On naprawdę bardzo chciał bronić Alfarów przeciw twoim brudnym sługom! Tym potworkom, które wypuściłeś na nas z klatek...

–Zamknij swoją kłamliwą gębę! – Pentarn podniósł rękę w ciężkiej rękawicy i uderzył Cechy tak silnie, że aż się zachwiała. Upadła ogłuszona, a Irielle pospieszyła jej z pomocą. Uklękała przy nieprzytomnej przyjaciółce.

Fenton rzucił się na Pentarna.

–Tam, skąd pochodzę, nie bije się kobiet, skurwielu! – krzyknął i poczuł silne uderzenie kantem vrillowego sztyletu. Na skutek potężnego ciosu stracił równowagę. Pentarn zachwiał się również, a płaszcz zsunął mu się z pleców i jak motyl opadł na klęczącą Irielle.

–Podrzutek za podrzutka! – wrzasnął Pentarn. Jeśli będę miał ciebie, Irielle, Findhal będzie musiał dać mi, czego chcę! – Chwycił Irielle za ramię, a Fenton próbował zdzielić go w rękę.

–Czy myślisz, że coś takiego jak ty może mnie powstrzymać, ty... ty... Cieniu. – warknął szyderczo Pentarn i pchnął Irielle na podłogę.

Wywiązała się szamotanina, podczas której bezsilny Fenton nie był w stanie odciągnąć Pentarna od Irielle. Ta walczyła jak wściekła kotka. Wpiła się paznokciami i rozorała odsłoniętą twarz Pentarna. Puścił ją natychmiast i ukrył pokrwawioną twarz w dłoniach.

Cecily wrzasnęła. Niespodziewanie z trzaskiem otworzyły się drzwi i dwóch wojowników Alfarów wpadło do środka. Uzbrojeni we vrillowe miecze rzucili się w stronę Pentarna. Ten natychmiast odstał od Irielle, odskoczył w tył i zaczął obracać się wokół własnej osi.

–O nie, teraz ci się nie uda tak łatwo! – krzyknął Fenton i z całej siły chwycił za poły płaszcza Pentarna. – Tym razem gdziekolwiek się udasz, będziesz mnie miał na karku!

Nagle poczuł, jak płaszcz Pentarna, który ścisnął z całej siły, rozplywa mu się w dłoniach. Równocześnie spostrzegł, że obleka ich gęsta, wirująca przed oczami ciemność. Chwilę po tym dał się słyszeć dziwny suchy trzask. Fenton czuł, jak uderza stopami o twardy grunt. Ujrzał na moment wokół siebie znajomy widok Sproul Plaza, po czym świat znów zawirował, niebo dokoła zaiskrzyło się błyskawicami i rzuciło Pentarna i Fentona na sam środek potężnego dziedzińca udekorowanego

proporcjami ze wszystkich stron. Na niebie spowitym czarnymi chmurami szalała burza, rozjaśniając co chwila wielki dziedziniec światłem błyskawic. Wokół Pentarna i Fentona nie było śladu po Alfarach, Irielle czy Cechy.

Pentarn uniósł brwi i taksował Fentona ironicznym spoj rzeniem.

–Jak to się mogło stać, Cieniu? Przynajmniej na takiego wyglądałeś i miałem nadzieję, że uda mi się ciebie zostawić w Świecie Przejściowym. Nie opowiadaj tylko, że masz w kieszeni Talizman Bram!

Zaskoczony Fenton mocno ścisnął trzymaną w kieszeni bryłkę złota. Wydawało mu się, że przedmiot zmienił swą fakturę. Nie był już metalicznie chłodny, lecz raczej ciepły, w dotyku przypominający mydło lub raczej jadeit. Był jednak na pewno ciałem stałym, a obecność wyczuwalnych dotykiem, nie zmienionych rytych symboli uspokoiła Fentona.

Odwróciwszy się Cam ujrzał potężny zamek wyrastający wysoko ponad dziedzińcem. Chorągwie, których wzorów nie był w stanie dostrzec z powodu mroku, łopotały na masztach, a wartownicy, ubrani w czarne, poprzątkane złotem mundury, pełnili służbę pomiędzy kolumnami przy wejściach do zamku. Nikt nie zwrócił najmniejszej uwagi na niespodziewane i nagłe pojawienie się Pentarna w towarzystwie Fentona. Najwyraźniej podróże tego rodzaju nie były w świecie Pentarna niczym nadzwyczajnym.

Pentarn potrząsnął głową.

–Przynosisz mi same kłopoty; nie jesteś tym, kim się wydawałeś. Nie sądzę również, byś zdawał sobie sprawę z tego, co zrobiłeś. – Otarł pot z czoła. Wyglądał na zmęczonego i starszego, niż był w rzeczywistości. Fenton zakładał, że mógł mieć około trzydziestu pięciu lat, czyli że mógł być jego rówieśnikiem. Jednak broda, którą nosił, dodawała mu ładnych paru lat. – Przyjmuję, że jak większość Cieni – ciągnął Pentarn – nie masz zielonego pojęcia o tym, co się tu naprawdę dzieje, czy tak?

–Wiem na pewno, że nie podoba mi się widok żelazorów ani szczucie ich na bezbronne kobiety, a to, o ile dobrze pamiętam, zdarzyło się już dwukrotnie z twojego powodu...

Pentarn wzruszył ramionami.

–Żelazory wyglądają na gorsze, niż są w rzeczywistości – powiedział – a cel uświęca środki. Nie jestem barbarzyńcą. Przecież byłeś tam i widziałeś, że nie pozwoliłem im skrzywdzić Kerridis. Przynajmniej nie bardzo, a zasłużyła na znacznie więcej. Obawiam się, że dałeś wiarę bujdom Alfarów i wydają ci się pięknymi, świetlistymi jasnymi i moralnymi istotami, i jesteś zupełnie ślepy na drugą stronę medalu... ale zaraz, po co ja właściwie tłumaczę się przed Cieniem?

Jeden z wartowników ubrany w czarno-złoty mundur szedł wolno w poprzek dziedzińca prosto w ich kierunku. Uniósł rękę na wysokość piersi, jakby salutował przed Pentarnem.

–Wielki Wodzu, czy ten osobnik...

Podniósł trudną do opisanego broń. Wyglądała paskudnie, niczym blaster z jakiejś filmowej space opery. Pentarn skinął ręką i mężczyzna natychmiast ją opuścił. Fenton zorientował się, że broń w tym świecie nie jest dla niego niebezpieczna, chyba że byłaby z vrillu.

–Nie może zrobić nic złego, to tylko Cień – wyjaśnił Pentarn. – Chodź ze mną, Cieniu. Nie będziesz tu długo, więc nic nie działasz. Jeśli zastanawiasz się, gdzie jesteś, wiedz, że to Pałac Wojen.

Prowadząc Fentona przez długie korytarze nie zwracał już na niego uwagi. Cam widział dokoła broń różnego rodzaju. Nie była to taka prosta broń, jaką zobaczył w zbrojowni Alfarów, lecz ogromne maszyny prowokujące do wyobrażeń o ich nadzwyczajnej sile niszczącej. Ogromne, potężne, z wystającymi krótkimi lufami, które wyglądały tak, jakby mogły wysyłać wiązki śmiertelnych promieni. Podobne do ogromnych czołgów naszpikowanych wieżyczkami, sunących po ziemi i miażdżących wszystko po drodze... Pentarn zauważył przerażenie Fentona i uśmiechnął się z satysfakcją.

Na monstrualnie wielkich ścianach Pałacu Wojen wisiały ogromne obrazy o powierzchni kilkunastu metrów. Wszystkie przedstawiały Pentarna, który był na nich większy niż w rzeczywistości. Fenton zauważył, że wartownik maszerujący za Pentarnem mijając każdy z obrazów salutował na stary, rzymski sposób. W rzeczy samej nie robił tego ostentacyjnie, a Pentarn wcale go nie widział. Zdawało się, że wartownik nie baczył na to, czy Pentarn go zauważa, czy nie, po prostu salutował z dziwnym błyskiem w oku, w którym Fenton dostrzegał oddanie wyznawcy kultu.

Ten człowiek jest dyktatorem, który zawstydziłby samego Hitlera! Nic dziwnego, że Alfarowie nim pogardzają.

Minęła godzina, przynajmniej według poczucia czasu Fentona, a oni ciągle szli. Nogi rozboleły go potwornie, więc zatrzymywał się co chwila, żeby je ugiąć i jakoś zaradzić skurczom, ale na próżno. Wreszcie dotarli do skromnych drzwi.

–Wejdz – powiedział Pentarn. – To moje prywatne apartamenty.

Wartownik sprzeciwił się:

–Ależ Wielki Wodzu, to może być podstęp tych zjaw, żeby dostać cię pod nieobecność straży! Chcę, byś pozwolił mi zająć się tym tworem! – Położył rękę na

ramieniu Fentona, a ona przeszła przez nie bez oporu.

Pentarn roześmiał się złośliwie i pogardliwie.

–Zająć się nim? Jak? On jest Cieniem... Cieniem odparł. Tylko jestem ciekaw, jak się tu dostał... – zawahał się. – Podejrzewam, że masz jakieś imię. Nie mogę ciągle wołać na ciebie jak na psa.

–Fenton.

–Fenton. – Pentarn przyglądał mu się badawczo przez dłuższą chwilę. – Tak, przypuszczam, że jesteśmy analogami. – Niezrozumienie na twarzy Fentona poirytowało go, więc wyjaśnił niecierpliwie: – Jesteś tą osobą, którą ja bym był w twoim świecie, gdybym się na nim urodził. Decyzje oddzielające światy zapadły tak dawno, że zależność ta nie ma tak naprawdę większego znaczenia. Istnienie analogicznych wcieleń jest jednak niepodważalnym faktem. Podejrzewam, że w swoim świecie nie jesteś nikim ważnym, choć wcale tak być nie musi. Wchodź!

–Nie, nikim ważnym... – rzekł Fenton i wszedł. Analizując w myśli wymogi, jakie należałoby spełnić, by zostać kimś ważnym według Pentarna, Fenton doszedł do wniosku, że jako naukowiec zajmujący się parapsychologią ma nikłe szanse, żeby sprostać jego kryteriom.

–Może jednak moglibyśmy jakoś dojść do porozumienia – rozważał Pentarn. – Na dobrą sprawę przydałby mi się dubler. – Wchodzili w głąb apartamentów Pentarna. Wnętrza rozległych komnat były urządzone spartańsko, ściany puste, a całość robiła wrażenie pozbawionej jakiegokolwiek charakteru. Pentarn zwrócił się do strażnika: – Powiedz kobiecie ze Świata Przejściowego, że pragnę ją widzieć.

–Rozkaz, Wielki Wodzu! – Strażnik wybiegł z komnaty.

Pentarn gestem wskazał Fentonowi krzesło. Ten osunął się na nie i ponownie zaczął rozmasowywać mięśnie nóg. Pentarn przyglądał mu się nieobecny spojrzeniem, co zaskoczony Fenton odczytał jako współczucie. – Jak się tu dostałeś? – usłyszał pytanie.

–Wziąłem narkotyk – odpowiedział Fenton i spazmatycznie wciągnął powietrze.

–Nie sądzę, by zaoferowanie ci czegoś do picia zmieniło cokolwiek, nieprawdaż? Pamiętam czasy, kiedy sam byłem Cieniem, zanim odnalazłem Dom na Rozstajach, tak że wiem, co teraz czujesz. Jeżeli się napijesz, może chwilowo poczujesz się lepiej. Wypij! Podał Fentonowi srebrzyście połyskujący puchar.

Cam zaczął łapczywie pić, i poczuł się trochę lepiej; przynajmniej odzyskał głos.

–Słyszałem o tym narkotyku... – Pentarn urwał w pół zdania na widok kobiety wchodzącej do komnaty. Była ubrana w strojne szaty, miała wysoko upięte włosy tworzące misterną fryzurę. Jej szeroko otwarte, puste oczy były pełne niemej adoracji wobec Pentarna.

–Czym mogę ci służyć, Wielki Wodzu? – spytała. – Czy człowiek ten pochodzi ze znanej ci części twego świata?

Twierdząco skinęła głową.

–Jest jednym z pracowników naszego wydziału poinformowała Pentarna – ma też dostęp do narkotyku, o którym ci mówiłam.

–To może być bardzo użyteczne – rzekł Pentarn po chwilowym namyśle. – Mógłbym wysłać szpiegów na tereny Alfarów: Cieni niemożliwych do złapania, którzy donosiliby mi o ich zamiarach i badali prawidłowości w ciągłych zmianach ukształtowania terenu. Pomyśl tylko, co by było, gdyby dało się postawić Bramę tuż pod kwaterą podrzutków i porwać Joela, nim te alfarskie zmory zdążą go przekabacić. I tym razem trzymali go w ukryciu.

–To okropne! – wykrzyknęła kobieta, a jej pełne uwielbienia wielkie oczy śledziły każde drgnienie na twarzy Pentarna.

Pentarn wyjął puchar z rąk Fentona, po czym spytał go o samopoczucie. Na twarzy Cama malowała się ulga. – Rozumiem, że możemy porozmawiać – zaczął Wielki Wódz. – Czy mógłbyś zdobyć dla mnie trochę tego waszego specyfiku? Umożliwię ci przechodzenie przez Dom na Rozstajach i będziesz mi mógł go dostarczać tą drogą. Mógłbyś w ten sposób przechodzić w swej cielesnej postaci z wymiaru do wymiaru, a nie tylko jako Cień. Mógłbyś tu jeść, pić i zażywać rozkoszy z kobietami do woli, ale musiałbyś dostarczać ten narkotyk.

–Nie mam najmniejszego zamiaru wspomagać twych szpiegów w świecie Alfarów! – gwałtownie rzucił Fenton.

–A niech to diabli wezmą! Czy nie rozumiesz, do cholery, że też im dałeś się nabrać?! Nabajdurzyli ci już, widzę, o swoim pięknie, pokoju i pieśni, i nie masz zielonego pojęcia, jak nikczemną zgrają są naprawdę! Nie wiesz, że oni kradną dzieci?! Sami nie mogą nawet dotknąć niczego z żelaza. Wychowują więc porwane dzieci na janczarów bijących się za nich w razie potrzeby. Jest to konieczne zwłaszcza od czasu, kiedy zaczęły im się kończyć złoza vrillu. Kradną dzieci rodzicom!...

–Dzieci, które zmarłyby tak czy inaczej – dopowiedział Fenton – i które są potem u nich szczęśliwe. Pentarn potrząsnął głową ze zniecierpliwienia.

–Oczywiście to historyjka, którą od nich ułyszałeś. Trzymają w niewoli mojego syna, czy nie rozumiesz? Wyprali mu mózg, tak że nie chce teraz do mnie wrócić. Muszę go stamtąd odbić, choćby po to, by mógł jeszcze w życiu sam niezależnie myśleć, nie odurzony tymi śpiewano-tańczonymi ekstatycznymi głupotami Alfarów. Patrz! – Zrobił gest w kierunku zbrojowni przylegającej do jego prywatnego spartańskiego apartamentu. – Patrz, co na niego tutaj czeka! On jest moim synem, moim jedynym synem! Jest już wystarczająco dojrzałym mężczyzną na to, aby przygotowywać go do roli Wielkiego Wodza! – W przypiływie szału walnął pięścią w stół. – A ci ludzie ośmielili się go uwięzić! Mojego syna! Czy jakikolwiek chłopak przy zdrowych zmysłach wolałby życie u Alfarów od wszystkiego, co tu na niego czeka?! Mój syn nie jest, u diabła, żałośliwie popiskującym szczenięciem, jest moim synem, synem Wielkiego Wodza! Jest nim i ma obowiązek wrócić. Zdołam go przekonać, jak tylko uda mi się go od nich oderwać na wystarczająco długą chwilę. Ale Alfarowie nie pozwalają mi na rozmowę z moim własnym synem; obawiają się, że uwolnię go od zaklęcia, jakie na niego rzucili i że Joel odzyska zmysły!

Przemowa Pentarna rozbrzmiewała gniewem, choć Fenton musiał przyznać, że była dość przekonująca. A może było to raczej rozumowanie na krawędzi paranoi? Paranoi dyktatora pijanego władzą? Fenton nie umiał znaleźć odpowiedzi. Wyraził się jasno:

–Nie jestem przekonany. Gdybym ja miał wybierać między dyktaturą a tym, co mają do dania Alfarowie, też bym wybrał Alfarów.

Pentarn zlekceważył wypowiedź Fentona. Po chwili rzekł:

–Wszyscy ludzie w Świecie Przejściowym są głupi. Wystarczająco często musiałem przez niego przechodzić i przekonałem się o tym.

–Więc po co tam tak często chodziłeś?

–Właśnie dlatego, że jest światem „przejściowym” z tego świata do świata Alfarów – wytłumaczył Fentonowi Pentarn w sposób, w jaki tłumaczy się rzeczy podstawowe ludziom bezdennie głupim. – A ponieważ było mi po drodze przechodzić przezeń, zdecydowałem poznać go dokładniej. A teraz spróbujmy dobić targu. Mnie przydałby się dubler, a w zamian mógłbym ci umożliwić dostęp do Domu na Rozstajach. Zacząłbyś nowe, zadowalające życie. – Mówiąc to wykonał gest ramion, którym jakby obejmował w całości Pałac Wojen. – Wiódlbyś zadowalające i dobre życie, takie, jakie naprawdę potrzebne jest mężczyźnie. W twoim świecie to już niemożliwe, a wasi ludzie są spragnieni czynu i walki. Dają temu wyraz w wielce skomplikowanych grach różnego rodzaju. Czyż nie widziałem na ulicach twego Berkeley dziesiątków takich, którzy zwą się anachronistami? Noszą miecze i bawią się w turnieje rycerskie tylko dlatego, że w ich świecie zabrakło zajęcia, jakie przystoi mężczyznom! Nie zmienisz ludzkiej natury stekiem sentymentalnych bzdur o pokoju i miłości! Dopiero gdy

zobaczysz Iwa i owieczkę leżące obok siebie i żadne z nich ani przez chwilę nie pomyśli o kolacji, będziesz mógł powiedzieć, że twoje sentymentalne bzdury mają jakikolwiek sens. Nim to nastąpi, wojna będzie najważniejszym męskim zajęciem, a ja przecież wychowywałem syna na mężczyznę, i to takiego, który jest zdolny sprostać wyzwaniom rzeczywistości, tymczasem ci przekłęci Alfarowie wyprali mu mózg!

Ale Fenton go nie słuchał. Zamarł, bo nagle poczuł, jak tuż obok niego przejeżdża jakąś oświetloną ulicą rozpędzony samochód... Zauważył, że nie jest w stanie zupełnie dostrzec swego ciała. Po chwili był z powrotem w ascetycznych apartamentach Pentarna w Pałacu Wojen.

–No, nareszcie znikasz – powiedział Pentarn. Zbyt długo tu zabawieś. Czy nie wiesz, że jeżeli zbyt długo pozostaniesz poza ciałem, grozić ci będzie śmierć z głodu i pragnienia? Gdzie można cię znaleźć? Mógłbym cię odwiedzić w twoim świecie i porozmawiać...

Fenton był prawie w agonii, zupełnie nie rozróżniał słów Pentarna; nie był w stanie wypowiedzieć jednego słowa. Świat wirował w nim i wokół niego. Nogi i ramiona Cama były poprzekłuwane rozgrzanymi do białości igłami bólu; zaczął się krztusić. Pentarn ze swym Pałacem Wojen znikł w jednej chwili. Wokół Fentona kłębił się wieczorny tłum przy Telegraph Avenue, z boku szybko przejeżdżały samochody, a jeden z nich zawadziłby Cama o mały włos. Fenton potknął się, szybko przyspieszył, by wejść na chodnik. Po chwili uświadomił sobie jednak, że jest bezcielesnym bytem i że wszystkie samochody mogą przez niego spokojnie przejeżdżać... właśnie przeszedł przez stoisko pięknie zdobionych szklanych kufli. Wciąż mocno ścisnął w kieszeni talizman, który wręczyła mu Irielle.

Fale bólu chwilami odbierały mu przytomność. Słaniając się szedł wzdłuż alei w stronę Smythe Hall. Miał w głowie tylko jedno: by jak najszybciej znaleźć się na powrót we własnym ciele, by uśmierzyć wreszcie te potworne bóle... Nigdy w życiu nie zdarzyło mu się nic podobnego. W którym miejscu popełnił błąd? Było już bardzo ciemno, a ledwo rysująca się tarcza zegara na wieżycy uniwersytetu wskazywała godzinę jedenastą trzydzieści. Zbliżała się więc północ. Nigdy przedtem nie pozostawał tak długo poza ciałem. Czyżby Garnock tym razem przedawkował antaril? Czy może raczej talizman, który Fenton wciąż kurczowo ścisnął w dłoni, spowodował nadmierne przeciągnięcie się wędrówki poza ciałem?

Cam wtoczył się do Smythe Hall. Sunął wzdłuż korytarza i na górę po schodach do laboratorium. Garnock z pewnością czuwał przy jego ciele. Ale wydawało się, że w laboratorium nie ma nikogo. Notatki Marjie leżały pedantycznie rozłożone na stole. Garnocka Cam nigdzie nie dostrzegł.

Łóżko, na którym Fenton zawsze się kładł przed eksperymentem, było puste.

ROZDZIAŁ 11

W pierwszej chwili Fenton wpadł w panikę.

Jego ciało zostało zabrane z laboratorium – czyżby było martwe? Wiele lat temu czytał horror, w którym martwy i pochowany bohater nie wiedział o tym i latami wędrował między żywymi nie mogąc się z nikim skomunikować ani niczego dotknąć... Tak według autora tej powieści miało wyglądać piekło.

Nim Fenton zdołał się opanować, upłynęło trochę czasu. Doszedł do wniosku, że z powodu przedłużającej się nieprzytomności obiektu eksperymentu Garnock najprawdopodobniej podjął decyzję o odtransportowaniu go do szpitala. Rozsądek podpowiadał mu, że musiał to być szpital w kampusie, czyli Klinika Cowella. Nieraz zdarzało się przecież, że eksperyment laboratoryjny obfitował w komplikacje.

Fenton był jednak potwornie zmordowany, a do tego nękały go ciągle napady rwącego bólu. Zapadł się w fotel Garnocka. Zgodnie z przypuszczeniem przeleciał przezeń i z wolna zaczął przenikać przez podłogę. Musiał szybko wziąć się w garść. Wiedział, że wysiłkiem woli jego ciało astralne – czy inna niematerialna forma, którą dane mu było przyjąć – może poruszać się w skoordynowany sposób na powierzchni podłoża. Jednakże koncentracja wymagała morderczego wysiłku...

Zaczynał mieć kłopoty ze zbieraniem myśli, i przestraszył się naprawdę. Nie wiedział dokładnie, co się może stać, jeśli jego świadomy byt za długo będzie przebywał poza ciałem, ale był absolutnie pewien, że nie chce tego sprawdzić empirycznie. Przede wszystkim musiał spróbować dostać się z powrotem do ciała najkrótszą możliwą drogą. Następnym razem, pomyślał, zrobię wszystko, by się dostać do tamtego świata w formie materialnej. Mam już dość bycia Cieniem!

Wychodził wolno ze Smythe Hall i odczuwał ból przy każdym kroku. Z rozrzewnieniem pomyślał o krainie Alfarów, gdzie krajobraz płynął i przekształcał się, a podróżowało się tam szybko dzięki sile woli i koncentracji na obranym celu. Zdawał sobie sprawę z tego, że jego ciało drży i pulsuje i że stopniowo ubywa mu substancji. Czuł wyraźnie szarpnięcia prowadzącej go liny. Była zrobiona z mocnej, szarej materii i jakby wydostawała się gdzieś ze środkowej części ciała, i rozciągała do przodu. Nie wiedział, gdzie jest przymocowana, ale sądził, że w okolicach pępka. Zaczynał czuć się tak, jakby majaczył. Zastanawiał się, czy lina mogłaby natrafić na jakąś przeszkodę i co by się stało, gdyby natrafiła.

Wolno, potykając się, schodził po stopniach Smythe Hall. Męczyły go nagłe, rwące bóle. Kuśtykał przez opustoszały dziedziniec uniwersytetu w desperackim pośpiechu. Raz zdecydował się iść na skróty, przez róg budynku, bo obchodzenie trwałoby zbyt długo. Poczował szorstkie, ziarniste ściany, boleśnie ocierające się o jego

niematerialną skórę. Kłujące bóle ogarniały Cama od czasu do czasu z taką siłą, że opadał na kolana, ignorując nieustanne szarpnięcia, odczuwane jako swędzenie wewnątrz brzucha, i próbował rozmasowywać łydki i stopy. Odkrył, że łatwiej mu było ześlizgiwać się ze schodów niż schodzić z nich stopień po stopniu. Bolesne szarpnięcia i swędzenie nasilały się, kiedy zbliżał się do szpitala. Zastanowił się mgliście, jak odnajdzie swoje ciało w jednej z tak wielu sal Kliniki Cowella. Ale odczuł znów silne szarpnięcie, jakby wołanie swojego ciała, i nie miał już wątpliwości. Nie próbował oporu, biernie pozwolił się prowadzić poprzez korytarze, drzwi, piętra.

Znów przypomniał sobie o talizmanie od Irielle. Nie wyglądał tu zapewne jak filigranowa, zdobiona bryłka złota. W świecie Pentarna był zielonym, drogocennym, przypominającym jaszczurki kamieniem. Fenton zastanawiał się przez chwilę, czy średniowieczne opowieści o alchemii mówiły o podobnych transformacjach między rzeczywistościami, jak te, których doświadczał. W tym świecie, to oczywiste, nie można było zmieniać nieszlachetnych metali w złoto. Ale czy zmiana świata nie mogłaby ich przekształcić...

W małej poczekalni na drugim piętrze, w półśnie, siedział na krześle Garnock. Fenton odczuł nagle wzruszenie. Garnock został przy nim, zamiast odstawić go rutynowo do szpitala i spokojnie iść do domu spać. A może to zwykła ciekawość naukowca? Garnock był nie ogolony, rozczochrany, ubranie miał wygniecione.

–Jest okay, doktorze... – odezwał się Fenton, ale Garnock go nie usłyszał i dalej drzemał nieświadomy. Profesor nie mógł przecież widzieć ani słyszeć Fentona w jego niematerialnej formie. W tej postaci Cam był przecież duchem...

Szarpnięcie było rozdzierające. Pozwolił pociągnąć się do drugiej sali, gdzie jego ciało w szpitalnej koszuli leżało na szpitalnym łóżku. Z przerażeniem zdał sobie sprawę, że ma rurki w nosie i gardle oraz igły wbite w żyły na przedramieniu; pewnie kroplówka wprowadzona prosto do żyły... Na cholerę... Kiedy się sobie przyglądał, nadeszła pielęgniarka, założyła mu na rękę opaskę uciskową do mierzenia ciśnienia i zaczęła naciskać pompkę. Usłyszał, jak powiedziała:

–Ciśnienie spada. Chyba powinniśmy...

O nie, pomyślał Fenton. Tylko brakuje mi jeszcze jakichś heroicznym scen wskrzeszania umarłych! Podpłynął bliżej swego ciała, upewniwszy się, że talizman Irielle tkwi mocno w jego dłoni. Sama Irielle nie była pewna, czy Cień może przenieść talizman do swojego materialnego ciała. No cóż, postanowił spróbować. Szarpnięcia były już nie do zniesienia, więc poddał się im.

Rozdzierający ból przeszył mu nos, usta, ramiona, nogi. Krzyknął i z impetem usiadł na łóżku; wymachiwał rękami. Zdezorientowana pielęgniarka cofnęła się i z przyrzędem do mierzenia ciśnienia w ręku gapiała się na Fentona.

–Pan jest przytomny! – Brzmiało to jak oskarżenie.

–Jestem, do cholery! Nie sądzi pani, że już najwyższy czas!? – Z powodu rurek w nosie mówienie sprawiało mu trudność, wykonał więc nerwowy gest w ich kierunku.

–W porządku, panie Fenton. Był pan nieprzytomny dość długo, więc... Już dobrze, proszę mi pozwolić... Mimo że pielęgniarka była bardzo uważna, zdejmowanie aparatury sprawiło mu jeszcze trochę bólu. Kiedy już się uporała, Fenton usiadł znowu i powiedział: – Przecież mówiłem, że czuję się dobrze. Co tu się dzieje?

–Proszę się położyć, zmierzę panu ciśnienie – poleciała pielęgniarka. – Proszę zacisnąć pięść...

Fenton zacisnął posłusznie pięść. Z rosnącym poczuciem tryumfu zdał sobie sprawę, że ciągle ma w dłoni talizman Irielle. Zapomniał o dokuczliwych bólach męczących całe ciało.

Udało się. To nieprawdopodobne! Garnock nie będzie mógł zignorować materialnego dowodu prawdziwości moich przeżyć!

–Nic z tego nie rozumiem – dziwiła się pielęgniarka. – Kilka sekund temu pana ciśnienie było tak niskie, że trudno było mi je zmierzyć, a teraz wydaje się zupełnie normalne.

–Niech pani powie o tym Garnockowi. Zawołajcie tu prędko Garnocka!

–Jest za drzwiami – rzuciła pielęgniarka i pobiegła po niego.

Fenton leżał teraz wyczerpany, trzymały go skurcze, miał silne zawroty głowy. Czuł się osłabiony, było mu niedobrze, ale z drugiej strony wiedział, że myśli racjonalnie.

Garnock wpadł do pokoju z zakłopotaną miną. Kiedy zobaczył Fentona leżącego z otwartymi oczami, na jego twarzy pojawił się uśmiech niedowierzania.

–Dzięki Bogu! Wszystko w porządku, Cam?

–Oczywiście – odparł Fenton dotknięty. – Nie było czym się przejmować. Tym razem chciałem zostać tak długo, jak się dało, i zobaczyć wszystko, co należało obejrzeć.

Garnock potrząsnął głową z niedowierzaniem.

–Cam, leżałeś tu nieprzytomny przez trzydzieści sześć godzin i mówisz mi teraz, że wszystko jest okay? – Bo wszystko jest okay – odparł Fenton. Ale w głębi duszy czuł niedowierzanie równe niedowierzaniu Garnocka. Trzydzieści sześć godzin! Nic dziwnego, że wysiłek wkładany w utrzymanie się poza ciałem mało go nie zabił. Nie

niał najmniejszych wątpliwości, że jeśli zostałaby tam choć trochę dłużej, umarłby na skutek wyczerpania sił witalnych. Na głód i odwodnienie szybko pomagała kroplówka, a ostre klucia w ramionach, które odczuwał, następowały w chwilach, kiedy mu ją podawano. Poza problemami czysto fizjologicznymi było do rozwiązania jeszcze wiele innych, znacznie subtelniejszych.

–Tym razem przyniosłem ze sobą dowód. To jest prawda, profesorze. Inne wymiary są prawdziwe, istnieją obiektywnie. Irielle dała mi talizman, który pozwoli mi przejść przez Bramę. Spójrz. – Otworzył zaciśniętą pięść; czuł w cielesnej dłoni ciężar kamienia.

Garnock wziął talizman z ręki Fentona i odezwał się przyjemnym, pozbawionym emocji głosem:

–A więc przyniosłeś jakiś aport, Cam. Bardzo ciekawe. Zawsze podejrzewałem, że masz jakieś telekinetyczne zdolności, mimo że twoje wyniki podczas testów na telekinezę nie były najlepsze. Oczywiście, nie ma mowy o żadnym oszukaństwie. Byłeś tu pod specjalną opieką przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny. Siostrze, nie miał nic w ręku, kiedy go przywieziono, prawda?

–Jestem pewna, że nie. Na pewno nie, kiedy lekarz przyszedł dać czwartą kroplówkę.

Garnock uśmiechnął się krzywo.

–Nigdy mi nie uwierzą – powiedział. – Nigdy nie będę w stanie udowodnić, że nie popełniłem żadnej kuglarskiej sztuczki i nie wsunąłem ci tego cichcem do ręki. Nawet jeśli pielęgniarka zeznawałaby pod przysięgą. Ale ja wiem to, co jest teraz dla mnie ważne. Widziałem na własne oczy.

Fentona przebiegł dreszcz wzdłuż kręgosłupa, bo zdał sobie nagle sprawę z tego, że nawet Garnock, profesor parapsychologii, nie do końca wierzy w to, co widzi. Jego wytrwałe poszukiwanie i domaganie się dowodów było pragnieniem przekonania samego siebie, pragnieniem, żeby przekroczyć barierę własnego sceptycyzmu.

Jeśli całe życie pracuje się i myśli w jednym zbiorze postulatów i prawd, gdzie granice tego co możliwe

i niemożliwe są raz na zawsze wyznaczone, nie ma sposobu – nie ma żadnego sposobu – żeby je przekroczyć. Największa nawet liczba dowodów nie jest przekonująca, bo zostało się uwarunkowanym na odrzucanie nawet tego, co dotarło do własnych zmysłów.

I nieważne, jak bardzo jesteś przekonany, że chcesz uwierzyć, pomyślał Fenton, i

tak nie możesz.

Cam nigdy nie widział UFO. Nie wierzył w latające spodki. I gdyby zobaczył taki spodek, nawet gdyby leżał na trawniku przed Sproul Hall, i tak by nie uwierzył w jego istnienie, ponieważ wiedział, głęboko w środku, że podróżowanie nim w przestrzeni jest niemożliwe. Gdyby zobaczył go na własne oczy, nazwałby tę wizję halucynacją, a potem niezrównoważeniem umysłowym i testowaniem rzeczywistości.

Z tego właśnie powodu wyginęły kultury tradycyjne w Afryce i w Azji. Nie dlatego, że biali człowiek wyniszczył je fizycznie i zniszczył ich środowisko. Ale dlatego, że kultura białych zdruzgotała ich prawdy i ich związki z otaczającym światem.

Z pewnością to wszystko było bezcelowe, ale Fenton zapytał:

–Aport, doktorze?

–Tak. Widziałem je na jakichś seansach spirytystycznych, dawno temu. Widziałem je: kwiaty, szlachetne kamienie. Zawsze myślałem, że media spirytystyczne są sprytne, bardzo sprytne. Tak sprytne, że potrafiły przechytrzyć magików cyrkowych, których podstawialiśmy. Chcieliśmy sprawdzić, czy je podkładają. Opadł bezwładnie na krzesło przy łóżku. – Ale ja wiem, że ty tego nie podłożyłeś, Cam. Na miłość boską! Po dziesięciu latach pracy w Instytucie Parapsychologii mam nareszcie w rękę niepodważalny dowód na istnienie telekinezy. Ten kawałek kamienia...

–Chwileczkę – przerwał mu Fenton. – Talizman nie dotarł tu drogą telekinezy. Dziewczyna z kraju Alfarów, o której ci opowiadałem, Irielle, ona mi go dała... Garnock machnął ręką.

–Nie wiem, jak racjonalizujesz ten fakt w swoich halucynacjach. Najistotniejsze jest, że kamień był dla ciebie na tyle ważny, że przeniosłeś go z dziedzińca kampusu do szpitala i do swojej ręki...

Fenton nie wytrzymał:

–Nie mogę w to uwierzyć! To jest talizman, s p ó j r z tylko, doktorze, spójrz na ryty, popatrz...

–Nie – rzekł Garnock – to ty popatrz. – Podniósł kamień na wysokość oczu Fentona.

Na jego dłoni leżał zwykły, gładki kamień.

ROZDZIAŁ 12

Jest mi bardzo przykro, Cam – powiedział w końcu

Garnock. Czy rzeczywiście nie widzisz, że wszystko, co mówisz, jedynie pogarsza sprawę? Jesteś ofiarą pierwszego naprawdę poważnego efektu ubocznego antarilu. Zanim jednak stwierdzimy, czy jest on wynikiem twego idiosynkratycznego uwrażliwienia na ten narkotyk, czy przykładem ogólniejszego zjawiska, którego po prostu nie objęły jeszcze nasze statystyki, wiesz dobrze, że nie będziemy mogli sobie pozwolić na ryzyko twego dalszego udziału w eksperymencie. Posłuchaj, Cam – tembr głosu Garnocka uległ zmianie; dało się słyszeć nieklamane ubolewanie – przykro mi rozczarować cię. Wiem, że ten eksperyment znaczy dla ciebie bardzo wiele. Muszę ci się jednak przyznać, że nawet jeszcze przed tym ostatnim wydarzeniem zastanawiałem się, czy nie wycofać cię z badań. Narkotyki są zawsze zdradliwe. Pamiętam dobrze, że w przypadku prób z LSD ty nie miałeś żadnych problemów, ale pamiętaj, że jedna lub dwie osoby miały je tuż po rozpoczęciu tamtego, i tak przecież krótkiego eksperymentu. Jeśli chodzi o antaril, też już był kłopot z tą małą Brittman, bo się okazało, że dziewczyna uzależniła się psychicznie od narkotyku w sposób, który do złudzenia przypomina niektóre z twoich...

Czując w sobie rosnący gniew i zniecierpliwienie Fenton wszedł Garnockowi w słowo:

–Nie jestem psychicznie uzależniony...

–Jesteś ostatnią osobą, która może to prawidłowo ocenić – uzmysłowił mu Garnock z całą bezwzględnością. – Amy Brittman mówiła dokładnie to samo co ty. Opowiadała o realności tamtego świata i pragnęła w nim spędzać jak najwięcej czasu. Słyszałem, że praktycznie wyleciała ze studiów i zaczęła się szlajać z ulicznymi ćpunami, i nie byliśmy w stanie temu przeciwdziałać. Na domiar złego nie można w żaden sposób zakazać posiadania tego narkotyku. Zdaje się, że jest zupełnie nietoksyczny nawet dla myszy, a co tu dopiero mówić o ludziach.

–Czy nie możecie znowu czegoś zmyślić, tak jak robiono z LSD i trawą? – spytał Cam z goryczą w głosie. – Stara pobożna bujda o trawce, która okazała się wstępem do nieuchronnego uzależnienia od heroiny.

Garnock robił wrażenie obrażonego, ale spokojnie podjął temat:

–Pamiętam to, co widziałem w Kalifornii, co dzieje się z normalnymi, przestrzegającymi prawa obywatelami, gdy zakazuje im się używania czegoś, o czym doskonale wiedzą, że jest absolutnie nieszkodliwe, a na używanie czego mają akurat ochotę. Oto przykłady: prohibicja w latach dwudziestych, LSD i marihuana w latach sześćdziesiątych czy niezalegalizowana prostytutka jeszcze parę lat temu. Wiadomo,

że brygady strażników cnoty są notorycznie skorumpowane i cyniczne, bo tak naprawdę wiedzą, że jedynym ich zadaniem jest ściąganie należności z kar dla władz podatkowych. To jednak, co przydarzyło się Amy Britzman i tobie, może się okazać statystycznie ważne. Jeśli będziemy w stanie udowodnić, że antaril jest groźny dla ludzi o pewnej strukturze psychicznej, być może uda nam się przeforsować ograniczenie jego użycia i zamknięcie prób do prowadzonych pod nadzorem laboratoryjnych badań naukowych, tak jak to czynimy z LSD. Kukułka nam przy tym wykukała, że administracja rządowa planuje finansowanie kolejnych eksperymentów z antarilem przez fundacje parapsychologiczne. Wydział jest teraz bliski otrzymania poważnej dotacji. Wyobraź sobie tylko użycie antarilu do celów militarnych. Wiesz równie dobrze jak ja, że Rosja prowadziła i prowadzi nadal badania w tej dziedzinie. Oni wierzą, że to zupełnie wyjątkowa okazja do stworzenia czegoś, co pojmują jako narzędzie wywiadu najwyższej miary. Marzy im się sytuacja, w której w ogóle nie będą musieli stawiać swych ludzi w zasięgu działania naszych agencji bezpieczeństwa. Z kolei nasz rząd doskonale sobie zdaje sprawę, że nie powinniśmy zostawać w tej dziedzinie w tyle za Rosjanami, a najlepiej byłoby ich zdystansować. Wynika stąd, że są widoki na rozsądne kontrakty i zlecenia rządowe na prowadzenie badań tu u nas, w Berkeley, których celem byłoby określenie przydatności penetracji pozazmysłowej dla celów militarnych. Rozumiesz doskonale, co to znaczy dla naszego instytutu. Zawsze byliśmy nie dofinansowani i po raz pierwszy jesteśmy o krok od poważnych środków na badania.

–Mój Boże, a ja głupi naiwnie wierzyłem, że parapsychologia to jedyna dziedzina wiedzy, której nie można wykorzystać w celach wojskowych!

–Może się okazać, że wręcz wyznaczysz nowe pole konfliktu. Wyobraź sobie liczbę istnień ludzkich, które udałoby się dzięki temu ocalić: wszystkich tajnych agentów, których w ogóle nie trzeba by wysyłać na tereny nieprzyjaciela!

–Rozumiem, że wszystko, na czym ci tak naprawdę zależy, to środki finansowe dla instytutu. Czy nie zastanawiałeś się nad liczbą możliwych rozgałęzień naukowych wynikających z naszych badań? Przypuśćmy, że uzyskalibyśmy dostęp do innych wymiarów. Czy nie działa ci na wyobraźnię możliwość dość podstawowego wglądu w naturę zjawisk rzeczywistości?

Garnock robił wrażenie poważnie zaniepokojonego. – Wolałbym, żebyś nie wypowiadał się w taki sposób. Z chwilą gdy twój organizm do reszty oczyści się z antarilu, zrozumiesz doskonale, co ci się stało. Posłuchaj, może dobrze by ci zrobiło kilka rozmów z psychiatrą? Może pogadałbyś o tym z kimś naprawdę obiektywnym?

Fenton zdjął nogi z łóżka i wstał.

–Nie, dziękuję. Znam ten ich obiektywizm. – Wykrzywił pogardliwie wargi. – Zaczęliby, bardzo obiektywnie, od wypytywania mnie o freudowskie konflikty i o

potrzebę władzy, którą daje praca w parapsychologii. Obiektywne wnioski byłyby takie, że jestem eskapistą. Dzięki, doktorze, bardzo dziękuję. Oddaj mi talizman... o, przepraszam, mój kamień. Pójdę już.

–Nie znoszę, kiedy stajesz się cyniczny. Myślałem, że naprawdę interesuje cię ten projekt.

–Zabawne. Jestem cyniczny, bo podobne mniemanie miałem o tobie, profesorze. Kiedy trzeba wybierać między badaniami a finansowaniem instytutu, zawsze wygrywa to drugie.

Garnock zacisnął usta.

–Daj spokój, Cam, zanim obaj powiemy coś, czego będziemy żałować.

–Już to powiedziałeś. Oddaj mi talizman. Chcę już iść.

Garnock potrząsnął głową.

–Przykro mi, Cam. Ten kamień to jedyny autentyczny aport, jaki wpadł nam w ręce przez ostatnie piętnaście lat eksperymentów. W związku z tym należy do zbiorów instytutu.

–Jeśli jesteś przekonany, że to zwykły kamień rzekł Fenton – idź na dziedziniec i przynieś tu jakikolwiek, dla ciebie nie ma to znaczenia. Tak się składa, że ja potrzebuję właśnie tego. Został mi подарowany i nie możesz go sobie tak po prostu wziąć.

–Prawdę mówiąc mogę. – Garnock wyduł grube wargi. – Materiały używane w instytucie podczas eksperymentów należą do niego prawnie. Nigdy niczego podobnego nie wymuszałem, ale tym razem sprawa wygląda poważnie, więc zamierzam zrobić, jak zostało powiedziane. Kamień zostanie zamknięty w sejfie instytutu i to wszystko, co mam ci do zakomunikowania.

–Posłuchaj mnie uważnie. Ten talizman może być kluczem do innych wymiarów. Będę mógł odnaleźć Dom na Rozstajach, może udałoby mi się nawet przeprowadzić ciebie...

Garnock wyglądał tak, jakby wysłuchiwał majaczeń obłąkańca. Cam przestał mówić, po chwili jednak zacytował Garnocka:

–„I nawet gdyby jakiś człowiek powstał z grobu, nie uwierzyliby mu.” – Poczuł, jak złośliwy grymas wykrzywia mu wargi. – Czasem zastanawiam się, co Łazarz powiedział ludziom po wskrzeszeniu. Ciekawe, ilu przekonywało go, że nigdy nie umarł.

Garnock zaczął mówić bardzo łagodnie:

–Nie ma sposobu, żeby zbadać cuda opisane w Biblii, Cam. Nikt nie wie, czy którykolwiek z nich w ogóle się wydarzył. Może wyznawcy po prostu wierzą, że miały miejsce. Nie daj się zapędzić w maliny. To pułapka, której muszą być świadomi wszyscy parapsychologowie, wszyscy ci, którym się wydaje, że znaleźli specjalne wyjątki od praw natury. Kiedy złudzenia miną i będziesz czuł, że znów rozumujesz swobodnie, przyjdź do mnie i omówimy wszystko jeszcze raz. Teraz kontynuowanie rozmowy nie ma sensu.

–Nie – rzekł Fenton. – To nie ma sensu. Przy drzwiach Garnock zawahał się.

–Pamiętaj, żeby oddać Sally swój raport – powiedział. – Ona ciągle pracuje nad analizą całościową. – Dobra. – Fenton wzruszył ramionami. – Oddam. – Pomyślał, że jeszcze to jest winien Garnockowi. Myślał też, że może Sally w końcu mu uwierzy. Teraz kiedy na dobre obrabowali go z talizmanu od Irielle...

Powstrzymał biegnące myśli. Nie może uciekać się do używania paranoicznego zaimka „oni”. Spróbuje przekonać Garnocka albo Sally, żeby oddali mu kamień na chwilę. Wtedy mógłby podłożyć inny. Wyobraził sobie, co by się działo, gdyby zaskarżył instytut do sądu o konfiskatę mienia osobistego sztuk jedna. Czyli: jeden szary, prawdopodobnie osadowy kamień, okrągłego kształtu, o promieniu około siedmiu centymetrów, mniej więcej dwóch centymetrów grubości. Kamień uważany przez oskarżyciela za talizman w jakimś innym wymiarze, z wygrawerowanym pismem runicznym, a w jeszcze innym wymiarze za zielony jodeit, podobnie zdobiony. Fenton zachował wystarczająco dużo zdrowego rozsądku, żeby uśmiechnąć się do swych myśli; schodził właśnie na parter Smythe Hall, a potem wyszedł na zewnątrz. Zgoda, jeśli ujmie się rzecz w ten sposób, nie ma się co dziwić, że Garnock w nic nie wierzy. Był przecież taki moment, że Fenton sam sobie nie wierzył.

Może powinienem jednak iść do kogoś z psychiatrii... Po zwolnieniu ze szpitala zadzwonił do Sally i zaprosił ją na kolację.

W oczekiwaniu aż Sally wyjdzie po ostatniej części konferencji, zajrzał na chwilę do akademika znajdującego się nie opodal. Dowiedział się tam, że Amy Brittman zostawiła swój nowy adres przed wyprowadzką.

Mieszkała w miejscu, gdzie Telegraph Avenue kończyła się rozkopami North Oakland. Rzucił okiem na zegarek i pobiegł w dół alei.

Był piękny, słoneczny dzień, późne popołudnie, ulica jak zwykle pełna przeróżnych ludzi. Fenton dojrzał tysego hipisa z trzema kolczykami w uchu i kilku anachronistów w długich, falujących płaszczach. Czy oni czekali na przywódcę, kogoś takiego jak

Pentarn, rozczarowani, że ten świat nie daje im okazji do turniejów i bitew? Na pierwszy rzut oka ich przebieganie się wyglądało jak zwykła zabawa, maskarada. Czy jednak w głębi ducha, nie wierzyli słowom Pentarna?

Znów Fenton zaczął myśleć o Pentarnie. I wtedy zobaczył okiennice małego antykwariatu, w którego oknach ujrzał kiedyś ilustracje Rackhama. Przeszedł na drugą stronę ulicy, żeby im się przyjrzeć.

W oknie zauważył rycinę przedstawiającą smukłą królową elfów, otoczoną przez tłum gnomów przerażająco podobnych do żelazorów. Kerridis pośród żelazorów... pomyślał. Tak jak wtedy, kiedy widziałem ją po raz pierwszy. Obok znajdowały się też inne rysunki. Na jednym z nich było widać wysoką budowlę bez szczególnych cech architektonicznych, na jej wieżach powiewały flagi. Przypominała trochę Pałac Wojen Pentarna, a trochę dziwne konstrukcje, które Fenton zawsze traktował jako dzieła artystów fantasy lub science fiction. Teraz przyszło mu do głowy, że to nie sztuka fantasy, lecz znak dla tych, którzy wiedzą, gdzie są miejsca przecinania się światów...

Przecież dwa razy przechodziłem wzdłuż tego budynku, pomyślał skonsternowany, i trafiłem tylko do pralni chemicznej, dokładnie tutaj, między księgarnią a grecką knajpą...

Przeszedł na koniec budynku, żeby sprawdzić numer, ale numeru, rzecz jasna, nie znalazł. Nie było w tym, naturalnie, niczego dziwnego; prawdopodobnie nawet poczta nie przywiązywała większej wagi do numeracji tutejszych domów. Fentonowi pozostał tylko jeden sposób na wyjaśnienie wątpliwości. Pchnął drzwi i wszedł do antykwariatu.

Przynajmniej tym razem wewnątrz nie zmieniło się w pralnię chemiczną.

–W czym mogę panu pomóc? – zwróciła się do niego młoda sprzedawczyni, ubrana w hipisowską szatę upstrzoną kwiatami i sięgającą ziemi, utrzymaną w prerafaelickiej konwencji lubianej przez liczne anachronistki.

–Chodzi mi o obrazek w witrynie, ten przedstawiający królową elfów otoczoną przez te... no, gnomy, nie: gobliny.

–To ilustracja Rackhama do poematu Christiny Rosetti Goblin Market (Targowisko goblinów) – odpowiedziała dziewczyna. – Śliczna, prawda?

Fenton entuzjastycznie przyznał, że Rackham był utalentowanym ilustratorem i zapytał:

–Czy ma pani może powiększoną odbitkę?

–Sprawdzę. – Kiwnęła głową i zaczęła przeglądać porozkładane na półkach sterty rycin. W tym czasie zaintrygowany Fenton bacznie lustrował wnętrze pomieszczenia. – Tak, mam odbitkę dwadzieścia dwa i pół na trzydzieści centymetrów – odezwała się dziewczyna i reprint piętnaście na dwadzieścia w kasetonie z drewna sekwojowego do powieszenia na ścianie.

–Wezmę odbitkę – zdecydował Fenton. Nie chciało mu się targać ciężkawego kasetonu, choć czuł, że najprawdopodobniej spodobałby się Sally. Kiedy dziewczyna była zajęta pakowaniem odbitki, wskazał na jednego z goblinów i powiedział: – Dobrze, że nie mamy problemów z żadnym z tych przyjemnych stworzeń. Dziewczyna uśmiechnęła się figlarnie.

–Rzeczywiście, nie chciałabym spotkać żadnego z nich w ciemnej uliczce.

–A ja na pewno nie chciałbym spotkać żadnego żelazora – rzucił Fenton i uważnie śledził wyraz twarzy dziewczyny. Przez ułamek sekundy coś błysnęło w jej oczach, a przynajmniej odniósł takie wrażenie.

–Czy mogę jeszcze panu czymś służyć? – spytała. – Tak – odparł. – W jakich godzinach mają państwo otwarte? Przychodziłem tu już kilka razy i miałem przeważnie problemy z odnalezieniem tego miejsca. Raz nawet mi się udało trafić w godzinach otwarcia, ale niestety, po wejściu do środka okazało się, że jestem w pralni chemicznej.

Dziewczyna patrzyła na niego z lekkim niedowierzaniem.

–Nie wydaje mi się, byśmy w czymkolwiek przypominali pralnię chemiczną, nieprawdaż? Poobwieszane bajkowymi ilustracjami ściany rzeczywiście nie nasuwały takich skojarzeń.

–A kiedy przyszedłem tu po raz kolejny – rzucił jeszcze Fenton – w ogóle nie byłem w stanie odnaleźć tego miejsca.

–Tak, to prawda. Rzeczywiście różnie to u nas bywa z godzinami otwarcia. Jesteśmy tu trochę na uboczu. Myślę, że tak naprawdę nie wyróżniamy się znowu aż tak bardzo. Trzeba jedynie wiedzieć, gdzie i kiedy nas szukać. I dlaczego. To chyba bardzo ważne – dodała po chwili namysłu, a Fenton miał nieprzeparowane wrażenie, że dziewczyna czeka na to, aby wypowiedział właściwą kwestię, podał jej jakieś prawidłowe hasło.

Zastanawiał się, co by ujrzał, gdyby trzymał w kieszeni talizman Irielle. Czy rzeczywiście udało mu się w końcu znaleźć w Domu na Rozstajach Światów, w miejscu, gdzie znajdowały się Bramy, przez które Pentarn swobodnie przechodził w obie strony?

–Czy jest jeszcze coś, w czym mogłabym panu pomóc? – powtórzyła sprzedawczyni.

–Nie – odpowiedział Fenton, a w jego głosie pobrzmiwało rozczarowanie. – Nie tym razem.

–Zapraszam ponownie.

W tym momencie otworzyły się drzwi, w których stanął młody anachronista przyodziany w płaszcz do ziemi, a na nogach mający potężne buciory. Dziewczyna uśmiechnęła się do niego i zaprosiła gestem na zaplecze. – A co tam się dzieje? – spytał Fenton.

–To klub Dungeons Dragons – odparła. – Niestety, wstęp tylko dla członków.

–Czy nie można chociaż zajrzeć do środka? – spytał Fenton święcie przekonany, że właśnie ociera się o właściwy cel swej wizyty w maleńkim antykwariacie.

Dziewczyna uśmiechnęła się i kiwnęła przyzwalająco głową.

–Bardzo proszę zajrzeć – powiedziała otwierając drzwi na zaplecze.

Przez ułamek sekundy Fenton doznał nieobcego mu już uczucia zawrotu głowy. Drzwi powoli rozchyłały się, a jego oczom ukazywało się pomieszczenie, w którym stał duży stół. Na krzesłach wokół stołu siedziało kilku anachronistów pochylonych nad rozpostartą na stole planszą ogromnych rozmiarów, na której porozstawiano potężne figury. Poza planszą nie było tam jednak niczego interesującego, a sama plansza nie była wszak niczym zaskakującym...

–Jak pan widzi – odezwała się dziewczyna – to tylko pokój gier.

–Czy mógłbym się zapisać? Sam mam trochę bzika na punkcie Dungeons Dragons i bardzo bym chciał pograć sobie w miejscu takim jak to, w otoczeniu tych wszystkich fantastycznych figur ze światów na rycinach... – Fenton wyraził się w sposób, który miał umożliwić najbardziej wieloznaczne odczytanie sensu jego wypowiedzi.

Twarz ekspedientki nie zdradzała jednak niczego. – Bardzo mi przykro, ale musi pan otrzymać rekomendację kogoś z członków klubu. W innym wypadku akces jest niemożliwy. Proszę tylko nie zapomnieć swego nabytku. Niestety, zbliża się pora, o której zwykle zamykamy. Muszę już panu podziękować.

Zapomniawszy języka w gębie, Fenton mimo woli znalazł się na progu. W ostatniej chwili zdołał jednak zadać kluczowe pytanie:

–Czy Pentarn jest członkiem klubu? Jak często tutaj bywa? Wydaje mi się, że

kiedyś go tu widziałem... – Przykro mi, ale nie znam osobiście wszystkich członków – odpowiedziała dziewczyna, kiedy grzecznie, ale stanowczo wyprowadzała Fentona na ulicę. Po chwili usłyszał jedynie chrobot klucza obracanego w zamku od wewnątrz.

Przynajmniej następnym razem będę umiał zlokalizować ten punkt. Dokładnie między dużą księgarnią z zielonymi markizami a grecką restauracją.

No i miał też rysunek Rackhama. Jednak idąc w dół Telegraph Avenue odniósł wrażenie, że jakiś bardzo ważny szczegół musiał umknąć jego uwagi.

Może więc Amy Brittman mogłaby dołożyć nowy, interesujący element historii, jeśli oczywiście prawdą było to, że podczas swych antarilowych podróży zetknęła się z Pentarnem.

Wiedział chociaż, że Pentarn nie był jakimś mitycznym potworem, bezsensownie zwalczającym Alfarów. Powód jego agresji był przynajmniej częściowo uzasadniony, nawet jeśli całość jego działań zasługiwała na potępienie. Alfarowie zabrali mu syna. Fenton nie był zaskoczony tym, że chłopak – podobnie jak i on sam wolał życie wśród Alfarów od wojskowej dyktatury Pentarna. Po przejściach w Wietnamie miał dość wszelkiej wojskowości do końca życia.

Wraz z oddalaniem się od kampusu Telegraph Avenue stopniowo zmieniała swój charakter. Przybywało tu banków, stacji benzynowych i firm zajmujących się obrotem nieruchomościami, a za skrzyżowaniem z obwodnicą przybywało sal baletowych, małych antykwariatów z dewocjonaliami oraz domów, w których oferowano umeblowane pokoje do wynajęcia. W jednej z pomniejszych przecznic Fentonowi udało się odnaleźć nowe miejsce zamieszkania Amy Brittman.

Nacisnął guzik przy wizytówce z nazwiskiem „Brittman” i po chwili z głośnika dał się słyszeć głos:

–Kamera nie działa. Kto tam?

–Nazywam się Fenton. Przychodzę z Instytutu Parapsychologii.

Domofon zabrzączał i drzwi ustąpiły. Fenton przeszedł przez mieszkanie na parterze i zastukał do drzwi jednego z pokoiów. Młoda kobieta ostrożnie wychyliła głowę i przyjrzała mu się.

Była bardzo młoda, o twarzy pulchnej i okrągłej. Kiedyś w przyszłości może mieć kłopoty z nadwagą. Była opatulona po samą szyję w niechlujny szlafrok, a nie uczesane, zmierzwiłone włosy wchodziły jej do oczu. Robiła wrażenie wycieńczonej, ale tak bardzo, że w pierwszej chwili Fenton nie był w stanie jej rozpoznać.

Niepewnie odezwała się:

–Nie wiem, w jakiej sprawie pan przychodzi... W tym momencie ją poznał.

Była kobietą ze Świata Przejściowego, tą, która stała obok Pentarna i wpatrywała się w niego z fanatycznym uwielbieniem. Kobietą Wielkiego Wodza.

Rozpoznanie okazało się wzajemne. Przestraszona Amy zamrugła oczami i wrzasnęła piskliwie:

–To ty, ty Cieniu!! – Po czym zatrzęsnęła drzwiami przed nosem Fentona.

–Powinno chyba być jasne dla każdej myślącej osoby – mówiła Sally – że Amy Brittman jest niezrównoważona umysłowo. Wyleciała ze studiów i wpadła po uszy w narkomański półświatek. Jedzie na kwasach, antarilu, środkach psychodelicznych i wszelkich możliwych wypalaczach mózgu...

–Nie uważasz, Sally, że tylko snujesz domysły? Wszystko, co wiem, to...

–Widziałeś ją we śnie, i upierasz się przy tym, że ona też cię rzekomo widziała...

–Wciąż utrzymujesz, Sally, że to był sen?

–Niczego nie utrzymuję. Stwierdzam fakty. Leżałeś w Klinice Cowella pod stałą obserwacją. Twierdzisz, że widziałeś dziewczynę, która przypominała Amy Brittman...

–Nie wiedziałem wtedy, kim jest, wcześniej nigdy jej nie widziałem w instytucie.

–Niemniej twierdzisz, że widziałeś dziewczynę, która przypominała Amy Brittman... Cam, pozwól mi skończyć choć jedno zdanie i nie przerywaj... i że ona twierdzi, jakoby widziała ciebie w tym samym śnie...

–Sally, do cholery, gadasz jak mój znajomy prawnik. Kiedyś stojąc nad krwawiącym ciałem powiedział: „A teraz przejdźmy do owego rzekomego wypadku...”

–Usiłuję – odparła Sally niebezpiecznie cichym głosem – trzymać się resztek czegoś, co dałoby się jeszcze określić mianem obiektywizmu naukowego wobec zdań, które wygłaszasz.

–A jak wyjaśnisz fakt, że zwróciła się do mnie w ten sam sposób, jak nazywali mnie Alfarowie i Pentarn: Cieniu?

–Nie wyjaśnię tego, bo nie słyszałam, jak to mówiła.

–Sally, czy mogłabyś zrobić mi tę przyjemność i choć na chwilę założyć, że istnieje niewielkie prawdopodobieństwo, iż mówię prawdę? Zachowujesz się teraz jak jeden z naszych demaskatorów ganiających szczury po labiryntach. Próbują udowodnić, że

Instytut Parapsychologii to największa bujda dwudziestego wieku!

–Jestem psychologiem, a nie wyznawcą prawd objawionych! Jestem badaczem, Cam, a to oznacza, że nie będę sprzeniewierzała się faktom i dopasowywała ich do twoich teoryjek!

–Doprawdy? Tyle że pozwalasz sobie na lekceważenie tych faktów, które zgoła nie pasują do twoich teorii naukowych! – wyrzucił z siebie Fenton we wzrastającym przyływie gniewu i popatrzył na Sally z wściekłością znad stołu.

–To, co mówisz, obraża mnie, Cam. Podważa moją uczciwość i rzetelność tak jako naukowca, jak i kobiety! – Rozumiem więc, że t w o j e wcześniejsze stwier

dzenia na mój temat zupełnie nie podważają tego, o czym teraz mówisz. O ile dobrze sobie przypominam, udało ci się wielokrotnie zarzucić mi kłamstwo, a większość weryfikowalnych faktów, o których ci wspominałem, uznałaś za wierutną bzdurę lub wynik reakcji na halucynogeny.

–No więc podaj mi te fakty! Przecież tu nie ma żadnych faktów! – Bardzo podenerwowana spojrzała na Fentona. Płomień świecy stojącej na stole, rzucający blask na twarz Sally, ostro zarysowywał jej kontury. Zdawało się, że akcentuje pewien rys podobieństwa, którego istnienie Fenton przeczuwał już wcześniej. Gdzie masz te fakty? Ciągasz mnie za sobą po Telegraph Avenue opowiadając historyjkę o małym antykwariacie, którego tam w ogóle nie ma...

–On tam jest – rzekł Fenton. – Gdzie w takim razie miałbym ci kupić tę rycinę?

–Czy chcesz przez to powiedzieć, że jest to jedyny sklep przy Telegraph Avenue, w którym można dostać reprodukcje Rackhama?

–Ale akurat ta rycina pochodzi z małego antykwariatu bez nazwy, znajdującego się dokładnie między dużą księgarnią a grecką restauracją, natomiast w jego witrynie jest ułożona bardzo duża ekspozycja składająca się właśnie z rycin Rackhama...

–Cam, zastanów się, czego teraz po mnie oczekujesz? Że ci uwierzę, iż pralnia chemiczna zmienia się w antykwariat, aby po chwili znowu stać się pralnią chemiczną? Akurat znam tę pralnię. Zanoszę tam swoje rzeczy do prania i oni mnie pamiętają. Czy chcesz powiedzieć, że jeśli pewnego razu pojawię się tam, to może się okazać, że w miejscu pralni znajduje się klub miłośników Dungeons Dragons, który w rzeczywistości jest przykrywką dla czegoś o wiele bardziej złowrogiego?

–Mnie przydarzyło się dokładnie coś takiego.

–Tak oczywiście twierdzisz, Cam. Ja jednak nie mam na to najmniejszych dowodów. Nie otrzymałam ich. Natomiast w kwestii tożsamości wrażeń sennych twoich i Amy

Brittman, sprowadzającej się do używanego przez was oboje pojęcia „cień”, wiesz przecież, że telepatia jest zjawiskiem, którego istnienie parapsychologia udowodniła ponad wszelką wątpliwość. Nie dziwi mnie więc zupełnie wasz telepatyczny kontakt. A dosadniej rzecz ujmując, po młodej damie, tak niezrównoważonej jak Amy Brittman, należałoby się spodziewać dokładnie takich marzeń sennych. Zastanawia mnie w tym wszystkim rzeczywiście tylko powód, dla którego akurat ty okazałeś się jednym z podmiotów występujących w jej snach. Obawiam się, czy przypadkiem typ psychicznego niezrównoważenia cechującego ją nie...

–Nie udzielił się mnie? – Cam wszedł jej w słowo. – Tak – odpowiedziała z rozmysłem Sally. – Być

może należałoby tu postawić hipotezę, według której jest możliwa telepatyczna projekcja marzeń sennych, dotycząca niektórych ludzi. Wyjaśniałoby to jedną z największych zagadek współczesnej psychologii „folie a deux”, stan, w którym dwie osoby padają ofiarą tej samej iluzji. Mogłoby się to również przyczynić do rozwiązania kilku podstawowych pytań dotyczących psychologii tłumu, masowych szaleństw i iluzji, takich jak w Niemczech za Hitlera, gdzie miliony ludzi żyły w świętym przekonaniu, że jedynie eksterminacja Żydów może uchronić naród niemiecki przed zwiastowaną zagładą. Nie jest wykluczone, że Hitler posiadał ten nadzwyczajny dar telepatycznej projekcji swych złudzeń i koszmarów. Być może właśnie owo zjawisko jest związane z powstawaniem charyzmy wokół niektórych idoli tłumów.

–I kto tu mówi o naginaniu faktów do teoryjek? – Z pewnością nie ja – odparowała Sally. – Zakładam tylko, że możliwe jest wyjaśnienie twych doświadczeń w świetle faktów dotychczas potwierdzonych naukowo, takich jak telepatia, bez nonsensownego mnożenia skomplikowanych teorii jak wielokrotnie sprzężone rzeczywistości równoległe lub jakkolwiek inaczej chciałbyś to określić.

Cam zaczął cicho:

–Gdyby istniało jakiegokolwiek wytłumaczenie dla wszystkich zjawisk, których byłem świadkiem, przyjąłbym je za prawdziwe. Proste teorie nabierają jednak sensu dopiero wtedy, gdy zignoruje się wiele faktów, które akurat do nich nie przystają. – Argumentując wyliczał fakty, które miał na myśli: – Nazwisko Emma Camron wypisane na ziemi w gaju eukaliptusowym to raz; antykwariat, w którym kupiłem reprodukcję ilu

stracji do „Targowiska goblinów” to dwa. Faktem jest, tu bądź łaskawa dać wiarę w to, co mówię, że nie było tego sklepu, gdy tam poszedłem po raz drugi. Pokazywałem ci przecież...

–Pokazywałeś mi miejsce, które znam bardzo dobrze od ponad roku, konkretnie

pralnię chemiczną. Systematycznie odnoszę do niej swoje pranie. Nie twierdzę, że kłamiesz mówiąc to, co mówisz, Cam...

–Ale ty mi nie wierzysz.

–Sądzę, że coś cię wprowadziło w błąd. Myślę, że po prostu padłeś ofiarą bardzo ostrego efektu ubocznego działania antarilu i że mylisz z rzeczywistością halucynacje wygenerowane pod wpływem narkotyku. Oto dlaczego wszystkie środki psychodeliczne okazują się niebezpieczną, ślepą uliczką w badaniach parapsychologicznych, nawet te prowadzone w klinicznych warunkach. I ty, i Amy Britzman padliście ofiarą tego, o czym mówię. Czy nie rozumiesz, Cam, że ja niczego nie wartościuję? Ale nie sądzę, żebyś kiedykolwiek mógł definitywnie stwierdzić, co było realne, a co nie w czasie, kiedy znajdowałeś się pod wpływem antarilu. Wiem też, że Garnock ma już zupełnie wszystkiego dość. Początkowo był święcie przekonany, wszyscy byliśmy o tym święcie przekonani, że antaril jest właśnie tym, czego szukamy: środkiem wzmagającym percepcję pozazmysłową, lecz nie powodującym efektów ubocznych. Czy myślisz, że ktokolwiek chciał, abyś zrujnował to nasze optymistyczne przeświadczenie, żebyś był wyjątkiem od reguły, jednym z dwóch istniejących, oprócz Amy Britzman? W jej przypadku można było zrzucić omamy na karb istniejącego już na wstępie badań niezrównoważenia psychicznego dziewczyny. Ty, Cam, jesteś jednak nazbyt psychicznie zrównoważony, by można było przypisać komplikacje czemuś innemu niż efektowi ubocznemu działania narkotyku.

–Rozumiem więc, że odrzucasz wszelkie moje dowody i uznajesz je za wynik efektu ubocznego działania narkotyku, czy tak?

Zawahawszy się Sally wyciągnęła do niego rękę ponad stołem i dotknęła jego ramienia.

–Postawiłeś sprawę ostrzej, niż ja bym to zrobiła, Cam. Przyjmijmy tylko, że nie masz żadnego obiektywnego dowodu i że wszystkie twoje doświadczenia zdarzyły się w czasie, kiedy znajdowałeś się pod wpływem antarilu. Posłuchaj, załatwię ci spotkanie z dobrym psychoterapeutą z Kliniki Cowella. Myślę, że jak z nim pogadasz, spojrzysz na te sprawy z bardziej obiektywnego punktu widzenia.

Fenton zmarszczył brwi i spojrzał na nią przerażony. – Uważasz więc, że oszalałem.

Sally również na niego spojrzała, lecz gniewnie, i rzuciła:

–Teraz zaczynasz się zachowywać jak amator. Sugeruję ci tylko, że powinieneś pogadać z psychoterapeutą, a ty jak z automatu wyskakujesz z szaleństwem.

–Wszystko, co teraz mówisz, oznacza – Fenton zaczerwienił się z wściekłości – że to ja mam niedobre pomysły, które nie pasują do twoich dawniej wyrobionych

sądów. Chcesz mnie więc wysłać do psychoterapeuty, aby ten przekabacił mnie na twoją stronę i przekonał, że wszystko, co nie pasuje do twoich przekonań, jest niczym więcej jak zwykłą iluzją!

Sally siedziała z otwartymi ustami i skonsternowana patrzyła na Fentona.

–Czy zdajesz sobie sprawę, Cam, że to wszystko brzmi dość paranoidalnie? Jak trochę bardziej wyrafinowana wersja mniemania: „wszyscy zmówiliście się przeciwko mnie”?

–Oczywiście! Należy uciszyć to, co brzmi choć trochę niebezpiecznie! Najlepiej nazwać kogoś paranoikiem, wtedy zamknie się i nie będzie więcej opowiadał o tym, co jest dla was niewygodne!

Sally wzięła do ręki kieliszek z winem, który stał przed nią na stole i zaczęła wolno sączyć trunek; kieliszek drżał jej w dłoni.

–Jesteś tak zdeterminowany, że zamierzasz walczyć na płaszczyźnie osobistej, czy tak, Cam?

–Przyznaję, że tego nie znoszę. Przyszedłem do ciebie jak człowiek, który chce opowiedzieć, co widział i czego doświadczył, a ty zamieniasz się w psychologa i od początku do końca przekonujesz mnie, że to złudzenia!

–Właśnie dlatego chcę, żebyś poszedł do innego psychologa. Ja też jestem w to emocjonalnie zaangażowana.

W chwiejnym świetle świecy dojrzał mokrą strugę na jej policzku. Przez moment Sally wyglądała jak ktoś słaby i wrażliwy. Kobieta z rysunku Rackhama, spychana pod ścianę przez tłum goblinów, Kerridis oblężona przez żelazory. Nagle ogarnęła go czułość i ścisnął smukłe palce Sally.

–Nie chcę się z tobą kłócić. Bóg jeden wie, że nie mam na to ochoty.

Sally zaczerpnęła głęboko powietrza i skinęła głową. – Wiem. Ja też nie chcę, żeby moje słowa brzmiały tak, jak brzmią. Może spieram się sama ze sobą równie mocno jak z tobą. – Jej palce drżały w jego dłoni. Och, Cam, ja chcę ci wierzyć. Chcę wierzyć, że masz rację, iż wszystko wydarzyło się tak, jak mówisz, bez względu na to, jak fantastycznie brzmi. I momentami prawie wierzę. Mówisz z taką pewnością, jesteś tak cholernie spójny! Ale nie widzisz, że tu tkwi niebezpieczeństwo? Jeśli to jest zaraźliwe...

Fenton chciał pociągnąć temat dalej, wyjaśnić wszelkie wątpliwości, które Sally mogłaby mieć, ale zamiast tego zmienił temat na bardziej bezpieczny:

–Rozmawiałem o tobie z wujem Stanem, kiedy byłem w górach. Bardzo chce cię poznać. To niesamowicie sympatyczny starszy pan, ma około siedemdziesiątki i ciągle jeszcze zabiera młodzież na wycieczki w góry, sam rąbie drzewo, hoduje stado kóz, sam robi ser i sprzedaje do sklepiku ze zdrową żywnością. Powiedział, że pasujesz do mnie. Oczywiście na tyle, na ile mógł wywnioskować z moich opowieści. Prosił, żeby cię przywieźć, chciałby pogadać. Pojedziesz?

–Bardzo bym chciała – odparła Sally z uśmiechem. – To, co mówisz, brzmi wspaniale. Teraz już nie ma tylu świetnych starych ludzi jak wtedy, kiedy byliśmy dziećmi. A co powiedział na to, że jestem psychologiem? Może jest już tak stary, że sens życia kobiety łączy jedynie z prowadzeniem domu?

Fenton roześmiał się.

–Nie wiem. Nie uznałem za konieczne pytać go o radę, jeśli o to chodzi. Ale możesz zapytać go sama, jeśli uważasz, że to ma znaczenie.

Potrząsnęła głową.

–Niewielkie. Myślę, że po prostu chciałam się dowiedzieć, czy tylko ja mam rodzinę z epoki kamienia łupanego. Mówiłeś o swoim wujku Stanie w tak sympatyczny sposób, że aż przez chwilę byłam zazdrosna. Moi krewni, nie przesadzam, Cam, są trochę jak z powieści gotyckiej. To znaczy w jej amerykańskiej odmianie. Mój pierwszy mąż oczywiście ich uwielbiał, tak, uwielbiał ich.

Zawsze kiedy mówiła o swoim małżeństwie, wyraz jej twarzy zmieniał się, stawał się obcy, gorzki. Fenton odnotował, gdzieś w odległym zakątku mózgu, że Sally użyła zwrotu „pierwszy mąż”. Oznaczało to, że w głębi jej duszy zaczynał powoli rysować się obraz „drugiego”. Fenton poczuł ogarniającą go czułość. Pomysł małżeństwa nigdy nie poruszał zbytnio jego wyobraźni, ale

wizja życia dzielonego z Sally podobała mu się coraz bardziej.

Przyszło mu do głowy coś jeszcze.

–Sally, to mógłby być ten niezależny świadek, o jakiego ci chodziło. Twierdzisz, że wszystkie fakty, które wymieniam jako obiektywne, są tak naprawdę subiektywne. Zwykle coś zdarza się wtedy, gdy nie ma wokół świadków. Właśnie wuj Stan widział żelazom, który porwał mu siekierę.

–Naprawdę go widział? Czy widział go wystarczająco wyraźnie, aby zeznawać pod przysięgą? Nie jest to niezbity dowód, wystarczy spojrzeć na tych, którzy twierdzą, że widzieli zielone ludziki. Czy widział go wyraźnie? Serce Fentona zamarła.

–Widział jego ślady na drodze, którą umknął z siekierą.

–To niedobrze. – Sally zmarszczyła brwi. – Ile lat ma wuj Stan? Czy miał kłopoty ze wzrokiem? Czy miał jakąś wadę wzroku, łagodną afazję, może zmiany poudarowe?...

–Nie ma starczego uwiądu, jeśli o to pytasz – odrzekł gniewnie Fenton. – Sama się o tym przekonasz, gdy porozmawiasz z nim osobiście.

–Ale jeszcze z nim nie rozmawiałam. Słuchaj, Cam, może zostawilibyśmy to tak jak jest, dobrze? Ta rozmowa prowadzi nas donikąd. Nie chcę znowu się kłócić. Jak spotkasz się z psychoterapeutą...

–Znów uciekasz od tematu? Sally, na miłość boską, czy naprawdę uważasz, że potrzebuję lekarza od czubków?

–Obrażasz mnie używając tego określenia – odpowiedziała lodowatym tonem. – Nie widzę powodu, dlaczego zdrowy, zrównoważony człowiek nie miałby rozmawiać z dobrym terapeutą. A może się obawiasz, że racjonalne pytania zagrażą strukturze twojej fantastycznej historii.

–Do diabła, Sally! – wybuchnął tak głośno, że para studentów siedzących przy sąsiednim stoliku odwróciła się w ich stronę. – Mam już tego dość! Za każdym razem, kiedy nie chcesz stanąć twarzą w twarz z problemami, o których mówię, uciekasz się do żargonu psychoterapeutycznego! Czy nie uważasz, że możesz się mylić? – Zadał sobie to samo pytanie! – warknęła.

–Czy pojedziesz spotkać się z wujem Stanem? Twarz Sally złagodniała na chwilę.

–Oczywiście, że pojedę, Cam. Po pierwsze dlatego, że jest twoim wujem, po drugie dlatego że to, co o nim opowiadasz, daje podstawy, aby twierdzić, że jest wspaniałym, starszym człowiekiem. Bardzo chciałabym go poznać.

–Przyjadę po ciebie w piątek rano i będziemy mieli cały weekend dla siebie.

–Świetny pomysł – powiedziała uśmiechnięta. Ale proszę cię o jedno. Nie próbuj zdręzczać wuja, żeby potwierdzał jakieś dziwne historie, które wymyśliłeś, by poprzeć swoje fantazje.

Wpatrywał się w nią przez chwilę zły i poruszony. – Z tego co mówisz, jasno wynika, bym nie zaprzętał ci głowy faktami, bo masz już wyrobione zdanie.

–Z tego co ty mówisz, wynika przesłanie, że mam cię kochać ze wszystkimi twoimi złudzeniami. Jeśli kiedykolwiek będziesz w stanie przedstawić mi jakieś fakty, chętnie ich wysłucham!

Odsunął gwałtownie krzesło od stołu, mimo że próbował zapanować nad odruchami.

–W porządku – odparł wolno – zabiorę cię w piątek rano.

Odszedł od stolika; nie odwrócił się. Wiedział, że gdyby został tam minutę dłużej, uderzyłby Sally. Zostawił pieniądze przy kasie i zatrzasnął za sobą drzwi restauracji.

ROZDZIAŁ 13

Pralnia chemiczna ciągle była w tym samym miejscu, jakby naśmiewała się z niego. Pomyślał w złości: Gdybym miał talizman od Irielle... a wspomnienie to dodatkowo go rozwścieczyło. Talizman był jego własnością, jakim więc prawem Garnock zatrzymał go sobie? Stał wlepiając wzrok w ponurą, białą frontową ścianę pralni, jakby zamierzał ją przemienić siłą woli w mały antykwariat, co do którego był przeświadczony, że jest Domem na Rozstajach, i który przeniósłby go w inny wymiar bez zażywania antarilu. Garnock odciął mu jakikolwiek dostęp do krainy Alfarów, najpierw przez wykluczenie z projektu, następnie przez zabranie talizmanu Irielle...

Garnock myśli, że kim niby jest?

Szalone plany kipiały mu w głowie, żaden z nich nie był jednak sensowny. Fenton mógł zostać tutaj i obserwować drzwi, aż zmienią się w drzwi antykwariatu. Przypominało to oczekiwanie na zagotowanie się wody w czajniku. Jeśliby się temu przyglądać, można było odnieść wrażenie, że woda nigdy się nie zagotuje. A czy Dom na Rozstajach – podobnie obserwowany – nigdy nie zmieni swego kształtu? Może zmienia się tylko wtedy, gdy nikt mu się nie przygląda? Fenton mógłby tu jednak stać i czekać, aż pojawi się Pentarn. Jeśli chodzi o żelazory, był przekonany, że nie wpuszczono by do Domu żadnego z nich. A może by i wpuszczono? Jakie zasady właściwie obowiązywały tych, którzy mogli i nie mogli tam wchodzić? Próbował przecież wślizgnąć się za Pentarnem i w tej samej chwili Dom na Rozstajach zniknął, a na jego miejscu znów pojawiła się zwyczajna pralnia chemiczna. A może wewnątrz tylko wyglądało jak pralnia? Może za jakąś dziwną, przestrzenną zasłoną, której nie mógł przejrzeć, znajdował się Dom na Rozstajach razem z pralnią? Niemożliwe. Sally mówiła, że zanosí tam pranie. Oba wewnątrz musiały być zatem w jakiś sposób rzeczywiste i tylko się zmieniały, jedno zajmowało miejsce drugiego. Gdzie więc znajdował się Dom na Rozstajach, kiedy na Telegraph Avenue była pralnia? Czy w ogóle wtedy istniał gdziekolwiek, czy ukrywał się w jakimś innym wymiarze? Może był po drugiej stronie świata, w dziwnym „przebraniu” najnormalniejszego punktu usługowego i unosił się w przestrzeni tak jak między wymiarami? Mógłby się na przykład przebrać za kwiaciarnię, stoisko na jakimś bazarze, ukryć za sklepem z pamiątkami w British Museum? A może funkcjonował jako fotoplastykon? Czym był tak naprawdę i gdzie pojawi się teraz? A co z tą małą księgarnią w San Francisco, której Fenton nie mógł znaleźć, kiedy chciał? Poczł, że głowa zaczyna mu pękać z bólu. Sally nie wierzyła w istnienie Domu na Rozstajach. Diabli by wzięli tę babę, co go to obchodzi?

Właśnie że obchodzi. Wiedział, że Sally jest teraz bardzo samotna i czuł pustkę podobną do tej, jaką odczuwał, gdy Garnock wycofał go z eksperymentu i gdy zdał sobie sprawę, że świat Alfarów jest już dla niego niedostępny.

Na zawsze... Nie. Nigdy się z tym nie pogodzę, rozmyślał wściekły. Irielle, dziecko dwóch światów, była zagubiona podobnie jak on. Kerridis... Kerridis już na zawsze nieosiągalna. Przyjaciele, których tam miał: Findhal – mimo nieprzejednanej ostrożności był jego przyjacielem... Musi istnieć jakaś droga. Znajdzie ją, nawet gdyby miał tu czekać cały dzień i całą noc, aż Dom na Rozstajach znowu się pojawi.

Ale czy zdoła się przedostać na drugą stronę bez talizmanu Irielle?

No cóż, skrzywił się, jeśli zawiodą wszystkie sposoby, będę mógł się zawsze włamać do gabinetu Garnocka i ukraść talizman. Jak Garnock mógł go nazywać zwykłym kamieniem? Wystarczyło odłamać kawałek granitu na dziedzińcu uniwersytetu i zanieść mu, a nie zauważyłby różnicy!

Sterczenie na ulicy i posępne wlepianie wzroku w drzwi pralni nie przyniesie chyba żadnych rezultatów. Jeśli rzeczywiście chciałby tu siedzieć dzień i noc, aż Dom na Rozstajach znów się pojawi, glinom mogłoby się to nie spodobać. W Berkeley ciągle obowiązywało prawo karzące za włóczęgostwo. Nie było wprawdzie ściśle egzekwowane, ale istniało. Jeśli spróbowałby wysiedzieć tu na chodniku przez czterdzieści osiem godzin bez przerwy, okazałoby się, że jednak służby strzegące porządku istnieją i pracują. Tak czy inaczej, pomysł siedzenia dwa lub trzy dni jest chyba nie do końca wykonalny... pomyślał o sobie ironicznie pierwszy raz, odkąd wyszedł z restauracji i trzasnął drzwiami. Wytrzymałby pewnie bez jedzenia, gdyby musiał, ale przecież nie uniknąłby wyskoczenia na chwilę do greckiej restauracji po szklankę wody, aby ugasić pragnienie. Ponadto wcześniej czy później trzeba by się umyć, a w ten sposób szanse malały. Dom na Rozstajach mógł się pojawić na chwilę i zniknąć, podczas gdy on siedziałby w toalecie.

Oparł się plecami o ścianę i rozważał możliwe warianty działania.

Mógł wrócić do restauracji, pogodzić się z Sally, wziąć ją w góry Siewa, żeby w końcu pogadała z wujem Stanem. Właśnie teraz otwarte, górskie przestrzenie dobrze by mu zrobiły. Może tam łatwiej byłoby ją przekonać. Mógł wrócić do mieszkania Amy Brittman, wdrzeć się siłą i przekazać przez nią wiadomość dla Pentarna. Pentarn proponował mu przecież umożliwienie swobodnych podróży przez Bramy w tę i z powrotem. Pewnie zdołałby powstrzymać nieczne zamiary Pentarna wobec Alfarów i przestrzec ich na czas.

Nie. To już byłoby wyjście ostateczne. Pentarn wydawał się wystarczająco przychylny dla Fentona, ale nie należało mu zbytnio ufać.

Cam mógł wtargnąć do laboratorium Garnocka i zażądać zwrotu talizmanu, który doktor upręcie nazywał aportem.

Robiło się późno, zmierzchało. Fenton dygotał z zimna. Jakaś młoda para, która

właśnie wyszła z piwnicy Larry'ego Blake'a, przyglądała się podejrzliwie włóczęgom. Fenton zdał sobie sprawę, że w ich odczuciu z pewnością jest jednym z nich.

Chwilę później zauważył mężczyznę zmierzającego w jego stronę. Miał długie włosy zaplecione w indiański warkoczek, a jego chude policzki były pokryte tatuażami. Zbliżywszy się do Fentona mruknął pod nosem:

–Czego pragniesz, przyjacielu, czym ci dogodzić? Trawka z Kuby? Czyściutka, nie ma lepszej, gwarantuję.

Fenton odruchowo zaprzeczył kiwnięciem głowy. – Nie używam przyjacielu, przykro mi.

–Nie wpycham niczego rzeczywiście ostrego, ale mógłbym cię skojarzyć z człowiekiem od kwasu...

–Przykro mi, zupełnie nie moja działka. – Fenton uzmysłowił sobie, że nie uwolni się od handlarza, jeśli natychmiast się stąd nie wyniesie. Przebywanie dłuższy czas w jednym miejscu było zwyczajowo znakiem dla handlarzy, że jest się zainteresowanym zakupem. Fenton był ostatnią osobą, która odczuwałaby potrzebę artykułowania sądów moralnych wobec handlarzy narkotyków. Kwaśno zauważył, że jego reakcja na odcięcie go od eksperymentu przez Garnocka dość jednoznacznie przypomina zachowanie narkomana odciętego od narkotyków.

Szybkim krokiem zmierzał w stronę swego mieszkania. Nie myślał nawet o telefonie do Sally, bo założył, że w stanie, w jakim się ona znajduje, nie jest zdolna do odbierania telefonów. Zdecydował się dać jej czas na uspokojenie do rana. Zrobiło się już późno. Wizyty w miejscu zamieszkania Amy Brittman nie było co rozważać. Gdyby nawet próbował na siłę wedrzeć się do Amy, istniało poważne ryzyko, że ktoś wezwałby policję. Chciał jedynie przez chwilę z nią porozmawiać, ale wiedział, że za dnia będzie miał o wiele większe szanse przekonania jej co do celowości tej rozmowy. Zakładając naturalnie, że Amy nie będzie się wtedy znajdowała w innym wymiarze, u boku Pentarna, szczęśliwa w swej roli adorującej pochlebczyni i kobiety Wielkiego Wodza. Być może była tam nawet w tej chwili. Cholerny Garnock. Jak mógł go pozbawić talizmanu, darowanego mu osobiście przez Irielle? Gdyby tylko miał swój talizman, nie musiałby wyczekiwać pojawienia się Domu na Rozstajach Światów, miałby go wtedy na każde zawołanie...

Dwukrotnie przemaszerował Telegraph Avenue na całej jej długości. Handlarze miękkich narkotyków co chwila nagabywali go oferując najprzeróżniejsze specyfiki. Fenton wciąż odmawiał, chociaż ostatni z handlarzy, z trzema kolczykami w każdym uchu, przypomniał mu ogolonego hipisa, od którego kupił antaril.

Mieszkanie Fentona było zimne i puste. Wyciągnął schowaną kopertę i przez chwilę

rozmyślał wbijając wzrok w małe niebieskie pigułki.

Coraz bardziej odczuwał ogarniającą go nieprzepracowaną pokusę. Wiedział teraz, że bez względu na konsekwencje zażycia narkotyku w najmniejszym stopniu nie wpłynie to na przebieg eksperymentu, jako że jest z niego i tak wyłączony. Połknięcie jednej z tych tabletek oznaczało, że będzie mógł stąd wyjść i przejść przez ścianę, udać się do świata Irielle i wyjaśnić jej wszystko. Irielle była rozsądną kobietą, a nie nienawidzącą mężczyzn paranoiczką, taką jak Sally.

To stwierdzenie sparaliżowało go. Sally oskarżała go dokładnie o to samo, o to, że pragnął kobiety z sennych marzeń, dlatego, iż kobieta prawdziwa była zbyt wielkim wyzwaniem dla niego. Czy nie potwierdzał więc zarzutu Sally pragnąc uciec od niej w ramiona Irielle? Ogarnęło go zwątpienie w samego siebie.

A może Garnock również miał rację, że używałem antarilu, by uciec do świata przyjemniejszego od tego, w którym dane mi jest żyć? zastanawiał się.

Mógł się tak kręcić w kółko w mentalnej pułapce. Był przecież przekonany co do realności istnienia świata Alfarów i świata Pentarna. Podobnie prawdziwe wydawały mu się żelazory, wystarczająco prawdziwe na to, żeby ukraść masywną siekierę. Wolał się nie zastanawiać nad tym, do czego będą próbowały jej używać. Jeśli mogły ćwiartować żywcem konie i pożerać je na miejscu, dlaczego nie miałyby robić tego samego z ludźmi.

A jeśli żelazory bez większych problemów przemieszczają się między światami...

Wydawało się, że Pentarn z racjonalnego powodu żywi niechęć wobec Alfarów, ale szczucie ich spuszczonej ze smyczy żelazorami było chwytem poniżej pasa. Bez przesady należało się obawiać, że jeśli raz pozwoli na zlewanie się światów, wkrótce nie będzie w stanie zapanować nad konsekwencjami takiego kroku.

Muszę się dostać do Alfarów, żeby ich przestrzec, uznał Fenton. Oni wiedzą, co Pentarn robi, ale nie wiedzą dlaczego.

Siedząc przy biurku wpatrzony w niebieską pigułkę spoczywającą na blacie wiedział również doskonale, że Pentarn nie jest czarnym charakterem z bajek braci Grimm, czyniącym zło dla samego zła. Pentarn miał urazę do Alfarów, a ci bynajmniej nie zachowywali się najrozsądniej. Pentarn był święcie przekonany, że trzymali jego syna w niewoli za pomocą magicznych zaklęć i czarów. Gdyby tak udało im się przekonać go, że chłopak nie chce wrócić do nich z własnej, nieprzymuszonej woli, może dałoby się rozwiązać kwestię polubownie. Po chwili jednak Fenton uświadomił sobie, że byłoby to jeszcze gorsze. Miłość własna Pentarna zostałaby śmiertelnie ugodzona.

Powinienem przyjąć ofertę Pentarna i spróbować mediacji pomiędzy skłóconymi światami... pomyślał Fenton. Zaśmiał się kwaśno w duchu na myśl o naiwności

takiego zamiaru. Całą sprawę traktował jak literacką historię, jak bajkową opowieść, do której należałoby dopisać szczęśliwe zakończenie. Samego siebie rysował oczywiście w roli bohatera niosącego pokój skłóconym światom. Wspaniałe zadanie do wypełnienia, założywszy, że byłoby w ogóle możliwe do zrealizowania. Zdawał sobie jednak przy tym sprawę, że do herosów nie należy.

Jedyną sensowną rzeczą, jaką mógł w tej chwili zrobić, było ponowne przedostanie się do świata Alfarów i pogodzenie się z Findhalem, który był chyba kimś w rodzaju ich przywódcy. Możliwe, że Kerridis potrafiłaby dopomóc w tej sprawie.

Podjąwszy decyzję, Fenton zastanawiał się nad szczegółowym planem działania. Czy mógł zabrać cokolwiek ze sobą? Najprawdopodobniej nie, z może wyjątkiem talizmanu, którego i tak w tej chwili nie miał.

Pozbawiony ciała mógł przechodzić przez ściany, i artefakty tej rzeczywistości nie stanowiły dla niego przeszkody; wydawało się, że jedynie talizman był materialny we wszystkich światach. Czy Fenton nie mógłby więc włamać się do laboratorium Garnocka jako Cień, by wyciągnąć z gabloty swój kamień? To winno się stać nadrzędnym punktem jego planu, potem mógłby przejść od razu do Domu na Rozstajach.

Podnosząc pigułkę do ust uświadomił sobie fakt, który go przeraził. Wiedział z doświadczenia – po trzech sesjach pod wpływem antarilu – że świat wokół niego bardzo szybko rozplywa się i niepostrzeżenie przechodzi w wymiar leśnego świata Alfarów. Jak w takiej sytuacji miał zlokalizować laboratorium Garnocka i swój talizman? Z fizycznego punktu widzenia był oddalony od terenów kampusu o jakieś dziesięć przecznic, nie miał więc najmniejszych szans, by dotrzeć na miejsce przed przejściem do świata Alfarów, gdzie krajobrazy zmieniały się nieprzewidywalnie.

Mógłby temu zapobiec, gdyby zażył pigułkę tuż przed wejściem do laboratorium Garnocka. Co jednak by się wtedy stało z jego ciałem? Jego astral opuściłby je przecież i zostawił leżące na schodach instytutu. Gdyby znaleziono Fentona leżącego w stanie, który by zgodnie uznano za zamroczenie narkotyczne i odwieziono powtórnie do Kliniki Cowella, obudziłby się na łóżku opatrzonym informacją „nieautoryzowane użycie środka halucynogennego”. Nie wpłynęłoby to pozytywne na opinię o nim i potwierdziło dotychczasową ocenę jego osoby w oczach Garnocka, która ostatnio była już wystarczająco niska.

Podróż poza własne ciało, myślał, z pewnością ma swoje ograniczenia. To samo mogłoby się wydarzyć, gdyby poszedł za swym pierwotnym impulsem, który mu dyktował połknięcie antarilu pod drzwiami Domu na Rozstajach.

Widok naćpanego, nieprzytomnego hipisa leżącego na Telegraph Avenue nie byłby tam dla nikogo nadmierną sensacją. Gdyby tylko znalazł jakąś zaciszną, rzadko

uczęszczaną klatkę schodową, gdzie mógłby się rozłożyć, zażyć antaril i przeniknąć przez Dom...

Nie potrafił jednak pogodzić się z myślą, że Cameron Fenton, ostatnio etatowy pracownik naukowy instytutu parapsychologii, miałby leżeć w nieprzytomnym, narkotycznym widzie pośród nawalonych, zdegenerowanych ćpunów. Wolał nie uzmysławiać sobie możliwych konsekwencji odholowania do szpitala czy, co gorsza, do izby wytrzeźwień. Z pewnością pozostałoby to ciemną plamą w jego karierze, raczej ciężką do wywabienia.

Fenton zerknął spode łba na leżącą przed nim tabletkę. Sprawa okazała się jednak trudniejsza, niż można się było spodziewać.

W rzeczywistości w grę wchodziło tylko jedno miejsce, gdzie mógłby czuć się bezpiecznie, poza zamkniętym w tej chwili dla niego laboratorium Garnocka: jego własne mieszkanie, w którym się obecnie znajdował. Tym razem był jednak pozbawiony nadzoru medycznego profesora i reszty zespołu. Mógł jedynie liczyć na to, że wróci do swego ciała na czas, przed zatrzymaniem się procesów życiowych.

Czy nie było nikogo, kto popilnowałby ciało Fentona pod nieobecność jego eksperymentującej duchowej części? Jediną osobą, na którą Cam mógłby liczyć w tej sprawie, był wuj Stan przebywający w górach Siewa. Lecz tam Fenton nie znał żadnych znaków terenu wspólnych dla obu światów. Tutaj kojarzył przynajmniej otoczenie pałacu Kerridis, gaj eukaliptusowy, który był miejscem przecięcia się dwóch wymiarów, a także inne wspólne, zlokalizowane punkty w obu wymiarach. Musiał więc dokonać tego tutaj i wiedział, że musi być sam.

Mógł się teraz ubrać wygodnie. Zdjął wszystko, co miał na sobie, założył szlafrok, wyciągnął się na sofie i uważnie spojrział na tabletkę w kształcie kwadratu. Nie wiedział, jak silną dawkę podał mu Garnock, nie miał też sposobu, żeby porównać ją z tabletkami. Najlepiej byłoby zapytać Garnocka, ale należało przypuszczać, że nie uzyskałby uprzejmej odpowiedzi. Czy powinien wziąć jedną czy dwie, a może wszystkie cztery pastylki?

Co się stanie, jeśli przedawkuje? Czy przedawkowanie spowoduje jakieś silne efekty?

Łatwiej byłoby sobie poradzić ze skutkami zbyt małej dawki niż przedawkowania. Zacznie od jednej tabletki. Jeśli nie zadziała tak, jak się tego spodziewa, będzie eksperymentował dalej kiedy indziej. Tym razem chciał się czuć bezpiecznie.

Musiał zdać sobie sprawę, że nie wie, jak zadziała środek podany doustnie i czy to na pewno jest antaril. Ogolony hipis mógł sprzedać mu cokolwiek od LSD do czystej dekstrozy pomalowanej na niebiesko.

Tak czy inaczej nie było wyjścia, jak tylko spróbować szansy. Jeśli sprzedano mu dekstrozę, po przedawkowaniu nie stanie się zupełnie nic. Jeśli zaś było to LSD, najgorsze, czego mógłby się spodziewać to indywidualnie skrojonego programu „światło i dźwięk”, ewentualnie kilkudziesięciu godzin wyrzuconych z życia. Istniało oczywiście ryzyko, że na haju wsiądzie w samochód i zacznie szaleć, ale tego się po sobie raczej nie spodziewał.

Jeżeli to coś naprawdę ryzykownego, jak datura, liść bielunia... no cóż, mógł tylko mieć nadzieję, że rozpozna symptomy w odpowiednim czasie i pozbędzie się środka z organizmu. Metedryna nie zabiłaby go, ale nie wiedział, jak przebiegałyby reakcje mataboliczne. W zależności od dawki mógłby spędzić następne trzy dni bez snu, łażąc po ścianach lub paplając bezmyślnie przez kilka godzin.

To się nazywa odwlekanie, upomniął smętnie sam siebie. Masz niezłego stracha. Nie przejmował się tym, że zwleka. W końcu ostatnim razem ledwo uszedł z życiem. Wspomnienie obrazu własnego ciała podłączonego do kroplówki i przywiązanego do szpitalnego łóżka w Klinice Cowella przerażało go.

Wstał z sofy, wziął kartkę i długopis, usiadł przy biurku. Starannie zanotował datę i próbował przywołać naukowy dystans do sprawy. Po chwili namysłu napisał: „Rozpoczynam eksperyment ze środkiem farmakologicznym”, nawet w myślach uciekał od słowa „narkotyk”, „którym – mam nadzieję – jest antaril. Jeśli ktoś znajdzie mnie nieprzytomnego, bez rozpoznawalnych oznak zatrucia”, każdy, nawet nie specjalizujący się w toksykologii lekarz, od razu rozpozna oznaki zatrucia liściem bielunia, „konieczne może się okazać podawanie roztworu soli i wzmacnianie glukozą do czasu, aż odzyskam przytomność, w celu uchronienia przed odwodnieniem.”

Informacja ta powinna go chronić w prawie każdych okolicznościach.

Zawahał się; ciągle trzymał pióro w dłoni, a potem wziął następną kartkę papieru. Zanim dobrze się namyślił, już pisał:

„Kochana Sally, proszę, uwierz mi, że robię tylko to, co muszę. Nie martw się o mnie...”

Z niedowierzaniem gapił się przez chwilę na kartkę, nachmurzył się i podarł ją na maleńkie kawałki. Zmiotł je i wrzucił do kosza. Następną notatkę umieścił tak, żeby każdy, kto wejdzie do mieszkania, od razu ją zauważył. Włożył do ust niebieską tabletkę i popił szklanką wody.

Zastanawiał się posępnie: Za mało? Przedawkowałem? A może w ogóle nic się nie stanie?

Odpowiedź na jedno z pytań dostał natychmiast. Ogarnęła go fala silnych zawrotów głowy. Z wysiłkiem zrobił parę kroków, wyciągnął rękę i opadł na kanapę. Nie była to

więc dekstroza ani żaden nieszkodliwy lek jak aspiryna albo cukier mlekowy. To było coś... coś bardzo silnego. Tak szybko nie działało nawet najczystsze LSD ani żaden aktywny psychicznie narkotyk, z jakim Fenton dotychczas się spotkał. Szybko ogarnął sytuację, wyprostował ciało, i zdał sobie sprawę, że jest ono pod nim i że tylko jego połowa leży na kanapie, a reszta zwisa bezwładnie nad podłogą. Popęłnił poważny błąd. Przed zażyciem tabletki powinien przybrać wygodną pozycję. Któż jednak mógł się spodziewać, że zakupiony środek zadziała szybciej niż dożylna dawka podawana przez Garnocka? Pamiętał, że poprzednim razem po zaaplikowaniu leku mógł jeszcze przez kilka chwil mówić. Próbował więc wrócić do ciała i zmienić jego pozycję na wygodniejszą, lecz kończyły uparcie odmawiały mu posłuszeństwa. Tak czy inaczej, niewiele mógł już na to poradzić, ale przynajmniej wiedział na pewno jedno – był pod wpływem antarilu. I – sądząc po wrażeniach – po wystarczająco dużej dawce.

Spojrzał na ściany, które wciąż wydawały mu się materialne. Jeżeli zostanie w fizycznym wymiarze Berkeley wystarczająco długo, będzie mógł dotrzeć do laboratorium Garnocka albo przynajmniej do antykwariatu kryjącego Dom na Rozstajach. Uprzytomnił sobie, że im wcześniej wyjdzie z domu, tym lepiej.

Podszedł do ściany, wyciągnął rękę na próbę, po czym przeszedł na drugą stronę. Już po chwili wszystkie przedmioty wykonane przez człowieka, które znajdowały się wokół, zaczęły zanikać. Z szybkością myśli sam się zastanawiał, jaka to prędkość – pospieszył wzdłuż Telegraph Avenue. Wydawało mu się, że biegnie bardzo szybko, ubrany w zwykły, codzienny strój. Zmierzał po talizman do gabinetu Garnocka...

Ulice wokół Fentona bardzo powoli zaczynały się rozplýwać. Ale jeszcze na odcinku dwóch następnych mógł oglądać samochody, sklepy, fasady domów. Zastanawiał się nawet, co by się stało, gdyby wstąpił do najbliższego sklepu. Nic, nie dostrzegliby mnie, skonkludował. Jeżeli informacja o możliwościach, jakie daje antaril, rozpowszechni się, rozmyślał, będzie on bardzo popularny wśród kieszonkowców i wszelkich innych złodziei. Wystarczy tylko przeniknąć przez kieszeń lub przejść przez ścianę. Z drugiej jednak strony, złodziej nie będzie w stanie wynieść niczego materialnego; będzie raczej przypominał samego Fentona mocującego się absurdalnie z żelaznymi kratami, za którymi była ukryta Irielle – absurdalnie, bo jego ręce zamiast napotykać na opór, przenikały przez nie.

Antaril mógł jednak być używany w celu rozpoznawania miejsca przed skokiem dokonanym już później przez niebezpiecznych złodziei. Podglądacze i zboczeńcy wszelkiej maści otrzymaliby szansę podglądania rozbierających się kobiet czy kogokolwiek bądź czegokolwiek innego leżącego w zakresie ich zainteresowań. Fenton zwrócił uwagę, że jego umysł zaczął nieco zbyt intensywnie pracować na częstotliwościach przestępczych, w związku z czym dał sobie spokój i wrócił do aktualnie nurtujących go kwestii.

Jeżeli talizman jest realny w każdej rzeczywistości, również w tej, to czy okaże się, że wisi w powietrzu w miejscu swojej specjalnej przegródki? Ta myśl zaniepokoiła go, sam nie wiedział dlaczego. Vrillove miecze wydawały się realne w każdej rzeczywistości, a przecież nigdy nie widział takiego w swoim świecie. Może były rzeczywiste tylko w jednym świecie w danym momencie? Tak właśnie musiało być. A jeżeli tak, to przeniknąwszy do świata Alfarów, nie mógłby się dostać do gabinetu Garnocka. Już ledwo widział samochody jadące ulicą, pozostawały za nim cienie domów, sklepów i ulic, wyłaniające się z mgły jak duchy. Pod stopami zamiast kamiennych płytek miał sypki piaszczysty grunt. Powoli zaczął dostrzegać majaczące cienie nie znanych mu drzew i zarośli.

Cóż, jeśli znalazł się w świecie Alfarów, Dom na Rozstajach powinien się gdzieś tutaj znajdować... pomimo że Fenton ciągle pamiętał słowa Irielle, kiedy mówiła, że on nie chce być odnaleziony. Zaczął się zastanawiać, jak mógłby wyglądać Dom na Rozstajach w tej rzeczywistości, gdyby był w stanie go odnaleźć. Czy chociaż rozpoznałby go w momencie odnalezienia? Być może Dom ukrywałby się pod postacią jednego z tysięcy drzew. I czy w ogóle istniał pierwotny, nie zmodyfikowany obraz Domu na Rozstajach? Czy Dom przypominał świątynię, czy raczej wielkie centrum komputerowe? A może był jakąś przedziwną kombinacją jednego i drugiego? Jeżeli pałac królowej Alfarów, Kerridis, wyglądał jak cień bajkowej katedry zbudowanej z rosnących drzew, czy można w ogóle próbować wyobrazić sobie pierwotny wygląd Domu na Rozstajach?

Jaka szkoda, że nie mam Irielle za przewodnika, myślał niepokieszony Fenton. Nigdy nie znajdę właściwej drogi, jeśli mnie ktoś nie poprowadzi.

Z całą pewnością nie był już w Berkeley. W miejscu, gdzie się znalazł, nie potrafił zlokalizować żadnego

znaku w terenie, który pamiętał z krainy Alfarów. Pod stopami chrzęściła mu piaszczysta ziemia, miejscami porośnięta kępkami trawy; wokół było dziwnie, głucho; blask poświaty jaśniał coraz bardziej. Z pewnością nie mogło jeszcze świtać, bo kiedy Fenton opuszczał swój świat, dochodziła dziesiąta wieczór. Nasilające się, męczące wzrok światło o barwie szafranu w niczym nie przypominało bladej światłości krainy Alfarów.

Fenton rozglądał się w poszukiwaniu konkretnych punktów orientacyjnych. Oczywiście, niewiele było znaków w terenie, które pamiętałby ze świata Alfarów, może z wyjątkiem białych, pierzastych drzew stanowiących odpowiednik gaju eukaliptusowego na kampusie w Berkeley oraz wrót jaskini, do której żelazory wciągnęły Kerridis. Zakładał, że w swoim świecie przebywał w odległości około dziesięciu przecznic od kompleksu uniwersyteckiego. W nieznanej mu wystarczająco dobrze rzeczywistości Alfarów nie był nawet w stanie ocenić, jaka odległość dzieli go od gaju ani od grot wulkanicznych. Nie musiał się jednak nad tym

zastanawiać, ponieważ krajobraz dokoła wyglądał zupełnie inaczej. Mogło się wydawać, że wylądował w zupełnie innym wymiarze.

Z drugiej natomiast strony pamiętał, że Irielle przekonywała go, jak nudne musiałyby być życie wśród nie zmieniających się krajobrazów. Może i tym razem im się znudziło i postanowili wprowadzić poważniejsze zmiany, o jakich przecież nie mógł wiedzieć. Uparcie podążał w kierunku, który wydawał mu się północnym, w nadziei, że tak dojdzie do gaju eukaliptusowego, jakkolwiek miał świadomość, że równie dobrze mógł niepostrzeżenie znaleźć się na terenie grot wulkanicznych, gdzie łatwo było się napatoczyć na żelazory.

Te właśnie grotty kojarzyły mu się z wrażeniem niebezpiecznego nakładania się wymiarów rzeczywistości świata żelazorów i krainy Alfarów. Możliwe, że to sprawka Pentarna, przynajmniej tak rozumowała Kerridis. Było oczywiste, że Pentarn wiedział wszystko na temat zazębiana się wymiarów, Bram pomiędzy światami, do których, jak się zdawało, miał wszystkie klucze.

Jeśli jestem jego analogiem, powinienem chyba również posiadać jego umiejętności. Fenton zaśmiał się w duchu z tego skojarzenia. W swoim świecie w najmniejszym stopniu nie przypominał Wielkiego Wodza. Jeśli Pentarnowi byłoby dane mieszkać w Berkeley, zostałby gubernatorem Kalifornii – albo co najmniej rektorem uniwersytetu – nim ktokolwiek zdążyłby się zorientować.

Fentonowi nie wydało się to wcale zabawne. Myśl ta powiedziała mu coś o jego uczuciach, których nie był dotąd świadom, a to, co zauważył, zupełnie mu się nie podobało.

Klnąc w duchu, nerwowo rozglądał się szukając jakichkolwiek drzew. Jedynym stałym motywem przewijającym się podczas wszystkich trzech wizyt w krainie Alfarów były drzewa monstrualnych rozmiarów otaczające go ze wszystkich stron; sekwoje przy nich wyglądały jak mirabelki. Na obraz terenu, który teraz Fenton miał przed oczami, składała się wyłącznie czerwona piaszczysta ziemia nakrapiana tu i ówdzie rachitycznymi kępami niskich krzewów. Z drugiej strony Cam doskonale zdawał sobie sprawę, że wyciąganie wniosków na temat charakteru możliwych zmian terenowych w krainie Alfarów na podstawie trzech wizyt nie ma najmniejszego sensu. Plaża w Malibu w niczym nie przypominała gór Siewa, a jedno i drugie znajdowało się w Kalifornii. Miejsce, w którym Fenton obecnie przebywał, z tymi dziwnie powykręcanymi krzakami ciernistymi i suchym piaskiem, przypominało półpustynię, natomiast świat Alfarów kojarzył mu się przede wszystkim

kim z zimnym klimatem. U Alfarów chodził okutany w zimową kurtkę, tu pot ciurkiem spływał mu po plecach.

Gdziekolwiek się w tej chwili znajdował, był niemal pewien, że jest to świat, w

którym nie ma Alfarów. Bomba, marzenie spełnione! Nie ma to jak się znaleźć w zupełnie nowym, nieznanym świecie.

Czemu tak się stało? Czyżby wpływ nadspodziewanej mocy kupionego od hipisa antarilu? Być może należało skoncentrować wysiłek woli na świecie, do którego zamierzało się przejść? Fenton nie znał odpowiedzi na powyższe pytania. Ten świat rządził się swoimi prawami, a Cam musiał zrobić wszystko, by poznać i zrozumieć je jak najszybciej. Trudno było mu stwierdzić, czy znalazł się w świecie Pentarna, bo wiedział o nim zbyt mało. Co do jednego miał pewność w stu procentach że jest tam, gdzie w tym momencie być nie powinien.

Grzęznąć w skrzypiącym pod stopami piachu wolno zmierzał w kierunku północnym. Wysoko ponad jego głową wschodził potężny, intensywnie świecący słoneczny krąg i powiększał się jeszcze z minuty na minutę. Na pewno nie było to słońce znane Fentonowi z jego świata ani ze świata Alfarów. Miał jednak nadzieję, że jeśli będzie podążał konsekwentnie na północ, dojdzie w końcu do punktu przecięcia się gaju eukaliptusowego w Berkeley z kępą pierzastych drzew u Alfarów. Iriclle mówiła, że to miejsce przecinania się wymiarów ich świata. Być może dojdzie w końcu do miejsca w tym świecie, które by było wspólne z tamtymi dwoma, choć zaczynał już mieć poważne wątpliwości. Pasowało ono jak ulał do opisu biblijnej Gehenny, która była rozpalonym miejscem na omiatanej gorącym wiatrem pustyni.

Nagle potknął się i runął na ziemię jak długi potłukł sobie wszystkie kości. Zaklął pod nosem i w tym momencie przypomniał mu się zamarzający kamień w krainie Alfarów, przez który o mało nie zdarł sobie skóry na goleni. Podparł się ramieniem, aby wstać i zauważył, że potknął się o krawędź niskiego muru, wystającego około czterdziestu centymetrów ponad ziemię.

Murku z pewnością nie wykonała ręka ludzka. Jedną z reguł najwyraźniej obowiązujących we wszystkich wymiarach było to, że jako Cień Fenton przenikał wszelkie przedmioty będące wytworem rąk ludzkich, z wyjątkiem oczywiście tych, które miały taką samą rolę do odegrania we wszystkich wymiarach, jak talizmany i przedmioty z vrillu. Zdezorientowany przyglądał się murkowi i zastanawiał, jak coś tak regularnego w kształtach może być wytworem natury. Murek biegł przez mało atrakcyjny pustynny teren pełen kolczastych krzewów tak daleko, jak Fenton sięgał wzrokiem. Był zupełnie prosty, absolutnie regularny, w przekroju o kształcie kwadratu. Fenton patrzył gniewnie na obiekt, w końcu wyciągnął rękę i dotknął kamiennej powierzchni rozgrzanej słońcem.

W naturze nie ma doskonale prostych linii. Bzdura, rzecz jasna. Przecież kryształ pęka w taki sposób, że daje dwie absolutnie gładkie powierzchnie. Dlatego właśnie jest kryształem. Elektrony w magnetycie lub magnesie naturalnym są ułożone w szeregu bardziej prostym niż linia pociągnięta przy linijce. Tu, w nieznanym świecie, murek wyglądał jak zbudowany ludzką ręką, ale kiedy Fenton obtarł nogę o jego

krawędź, zrozumiał, że jest to coś naturalnego.

Chyba że, co było możliwe, zasady rządzące tą rzeczywistością były zupełnie inne niż te, które znał z krainy Alfarów i z własnego świata.

Zastanawiał się, dlaczego nie zauważył murku, zanim się potknął. Mógłby przysiąc, że przed upadkiem nie widział żadnej linii prostej. Czyżby murek pojawił się przed nim nagle, jakby wyskoczył z nicości?

Fenton podniósł się i przyglądał wielkiej, pomarańczowej tarczy na niebie – nazwanie jej słońcem nie przyszłoby mu z łatwością – a jej ochrowe światło zaczynało go razić w oczy. Zakrył je dłońmi, ale mimo to ostre światło przenikało przez jego ręce. Blask był potworny i kojarzył się z piekłem. Tak, jestem w piekle. To chyba najlepsze skojarzenie, jakie przychodzi mi do głowy. Gdybym był człowiekiem religijnym, obawiałbym się, że to kara za branie narkotyków. Dobrze mi tak. Sally pewnie tak by myślała.

Ból stłuczonych goleni powoli ustępował i Fenton mógł się już swobodnie poruszać. W żaden sposób nie był w stanie zorientować się w terenie i określić kierunków geograficznych. Zastanawiał się, którądy iść na północ i w którą stronę podążał dotychczas. Wokół, w straszliwym blasku hutniczego pieca, nie rysował się żaden konkretny kształt. Fentona otaczał monotony, półpustynny teren, tysiące akrów niskiej, kłującej trawy. Cam stał obok sprawiającego nieprzyjemne wrażenie skalnego murku, ciągnącego się absurdalnie znikąd donikąd. Murek był za niski, by rzucać porządny cień.

Spojrzał w dół i zauważył, zgodnie z wcześniejszymi przypuszczeniami, że on sam nie rzuca cienia. Fenton w żaden sposób nie mógł uciec przed słońcem. Lecz jeśli ta ściana była wytworem rąk ludzkich – a nie wydawało mu się, że mogłaby być dziełem przyrody – istniała szansa, że podążając za nią, gdzieś by dotarł.

Obierz wreszcie jakiś kierunek, Fenton, rozkazał ponuro sam sobie, i zacznij iść. Idź dokądkolwiek! Szedł więc i szedł.

Wielkie, pomarańczowe słońce wspinało się po niebie. Wokół panowała głęboka cisza, przerywana tylko od czasu do czasu szelestem ciernistych krzewów poruszanych nie istniejącym powiewem. Mógł to być również odgłos cykania jakichś małych owadów.

Fenton podążał wzdłuż murku. Ten jakby ciągle prowadził znikąd donikąd. Kiedy Cam tak szedł, zdawało mu się, że z upływem czasu skąpo rosnąca trawa rzednie coraz bardziej. Wokół pozostawał już tylko piasek i absurdalnie ciągnący się murek.

Ci, którzy od lat byli na twardych narkotykach, mawiali, że prędzej czy później każdy doświadczy fatalnego odlotu. Fenton nie spodziewał się nigdy, że może być aż

tak fatalnie. Z drugiej jednak strony ludzie, którzy laboratoryjnie testowali LSD, twierdzili, że większość fatalnych odlotów wynika bądź z targających narkomanem nie rozwiązanych konfliktów wewnętrznych, bądź z zanieczyszczonego narkotyku. To przynajmniej tłumaczyłoby kontrast między laboratoryjnymi testami Garnocka a samowolną próbą Fentona. Oczywiście, istniało również prawdopodobieństwo, że antaril kupiony od ulicznego handlarza był Bóg wie czym zanieczyszczony.

Rozważania tego typu nie miały jednak większego sensu. W końcu nikt Fentona tu nie zapraszał. Wręcz przeciwnie, Garnock i Sally przestrzegali go przed takimi próbami.

Cama ogarnął nagły, dławiący strach. Czy to, co się działo, miało być dowodem na to, że świat Alfarów nigdy realnie nie istniał, lecz był jedynie wytworem jego umysłu? Czyżby teraz, kiedy „nielegalnie” eksperymentował z narkotykiem, umysł ukarał go fatalnym odlotem i nie wpuścił do świata fantazji wytworzonego wcześniej w jego głowie? Świata, który stworzył z myślą o maksymalnym zaspokojeniu swoich potrzeb emocjonalnych?

Fenton wiedział, że nie pogodzi się wewnętrznie z taką możliwością do momentu, aż rozwiążą się

wszelkie wątpliwości. Był w końcu naukowcem, a nie hipisem goniącym za odlotem. Jeżeli obecne doświadczenia miały mu pomóc w dowiedzeniu prawdziwości któregoś z możliwych rozwiązań, był skłonny je zaakceptować. Jak dotąd najbardziej męczącym ich elementem była nuda. Lecz mogło przecież być dużo, dużo gorzej. Mógł wylądować w wulkanicznych grotach żelazorów.

Wytrwale kroczył w oślepiającym blasku słońca. Wiedział, że jego ciało bezpiecznie leży w mieszkaniu. Ociekał potem i zżymał się na upał, ale włókł się jednak wzdłuż murku, w nie zmieniającym się, półpustynnym terenie. Szelest roślinności jakby się teraz wznosił i opadał, przypominając ledwo słyszany z bardzo daleka odgłos rozmowy. Fenton nagle poczuł mrowienie między łopatkami. Znał je od dawna, lecz dopiero po podjęciu studiów parapsychologicznych dowiedział się, co oznacza.

Był obserwowany.

Odwrócił się gwałtownie z nadzieją, że zobaczy kogoś dotąd nie widzianego.

Nie dostrzegł jednak nikogo. W pomarańczowym, matowym świetle półpustynia porośnięta trawą ciągnęła się niezmiennie aż po horyzont. Kątem oka Fenton dostrzegł nagle poruszenie, jakby coś błyskawicznie zniknęło z pola widzenia. Zapytał głośno, z głupkowskim wyrazem twarzy:

–Jest tam kto? Brak odpowiedzi.

Oczywiście, że nie mogło być żadnej odpowiedzi. Na tym zapomnianym przez Boga pustkowiu nie było nikogo oprócz Fentona. A nawet i to zdawało się dyskusyjne, biorąc pod uwagę, że jego ciało bezpiecznie spoczywało w mieszkaniu.

Wędrował dalej. Tak naprawdę nie wiedział po co. Nigdzie się nie zbliżał, a murek ciągnął się w nieskończoność i nic nie wskazywało na to, że miał początek i koniec. Wielki Mur Chiński wydawał się niczym w porównaniu z nim. Istnienie Muru Chińskiego było przynajmniej celowe. Chińczycy byli za mądrzy, aby budować mury ciągnące się znikąd i donikąd, oddzielające nie różniące się obszary. Fenton znów poczuł mrowienie między łopatkami. A więc ponownie jest obserwowany. Starał się zignorować to uczucie. Czuł się jak idiota, kiedy się obracał, bo wiedział, że nie dojrzy niczego poza nie kończącą się piaszczystą równiną. Uczucie nasilało się i od czasu do czasu zmuszało go do odwracania głowy.

Ciągle nic z tego nie wynikało. Powiedział na głos: – Nikt mnie nie obserwuje.

Gdzie więc był ten Nikt? Przypomniał mu się mit grecki o Odysuszu, w którym przebiegły heros przedstawiał się Cyklopowi jako Nikt. Kiedy Odys wyjął mu oko, Cyklop zaryczał: „Nikt mnie morduje.” Jego krewni i przyjaciele odpowiedzieli: „Jeśli nikogo tam nie ma, to dlaczego tak strasznie wrzeszczysz?”

Nikt więc nie obserwował Fentona, to prawda, ale Cam miał ochotę choćby rzucić okiem na owego tajemniczego Nikogo.

Widziałem u wieczoru bram Człowieka, który nie był tam. Dzisiaj nie było go tam też,

Cóż zrobić mam, by poszedł precz?!

Fenton szedł dalej, zastanawiając się, przez ile jeszcze godzin swego narkotycznego snu, który był efektem poważnego przedawkowania antarilu, ma się wlec przez to przerażające pustkowie. Do morderczego upału dochodziło narastające poczucie bycia obserwowanym.

Poza murem nie było tu jednak niczego i nikogo, kto mógłby go obserwować. Przypomniało mu się stare powiedzenie, że ściany czasami mają uszy, nie pamiętał natomiast, aby ktokolwiek mówił, że mają zdolność podglądania. Przez chwilę czuł nieprzepartą potrzebę, by kopnąć z całej siły w przeklęty murek. Gdyby rzeczywiście okazało się, że murek ma wszystkie zmysły, być może zapytałby Fentona w dobrym stylu z Alicji w Krainie Czarów: „Czemu to uczyniłeś?” Fenton miałby wtedy przynajmniej z kim pogadać.

W końcu postanowił zrealizować pomysł. Cofnął nogę, by kopnąć w murek. Nie uczynił tego jednak, bo poczuł dreszcz przejmujący całe jego ciało, i usiadł ciężko na ziemi. Nie wiedział, co przeraziło go bardziej: świadomość, że murek może mu rzeczywiście odpowiedzieć, czy lęk, że mu nie odpowie.

Tak naprawdę nie jest mi to do niczego potrzebne. Zastanawiał się, dlaczego wcześniej nie usiadł lub nie położył się w cieniu rzucanym przez murek i nie postanowił przeczekać okresu działania narkotyku, by w końcu wrócić do swego ciała i wymiaru.

Idąc dalej powtarzał sobie do znudzenia, że w końcu dokądś dotrze.

Teraz, jak to mówią hipisi, naprawdę jestem nigdzie.

Gdy tak szedł przed siebie, powoli zaczynał go dochodzić z oddali narastający głuchy odgłos, przebijający się przez nużący jednostajny szelest owadów uwijających się w ciernistych krzewach. Nie umiał z niczym skojarzyć nasilającego się dźwięku, który coraz bardziej się wzmacniał, aż przeszedł w głuchy łoskot przypominający pracę ciężkiej maszyny; dochodził spod ziemi. Fenton znowu się potknął i przewrócił. Upadając odniósł wrażenie, że ziemia ugięła się pod nim. Tego jeszcze brakowało – trzęsienia ziemi. Mógł się właściwie czegoś podobnego spodziewać, choćby dlatego, że nic na niej nie ciążyło, ziemia mogła sobie pozwolić na przeciągnięcie się od czasu do czasu...

Powstał na równe nogi. Łoskot, który teraz dochodził jego uszu, w żadnym wypadku nie mógł być omamem słuchowym. Przypominał ryk maszyny, która przed chwilą wyszła spod ziemi. W dalszym ciągu Fenton nie widział jednak niczego poza przeklętym, nie kończącym się murkiem.

Przypuszczał, że sytuacja się zmieni i że nie będzie to zmiana na lepsze.

Nie pomylił się. W pewnej odległości przed nim ziemia się zatrzęsała i wzdęła; w kilka sekund na oczach Fentona wyrosło wzgórze potężnych rozmiarów. Huk rozdieranej skały poprzedził otwarcie wlotu do jaskini, przypominającego rozdziawioną paszczę rekina. Fenton zamarł w bezruchu i wpatrywał się osłupiały w czarną plamę jaskini, z której w kilka sekund później wybiegła wznosząc tumany kurzu rozwrzeszczana sfera żelazorów i obrała kierunek prosto na niego.

Przerażenie sparaliżowało go. Nie miał dokąd uciekać. Mógł się spodziewać, że w takim krajobrazie żelazory będą się czuły jak u siebie w domu. Biegły teraz w jego stronę; czuł już, jak ich noże i zęby rozdierają go na kawałki...

–Szybko! – usłyszał chropowaty głos. – Do środka!

W tym momencie murek się wybrzuszył i oczom Fentona ukazał się czarny otwór średnicy około półtora metra. Bez chwili namysłu Fenton dał nura do środka. Dopiero wewnątrz ogarnęły go wątpliwości. Nie mógł przecież być pewien, czy i ta jaskinia nie jest wypełniona po brzegi żelazorami. Gdy jednak obrócił się z myślą o ucieczce, ujrzał resztki pomarańczowej poświaty znikające w zatrzaskującej się szczelinie wlotu do jaskini. Sekundę później ogarnęły go egipskie ciemności.

ROZDZIAŁ 14

Fenton stał w gorącym zaduchu jaskini, mrugając oczami i usiłując przebić wzrokiem ciemność. Nie widział nawet ręki wyciągniętej przed siebie. O tym co się stanie, gdy zacznie odpływać z powrotem do własnego ciała, cały czas zatrzaśnięty w tej skalnej pułapce, nie chciał nawet myśleć.

Czy to moja osobista neuroza? Te przewijające się koszmary, uwięzienia...? Poprzednio Findhal uwięził mnie w skalnej celi...

–Czy jest tu ktokolwiek? – zapytał na głos.

–Ktokolwiek jest tu – odpowiedział mu chrapliwy, przypominający dźwięk tarki głos z głębi jaskini, ten sam, który jeszcze na zewnątrz zaprosił go do środka. – Pośród włochatych rojących nikt ratującym, pytanie. Dobrym chowanie przed rojącymi, pytanie. Ten otoczony jest Cieniem i wyjaśnienie o najście, żądanie. Nie wydane pozwolenie na najście dla nikogo. Rojący nie proszącymi i nie otrzymującymi zezwolenia, oczywistość. A teraz Cienie intruzy ze Świata Przejściowego nawiedzającymi bez zezwolenia. Uprzejma prośba, pozostanie w bezruchu... – Ostatnie polecenie padło w chwili, kiedy Fenton spróbował przestąpić z nogi na nogę. Ktokolwiek wie, otoczony nachodzący jest Cieniem, ale małe stworzenia nie wiedzącymi, bojącymi stopy nachodzącego.

Fenton zamarł w bezruchu. Zastanawiał się, jakiego rodzaju małe stworzenia mogłyby się ukrywać w ciemnościach. Czy świat, w którym teraz przebywał, mógł być światem żelazorów? Nie wydawało mu się. Dziwna niegramatyczna przemowa Kogokolwiek sugerowała, że „rojący” nie prosili ani nie uzyskali zezwolenia na „nadejście”. Fenton odniósł wrażenie, że to, co słyszał, było tak naprawdę serią myśli, skonceptualizowanych fraz niemożliwych do gramatycznie poprawnego przetłumaczenia na normalny język. Niemniej jednak owa obca istota próbująca się z nim skomunikować nie żywiła chyba wobec niego żadnych złych zamiarów – bo jak inaczej można by tłumaczyć ocalenie go od niechybnej zguby z rąk żelazorów?

–Kim jesteś? – zapytał na głos.

–Ktokolwiek jest tu – doszła go odpowiedź gdzieś z głębi ciemności. – Ktokolwiek nie znającym odpowiedzi na pytanie. Nachodzący ze Świata Przejściowego zawsze pytającymi o brzmienie tożsamości.

Kiedy usiłował odnaleźć sens w wypowiedzi Kogokolwiek, Fenton przypomniał sobie Krainę Czarów, w której znalazła się Alicja i w której rzeczy nie miały imion. Zrozumiał w tym momencie to, co mu się nigdy nie zgadzało w tekście Alicji, a dotyczyło tejże semantycznej zmiany. Rzeczy w świecie Alicji nie posiadając imion miały równoległe pełną świadomość tego, że ich nie posiadają. Teraz natomiast Fenton komunikował

się z kimś, kto nie tylko nie miał imienia, lecz również nie był w stanie wyobrazić sobie konceptu językowego, jakim było przydawanie indywidualnych imion. Tak też można by tłumaczyć niepokój Kogokolwiek, wynikający z niezrozumienia pytania: „Kim jesteś”, które stanowiło podstawę rozumienia zjawisk przez istoty pochodzące ze Świata Przejściowego.

Fentona nurtowało pytanie, jak w ogóle była możliwa komunikacja między odrębnymi istnieniami w jakimkolwiek świecie przy pominięciu podstawowego rozróżnika w postaci imion własnych. Słyszał kiedyś co prawda o języku, który nie miał rzeczowników ten przynajmniej nie był aż tak niezrozumiały. Znaczenie „rojących” wydawało się oczywiste – chodziło z pewnością o żelazory. Samego Fentona Ktokolwiek skonceptualizował jako „nachodzącego”. Powoli Fenton zaczął mówić; starał się wyrażać w kategoriach pojęciowych zrozumiałych dla Kogokolwiek:

–Otoczony nachodzący prawdziwie żałuje swego najścia, bo zamierzał się przedostać gdzie indziej niż tu, gdzie się obecnie znajduje. Nie wiem, ale... – Fenton ugryzł się w język uświadomiwszy sobie, że zaimki osobowe nie mieszczą się wśród pojęć zrozumiałych dla rozmówcy. – Otoczony nachodzący żałuje, że niepokoił jakiegokolwiek małe stworzenia, lecz był nieświadomy ich istnienia... – znów przerwał, by się poprawić: – Nie był świadomy istnienia czegokolwiek poza murem i głosem przemawiającym w ciemności.

Gdy tylko skończył przemawiać, usłyszał wokół stóp dziwny szelest, od którego przeszły go ciarki, brzmiący jak skrobanie tysięcy małych pazurków po powierzchni skały. Fenton zamarł w bezruchu, świadom, że jeśli niechcący skrzywdzi któregokolwiek z maleńkich wielonogów, jego rozmówca, choć dotąd życzliwy, może się zdenerwować i zmiażdżyć go – zatrzaskać nad nim ściany jaskini. Dygocąc ze wstrętu stał nie ruszając się i słuchał skrobań oraz szelestów przypominających od czasu do czasu stłumiony odgłos dochodzącej z oddali rozmowy.

Chropowaty głos odezwał się ponownie:

–Ktokolwiek nie jest świadomy rozróżnień nachodzącego. Ktokolwiek jest murem i Ktokolwiek jest małymi stworzeniami, ale teraz Ktokolwiek jest świadomy, że nadchodzący nie jest tym czym Ktokolwiek. Otoczony nachodzący jest częścią włochatych rojących, pytanie.

–Nie – odparł Fenton zdecydowanie – nachodzący nie jest częścią rojących.

–Nachodzący jest inny. Wytłumaczenie inności nachodzącego, prośba.

Życzenie to zabrzmiało wreszcie sensownie, ale było niewykonalne. Zapomniawszy o konieczności wypowiedzania się w sposób zrozumiały dla rozmówcy Fenton spróbował udzielić odpowiedzi:

–Niemożliwe. Nie wiem, gdzie jestem i nie wiem, jak się tu dostałem zamiast do miejsca, do którego zamierzałem się dostać. I nie widzę ciebie, więc nie wiem, kim jesteś.

Nastąpiła długa cisza, podczas której Ktokolwiek usiłował zapewne wyłowić sens z niezrozumiałej dla niego pojęciowo wypowiedzi Fentona. Chyba by było lepiej, gdyby umiał czytać w moich myślach i wiedział, co myślę naprawdę, zamiast dochodzić sensu w tym, co mówię, rozważał Fenton. Mówiąc do niego przy użyciu kategorii, które uważam za jego, mogę się pomylić i zrobić wrażenie inne od zamierzonego.

Po chwili chropowaty głos znów się odezwał; wydał się Fentonowi sfrustrowany i na granicy płaczu:

–Pytanie, nachodzący jest bardziej świadomym otoczenia, otoczenie będące jaśniejszym od jasności. Fenton domyślił się, że rozmówca najprawdopodobniej pyta, czy Cim widzi lepiej w świetle słońca. – Zdecydowanie tak – odpowiedział.

Minutę później w ścianie z litej skały zarysowała się szczelina, przez którą zaczęła się przedostawać do wnętrza jaskini mdląca pomarańczowa poświata. Jasność powoli wypełniała jaskinię i umożliwiła Fentonowi obejrzenie niewidocznego dotąd wnętrza. Na skalnym podłożu poruszały się tysiące małych skorupiakowatych stworzeń, przypominających kraby biernatki bądź opancerzone pająki.

–Pytanie, przyczyna pojawienia się otoczonego nachodzącego, gdy nachodzący nie pragnącym nachodzenia.

Fenton zmarszczył brwi; zastanawiał się nad zwięzłym i zrozumiałym wytłumaczeniem zawłości obcych wymiarów i teorii wszechświatów równoległych istnieniu, które, jak dotąd, robiło wrażenie inteligentnej, obdarzonej darem mowy jaskini. Jedyna sensowna odpowiedź, na jaką mógł się w tej sytuacji zdobyć, brzmiała:

–Nie wiedzącym.

Miał wrażenie, że odpowiedź ta była rzeczywiście sensowna w tej sytuacji. Mógł się komunikować z Alfarami, bo choć nie byli ludźmi, mieli ludzkie organy mowy. Pentarn, jeśli Fenton się nie mylił, był człowiekiem. W żaden sposób Cam nie mógł jednak uznać za poprawne założenia, że wszystkie możliwe światy są koniecznie zasiedlone przez istoty humanoidalne. Przebywał oto w wymiarze, w którym inteligentna świadomość była również udziałem podłoża, po którym stąpał. Czy to właśnie nazywało się istotą ziemiorodną? No cóż, mogło być gorzej. Mógł na przykład wpaść do wnętrza wulkanu i wtedy musiałby się porozumieć z nim. To stworzenie było przynajmniej przychylnie. Zdawało się, że myśli i mówi powoli, a mimo to udało mu się w porę otworzyć dla Fentona jaskinię i uchronić go przed

żelazorami.

–Pytanie – odezwał się Fenton i zdał sobie sprawę, że podchwycił już dziwny sposób komunikowania się obcego stworzenia – do którego pytanie... ty, nie należącym do włochatych rojących?

–Stanowczo nie należącym – odpowiedział głos, którego właściciela Fenton nazwał ziemiorodkiem. Ktokolwiek złość i obrażenie, nachodzący nie zamierzał, przypuszczenie. Zapewnienie, włochate rojące nie będącymi część Ktokolwiek, nie część nachodzącego. Dla obu obcość, ustalenie istotności. Pytanie, nachodzący zimna wstrętność do włochatych stworzeń dzielającym.

–Zdecydowanie tak – odparł Fenton i mgliście zdał sobie sprawę, że doszedł do porozumienia w tej pilnej kwestii z zupełnie obcym stworzeniem.

–Witającym zgodność z nachodzącym. Ktokolwiek ciekawość i pytanie, nachodzący chcącym pójść dokądś, u nic w nagle tu otaczanie.

–Ja chciałem – odpowiedział Fenton – dostać się do świata Alfarów. – Gdy dokończył zdanie, pomyślał

, że mógł zerwać cudownie osiągniętą nic porozumienia.

Chciałbym widzieć tego, z kim rozmawiam, pomyślał i po chwili zrozumiał, że bezwiednie powiedział to na głos.

–Zgodność z nachodzącym, zakłopotanie czującym. Ktokolwiek próbującym ułatwienie wymiennosc myśli... – zachrzącił głos i nagle w mglistym świetle Fenton dostrzegł, że ściana jaskini wydeła się i falując wysuwała się już do przodu, tworząc coś, co trochę przypominało murek, za którym Fenton brnął przez pustynię. Teraz zaczął rozważać, kto kogo śledzi. Czyżby ziemia pod jego stopami, która bezsprzecznie była częścią ziemiorodka, rozszerzała się w tej formie, aby podążać za Festonem? A może jego doświadczenie czasu było tak inne, że marsz wzdłuż muru był jednoczesny z formowaniem się tegoż? Cam złapał się za głowę; pękała mu z bólu. Zastanowił się, czy mógłby teraz zmaterializować aspirynę w kieszeni kurtki. Skalna ściana poruszała się wolno, wyciągała formując niski, szeroki kształt z dwoma serdelowatymi nogami, małym, okrągłym wybrzuszeniem w miejscu, gdzie powinna być głowa i bulwiastymi ramionami. Twarz stworzenia ledwo się rysowała, oczy delikatnie połyskiwały – może były skonstruowane jak światełka odblaskowe? – nad grubymi, wydętymi wargami. Brakowało tylko nosa. To oczywiste, stworzenie nie potrzebowało oddychać ani wachać niczego.

–Ktokolwiek przedstawiającym nachodzącemu formę identyczną z prezentującą się nachodzącego – objaśniły skalne usta z niemalą satysfakcją.

Fenton zamrugał oczami i zdał sobie sprawę, że prawdopodobnie tak ujrzało go skalne Ktokolwiek: pojedynczy kształt poruszający się na dwóch nogach, z ustami i oczami, zakończony na górze głową. Kamienne stworzenie nie kojarzyło mu się z niczym, co kiedykolwiek widział. Ale w końcu nie byli na Ziemi.

Skąd ta pewność'? Może byli? tak czy inaczej, miał przed sobą człekokształtną zjawę. Przypuszczał też, że na Ziemi nazwano by ją... Jak nazywano ziemiorodki? Gnomami. Tak, naprzeciwko niego stał gnom. Przybrał tylko formę, która jego zdaniem była odpowiednia do spotkania z człowiekiem.

–Gnom – rzekł Feston.

Stworzenie, które przed nim stało, poruszyło grubą nogą, aż zadrżała lekko cała ziemia, jakby poruszyła się wcześniej jej część.

–Ktokolwiek tak nazywanym w czasie nie będącym – odpowiedział gnom. – Stare wspomnienie. Pytanie, nachodzący jest z miejsce z skały nie mówiącymi i nie rozumiejącymi.

–To prawda – odparł Feston. – Tam, skąd pochodzę, skały nie mówią.

–Współczującym – odrzekł gnom. – Innym współczującym niemej nieszczęśliwości. – Zrobił jeszcze jeden niezdarny krok, a cała armia maleńkich wielonogów zaszurała w odplywie, by uniknąć zgniecienia, jakby rzeczywiście była częścią gnoma. – Sugestia, włochate rojące indziej przenoszące ich wstrętność, nachodzący powracanie wołącym w otoczenie będącym jaśniejszym od jasności.

–Byłoby świetnie – odpowiedział Fenton, a gnom skierował ciężkie kroki w stronę snopa światła, który zaczął się poszerzać, kiedy ten się zbliżał. Po chwili znaleźli się na zewnątrz, w pomarańczowym blasku. Fenton zauważył, że trawa nie ugina się pod idącym gnomem, lecz jakby opływa jego nogi. Armia małych, pająkowatych stworzonek zanurkowała do wnętrza jaskini. To jasne, doszedł do wniosku Fenton, gnom jest ich częścią i wcale nie czuje odrębności.

Dostrzegł kątem oka, że murek zniknął. Najwidoczniej on również był postacią gnoma.

Gdy szli, gnom wyciągnął grubą kończynę, która znajdowała się w miejscu, gdzie Fenton spodziewałby się ręki; wyciągnął ją tak, jakby Fenton miał ją wziąć w swoją dłoń. Cam przyglądał się jej i zobaczył, że pojawiają się kciuk i palce i, ku własnemu zdumieniu, wziął ciemną, grubawą rękę w swoją. Nie odczuł skalnego chłodu, ale ciepło i stabilność, jakby trzymał twardą muszlę albo róg jakiegoś zwierzęcia. Gnom maszerował obok Fentona zmieniając z subtelną uprzejmością długość swego kroku, by dostosować go do kroku Cama. W pierwszej chwili Fenton poczuł się zakłopotany, ale zaraz pomyślał, że gnom jest przyzwyczajony do postrzegania

wszystkiego w swoim świecie jako integralnej części siebie i że czuje się nieswojo wtedy – jeśli w ogóle skała może czuć się nieswojo – jeśli cokolwiek odczuwa jako coś innego. Cama ogarnęła wdzięczność wobec gnoma za jego przyjazne nastawienie. W końcu nic nie stało na przeszkodzie, żeby to kamienne stworzenie zatrzymało go w ciemnościach na wieki.

Fenton poczuł, jak od grubaśnych, ciepłych i twardych palców, które trzymał w dłoni, rozchodzi się kojące ciepło i przenika jego ciało. Pod nogami przesuwały się źdźbła trawy, dalekie ćwierkanie i szelesty brzmiały jak ledwo słyszalne rozmowy. Teraz dopiero Camowi wydało się, że mógłby je zrozumieć. Odczuwał je jak fale kojącego ciepła. Zdał sobie sprawę, że upał już mu nie doskwiera. Teraz, kiedy żelazory przeniosły się zupełnie gdzie indziej, otoczenie jakby promieniowało ospałe, powolne odprężenie.

Gnom zamruczał do Fentona:

–Pytanie, dlaczego opuszczanie najlepsze-z-najlepszych-miejsce, dlaczego tęskność indziej, nie ciepłość i słoneczność, i szczęśność tu.

To cholernie trafne pytanie, pomyślał Fenton. Po co właściwie podróżuje dalej? Pokusa zatopienia się w tym ciepłe wydawała się wszechogarniająca jak skała. W słońcu... chłonięcie spokoju i gorąca, kojącej muzyki szmerów i pogaduszek, pośród małych żyjątek... Po co odchodzić, po co skarżyć się na upał...? Poczul, że nagle osuwa się na kolana, jakby roztopiał się w kamiennym podłożu...

Zupełnie zaszokowany, zdał sobie sprawę, co się z nim dzieje. Zaczynał myśleć jak skała. Jakby chciał usatysfakcjonować gnoma i zatapia się w jego bezpieczne jestestwo. Spoczywać tu wygodnie jak skała, zadowolona z upływu czasu, nie chcieć podążać dalej...

Potrząsnął z determinacją głową, z wysiłkiem się podniósł i uwolnił rękę z uścisku gnoma. Mały, kamienny stworek zatrzymał się i popatrzył na niego z wyrazem żalu, który był czytelny nawet dla Fentona, mimo że twarz gnoma była pozbawiona wyraźnych rysów.

–Pytanie, dlaczego nachodzący jest znowu inność. Pytanie, dlaczego nieszczęśność tu.

Inność. Musiał się tego trzymać. Ale mimo to żywił uczucie sympatii wobec przyjaznego gnoma. Rozmyślał z wysiłkiem i starał się formułować zdania tak, żeby gnom je rozumiał:

–Szczęśliwość tu, oczywiście, radość ze słońca i ciepła, i skalnych istotności. Ale... nie mój świat. Obawa, że włochate stwory krzywdzą przyjaciół, ludzi w innych światach, ludzi, których kocham. Potrzeba pójść i walczyć przeciw włochatym

stworom, powiedzieć innym ludziom, że nachodzącymi rojący...

Kamienne ciało gnoma zdawało się drżeć i falować jak woda, mimo swojej twardej materii. Gruby głos zagrzecotał:

–Zrozumienie. Istność z innego świata, chcącym do innego świata idącym. Ktokolwiek pokazującym gdzie. Człekokształtna forma zachybotła i znów stała się skałą, bryłą... nie, była teraz czymś podłużnym, pełzającym na krótkich łapach jak potężna jaszczurka. Ale głos pozostał tym samym chrapliwym, opiekuńczym, przyjaznym głosem gnoma. Fenton zrozumiał. Podobieństwo skały, metamorfoza, która uczyniła ją taką jak Fenton, ale nie taką samą jak on, była bardzo kusząca. Za wszelką cenę Fenton musi utrzymać wrażenie inności, w przeciwnym razie wpadnie w potrzask. Ruszył za ogromną jaszczurką, która wyglądała jak kamienny smok sunący przez piaski rozkołysanym krokiem.

Fentonowi kołatało w głowie, że czytał kiedyś coś w tym rodzaju: „Kontakty z elementami są niebezpieczne dla ludzi...”

Znowu zrobiło się gorąco. Fenton czuł się nieswojo, jakoś sztywno, ale nie przeszkadzało mu to, bo oznaczało, że nie jest tak bardzo zagrożony. Było mniej prawdopodobne, że zapadnie się w przytulną świadomość kamiennego stworka. Wlókł się więc za gnomem po jego kolistych śladach.

Coś zadrgało w oddali, bez koloru, bez kształtu, niestabilne, jak woda na rozgrzanej powierzchni pustyni, jak fatamorgana, którą widział na pustyni Mohave. Czy była to woda, czy fatamorgana? Gdy tylko podchodzili bliżej, rozpływała się, a w końcu, kiedy gnom wyciągnął łuskowatą łapę w jej stronę, zdawało się, że tężeje. Stała się wyblakłą ścianą wypełnioną pustką, przecinającą pustynię. Jaszczurkowata postać gnoma uniosła się, a Fenton ujrzał jej przednie i tylne łapy oraz toporną głowę.

–Pytanie, nie chcący wejścia do miejsce włochatych stworzeń.

–Zdecydowanie nie chcący – odparł Fenton. Nie wiedział, jak wygląda świat żelazorów, ale był najzupełniej pewny, że nie chce się dowiedzieć.

–Chcącym gdzieś. Słoneczne światy, świat wodnych istności, chcącym indziej.

–Kraina Alfarów – rzekł Fenton bez wielkiej nadziei.

W tym momencie cętkowana, kamienna twarz gnoma przybrała wyraz zdumienia, potem zrozumienia.

–Świat... taneczność w świetności, drzewa-światy połyskujące. Nachodzący pragnienie, otwarcie do przejścia... – powiedział i jeszcze raz wyciągnął grubą łapę. – Włochate stwory przychodzące. Nachodzący zabierającym klejnotowe światło ze

słonecznych ścian. Nadzieja, kiedy otwartość Bram dla nich, znajdującymi tylko zgniłość korzeni w innych światach. Smutność rozstawania tu... ale otwartość Bramy, teraz odchodzącym. Pytanie, nachodzący wracającym słoneczność kamiennej istotności razem.

Fenton odpowiedział:

–Mam nadzieję, że tak. – Poczł delikatne muśnięcie ciepłej, twardej ręki gнома w swojej dłoni, gdy wtem świat zawirował i zachybotał pod jego stopami. Niespodziewana smuga blasku zalała mu oczy. Festonowi zakręciło się w głowie i przez chwilę miał wrażenie, że widzi zarys domów i murów. Ciemność. Potem ziemia wyslizgnęła mu się spod nóg i wylądował na twardym gruncie pośród pierzastolistnych drzew krainy Alfarów, gdzie jaśniało ponure i mgliste światło.

Gaj był opuszczony. Cam nie mógł się zorientować tak szybko, czy pierścień drzew, w którym się znalazł, odpowiada gajowi eukaliptusowemu w jego świecie, ale z pewnością był bardzo podobny. Ciernistego kręgu, który znajdował się tu poprzednio, żeby zagrozić Bramę przed żelazorami, już nie było. Pierwszy raz Feston widział krainę Alfarów w świetle słońca. Widział ją już pokrytą śniegiem, w ciemnościach, przy księżycu. Teraz była przepelniona mglistą jasnością. Ale mimo to Feston nigdzie nie mógł dojrzeć słońca. Całe niebo było jednym wielkim i mgławym blaskiem, bez skrawka błękitu. Blask przypominał słoneczny, lecz słońca nie było.

Cam już tu kiedyś był. Irielle przyprowadziła go tutaj, stwierdziwszy, że to dobre miejsce. Tutaj również usiłował się przedrzeć przez ciernie, zastawione na żelazory.

Przynajmniej teraz nie było żalazorów. Feston odetchnął z ulgą i zdał sobie sprawę, że wszędzie się spodziewa, iż może spotkać te stwory. Był przekonany, że gdy natknął się na nie w rzeczywistości gнома, spieszyły gdzieś w określonym celu. Szkoda, że gnom nie zamknął ich po prostu w skale i nie skończył z nimi na dobre.

Gaj zalewało nieruchome, mgliste światło. Feston mógłby spróbować odszukać pałac... jeśli tylko krajobraz nie zmienił się za bardzo, odkąd Cam widział krainę Alfarów po raz ostatni. I jeśli pałac zechce być odnaleziony. Pałac... a może Kerridis była tą, która decydowała, czy Feston znajdzie pałac, czy nie. Bo jeśli zależało to od Findhala, Cam mógł być pewny na sto procent, że go nigdy nie znajdzie.

Na odległym krańcu gaju usłyszał miękkie głosy. Nie dźwięczny trel Alfarów, lecz głosy, które mimo że były śpiewne, bezsprzecznie należały do ludzi. Utykając spieszył już w tamtą stronę. Męczyły go bolesne skurcze nóg, które ostatnim razem były przestrogą przed niebezpieczeństwem. Ciekawiło go, ile czasu zmarnował w świecie gнома... mimo wszystko warto było. Dowiedział się przynajmniej, że nie powinien mieć zaufania do antarilu w formie tabletki. Może jednak nie był to tak do końca stracony czas. Feston schylił się i rozcierał bolącą łydkę do momentu, aż mógł

ić dalej w kierunku, z którego dochodziły głosy.

Chwilę potem był zmuszony się wycofać, gdyż pośrodku gaju natknął się na parę kochanków. Kobieta i mężczyzna stali za pniem drzewa tak mocno objęci, tak pochłonięci sobą, że nie usłyszeli ani nie ujrzeli nadchodzącego Fentona.

Odruchowo, zachowując wymogi dyskrecji ze swego świata, Fenton zaczął się cicho usuwać. Ale kiedy próbował to zrobić jak najciszej, usłyszeli go. Młody człowiek gwałtownie uniósł głowę. Oczom Fentona ukazała się ciemna, dziwnie znajoma twarz. Gdy stojąca kobieta odwróciła się w jego stronę, zamurowało go. Była to Irielle. Cam poczuł napływający gniew spowodowany zachowaniem kobiety, które odbierał jako zdradę. Ogarniała go wściekłość. Irielle należała do niego. Była głównym powodem jego wizyt w tym świecie... Powoli jednak zaczął się uspokajać i odzyskiwać jasność umysłu. Nie miał najmniejszego powodu, by myśleć, że uczucia Irielle do niego są czymkolwiek więcej niż miłością wobec bliźniego z tego samego świata.

I tak jest moją cioteczną prababcią czy kimś w tym rodzaju...

Młody mężczyzna z buńczuczną miną obrońcy zasłonił Irielle swoim ciałem.

–Czemu nas tu szpiegujesz! – wykrzyknął. – Czy naprawdę myślisz, że nie poznam cię w tym lub innym przebraniu? Nic cię nie powstrzyma, prawda? Ale ja nie chcę niczego od ciebie! Dlaczego nie pozwolisz mi żyć moim własnym życiem!?

Był to krzyk młodości wszystkich czasów i wszystkich światów. Choć Fenton miał świadomość pomyłki młodzieńca i tego, kim ów jest, z przerażeniem zobaczył, jak ten wyjąwszy sztylet z pochwy rzucił się w jego stronę.

–Uciekaj stąd! To jest vrill, który może skończyć twoje życie w tym świecie i w każdym innym!... Irielle pobiegła za nim i chwyciła go wpół:

–Nie, Joelu! – krzyknęła. – Mylisz się, to nie Pentarn!

Młodzieniec zastygł w bezruchu ze sztyltem uniesionym nad głową Fentona. Ten wykorzystał moment i odskoczył poza zasięg ostrza. Joel stał przyglądając mu się i w końcu zapytał:

–Smród i żelazo! Kim jesteś?

–Nazywam się Fenton. Spotkałem raz twego ojca. Powiedział mi wtedy, że jestem jego... – usiłował przypomnieć sobie określenie użyte przez Pentarna – jego analogiem. Jeśli stanowi to dla ciebie jakąkolwiek pociechę – dodał – nie lubię go tak samo jak ty.

Joel Tarnsson szybko przytaknął. Po chwili namysłu odezwał się:

–Oczywiście, nie mógłbyś być kimś innym. Fenton dostrzegł rys podobieństwa między sobą a synem Pentarna. Twarz Joela była tą samą, którą

oglądał w lustrze piętnaście lat temu. Chłopak niezręcznie wsunął sztylet z powrotem do pochwy.

–Rozumiem, że jestem winien przeprosiny. Irielle opowiadała mi o tobie, ale gdy nas tak zaskoczyłeś, nie byłem zdolny do myślenia.

Irielle podeszła do Fentona. Na początku była bardzo blada, a teraz zarumieniła się.

–Ty wciąż jesteś Cieniem – zauważyła zaskoczona. – Przecież masz mój talizman...

Fenton zaprzeczył ruchem głowy.

W głosie Irielle brzmiało rozczarowanie:

–Nie umiałeś go przenieść między światami?

–Nie, potrafiłem – odrzekł Fenton – ale został mi odebrany. Zabrał mi go człowiek, który przysłał mnie tu pierwszy raz.

Irielle wydawała się oburzona.

–Jak on śmiał! Czy ten człowiek myśli, że może go używać?

Bardzo bym chciał, żeby Garnockowi przyszło to do głowy, pomyślał Fenton, może takie doświadczenie przekonałoby go wreszcie do tego, do czego ja nie mogę go przekonać. Zastanawiał się, jak mógłby wytłumaczyć Irielle, że Garnock pragnął tylko umieścić jej talizman w gablocie. Nie miało to najmniejszego sensu. W końcu odpowiedział:

–Doprawdy nie wiem, co zechce z nim zrobić. – Najważniejsze, że znów udało ci się do nas przedostać – rzuciła radośnie Irielle. Ale kiedy przyjrzała mu się bliżej, posmutniała. – Wyglądasz, jakbyś przemierzył cierniste ugory. Czy było ci bardzo ciężko?

Fenton nie wiedział, gdzie ani czym są cierniste ugory. Był jednak przekonany, że nie mogą być dużo straszniejsze od jałowego świata ziemiorodków. Przypomniawszy sobie, jak się roztapiał w ciepłe i słońcu ich świata, uświadomił sobie, że musiały istnieć jeszcze gorsze światy. Żywił gorącą nadzieję, że nigdy nie będzie musiał ich odwiedzać.

–Przez jakiś czas błąkałem się w świecie, w którym nie było nic poza ścianami i murem. Nie ma to jednak większego znaczenia.

–Po co tu przybyłeś? – zapytał podejrzliwie Joel. Fenton zdał sobie sprawę, że nie jest przekonany, iż zna odpowiedź na to pytanie. Pragnął sobie udowodnić, że świat Alfarów istnieje jako taki, ale tego nie mógł przecież powiedzieć Joelowi.

–Mój ojczym będzie rozgniewany – wtrąciła Irielle. – Mówił, że ma nadzieję, iż nie będzie cię musiał już więcej oglądać. Zupełnie nie wiem, czemu on ci tak nie ufa. – Piękna twarz dziewczyny sposępniała. – Musimy cię jakoś przeprowadzić przez Dom na Rozstajach. Jest to możliwe jedynie przy pomocy Kerridis. Chodźcie, pójdziemy do Kerridis – zdecydowała Irielle.

Fentona bardzo ucieszyła ta decyzja, ale Joel miał ciągle wątpliwości.

–Pani wydała rozkazy, żeby jej nie przeszkadzać, bo przygotowuje się do Rady. Chyba nie powinniśmy teraz zakłócać jej spokoju. Może należy zabrać Fentona do Findhala i spróbować go przekonać?

–Findhal się tylko rozgniewa – zauważyła rozsądnie Irielle. – A poza tym on również przygotowuje się do Rady. Jeśli mamy zaryzykować rozzłoszczenie kóregokolwiek, wolałabym już gniew Pani. Pamiętam, jak sama mówiła, że ma wobec Fentona dług wdzięczności. Mój ojciec też jest mu winien wdzięczność, ale nie jest skłonny się do tego przyznać. Ma sto razy więcej w sobie uporu od Kerridis.

–I sto razy mniej od mojego ojca! – porywczo zauważył Joel, a Irielle wyciągnęła swą długą wiotką dłoń do Fentona.

–Chodź, pójdziemy do Kerridis – rzekła zdecydowanie.

Fenton uważnie rozglądał się dokoła poszukując znaków orientacyjnych w terenie, zwłaszcza teraz, gdy zdawało się, że słońce świeci mocniej niż kiedykolwiek podczas jego poprzednich wizyt.

Jednak nigdy nie opadająca w świecie Alfarów mgła uniemożliwiała dostrzeżenie czegokolwiek poza najmocniej zarysowanymi konturami rzeźby terenu. Natomiast dźwięk niósł się tak szybko i intensywnie w powietrzu tego świata jak na wodzie w świecie Fentona. I choć z oddali dały się słyszeć wyraźne, choć słabe dźwięki muzyki i śpiewów Alfarów, nikogo ani niczego jeszcze nie było widać. Otaczało ich zamglone, wysyczone zielenią drzew-gigantów pustkowia.

Irielle patrzyła ze współczuciem na Fentona, który coraz częściej był zmuszony się zatrzymywać i przykucać, by rozmasować mięśnie nóg.

–Znowu zaczynasz się rozplýwać. Trzeba cię jak najszybciej odesłać z powrotem do twojego świata, byś mógł do nas powrócić już we własnym ciele, przez Dom na Rozstajach.

Fenton zdecydowanie zaprzeczył ruchem głowy. Nie wydawało mu się to wykonalne, a wiedział, że długo się jeszcze będzie zastanawiał, nim znowu podejmie ryzyko zażycia „lewego” antarilu. Zdecydował się pozostać tu teraz tak długo, jak tylko będzie mógł.

–Nie znajdziemy Kerridis – rzekł Joel poirytowanym głosem. – Mówiłem ci, Irielle, że ona teraz odpoczywa i przygotowuje się do Wielkiej Rady. Jestem przekonany, że rzuciła na siebie zaklęcie niewidzialności, bo z pewnością nie chce, żeby ją ktokolwiek odnalazł!

–Wiem – odparła Irielle ze zmarszczonymi brwiami. – Ale wiem też, że potrafię ją przekonać. Myślę, że muszę zaryzykować... – Odwróciła się napięcie i mrużąc oczy zaczęła się przyglądać czemuś, czego Fenton zupełnie nie był w stanie zlokalizować. Po chwili zdecydowanie wyjęła dłoń z ręki Joela Tarnssona i powiedziała: – Odsuń się, Joelu, ja muszę...

Wykrzyknęła coś, co brzmiało jak bardzo wysoko wyśpiewana fraza pieśni w języku Alfarów, dotknęła pierścienia, który nosiła na palcu, po czym trzykrotnie obróciła się wokół własnej osi. Wykrzyknęła to samo ponownie, ale tym razem Fenton wyłowił i zrozumiał jedno słowo: Kerridis.

Powietrze zamigotało i ich uszu doszedł ledwie słyszalny szmer, a chwilę później wszyscy poczuli delikatne drżenie ziemi pod stopami. Nagle wydało im się, że patrzą przez lśniący-migocący blask do wnętrza podwodnej groty zarośniętej gęstym mchem. Twarz Kerridis jakby drżała w lśniącym blasku, a Fentona poraziło to, że po raz pierwszy zobaczył na twarzy Kerridis wyraz srogiej powagi.

–Irielle, dziecko drogie, wydałam rozkazy. Wiesz przecież dobrze, że dziś o pełni księżyca jest...

–Wybacz mi, moja Pani! – przerwała jej Irielle ale nie wiedziałam co zrobić. Przychodzę w sprawie Cienia, tego, który poszedł za nami do grot żelazorów, a potem ostrzegł nas, że żelazory przerwały pierścień kwiatów. Jest tu z nami, i właśnie zaczął znikać, i bardzo cierpi.

–Chaos i ciemność! – wyrzuciła z siebie Kerridis i głośno westchnęła. – Widzę, że nic na to nie poradzę, i nie gniewam się, lecz nie mam prawa teraz rozmawiać z Tarnssonem. Stanowi on twój problem, a nie mój. Jeśli zaś chodzi o tego Cienia... – Podniosła twarz i spojrzała Fentonowi prosto w oczy.

Po raz pierwszy doznał wrażenia, o którym czytał jako dziecko w baśniach o czarodziejach i wiedźmach budzących lęk i przerażenie w tych, którzy ich spotykali.

Dotąd, choć nazywał ją w myślach Królową Wrózek, gdzieś podświadomie postrzegał jako kobietę, istotę ludzką, której nie należało się obawiać. Teraz

natomiast, podobnie jak w chwili, kiedy Findhal stanął nad nim z potężnym toporem, odczuł władzę wielkiej mocy tych magicznych istot, tak bardzo nie znaną mu z jego świata.

–Cieniu, nie żywię wobec ciebie gniewu – rzekła Kerridis. – Nadchodzisz w niedogodnym momencie, ale wiem, że to nie tobie o tym decydować, bo Moce ponad nami decydują naprawdę o tym, co słuszne i dogodne, a co nie. Wierzę, że twe obecne przybycie nie jest bez znaczenia, właśnie teraz, kiedy czuję się osaczona i kiedy nie mam się do kogo zwrócić, gdy moi najlepsi doradcy, a nawet przyjaciele, przypominają bardziej wrogów niż przyjaciół. Irielle!

–Tak, o Pani – odezwała się Irielle pełna lęku. Zawsze dotąd Kerridis zwracała się do niej głosem matki folgującej rozbrykanemu dziecku. Teraz zaś jej głos był kamiennym głosem surowej władczyni.

–Masz zrobić wszystko, by nie przeszkodzone mi ponownie aż do zebrania się Wielkiej Rady, inaczej niech nas wszystkich chaos pochłonie! I tylko nie złam tego zakazu! – Słowa Kerridis zabrzmiały jak trzask bicia.

Z opuszczoną głową Irielle wyszeptała: – Będę posłuszna, Pani.

–Cieniu, podejdź. – Kerridis wyciągnęła dłoń w jego stronę.

Fenton ujrzał blask wielkiego, migoczącego diademu. Wysoka korona ocieniała część twarzy Kerridis. Nagle tajemniczy blask zamigotał silniej, ziemia zawirowała pod stopami Fentona, a mgliste, słoneczne światło zniknęło. Cam stał teraz spowity zielonkawą poświatą, przenikającą przez welony z mchu i zasłonę wodospadu. Poczul na czole kojący chłód drobinek wody.

Kerridis siedziała na posłaniu utkanym z aksamitnych mchów. Promienie światła odbite od zasłony wodospadu rozjaśniały jej twarz. Wyglądała tak, jakby była spowita w połyskującą światłość, a jej oczy rzucały błyskawice. Fenton drgnął przestraszony. Uśmiechnęła się smutno, gdy to spostrzegła.

–Zbieram siły przed Radą. Będę potrzebowała wielkiej mocy, by stawić czoło moim przyjaciołom i wrogom – odezwała się. – Na szczęście nie potrzebuję jej w rozmowie z tobą. Nie powinnam ukazywać się Irielle w takiej postaci, wszak ona nie ma złych zamiarów. – Powoli uniosła połyskujące od klejnotów dłonie na wysokość czoła. Zdjęła koronę, odłożyła ją na bok i oczom Fentona ukazała się blada, smutna twarz kobiety, która była ubrana w seledynową szatę, luźno spływającą po jej smukłym ciele. Włosy Kerridis, delikatnie okalające jej twarz, również jakby straciły swój dawny blask. Westchnęła i powiedziała:

–Jesteś zmęczony, podejdź tu. Oto vrill, powinien ci ulżyć.

Palce Fentona zacisnęły się na małym, podłużnym, seledynowym kamieniu. Poczul ulgę. Skurcze, które dotychczas chwyciły jego mięśnie, zelżały. Kerridis zaprosiła go skinieniem ręki, by usiadł. Zatonął w czymś, co wydawało się łóżem z mchu.

–Findhal twierdzi, że stanowisz dla nas zagrożenie. Wydaje mu się tak dlatego, że żelazory podążają wszędzie tam, gdzie ty się znajdujesz. Ale żelazory były w tym świecie długo przed twoim przybyciem i jeśli ktoś je sprowadził to Pentarn. Nie wierzę, byś był z nim sprzymierzony przeciwko nam.

–Nie – rzekł Fenton. – Jestem przerażony, bo żelazory przedostały się również do mojego świata, a gdy o tym mówię, nikt nie chce mi wierzyć.

Kerridis uśmiechnęła się nieznacznie.

–Wydaje mi się, że wszyscy wolelibyśmy nie wierzyć w żelazory, gdyby tylko nasza niewiara mogła zmusić je do odejścia. Być może istnieją światy, w których są one mile widziane i życzyłabym sobie, żeby tam pozostały. Findhal ma oczywiście rację, kiedy mówi, że powinniśmy wzmocnić nasze środki bezpieczeństwa i sprzymierzyć się z każdym światem, który będzie nam skłonny pomóc. Sądzę, że Pentarn przekonał żelazory, by uczyniły nas głównym celem ataków. Im to odpowiada, bo my i nasze zwierzęta jesteśmy dla nich wymarzoną żywnością – mówiąc to Kerridis wzdrygnęła się. – To prawda, że one boją się naszych vrillowych mieczy, tak samo jak my boimy się dotyku ich ciał, ale mimo to są silniejsze i liczniejsze od nas. Nie wiem, czy uda nam się je powstrzymać, ponieśliśmy już bardzo ciężkie straty.

–Jak Pentarn zdołał to uczynić? – spytał Fenton. – Nie jestem pewna – odpowiedziała – ale sądzę, że znalazł sposób na otwieranie Bram naszego świata bez pośrednictwa Domu na Rozstajach. Strażnicy Domu są zaprzysiężeni, aby utrzymywać równowagę między światami. Drapieżniki nie mogą więc przechodzić z jednego wymiaru do drugiego poza okresami, gdy Bramy same się otwierają. Jeśli Pentarn był w stanie je otworzyć, można by go przekonać, żeby je zamknął. Wiem, co mogłoby go przekonać, ale nie mam zamiaru tego uczynić.

–Co mogłoby go przekonać? – zapytał Fenton, choć właściwie znał już odpowiedź.

–Chce odzyskać swego syna. Chce, by Joel Tarnsson wrócił do niego. Ja jednak przyrzekłam Joelowi, że na zawsze może znaleźć u nas schronienie i nie złamię raz danego słowa. W Domu na Rozstajach powiedzenie „Nie ufaj Alfarom” jest przysłowiowe i czasami obawiam się, że to prawda. Nigdy nie wyglądamy dwa razy tak samo, ale jest tak dlatego, że nasz świat podlega ciągłym zmianom, a my musimy się zmieniać wraz z przyływami i odpływami czasu naszego świata. Możemy próbować chronić się przed tym za pomocą zaklęć powstrzymujących czas, ale mimo to podlegamy nieubłaganym zmianom, a nasz świat nigdy nie pozostaje w bezruchu. Nigdy nikogo świadomie nie oszukujemy i nie łamiemy danego słowa, o ile prawa

czasu naszego świata nie zmuszają nas do tego. Gdy więc przyrzekłam Joelowi schronienie, będę mu go udzielać tak długo, jak to możliwe. Findhal pragnie, bym powiedziała Joelowi, że nie jest już dłużej w mojej mocy dawanie mu schronienia pośród leśnych ostępów Alfarów. A ja nie powiem tego, dopóki nie będę zmuszona, więc Findhal zarzuca mi, że jestem współodpowiedzialna za wyniszczanie nas wszystkich. Mimo że Joel Tarnsson jest zaadoptowanym podrzutkiem i walczy u naszego boku przeciwko ludziom ze swego własnego świata, mimo że Irielle jest po słowie z Joelem, Findhal przysiągł sobie, że zwróci Joela Pentarnowi, żeby ocalić nasz lud. Kerridis westchnęła i wtuliła się skulona w miękkie posłanie z mchów. – Nie wiem, co powinnam teraz zrobić. Mogę się odwoływać do Domu na Rozstajach, ale obawiam się, że nikt tam nam nie pomoże. Obecnie nie mam tam żadnego przyjaciela. Nie wiem, do kogo się zwrócić. Popatrz tylko na mnie – uśmiechnęła się ponuro – przyszło mi zwierzać się Cieniowi...

–Pomógłbym ci, gdybym tylko mógł. Wyciągnęła do niego smukłe palce, bogato ozdobione pierścieniami. Wydawało się, że promieniuje bladą poświatą, mimo że nie miała na głowie korony, od której płynęła jej magiczna moc.

Fenton trzymał w dłoni vrill, co sprawiło, że odczuł dotknięcie Kerridis bardzo fizycznie. Dotyk jej palców miał miękkość baśniowego kwiatu. Wstała i gestem ręki poprosiła, by Fenton uczynił to samo.

–Jestem już zmęczona siedzeniem tutaj i oczekiwaniem złych wieści, próbami zebrania mocy, jaka umożliwiłaby mi narzucenie woli doradcom, którzy stali się ostatnio moimi wrogami. Chodź, Fentonie, przejdźmy się trochę pośród drzew. Wkrótce zostanę wezwana, żeby stawić czoło swym przeciwnikom! Opowiedz mi o swych losach w twoim świecie. Jak to się stało, że powróciłeś tu znów jako Cień?

–Nie wiem, jak ci to opowiedzieć – odrzekł Fenton i milczał przez chwilę; przechodzili właśnie przez rozświetloną zielonością altanę z liści. Drzewa ją tworzące były wysokie, o grubych, opadających konarach, ciężkich od liści i bladozielonego, jedwabistego mchu. Ich kora miała barwę przypominającą kość słoniową. W niczym nie były podobne do drzew, jakie Fenton widział dotychczas. Żałował, że nie jest przyrodnikiem i nie może ocenić, czy jest to tylko inna odmiana drzew, które rosną też gdzieś w jego świecie, czy rośliny należące tylko do tego wymiaru. Znacznie silniej niż dotąd – jako parapsycholog – zaczynał odczuwać sympatię wobec ludzi, którzy doświadczywszy czegoś niezwykłego, nie byli w stanie podzielić się tym z innymi. Mity i legendy opowiadały o bohaterach, którzy zbłądziwszy w baśniowych światach, powracali do swoich i okazywało się, że nikt ich nie rozumie i że są niewiarygodni dla swych pobratymców. Choć studia przygotowały Fentona do przyjmowania za prawdziwe tego, w co inni ludzie nie byli skłonni uwierzyć, Cam dopiero teraz doświadczał w pełni subiektywnej natury rzeczywistości. W sytuacji takiej jak ta, ciągle powtarzana zasada parapsychologów „miej umysł otwarty na wszystko” wydawała się zupełnie bezużyteczna.

–O czym myślisz, Fenn-ton?

Łapanie Kerridis od czasu do czasu na kłopotach z wymawianiem jego imienia rozczulało go i jednocześnie przypominało o podobieństwie do Pentarna i jego syna, a w końcu o jego własnych podświadomych poszukiwaniach.

–Myślałem o tym, że w moim świecie nikt nie chce uwierzyć w istnienie waszej krainy.

Uśmiechnęła się.

Fenton zaczął rozmyślać, na czym polega czar jej uśmiechu. Czy wynika on jedynie z obcości, z tego, co pociągające w baśniowości, czy może z nieustannie obecnego poczucia, że Kerridis nie jest istotą ludzką, a przynajmniej nie do końca ludzką?

–Trudno mi to zrozumieć – powiedziała. – Nie przebywałam zbyt długo w światach pod słońcem, bo silne światło jest dla nas, Alfarów, niebezpieczne.

Zastanawiał się, czy chodzi jej o szkodliwość promieni ultrafioletowych uszkadzających skórę albinosów i innych mutantów, czy jej lęk ma bardziej subtelny, ezoteryczną podstawę. Zdał sobie sprawę, że nawet gdyby zapytał, wyjaśnienie Kerridis nie miałyby sensu z punktu widzenia kategorii pojęciowych jego świata.

–Mimo to – mówiła z namysłem i spoglądała na niego – przez całe stulecia ludzie z obu naszych światów spotykali się wielokrotnie. To prawda, że jesteście tematem naszych legend, a ostatnio znamy was lepiej i wiemy, kim jesteście. Wiemy też w niewielkim stopniu, jak ulżyć cierpieniom waszych ludzi, którzy przychodzą do naszego świata. Adoptowane przez nas podrzutki już nie umierają tak jak kiedyś bardzo młodo. Być może Irielle mówiła ci, jak Findhal pilnował, aby spędzała czas pod słońcem swego świata. Zwłaszcza wtedy, kiedy była mała i ciągle rosła. Wiedział, że brak słońca może zatrzymać jej wzrost. Jestem przekonana, że w twoim świecie krążą o nas opowieści. Powstały, kiedy Bramy między naszymi światami znajdowały się bliżej siebie, a przez to były bardziej dostępne.

–Tak – potwierdził Fenton w zamyśleniu. – Ale wtedy ludzie uważali, że określenie czegoś mianem legendy oznacza, iż dana historia jest kłamstwem... zmyśloną opowieścią, bajką słuchaną dla rozrywki.

Uśmiechnęła się znowu. Chciał zobaczyć ją uśmiechnętą. Raz ujrawszy uśmiech Kerridis, nie mógł się powstrzymać od czekania na jego powtórne pojawienie się.

–Przecież to głupota – stwierdziła. – Jakie korzyści mogą przynosić i jaką wartość mogą mieć historie wyssane z palca? Jak można mówić o rzeczach, w których nie tkwi choć ziarno prawdy? Pentarn był właśnie taki. Ale w końcu odkryliśmy, że mówił o rzeczach, które nie miały miejsca, które były nieprawdziwe, których nie mógł

widzieć. Nigdy nie pojęliśmy tej dziwnej choroby. Czy podobnie jest w twoim świecie? Czy ludzie mogą mówić o rzeczach, których nikt nie widział ani nie słyszał?

–Oczywiście, że mogą – odparł smętnie Fenton. Kerridis potrząsnęła głową.

–Jakże dziwne są ich umysły. Były czasy, gdy w naszym języku nie istniały słowa do wyrażenia rzeczy, które nie były prawdziwe. Teraz jesteśmy zmuszeni uwierzyć w to, że są ludzie, którzy umieją opowiadać i wyczyniać niestworzone historie. Naturalnie, mogłabym w naszym języku powiedzieć, że śnieg uniesie się z ziemi pod niebiosa albo że liście na tym drzewie zaczną się mienić fioletem lub że żaby zaczną śpiewać pieśni Alfarów. Nie mogłabym tego jednak powiedzieć poważnie. Jest to niemożliwe w języku Alfarów.

Słowa Kerridis wyjaśniały jeszcze jedną starą legendę, którą Fenton sobie teraz przypomniał. Mówiła ona, że świat baśni był pełen forteli i sztuczek. Jeśli więc baśniowe istoty nie umiały kłamać, musiały znać inne sposoby chronienia swych tajemnic. Problem ten wyjaśniało również stare wierzenie, według którego złapawszy krasnoludka można go było zmusić do wydania jego wszystkich sekretów. Wynikała z tego praktyczna wiedza, że choć krasnoludki mogły i przeważnie starały się unikać odpowiedzi na zadawane im pytania, nie mogły kłamać świadomie, bo nie były zdolne złamać raz danego słowa, i bardzo niechętnie składały obietnice.

Być może wyjaśniało to także, dlaczego tak bardzo unikały kontaktów z ludźmi umiejącymi kłamać, przekręcać fakty i zmyślać rzeczy, które nigdy się nie zdarzyły.

Fenton odezwał się:

–Postaram się nigdy cię nie okłamać, Kerridis. Zorientował się, że jego głos brzmiał mniej pewnie, niż Cam by tego chciał.

–Wiem o tym – rzekła. – Wiem, że nie jesteś Pentarnem. Trochę się ciebie boję, bo rzeczywiście wyglądasz bardzo podobnie do niego, ale wiem, że nim nie jesteś, a nawet nie jesteś tak bardzo podobny, kiedy przyglądam ci się z bliska. – Znow wyciągnęła ku niemu dłoń, a on wziął ją w swoją, ale magia chwili została zmacona myślą o Pentarnie. Zorientował się, że wspomina spokój górskiego domu wuja Stana. Przypomniał mu się żelazor, który wyskoczył nagle spośród drzew i zabrał siekierę.

–Powiedziałaś przed chwilą, Kerridis, że Bramy między naszymi światami były kiedyś bliżej siebie... – To prawda. Wydaje mi się, że wraz ze zmianą pór roku nasze światy oddalają się od siebie coraz bardziej. Pokonanie tej odległości wydaje się coraz trudniejsze. Coraz mniej Cieni odwiedza nas we śnie. Właściwie tylko ci, którzy znają zaklęcie Bram, są w posiadaniu odpowiednich kluczy lub talizmanów. Albo ci, tak jak Pentarn, którzy nauczyli się pokonywać tę przepaść i odtąd używają swej wiedzy dla własnych celów. Kiedy byłam młodą dziewczyną, wielu ludzi przychodziło

do naszego świata podczas snu, pozostawiwszy swoje ciała. Przebywali u nas w takiej formie jak ty. Istnieli tu sami dla siebie i po części również dla nas, ale jednocześnie byli w stanie przechodzić przez ściany i dryfować jak mgła przez przedmioty materialne. Zawsze znajdowali się też tacy, którzy przechodzili przez Bramy, kiedy tylko słońce, księżyc i gwiazdy były we właściwej pozycji. Tułali się po naszym świecie jak we śnie, choć wiedzieli, że nie śpią, ale nie wierzyli w to, co widzą. Jacyś szaleńcy, trubadurzy, ci, którzy wiedzieli, gdzie są Bramy i co zrobić, by je otworzyć, zawsze przychodzili. To się teraz często nie zdarza. Pentarn był pierwszym Przechodniem od wielu, wielu pokoleń. Myślę oczywiście o twoich ludziach, wyłączając tych, których zabieramy jako podrzutki.

–Pentarn nie jest z mojego świata, mimo że jego ludzie przypominają naszych. Z mojego świata jest Irielle. Opowiadała mi, jak Findhal ją zabrał, kiedy jego żona nie mogła mieć dziecka. Czy w taki sam sposób zabraliście syna Pentarna?

–Nie – odpowiedziała Kerridis. – Joel sam do nas przybył. Traktowaliśmy go tak, jak gdyby był jednym z naszych zaadoptowanych podrzutków. Był słabym i chorowitym dzieckiem, a jego ojciec nie wiązał z nim żadnych specjalnych nadziei w jego świecie, bez względu na to, jakim by ten świat był. Pentarn zmienił zdanie w kwestii swego syneczka i dał upust złości i żalu, złości, której konsekwencje mogą się okazać tragiczne dla nas wszystkich! – W Kerridis narastał przez chwilę gniew, po czym się zreflektowała. – Nie powinnam tak mówić o Joelu. – Uśmiechnęła się blado. – Ufam temu chłopcu... Myślę, że było tak: Pentarn nauczył go otwierać Bramy dla zabawy, żeby nie nudził się podczas długiej choroby. Kiedy do nas przyszedł, ucieszyliśmy się, że będzie świetnym towarzyszem zabaw dla Irielle, której przybrana matka była moją serdeczną przyjaciółką. Czasami przychodził jako Cień. Jego ciało było wtedy zbyt słabe i zostawało w tamtym świecie zdjęte chorobą. U nas jednak zawsze czuł się silny i zdrowy, aż w końcu błagał, żebyśmy pozwolili mu zostać tu na dobre. Nie mieliśmy nic przeciw temu, bo go polubiliśmy. Pentarn wychodził z siebie, gdy się dowiedział. Chciał nas zmusić, byśmy odesłali Joela z powrotem do jego świata, gdzie zawsze był chory i nieszczęśliwy. Pragnęliśmy wytłumaczyć wszystko Pentarnowi, ale on przyjmował tylko do wiadomości, że ma syna i że syn powinien z nim być. Przysiągł sobie, że zmusi nas, abyśmy oddali mu Joela, jak filiżankę, nie spytawszy go o zdanie, jak gdyby syn był zwykłą rzeczą, którą można przekazywać z rąk do rąk. Myślę, że dlatego mnie porwał i pozwolił, by żelazory źle mnie traktowały. Miał nadzieję, że dostanie z powrotem Joela w zamian za mnie. Jakby jedno miało coś wspólnego z drugim.

Pentarn, pomyślał Fenton ponuro, chce zniszczyć każdy świat, który stanął na drodze jego ambicji lub jego zemsty. Odezwał się nagle:

–Właśnie dlatego tu dziś przyszedłem. Nie wiem, na jakiej zasadzie działają Bramy, o których mówisz. Zdążyłem się zorientować, że muszą zaistnieć odpowiednie warunki albo Bramy muszą się znaleźć w odpowiednim miejscu i czasie, żeby się otworzyły.

Ale dwa razy widziałem żelazory w miejscach, gdzie nie miały żadnego interesu. Czy sądzisz, że Pentarn maczał w tym palce?

–Jestem o tym przekonana – odpowiedziała Kerridis. – On znalazł jakiś sposób na to, żeby Brama otwierała się tam, gdzie on tylko zechce. Obawiam się, że to jeszcze bardziej osłabi strukturę przestrzeni i czasu między światami. Pamiętasz, wtedy kiedy byłeś w grotach, Pentarn otworzył sobie Bramę i zniknął. Czy widziałeś żelazory w pobliżu Domu na Rozstajach?

–Nie wiem – odparł Fenton – nigdy nie widziałem Domu na Rozstajach, a jeśli już, to nie zdawałem sobie sprawy, że to on. Raz chyba tylko zniknął, kiedy próbowałem do niego wejść...

–...w nieodpowiednim momencie – dokończyła Kerridis, jakby stwierdziła coś najzupełniej oczywistego. – Czasem po prostu nie chce być znaleziony. Prawdopodobnie nie znajdziesz go, zanim nie przyniesiesz odpowiedniego talizmanu. Być może jednak sama powinnam się tym zająć. Pozostali również przygotowują się do Rady, ale ja mam bardzo poważne zastrzeżenia do ich żądań: moi przeciwnicy pragną, aby nasz świat zamknął Bramy i byśmy odesłali wszystkie zaadoptowane podrzutki do miejsc, z których pochodzą. Zamierzają także zniszczyć wszystkie talizmany, by raz na zawsze odciąć się od innych światów i nigdy więcej nie mieć z nimi nic wspólnego. Nie wydaje mi się, byśmy mogli sobie na to pozwolić. W dużej mierze zależy od waszego świata. Niektóre związki między nami sięgają wstecz do czasów prehistorycznych. Jak więc moglibyśmy zanegować doświadczenie i mądrość niezliczonych pokoleń Alfarów, i wiedzę, która głosi, że jesteście naszymi dziećmi i nimi pozostaniecie bez względu na oddalanie się naszych światów od siebie? Obawiam się jednak, że nie będę w stanie stawić czoła całej Radzie zjednoczonej przeciwko mnie. – Kerridis przyjrzała się Fentonowi bardzo uważnie. – Zaczynasz zanikać – powiedziała ostro. – Ściskaj mocno vrill, to powinno złagodzić twój ból.

Fenton zatrzymał się i przykucnął, aby rozmasować paraliżowane skurczami mięśnie nóg. Zastanawiał się, czy przebywa tu aż tak długo, żeby w jego ciele zaszły nieodwracalne zmiany fizjologiczne? Czy znowu odwieźli jego ciało do szpitala? Nie chciał jeszcze wracać. Nie teraz, kiedy był tak blisko poznania sekretu Domu na Rozstajach z ust samej Kerridis. Z determinacją zaciskał w dłoni podłużną bryłkę vrillu.

–Boję się o ciebie, Fenton. Może powinnam cię natychmiast odesłać...

–Nie – zareagował żywo. – Wszystko w porządku, dobrze się czuję.

Na twarzy Kerridis pojawił się ten jej słodki, współczujący uśmiech. Drobne, niematerialne palce zacisnęły się na dłoni Cama. Mimo że uścisk był ledwo

wyczuwalny, Fentona ogarnęło ciepło i odprężenie.

–Chciałabym ci jakoś ulżyć – powiedziała – ale myślę, że może będzie lepiej dla naszych światów, jeśli zaakceptuję tę szlachetną nieprawdę. Bo myślę, że powiedziałeś mi nieprawdę, tak jak Pentarn, ale nie uczyniłeś tego ze złej woli, lecz z męstwa. Chodź ze mną, Fenton, zaprowadzę cię do Domu na Rozstajach. Zmuszony był zapytać:

–Czy to bardzo daleko? – Nie miał pojęcia, gdzie się znajduje w odniesieniu do swego świata.

Kerridis wyglądała na zakłopotaną.

–Jest tam, gdzie jest. Podróż nie będzie daleka, jeśli o to pytasz. Myślę... – rozejrzała się wokół badawczo w ten dziwny, charakterystyczny dla Alfarów sposób myślę, że mogę sprawić, aby ta ścieżka nas tam zaprowadziła. Chodź...

Jeszcze raz Fenton poczuł bardzo subtelny dotyk jej smukłych palców, zamykających się na jego dłoni.

–Musisz iść blisko mnie, jeśli mam cię tędy przeprowadzić – dodała.

Miał ochotę powiedzieć: „Będzie całkiem przyjemnie”, ale czy mógł powiedzieć to głośno do Pani Alfarów, Królowej Wrózek? W końcu nie odezwał się, tylko ujął silnie jej dłoń.

Gdy tak szli przez chwilę, Fentonowi wydało się, że ledwo widoczna ścieżka staje się coraz bardziej wyraźna, jakby wydeptana setkami stóp. Trochę później za zakrętem zobaczył najbardziej niezwykłą ze wszystkich rzeczy, jakie dane mu było oglądać u Alfarów, dziwniejszą nawet od Skalnego Lochu.

Drzewa przed nimi przeredzały się otwierając widok na przestronną polanę, która była porośnięta jasnozieloną trawą upstrzoną drobnymi złocistymi kwiatkami. W centrum polany wznosiła się brama. Z ziemi wyrastały dwie potężne złote kolumny, kunsztownie zdobione runicznymi wzorami. Ich szczyty tonęły we mgle snującej się nad polaną.

–Oto Brama Światów, a za nią stoi Dom na Rozstajach – oznajmiła Kerridis zupełnie niepotrzebnie. Fentonowi nie przyszłoby do głowy, że to może być cokolwiek innego.

Między kolumnami była... nicość, pustka. Gdy u boku Kerridis Fenton przekroczył granicę Bramy, czuł przez krótką chwilę, że leci w otchłań. Wrażenie to znał z nocnych koszmarów, w których spadał w nieskończoność, czując bezwład kończyn, niezdolny do krzyku. Sekundę później ocknął się i zauważył, że stoi na ziemi, nadal u boku Kerridis. Patrzył w głąb przestronnego dziedzińca. Spojrzał w górę i stwierdził,

że spogląda w bezgwiazdną, bezgraniczną przestrzeń.

W głębi dziedzińca majaczyły cienie, były jednak zbyt odległe, żeby Cam mógł wyraźnie określić zarysy postaci. Kerridis i Fenton pomknęli z prędkością myśli w stronę kształtu, który Cam powoli rozpoznał jako następną złotą bramę. U jej wrót siedziała skurczona postać w szarej szacie.

Był pierwszym brodatym Alfarem, jakiego Fenton widział. Twarz, którą ujrzał, była twarzą starca. Długie, siwe włosy spływały mu na ramiona, a biała broda i wąsy sięgały aż do pasa. Zamyślony Alfar spoglądał na nich zielonymi, głęboko osadzonymi oczami. Czoło miał naznaczone głębokimi bruzdami zmarszczek.

Gdy się zbliżyli, wstał i skłonił się przed Kerridis. – Oto Pani – stwierdził starzec, a oczywistość jego słów zirytowała Fentona. – Nie oglądaliśmy cię, Pani, w Domu na Rozstajach przez wiele, wiele dni. Dokąd prowadzą cię twe ścieżki, Kerridis?

–Rzadko podróżuję poza granice mojego świata odpowiedziała Kerridis; zmarszczyła przy tym brwi w taki sposób, że Fenton natychmiast przypomniał sobie Sally. Zaczął się zastanawiać, czy jego fascynacja Sally nie wynika stąd, że w jakiś subtelny i trudny do określenia sposób kobieta ta przypomina mu Kerridis. – Jak się mają sprawy Bram, Myrillu? – zapytała Kerridis. – Wy, których obowiązkiem jest strzeżenie Bram, przysięgaliście utrzymywać równowagę między światami. Stojący obok mnie człowiek ze świata pod słońcem opowiedział mi, że żelazory przenikają masowo do jego świata. A tam przecież nie ma dla nich miejsca. Jeśli ci, którzy pilnują Bram, nie są w stanie zapobiec takim przeciekom...

–Z pewnością nie przechodzą przez tę Bramę, Pani. To wszystko, co mam ci do powiedzenia – odparł Myrill urażonym tonem. – Nie mam nic wspólnego z innymi Bramami ani z ludźmi, którzy łamią Prawo stawiając Bramy tam, gdzie ich nigdy nie było. Nie dotyczy mnie to w najmniejszym stopniu.

Kerridis ponownie zmarszczyła brwi i rzekła:

–Co więc mamy uczynić z tymi, którzy zezwalają na bezprawie?

–Te sprawy nie należą do mnie, Pani – powtórzył starzec z uporem.

Fentonowi przyszło na myśl, że podstawowym problemem wszystkich światów jest znalezienie rozwiązania, jak nie dopuścić do powstawania nowych Bram i przenikania przez nie niewłaściwych osób.

–Powinieneś wiedzieć – oznajmiła Kerridis i tupnęła z irytacją nogą – że Erril i Findhal pragną zamknąć Bramy po wsze czasy. Chcą zamknąć wejście do Domu na Rozstajach z naszej strony, by uniemożliwić wychodzenie z naszego świata i wchodzenie do nas z zewnątrz.

–Tego uczynić nie mogą, Pani – powiedział starzec. – Wierz mi, że Dom na Rozstajach istnieje nie bez przyczyny. Jeśli go zamkniemy, doprowadzimy jedynie do tego, że ci, którzy będą pótrzebowali przejść, będą to czynić w złym miejscu i czasie. Tak jak ten Pentarn. Gdy Findhal zamknął przed nim naszą Bramę w Domu na Rozstajach, tamten znalazł sposób, by obejść jego zakaz. A tych stworzeń, które przywiódł ze sobą... nie zdołałyby wprowadzić przez właściwą Bramę lub przez Dom.

Fenton patrzył teraz na przepastną, długą przestrzeń głównego dziedzińca otwierającą się za plecami starca. Widział cienie, cieniste kontury, drzwi. Nie takie zwykłe drzwi z progami, framugami, skrzynkami na listy i klamkami, ale łuki i dziwne wejścia w nicość. Przez każde wejście było widać szarą pustkę. Kiedy tak się przyglądał jednemu z nich, zrozumiał, że patrzy na coś, co przypomina centrum komputerowe. Przez inne wejście dostrzegł zarysy, które przypominały mu mały antykwariat z klubem miłośników Dungeons Dragons. Czyżby znajdował się w miejscu centralnym, w Domu na Rozstajach, z którego sterowano otwieraniem pozostałych Bram? A może to tylko forma, jaką Dom przybrał tutaj, a w każdej innej rzeczywistości wyglądałby inaczej?

Pentarn musiał w jakiś sposób stworzyć dla siebie poruszające się Bramy. Nie trudno było w to uwierzyć, obejrząwszy sprzęty w Pałacu Wojen. Z tego co mówiła Irielle, kiedyś Bramy otwierały się samoistnie między niektórymi światami. Może właśnie dlatego tak wiele niesamowitych, okrutnych legend dotyczyło pełni księżyca i zaćmień. Wtedy Bramy otwierały się między różnymi wymiarami, a ludzie mogli swobodnie przechodzić z jednego do drugiego. Sny, z których budzą się przerażeni spadaniem w przestrzeń... czyżby były wspomnieniem przejścia przez Bramę Światów we śnie? I czy w końcu nie przeżywamy snów na jakimś konkretnym poziomie rzeczywistości, „gdzie indziej“?

A czymże, do diabła, jest rzeczywistość? rozmyślał Fenton.

–Myrillu, czy przyjdiesz na Radę i zabierzesz głos, żeby znano twoją opinię w tej sprawie? – spytała Kerridis.

–Ależ, Pani, nie jestem powołany do takich rzeczy... Ja obok wszystkich dostojników Alfarów... protestował starzec.

–Oni mi nie uwierzą – powiedziała Kerridis. Fenton nigdy by nie przypuszczał, że jej subtelny głos może wyrażać tyle goryczy.

–Są mi winni wierność i posłuszeństwo – ciągnęła Kerridis – ale teraz nie mam na tyle władzy...

–Jesteś naszą Panią – odparł pewnie Myrill. Nie słuchamy cię dlatego, że mamy taki kaprys ani nawet dlatego, że twoje rozkazy są właściwe. Jesteśmy ci posłuszni

właśnie dlatego, że jesteś Panią.

Uśmiechnęła się smutno.

–Chciałabym, żeby wszyscy myśleli tak jak ty, stary przyjacielu. Może mógłbyś przyjść i przypomnieć im o tym? Jeśli rozkażę ci przyjść, zrobisz to?

–Wiesz, Pani, że muszę robić to, co rozkazujesz odparł starzec mrukliwie.

Kerridis roześmiała się tym razem i powiedziała: – Czy możesz zostawić kogoś na straży Bramy? – Pozwól, że sprawdzę, czy ktoś jest wolny – odparł Myrill. Odszedł powoli w stronę dziedzińca, na którego końcu majaczyły portale przejść.

Kerridis odwróciła się do Fentona i przyjrzała mu się uważnie.

–Co mogę dla ciebie zrobić? Czy mam cię przeprowadzić z powrotem przez Bramę? Nie jest to konieczne, bo będąc Cieniem możesz przecież wrócić z jakiegokolwiek miejsca. Zatrzymaj vrill – dodała dzięki niemu będziemy się mogli znów spotkać, jeśli zdecydujesz się powrócić.

Fenton z trudem rozprostował palce dłoni i przyjrzał się bryłce połyskującego, miejscami bladego kamienia przypominającego krzemień, kamienia, z którego Alfarowie wykuwali głównie swych mieczy. Bryłka miała podłużny, cylindryczny kształt, a na powierzchni odcisniętą pieczęć Kerridis. Fenton zastanawiał się, czy kamień wyglądałby tak samo we wszystkich wymiarach. Spazmatycznie zacisnął na nim palce. Przyjrzał się swej dłoni i z przerażeniem stwierdził, że blado połyskujący kamień prześwituje przez jego zaciśnięte palce. Robiło to ogromne wrażenie.

Stary Myrill powłócząc nogami wolno się wyłaniał z długiego korytarza pełnego przejść. Za nim szła młoda kobieta, w której Fenton rozpoznał sprzedawczynię z małego, znikającego antykwariatu. Ta sama, która sprzedała mu reprodukcję Rackhama. Teraz nabrał już pewności, że mały antykwariat jest Domem na Rozstajach, co stwierdzał z niemalą satysfakcją.

–Czy chcesz, bym stanęła w twojej Bramie, Myrillu? – spytała kobieta.

–Wedle życzenia Pani – odpowiedział zrzędząco Myrill.

–Czy wyświadczysz nam tę przysługę i staniesz w naszej Bramie na czas udziału Myrilla w Wielkiej Radzie? – odezwała się miękko Kerridis.

Dziewczyna z antykwariatu wykonała dworski ukłon, który zaskoczył Fentona – wydawało się, że zupełnie nie pasuje do jej nowoczesnego ubioru. Cam w końcu uświadomił sobie, że jej antykwariat musi być uczęszczany przez anachronistów i że dziewczyna jest zapewne ekspertem od średniowiecznych dworskich manier.

–A kto przypilnuje twojej Bramy? – zapytała Kerridis.

–Chwilowo jest zamknięta i strzeżona w inny sposób – odparła dziewczyna z uśmiechem. Zerknęła na Fentona i uniosła w zdumieniu brwi.

Cam zastanawiał się przez chwilę, czy go rozpoznała, ale w tym momencie za bardzo cierpiał, aby przykładać do tego większe znaczenie.

–Możesz już iść, Myrillu, ja przypilnuję twojej Bramy – powiedziała dziewczyna i oddaliła się.

–Wkrótce spotkamy się w komnacie Wielkiej Rady, Myrillu – zwróciła się do niego Kerridis.

Po tych słowach starzec odszedł.

Kerridis wyprowadziła Fentona z powrotem na zamgloną polanę.

–Znikasz – spostrzegła mocno zaniepokojona. Koniecznie muszę znaleźć jakiś sposób, byś mógł do nas przyjść w ciele. Nie ma powodu, żebyś miał do nas nie przechodzić, jak chcesz, skoro Pentarn może przychodzić nie proszony jako Przechodzień.

Głupotą byłoby ci zabraniać, jeśli jestem przekonana, że nas nie skrzywdzisz.

–Nie wiem, kiedy będę mógł znowu przyjść rzekł Fenton z goryczą w głosie – nie wiem też jak, nie wiem czy kiedykolwiek. – Wiedział, że upłynie jeszcze dużo czasu, nim ponownie zaryzykuje wzięcie nie sprawdzonego antarilu, jeśli w ogóle zaryzykuje. Zdał sobie teraz sprawę, że kolejne przyjscie w formie Cienia byłoby w tych warunkach jeszcze trudniejsze do zniesienia, niż gdyby w ogóle nie przyszedł. Każdy centymetr jego ciała rozrywały bolesne skurcze. Jak to możliwe, skoro wcale go tu nie było? Przypuszczał, że nie zrozumie tego nigdy. Prawa rządzące tą rzeczywistością ciągle go zaskakiwały.

Kerridis zatrzymała się i uniosła ku niemu twarz. Rozproszone przez liście drzew zielonkawe światło ukazywało jej piękne, szlachetne rysy. Wyglądała jeszcze bardziej obco, odlegle i nieludzko niż zwykle, choć z jakichś perwersyjnych przyczyn jeszcze bardziej pociągająco. Szepnęła:

–Byłoby mi bardzo smutno, gdybym miała cię już nigdy nie ujrzeć, Fenn-ton. Cóż z tego, że moi doradcy nie uwierzyliby własnym uszom, gdyby słyszeli te słowa. – Nagle spuściła wzrok, jakby nie mogła już patrzeć mu prosto w oczy. Znowu dotknęła jego dłoni.

Zupełnie nie czuł jej dotyku i to go przeraziło. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek

wróci do krainy Alfarów, czy kiedykolwiek jeszcze zobaczy Kerridis. Usłyszał swój załamujący się głos:

–Jeśli zamierzacie zamknąć Bramę Światów i wszystkie ścieżki prowadzące do krainy Alfarów...

–Nie – przerwała mu. – Nie możemy tego uczynić. Bez względu na to, co mówi Findhal, nie wolno nam ryzykować. Może nadejdzie czas, kiedy Alfarowie będą mogli przetrwać bez przecinania się światów. Myślę jednak, że teraz nie możemy zostać sami. Potrzebujemy tak wielu rzeczy z innych światów. Nasz jest stary i wyczerpany. Nasze podrzutki umarłyby, gdyby nie mogły przechodzić choćby na krótko do światów pod słońcem. Dopóki nie zrozumiemy tego, że przyszedł czas, kiedy Alfarowie muszą zaakceptować swój los i umrzeć, dopóki nie zrozumiemy, że naszym losem jest zginąć z ręki żelazorów, dopóty nie mamy prawa zamknąć Bram. Tak uważam. Nie mamy prawa zamykać wejść do naszego świata, jeżeli nie zamkniemy również wyjść. Jeśli nie damy innym światom tego, co powinniśmy im dać, nie możemy wziąć od nich niczego bez względu na to, jak bardzo tego potrzebujemy. Musi istnieć otwarta wymiana. Nie możemy wszak żyć okradając inne światy i pasożytując na nich, bo stoczymy się jeszcze bardziej niż żelazory.

–Oczywiście – zgodził się Fenton. – To nie byłoby uczciwe.

–Nie jestem pewna, czy rzeczywiście udałoby się nam zamknąć Bramy, nawet gdybyśmy tego próbowali. I tak musielibyśmy wciąż zwalczać intruzów. Tacy jak Pentarn znają sposoby na otwieranie Bram tam, gdzie i kiedy im się to żywnie podoba. Pentarn potrafi stawiać Bramy w miejscach, w których ich nigdy wcześniej nie było. Jestem przekonana, że i tak spuściłby na nas żelazory i potworna rzeź byłaby nieuchronna. Mamy wielu mężnych wojowników, lecz gdy pomyślę o wojnie ze światem Pentarna, jej wizja wydaje mi się jeszcze straszniejsza od wojny z żelazorami.

–Z pewnością masz rację. – Fenton wzdrygnął się, ale nie umiał powiedzieć czy z bólu, czy na myśl o wojnie Alfarów ze światem Pentarna. Choć żelazory były odrażające, jednak podobnie jak Alfarowie walczyły wręcz. Jeżeli w ogóle jakakolwiek wojna mogłaby być sprawiedliwa, walka Alfarów z żelazorami okazałaby się wyrównana. Świat Pentarna natomiast był dostosowany do wymogów nowoczesnej wojny, i na samą myśl o machinach wojennych Pentarna Fentonowi zrobiło się niedobrze. Wojna ze światem Pentarna byłaby od początku jatką Alfarów.

–Bardzo bym chciała, abyś mógł być przy mnie na Radzie, Fenn-ton – wyznała Kerridis drżącym głosem. – Powinni wiedzieć, że żelazory włamują się również do twojego świata.

–Mogę spróbować zostać, jeśli sądzisz, że byliby skłonni mnie wysłuchać –

zaofiarował się Fenton. – Gdybyś tylko nie był tak bardzo podobny do Pentarna – powiedziała z żalem w głosie. – Nie jestem pewna, czy zechcą cię słuchać, choćby z tego powodu. Mimo to... – Jej dłonie zamknęły się na jego dłoniach. Jej dłonie obejmujące jego dłonie, w których ściskał bryłkę vrillu, jako jedyne były prawdziwe w tym zanikającym wszechświecie, jako jedyne kiedykolwiek istniały. Czuł ból przeszywający całe ciało; wydawało się teraz puste i niematerialne. Zaczął się powoli zastanawiać, czy odnajdzie drogę powrotną przez świat gnoma do swego wymiaru. Pragnął pozostać w tym świecie u boku Kerridis. Zdawał sobie sprawę, że ma do wygrania bardzo wysoką stawkę w świecie Alfarów. Nie wiedział, czy będzie jeszcze kiedykolwiek mógł tu powrócić, jeśli pozwoli sobie teraz na powrót do swojego ciała.

Choć umysł pracował pełną parą, żeby znaleźć sposób na przedłużenie pobytu u Alfarów, niematerialne ciało rozrywane potwornym bólem ciągnęło go z powrotem do swej materialnej postaci. Spostrzegł, że ręka Kerridis, spoczywająca teraz lekko na jego ramieniu, zaczęła jakby przenikać przez jego ciało. Powoli zniknął ze świata Alfarów, i przedmioty tego świata przestawały z wolna być dlań materialne. Słuchał drżącego głosu Kerridis, który, wydawało się, niknie w oddali.

–Pragnę, byś mógł zostać. Gdy jesteś obok mnie, czuję się mniej samotna... – wyszeptała. – Od pierwszej chwili gdy przyszedłeś do mnie w jaskini żelazorów, czułam się bezpieczna tylko wtedy, kiedy byłeś blisko. Fenn-ton, Fenn-ton, zostań ze mną, nie odchodź!

–Chciałbym zostać – rzekł chrapliwym, zdławionym głosem. Jej ramiona objęły go, a on przywarł do niej całym sobą, przerażony, że nieuchronnie musi zniknąć. Po raz pierwszy nie była niedosięglą Królową Wrózek, lecz kobietą w jego ramionach. Pomimo magii majestatu potężnej królowej z Czarodziejskiej Krainy zdawała się kruchą, bezbronną kobietą, wstrząsaną przez ból i strach. Zawsze wydawała mu się taką, nawet wtedy, gdy ujrzał ją po raz pierwszy, pojmaną przez żelazory, choć nie zdawał sobie jeszcze wtedy z tego sprawy. Pochylił się nad nią, a jego usta dotknęły jej warg. Ale był to już jedynie pocałunek Cienia, pocałunek, którego wrażenie odchodziło nieubłaganie w nicość jak najpiękniejszy baśniowy sen.

–Chcę z tobą zostać, Kerridis! – wykrzyknął zrozpaczony. – Kerridis, ja znikam, nie chcę odchodzić! Krzycząc tak czuł, jak opuszcza jej ramiona, a wraz z nią rozplywają się potężne drzewa i zielona poświata krainy Alfarów. Chwilę później pojawił się w niedużym pomieszczeniu, w którym siedziało za stołem czworo czy pięcioro młodych ludzi. Rzucali między sobą dziwnie wyrzeźbioną kością, która spadała na pokrytą labiryntem planszę do gry. Na planszy były poustawiane figurki połyskujące w dziwnie znajomy sposób; musiały być wykonane z vrillu. Uwagę Fentona najbardziej jednak przykuło to, że labirynt na planszy wyglądał na trójwymiarowy, a figurki poruszały się w nim niezależnie

nie od grających, jakby istniały samoistnie w swojej rzeczywistości.

Fenton czuł, jak srebrzysta pępowina jego duchowego ciała szarpie nim i ciągnie go z całej siły. Patrząc na labirynt na planszy odnosił wrażenie, że jest jedną z figurek i że podlega losowi dyktowanemu przez kość rzucaną przez grających w Dungeons Dragons.

Jeden z młodych ludzi uniósł głowę znad planszy. – Popatrzcie, wychodzi jakiś Cień – powiedział. Prawie go widzę. Hej, ty tam! – Popatrzył wprost na Fentona. – Wyglądasz, jakbyś się zgubił, a nie powinienes, masz przecież vrill.

–Gość kierownictwa – powiedziała dziewczyna, która na prośbę Kerridis miała zastąpić Myrilla, ta sama, która sprzedała Fentonowi reprodukcję Rackhama. Kiedy na nią spojrział, z lekka osłupiał. Wydawało się, że jednocześnie jest i nie jest w miejscu, z którego dochodził jej głos; robiła wrażenie przezroczystej. – Kerridis z krainy Alfarów przepuściła go tędy – oznajmiła dziewczyna.

–Czyżby przyjaciel wielkiej damy? – zaśmiał się arogancko młody człowiek. – W takim razie należy mu się przejście dla VIP-ów, prawda Jennifer?

–Żaden Cień nie jest VIP-em – odparła Jennifer; przyglądała się Fentonowi zza babcinych okularów. Odezwała się do niego takim tonem, jakby udzielała mu reprimendy: – Wracaj już lepiej do swego ciała, no, biegnij... – Przypominała dokładnie starą panią strofującą małe dziecko, aby nie błąkało się samo po nieznannej okolicy. – A jeśli masz już zamiar podróżować tą drogą, byłoby lepiej, gdybyś nauczył się reguł i przepisów.

Fenton zaczął się tłumaczyć, że o to mu od początku chodzi, ale jeden z młodych ludzi z kością w dłoni powiedział:

–To jeden z tych z Instytutu Parapsychologii. Dużo gadają i stawiają swoje karty testując je rachunkiem prawdopodobieństwa, a nie mają o niczym zielonego pojęcia i nie uwierzyliby nawet, gdyby im powiedzieć, jak się sprawy mają. – Zaśmiał się szyderczo. – Niech się bawią spokojnie, są zupełnie nieszkodliwi, no, biegnij, psorku.

Ugodzony do żywego, Fenton chciał coś odpowiedzieć, ale tylko sromotnie się ośmieszył, bo szarpnięty siłą swej duchowej pępowiny w stronę wyjścia zaczął się potykać jak pijany, a po chwili znalazł się na zewnątrz Domu na Rozstajach. Pamiętał jedynie, żeby bardzo mocno ścisnąć w dłoni vrill, który otrzymał od Kerridis. Tym razem wiedział z całą pewnością, że nie pokaże go Garnockowi.

Nagle, siłą szarpnięcia, która go o mało nie zabiła, znalazł się w swoim mieszkaniu. Czuł, jak łączy się z ciałem, które spoczywało w niewygodnej pozycji, pół leżąc, pół siedząc oparte o kanapę. Po chwili poczuł, jak tysiące grubych igieł przeszywają jego, prawdziwe tym razem, mięśnie. Gdy próbował zmienić pozycję oraz wyciągnąć nogi i wyprostował przy tym zaciśnięte palce dłoni, drobny przedmiot wyleciał mu z

ręki i potoczył się po podłodze. Fenton rzucił się za nim jak lew, by się przyjrzeć, jaką postać przyjął vrill w jego własnym świetle – lapis-lazuli, jadeitu, czy może drogiego kryształu?

Nie wierząc własnym oczom stwierdził, że trzyma w ręku kawałek najzwyklejszego plastiku.

ROZDZIAŁ 15

Fenton czuł obezwładniający ból w kolanach, co mu uświadomiło, że stawy zastały się po wielu godzinach na twardej podłodze w niewygodnej, nieruchomej pozycji. Z trudem udało mu się wstać. Uczuciu odrętwienia zaczęło po chwili towarzyszyć nieprzeparłe pragnienie. Wszystko wskazywało na to, że miał bardzo odwodniony organizm. Z myślą o szklance wody ruszył w stronę małej kuchenki znajdującej się przy wejściu do mieszkania; po drodze wciąż się potykał. Dotarł w końcu do zlewu i schylił się nad nim. Odkręcił kran i nie sięgnąwszy nawet po szklankę przyłgął ustami do jego wylotu. Gdy ugasił pragnienie i był w stanie pomyśleć o czymkolwiek poza wodą, uświadomił sobie coś, co sprawiło, że wyprostował się przerażony. Rozejrzał się dokoła, żeby się upewnić. Nie miał najmniejszych wątpliwości. Jego mieszkanie zostało splądrowane.

Puszki i inne opakowania po jedzeniu wały się po podłodze. Na półkach kuchennych wszystko było poprzewracane, a w zlewie leżała rozerwana paczka makaronu. Pod stopami chrzęścił Fentonowi cukier z rozprutego dwukilogramowego opakowania, po którym pracowicie krzątały się małe mrówki.

Cam wyjrzał przez okno. Na zewnątrz szarzał blady świt. Tarcza zegara kuchennego wskazywała piątą trzydzieści. Fenton nie był jednak pewien daty rozpoczynającego się dnia. Jak długo przebywał poza ciałem? Jeden, dwa, a może nawet trzy dni?

Zastanawiał się, kto jest autorem tego potwornego bałaganu. Zawartość wszystkich szuflad kuchennych rozmyślnie wyrzucono na podłogę. Kiedy wrócił do pokoju, stwierdził z przerażeniem, że po jego biurku przeszedł tajfun, który porozrzucił papiery i książki, a przy okazji wywalił zawartość wszystkich szuflad biurka. Poduszki z kanapy i foteli leżały po kątach podobnie jak zrzucone z półek książki. Stolik, na którym Fenton zostawił pozostałe pigułki antarilu, był pusty. Wszystko co na nim wcześniej leżało, było zwalone w stertę na dywanie. Fenton wrócił do kuchni, wyłowił plastikowy kubek z przedmiotów znajdujących się na podłodze, napełnił go wodą i wypił duszkiem. Miał wrażenie, że już do końca życia będzie mu się chciało pić. Smętnym okiem patrzył teraz na pobojuwisko.

Wszystko wskazywało na to, że będąc poza ciałem nie odbierało się najsilniejszych nawet bodźców zmysłowych. Złodzieje – a było ich w Berkeley pełno mogli spokojnie wynieść rzeczy z mieszkania Fentona. Zdziwił się więc bardzo, gdy zobaczył swoją elektryczną maszynę do pisania pod ocalałymi papierami porozwalanymi na biurku. W wałek była wkręcona do połowy kartka ze sprawozdaniem z eksperymentu, które wcześniej napisał. List z instrukcjami dla osoby mającej go ewentualnie znaleźć nieprzytomnego leżał w dalszym ciągu na podłodze obok kanapy w miejscu, w którym Cam go pozostawił. Również zestaw stereofoniczny stał nie tknięty na swym miejscu, odziedziczona zaś po ojcu kolekcja płyt analogowych z nagraniami Marii

Callas i jego własne najwcześniejsze płyty długogrające Beatlesów stały oparte obok gramofonu. Nie było to więc włamanie rabunkowe, albo złodzieje szukali czegoś konkretnego. Nie umiał tego inaczej wytłumaczyć.

Aż podskoczył, gdy usłyszał odgłosy dochodzące z głębi sypialni. Nie przyszło mu do głowy, że złodzieje mogą jeszcze być w mieszkaniu. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie schować się za zasłoną, ale kiedy ruszył do okna, potknął się o jedną z poduszek i wyrznął jak długi. Zza drzwi sypialni wyszła Amy Britzman; trzymała pistolet w ręku.

–Więc wróciliśmy – zaczęła ironicznie. – I czegoś się pan profesor dowiedział tym razem? – ciągnęła kpiąco. – Nie sądzę, żeby byli bardziej skłonni uwierzyć panu niż mnie, kiedy brałam udział w waszych badaniach.

Fenton miał zbyt sucho w gardle, aby mówić. Zwilżył językiem spierzchnięte wargi.

–Lepiej będzie, jeśli odłożysz broń, Amy – powiedział. – Może przez przypadek wypalić i kogoś poranić. Uświadomił sobie, że kawałek plastyku w tym świecie, kryjący w dalszym ciągu vrill, tkwi zaciśnięty w jego dłoni. Niepostrzeżenie wsunął go do kieszeni szlafroka. Podświadomość podpowiadała mu, że Amy Britzman z pewnością chciałaby go odebrać, gdyby tylko wiedziała, że go ma. Wziąwszy pod uwagę, że zestaw stereo i maszyna do pisania stały nie tknięte, dobra materialnie tego świata nie były zapewne celem wizyty Amy. Czego więc szukała? O ile znał wszystkie fakty, jedyne, co łączyło go z Amy Britzman, to wspólny udział w antarilowym projekcie i zaangażowanie w konflikt między Pentarnem i Alfarami.

–Czy przysłała cię Pentarn? – zapytał. Jej twarz wykrzywiła się.

–Powinam cię zastrzelić! – wykrzyknęła Amy. Zaoszczędziłabym wszystkim wiele kłopotu, a zwłaszcza memu Wielkiemu Wodzowi! – Miała zbiegające się kciuki od zaciskania dłoni mocno na kolbie pistoletu, a jej palec wskazujący poruszył się na spuście.

Fenton zamarł. Podczas studiów psychologicznych nauczono go określać charakter stanów psychicznych pacjentów. Teraz miał do czynienia z niepoczytalną histeryczką. Pentarn chyba bawił się i wykorzystywał do swoich celów neurozę dziewczyny. Przez chwilę Cam się nie ruszał, starał zachowywać się jak najspokojniej, po czym odezwał się życzliwym tonem:

–Opowiedz mi o wszystkim, Amy. Powiedz, czego szukasz?

–Nie odpowiem ci! – wrzasnęła wściekła.

–Dobrze już, dobrze – próbował ją uspokoić. Przecież nie musisz.

–Niczego nie muszę! – wykrzyknęła. – Wszystko jest inaczej, niż było do czasu, kiedy odwiedziłeś nasz świat!

–Dużo wycierpiałaś, prawda Amy? – wciąż starał się ją uspokajać i bardzo wolno podnosił się z podłogi. – Czasami wszystko staje w poprzek, prawda? Chodź, usiądziemy wygodnie i spokojnie o tym pogadamy. Co się nie udało tym razem?

Amy rozluźniła się trochę i pochyliła, by usiąść na krześle. Fenton wykorzystał tę chwilę i dopadł dziewczynę: chwycił ją wpół, wykręcił jej ramię i ścisnął z całej siły przegub. W ostatnim momencie Amy nacisnęła spust. Broń wypaliła. Szczęśliwie nikt nie został ranny, ale pocisk zrobił sporą dziurę w ścianie. Szamocząc się Fenton rozważał absurdalnie, co powie właścicielowi mieszkania. W końcu udało mu się odebrać pistolet, a dziewczynę z całej siły pchnął na krzesło.

–Siedź i nie ruszaj się! Może teraz mi wszystko opowiesz. Myślę, że ci to dobrze zrobi.

W odpowiedzi Amy obrzuciła go potokiem wyzwisk. Niektórych określeń, które usłyszał, nie poznał nawet w czasach uniwersyteckich, moment później dziewczyna zaczęła histerycznie wrzeszczeć.

Nie mając wyjścia, Fenton usiadł na chwilę i zaczął przyglądać się pistoletowi. Nie znał się na broni ręcznej i nie interesował się nią choćby dlatego, że było to zbyt kosztowne hobby. Pistolet nie przypominał żadnego z tych, jakich używał podczas służby w wojsku. Wyglądał dziwnie. Kolba, o ceramicznym połysku, była wykonana z materiału, który kojarzył się z drewnem, ale i z plastykiem. Pokrywające ją szklivo kryło misternie wyżłobione wzory. Natomiast lufa była znacznie dłuższa niż we współcześnie używanych, standardowych pistoletach. Całość przypominała miotacz rodem z filmów czy gier SF poświęconych międzygwiazdny wojnom, chociaż pocisk, który rozwalił ścianę, zdecydowanie nie był tworem fantazji.

–Domyślam się, że to jedna z zabaweczek Pentarna? – zapytał. – Już dobrze, Amy. Powiedz mi teraz, czego tu szukałaś i po co?

W dalszym ciągu szlochała i zawodziła. Fenton nie wykonał żadnego gestu w jej stronę, gdyż był całkiem pewien, że jeżeliby spróbował, zachowywałaby się jeszcze bardziej histerycznie. Nie chciał na siebie ściągnąć oskarżenia o próbę gwałtu. Wprawdzie Amy nie wydawała się na tyle bystra, żeby coś podobnego wymyślić, ale gdyby przyszło jej to przypadkiem do głowy, Fenton nie miał zamiaru dać jej najmniejszego powodu. Lecz przecież kobieta, która z takim oddaniem grała rolę wymyśloną jej przez Pentarna – rolę kobiety Wielkiego Wodza – nie miała prawa zaskakiwać inteligencją.

–Może powinienem wezwać policję – myślał na głos. – Pokazać im mieszkanie,

bałagan, jaki tu panuje, tę małą zabawkę. Jestem przekonany, że będą zainteresowani. Pentarn miałby szansę użyć swoich mocy, aby cię wyciągnąć z aresztu dla kobiet. – Podeszedł do telefonu, podniósł słuchawkę i zaczął wykręcać numer.

–Posterunek w Berkeley – odezwał się beznamienny głos z tamtej strony.

–Nakryłem włamywaczkę w swoim mieszkaniu powiedział Fenton. – Trzymam ją tutaj na muszce jej spluwy. Czy możecie kogoś przysłać?

–O Boże, nie! Nie! – wrzeszczała Amy. – Pistolet nie może dostać się w ich ręce! Błagam, profesorze, błagam, nie!...

Fenton zignorował wrzaski Amy i podał policji swoje nazwisko oraz adres. Dyżurny policjant obiecał przysłać kogoś jak najszybciej. Fenton odłożył słuchawkę, a Amy uwiesiła się na nim tak gwałtownie, że musiał ją podtrzymywać, żeby nie upadła.

–Błagam, błagam cię na wszystko, oddaj mi pistolet, wypuść mnie. Obiecuję... obiecuję, że zrobię, co tylko zechcesz...

–Nie bądź głupia, Amy – rzekł Fenton; trzymał już ją na odległość wyciągniętych ramion. Zdecydowanie więcej niż obaj zauważyli dotychczas z Pentarnem, musiało go od niego różnić, skoro Amy była w typie Wielkiego Wodza. – Policja nie zrobi ci nic złego, jeśli nie jesteś naćpana. Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć, po co Pentarn cię tu przysłał?

–Nie mogę, nie mogę... Zabiłby mnie. Jeśli policja zabierze pistolet... – mamrotała w śmiertelnym przerażeniu. Złapała Fentona i próbowała chwycić broń, ale Cam był czujny i zdołał ją obezwładnić jedną ręką.

–Mówiłem już, siedź i zachowuj się grzecznie. Znow zaczęła przysięgać i błagać, przy czym aż się poniżała. W końcu ruszyła do drzwi wejściowych. Zanim do nich dotarła, potykała się po drodze o sterty ubrań. Otworzyła drzwi gwałtownie i jak strzała wyleciała na schody, po których zbiegła z hukiem. Fenton ruszył za nią. Wyszedł za drzwi, ale po kilku krokach zawrócił. Sąsiedzi powystawiali głowy, żeby sprawdzić co to za hałas. Fenton stwierdził, że nie ma sensu jej gonić. Wszedł z powrotem do mieszkania i znowu spojrzał na bałagan. Zdecydował, że najlepiej będzie wyjść, nim zjawi się policja. Przebrał się, wygrzebał dzbanek do kawy ze sterty gratów wywalonych z szafki i nastawił kawę. Poczul też głód.

Znalazł tylko jedno nie stłuczone jajko i właśnie kończył trzecią kanapkę, kiedy przyjechała policja. Wpuścił ich do środka i opowiedział całą historię. Wspomniał, że całą noc nie było go w domu – to prawda, że nie było mnie w domu... do cholery, nie było mnie w tym świecie – a kiedy wrócił do mieszkania, zastał w nim bałagan i buszującą kobietę, która oddała w jego stronę strzał, a potem uciekła.

–Proszę oddać nam pistolet – polecił jeden z policjantów; przyglądał się broni z dużym zainteresowaniem. – Nigdy nie widziałem czegoś podobnego.

–Ja widziałem – odezwał się drugi znudzonym głosem. – Dużo jest teraz takich zabawek. Pewnie jakiś koreański chłam. Albo japoński.

Fenton stłumił śmiech. Amy dostała ściśle polecenie, żeby pistolet nie wpadł w ręce policji, ale Pentarn najwidoczniej przecenił zainteresowanie, jakie broń mogłaby wzbudzić w zwykłym policjancie. Nie było policjanta, który by przyznał, że natknął się na coś niezwykłego, czego wcześniej nigdy nie widział. Myśl o broni nie wyprodukowanej na Ziemi nie przyszłaby mu do głowy. Fenton przypomniał sobie historię, kiedy zespół naukowców sprawdzał nadspodziewanie dobrze udokumentowane doniesienie o duchu nawiedzającym pewien stary dom w San Francisco. Jeszcze nim zaczęli jakiegokolwiek badania, już znali wytłumaczenie dla zjawiska spadających z suszarki naczyń i tłukących się ni stąd, ni zowąd szyb. Autorem tych spustoszeń miał być według nich czternastoletni syn mieszkańców domu. I tak też było w rzeczywistości, mimo że pointa całej historii była związana z materiałem filmowym pochodzącym z kamer sprytnie zainstalowanych w różnych częściach domu na obracających się sprzężonych statywach. Zgodnie z zapisanym na taśmie obrazem młody Stuart Maynes zażywał niczym nie zmaconego snu na kanapie w pokoju, podczas gdy w innym pomieszczeniu pękały szyby. Naukowcy – słusznie, acz w skrajnie nienaukowy sposób – odrzucili uzyskaną przez siebie dokumentację i doszli do wniosku, że przebiegły czternastolatek po prostu ich przechytrzył.

Od tego czasu Cameron Fenton był przekonany, że każdy racjonalnie myślący badacz faktów chętniej wyrzeknie się własnej poczytalności, niż przyzna, że natrafił na coś, czego nie jest w stanie wytłumaczyć. Był przekonany, że jeśli policjanci zobaczyliby Pentarna i dwanaście żelazorów przynoszących ten pistolet do mieszkania, nadal twierdziliby, że nie ma w tym nic niezwykłego.

Jeden z nich zapytał:

–Czy przyjrzał się pan dobrze tej złodziejce? Czy mógłby pan podać jej wiek, wzrost i określić kolor włosów? Czy rozpoznałby pan ją w grupie innych osób?

–Biała kobieta z około piętnastokilogramową nadwagą, kasztanowe włosy, koloru oczu nie pamiętam – powiedział Fenton – ale mogę podać coś istotniejszego od tych szczegółów. Wiem, kto to jest: to studentka Instytutu Parapsychologii.

–Czy pan wykłada na uniwersytecie? Czy ta dziewczyna jest pańską studentką?

–Nie – odparł Fenton cierpliwie. – Teraz nie wykładam. Współpracuję z profesorem Garnockiem, albo

do niedawna współpracowałem, nad specjalnym projektem badawczym. Amy Brittman również brała udział w tym eksperymencie.

Zabrało im jeszcze chwilę zrozumienie zawłości naukowych zwrotów w relacji Fentona. Kazali mu przeliterować słowo „parapsychologia”. W końcu jeden z gliniarzy skojarzył inteligentnie:

–A, to wy. Widziałem o was program w telewizji. Badacie duchy i takie sprawy. Pan nam powie, profesorze, czy to wszystko kit? To kanciarze, nie? A wy biegacie za nimi i demaskujecie tych wydrwigroszów, nie?

Fenton nie bardzo miał ochotę wyjaśniać mundurowemu policjantowi istoty badań parapsychologicznych o tak wczesnej porze. Niewątpliwie było w policji kilku wykształconych oficerów, którzy wiedzieli na ten temat tyle samo co on, ale ci nie kazaliby mu niczego literować.

Przyznał więc, że nieuczciwe czuby są przekleństwem nauki zwanej parapsychologią, po czym podał funkcjonariuszom adres Amy Brittman, który uzyskał w informacji studenckiej. Jednak nękały go trochę wyrzuty sumienia, w końcu niczego nie ukradła oprócz lewego antarilu, i nie miał jej tego specjalnie za złe, a nawet życzył Amy, albo Pentarnowi, udanego odlotu. Nie zmieniało to faktu, że spustoszyła mu mieszkanie, i z pewnością zasługiwała przynajmniej na chwilę gimnastyki przed policją w związku z nielegalnym posiadaniem broni. Założyłby się o własny doktorat, że nie miała niczego przypominającego zezwolenie na broń. Najprawdopodobniej jednak nigdy nie zwróciliby jej broni i Pentarn toczyłby swe wojny przy zubożonym arsenale, lecz nic nie wskazywało na to, by przypuszczenia te miały spędzać Fentonowi sen z powiek.

–Czy jest pan pewien, że niczego nie ukradła? – Pozwólcie, panowie, że jeszcze sprawdzę sypialnię.

Co cenniejsze przenośne rzeczy spoczywały na swoich miejscach: magnetofon reporterski i zegarek z dewizką w złotej kopercie, który Fenton odziedziczył po ojcu. W stercie dokumentów przy stoliku nocnym znalazł książeczkę czekową oraz portfel, a także karty kredytowe – leżały zaplątane między papierami, którymi armia wuja Sama obdzielała opuszczających jej szeregi. Przeliczył karty, były wszystkie.

–Nie wydaje mi się, by cokolwiek zginęło – powiedział – najprawdopodobniej zaskoczyłem ją, nim zdążyła znaleźć to, czego szukała. – Zastanawiał się, o co mogło jej chodzić.

Dowiedział się, że zamierzają ją przesłuchać. Policjanci poprosili go, żeby podpisał zawiadomienie o przestępstwie. Przez chwilę musiał jeszcze wysłuchiwać takich samych od niepamiętnych czasów skarg na studentów, po czym pożegnał

przedstawicielei prawa. Gdy tylko został sam, smętnie zabrał się do porządkowania mieszkania. Po tych wszystkich przejściach wspomnienie spaceru z Kerridis pośród drzew w leśnej krainie elfów wydało mu się mniej realne niż bajka o Kopciuszku.

Kiedy szedł ze śmieciami po raz trzeci, zadzwonił telefon. Przeklął po cichu; kto mógłby wydzwaniać o tak wczesnej porze.

–Fenton – zawarczał w słuchawkę.

–Czy coś się stało, Cam? – W głosie Sally dało się słyszeć zaniepokojenie. – Czy cię obudziłam? A może zapomniałeś? – Czy to dziś mieliśmy jechać z wizytą do twego wuja?

Fenton oparł się głową o ścianę i zamknął oczy. Upłynęło trzydzieści sekund, nim z siebie wykrztusił: – Wybacz, kochanie. Myślałem, że to dopiero jutro. Chyba straciłem rachubę dni. – Teraz wiedział przynajmniej, jak długo przebywał w innych wymiarach.

–Czy odwołujemy wyjazd?

–Absolutnie nie. Ale będziesz musiała prowadzić. Miałem... miałem nie najłżejszą noc. – Było to niewątpliwie angielskie niedopowiedzenie wszech czasów.

–Przyjadę po ciebie za godzinę – powiedziała Sally. – Muszę uzupełnić olej w samochodzie i kupię coś dla nas na lunch.

–Świetnie. A ja zadzwonię do wujka Stana i powiem mu, że jedziemy do niego – dokończył.

Kiedy pojawiła się po godzinie, stanęła pośrodku mieszkania i rozejrzała dokoła z uniesionymi brwiami. – Wygląda, jakby przeszło tędy tornado.

–Powinnaś to widzieć dwie godziny temu – zaśmiał się Fenton.

–Włamywacze, Cam?

–Włamywaczka, kochanie. Nazwiskiem Amy Brittman. Podejrzewam, że znajduje się obecnie w areszcie policyjnym, i żywię wielką nadzieję, że trochę trzęsie obszernymi spodniami. Nie muszą jej jednak specjalnie krzywdzić. – Wskazał palcem na dziurę w ścianie po kuli. – Przydałoby się jej jednak parę klapsów i odesłanie do mamusi lub coś w tym stylu.

–Amy zawsze wydawała mi się niezrównoważona, ale teraz chyba już zupełnie dostała kota! Czy mam rozumieć, że to ona zostawiła tę dziurę po pocisku?

–Nie inaczej. Założywszy oczywiście, że to był pocisk. Strzelała z dość dziwnej

broni. Mają teraz policja. – Opowiadając zastanawiał się, czy Amy jest teraz w rękach policji, czy może przeszła do innego wymiaru przez jedną z Bram Pentarna i nigdy już nie będzie jej nikt na tym świecie oglądał. – Nie mówmy już o niej – zaproponował, kiedy schodzili do samochodu. Mówmy dziś tylko o sobie, dobrze?

–O niczym innym nie marzyłam – powiedziała Sally miękko; uśmiechała się do niego i patrzyła mu prosto w oczy.

Wyraz jej twarzy ponownie nasunął mu skojarzenie z Kerridis. Czy Kerridis, Pani Alfarów, była analogiem Sally? Najprawdopodobniej tak. Uderzyło go, że jeszcze kilka godzin wcześniej, licząc według czasu jego świata, całował się z Kerridis pod drzewami opodal Domu na Rozstajach. Smutny, zastanawiał się, jak sobie poradziła w czasie Wielkiej Rady, samotnie przeciwstawiając się swym doradcom i ludziom, którzy, jak mówiła, stali się jej wrogami. Pozostawił ją tam na ich łasce. To, że musiał się z nią rozstać, nie było bynajmniej przez niego zawinione, ale nie opuszczało go poczucie winy.

–Wyglądasz na zmęczonego, Cam – zauważyła Sally przyglądając mu się. – Może będzie lepiej, jeśli się prześpisz, a ja poprowadzę?

Usiłował zaprotestować, ale przemilczała jego wątpliwości i po chwili powiedziała szorstko:

–Nie bądź niemądry, Cam! Kiedy miałam chore kolano, zadawałeś sobie wiele trudu, by mi ułatwić życie. Teraz na mnie kolej. Rozłóż wygodnie siedzenie i zdrzemnij się.

Fenton postanowił nie oponować. Choć po potężnym śniadaniu czuł się znacznie lepiej, w dalszym ciągu zmęczenie nie odstępowało go, więc uznał, że rozsądniej będzie, jeśli posłucha Sally. Zasnął natychmiast, gdy tylko zamknął oczy.

Spał przez kilka godzin, a gdy się przebudził, jechali już malowniczymi drogami przez góry Siewa. Przez chwilę nie ruszał się i przyglądał profilowi Sally spod przymrużonych powiek. Z całą pewnością istniało duże podobieństwo między nią a Kerridis. Twarz Sally może była tylko mniej filigranowa i nie miała wyrazu bezbronności, otwarcie malującego się na twarzy Pani Alfarów. Fenton zastanawiał się, czy nie jest to dowód na upodobania jego psychiki, na jego potrzebę kontaktu z kruchymi, bojaźliwymi i czującymi zagrożenie kobietami. Sally była twarda i samowystarczalna, ale miał przecież okazję widzieć ją w sytuacjach, gdy robiła wrażenie osaczonej i bezbronnej. A teraz mówiła mu, że on również ma prawo do chwil słabości, których nie musiał się wstydzic, a w których ktoś poświęci mu swój czas i się nim zaopiekuje.

Myślami wciąż jednak wracał do Kerridis. Zastanawiał się nad tym, co się z nią teraz dzieje. Bardzo pragnął jej pomóc, choć zdawał sobie sprawę, że niewiele może dla

niej zrobić. W przyptywie wściekłości i współczucia dla samego siebie uznał, że jest jedynie głupim, bezsilnym Cieniem, który zablądził przez pomyłkę do świata Alfarów i próbował coś zdziałać nie mając ku temu żadnych przesłanek ani możliwości. A może doświadczanie tego rodzaju bezsilności dostarczało mu jakiejś masochistycznej przyjemności? Jeśli więc Sally nie myliła się twierdząc, że kreacja świata Alfarów, której dokonał w wyniku zażycia antarilu, była projekcją jego nieuświadomianych neurotycznych potrzeb, nie miał doprawdy prawa obwiniać Garnocka za to, że uznał go za nieodpowiedniego uczestnika tego rodzaju eksperymentów.

Kiedy tak rozmyślał, przypomniał sobie Amy Brittman i zaczął się zastanawiać, czy dziewczyna wpadła w końcu w ręce policji. Przynajmniej jej realność była nie do zakwestionowania, podobnie jak obecność dziury w ścianie i pistoletu Pentarna, który zabrali policjanci z Berkeley. To z kolei sprawiło, że uświadomił sobie, iż Kerridis i świat Alfarów są ponad wszelką wątpliwość prawdziwe, tak jak Pentarn i żelazory. Prawdziwym musiał być również świat ziemiorodków, w którym zapragnął wegetować w słońcu jak kamień przy drodze.

Wiedział, że będzie musiał to wszystko jakoś Sally wytłumaczyć. Westchnął głośno, a Sally odwróciła się na chwilę do niego i uśmiechnęła ciepło.

– Nie śpisz? Właśnie zamierzałam cię obudzić. Nie znam dalej drogi, będziesz musiał mnie poprowadzić. – Może zamienimy się miejscami? Twoje dopiero co wygojone kolano musi ci już doskwierać.

Ucieszył się, że odłożył na jakiś czas nieuchronnie czekającą ich rozmowę. Kiedy zamieniali się miejscami, wsunął rękę na chwilę do kieszeni i wymacał tam mały kawałek przezroczyściego plastyku, który w świecie Kerridis był bryłką bezcennego vrillu. Czy musiał to być właśnie plastik, a nie inny rodzaj materiału występującego w jego świecie? Zwykły, pospolity i tandetny plastik. Czy istniał jakikolwiek związek między plastykiem a vrillem? Czy każdy rodzaj plastyku zamieniłby się we vrill, gdyby go przenieść do świata Alfarów? Czy może za tą przemianą kryła się intencja, by ten bezcenny materiał przyjmował w innych wymiarach postać czegoś zwykłego, aby nie budzić podejrzeń co do jego prawdziwej natury? Podobnie przecież zdarzyło się z misternie rzeźbionym talizmanem, który zamienił się w świecie Fentona w najzwyklejszy pod słońcem kamyczek.

Jednego Cam był pewien: że odzyska w końcu swój talizman, nawet kosztem włamania się do laboratorium Garnocka w taki sam sposób, w jaki Amy Brittman włamała się do jego mieszkania.

– Zazdroszczę twemu wujowi – odezwała się Sally z uśmiechem. Jej włosy rozwiewał wiatr wpadający przez otwarte okna samochodu. – To szczęście móc żyć w tak pięknym zakątku świata. Czy jesteśmy już blisko, Cam?

–Zaraz za tym wzgórzem – odparł. – Wuj mieszka w dużym domu pokrytym szarą dachówką. Wkrótce go zobaczysz. Podjazd jest dość stromy, więc musimy trochę zwolnić. Patrz! A oto i wuj Stan. Zdaje się, że właśnie karmi swoje kozy.

Stan Cameron przywitał się z nimi wylewnie, spojrzawszy Sally prosto w oczy i uśmiechnął się do niej.

–Czy to ta dziewczyna, o której mi opowiadałeś, Cam? – zapytał. – Bardzo mi miło cię poznać – powiedział do Sally przyglądając się jej bacznie. – Jeśli tylko możecie, chodźcie mi pomóc nakarmić kozy.

Poprowadził ich do stodoły. Fenton szedł na końcu. Obserwował Sally, otoczoną przez kozy i kozły, które tarłosiła za łby i odganiała, gdy tylko zaczynały pożerać jej sukienkę. Nieczęsto zdarzało mu się oglądać ją tak radosną, roześmianą i beztroską jak w tej chwili. W takich momentach wychodziła z niej chyba prawdziwa natura, która zwykle kryła się pod ochronną powłoką twardego charakteru i oschłej racjonalności. Fentona ogarnęło uczucie głębokiej radości, gdy Sally w dobroduszny sposób dała klapsa niesfornemu koziołkowi. Zadawała wujowi Stanowi pytania dotyczące utrzymywania kóz, z których wynikało, że wie, o co pyta. Rozmawiali również o wycieczkach w góry ze studentami, którym przewodził stary Cameron. Uporawszy się z kozami zasiedli do stołu, by zjeść obiad przyrządzony specjalnie na tę okazję przez wuja Stana; zagryzali go wiejskim chlebem domowego wypieku.

–Może jeszcze dolewkę? – zaproponował gospodarz, gdy kończyli już pić po obiedzie aromatyczną czarną kawę z dużych kubków.

–O Boże, nie, nie zasnąłabym. – Sally potrząsnęła głową.

–Nie będę się kłócił z psychologiem – zaśmiał się gospodarz – to wasza działka, ale zawsze miałem wrażenie, że o wszystkim decyduje to, co ludziom się w danej chwili wydaje, a nie stan faktyczny. Mój ojciec codziennie przed snem wypijał kubek bardzo mocnej kawy. Twierdził, że dobrze mu robi na sen. Przez całe życie nie miał najmniejszych kłopotów z bezsennością, z wyjątkiem może krótkiego pobytu w szpitalu, gdzie się znalazł z powodu jakichś dolegliwości kręgosłupa. Twierdził, że nie spał, ponieważ nie pozwolono mu tam pić kawy, a ja jestem skłonny dać wiarę jego tłumaczeniu. Umysł ludzki to przedziwne urządzenie.

Sally głośno się roześmiała.

–Nie pamiętam, kto powiedział, że kosmos jest nie tylko dziwniejszy, niż myślimy, ale dziwniejszy, niż jesteśmy w ogóle w stanie pomyśleć.

–Tak jest – przytaknął wuj Stan. – Ludzie waszej branży, bo jak mówił mi Cam, oboje zajmujecie się parapsychologią, powinni to wiedzieć, jeśli w ogóle ktokolwiek to wie. Muszą was strasznie męczyć sceptycy, którzy nie mogą uwierzyć w to, co dzieje się

tuż pod ich nosem. Podobnie jak muszą was frustrować ludzie święcie wierzący w nie udokumentowane niczym bajdy. Jako parapsychologowie wciąż chyba musicie balansować na linie, by z jednej strony nie wpaść w objęcia przesadnego sceptycyzmu, a z drugiej w ramiona ludzkiej głupoty i naiwności. Tak sceptycy, jak i głupcy mają zaś tę wspólną cechę, że wydaje się, iż są ślepi na wszelkie logiczne i racjonalne dowody.

–Święte słowa – zgodziła się Sally. – Dlatego właśnie przyjmując ludzi na studia w naszym instytucie staramy się stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, czy mamy do czynienia ze względnie zrównoważonymi. Wystarczy przyjąć nieracjonalnego sceptyka i zburzyć podstawy jego sceptycyzmu, a otrzymamy równie nieracjonalnego wyznawcę jedynej prawdy objawionej.

–Myślę, że można to jakoś wytłumaczyć – zauważył wuj Stan. – Spójrzmy prawdzie w oczy: większość ludzi najbardziej pragnie poczucia bezpieczeństwa. Wynika stąd potrzeba wiary w to, co mówi im osoba, którą obdarzają zaufaniem. A wszystko po to, aby nie musieć samemu podejmować jakichkolwiek decyzji czy w ogóle kłopotać się myśleniem. Wystarczy włączyć telewizor, by zobaczyć to, co większość najchętniej ogląda: wszystko, co można oglądać nie włączając funkcji myślenia. Komedie. Kryminały. Kretyńskie przemówienia polityków. Milutkie zwierzątka. Tak więc gdy kiedykolwiek okazuje się, że muszą przestać wierzyć w to, w co dotąd było im wygodnie wierzyć, są przerażeni aż do momentu, w którym ponownie uwierzą w coś, co zapewni im względny komfort psychiczny, nawet jeśli ma to być dokładne odwrócenie tego, w co ślepo dotąd wierzyli. Przypuszczam, że połączenie otwartego umysłu z postawą racjonalnego sceptycyzmu jest jednym z najrzadziej spotykanych zjawisk na świecie. Dlatego też, moim zdaniem, nie wypaliły propagowane przed laty otwarte programy edukacyjne. Zdaje się, że uważano przez jakiś czas, iż udostępnienie kulturowo upośledzonemu jahusowi wykształcenia uniwersyteckiego przemieni go w kulturalnego racjonalistę bez względu na to, jakie byłyby jego pochodzenie społeczne i wychowanie. W rzeczywistości na pięć tysięcy jahusów około setki być może przyswoi sobie wiedzę akademii i wypracuje zmysł racjonalnego sądu. Pozostałe cztery tysiące dziewięćset nabędzie jedynie nowych, nie znanych im dotąd nieracjonalnych uprzedzeń, z tą może różnicą, że będą w stanie artykułować je za pomocą nowo przejętego żargonu pseudonaukowych określeń. Pamiętam, wpadłem w nie lada kłopoty, kiedy jeszcze wykładałem na uczelni. Usiłowałem ludziom wytłumaczyć, że żeby nie wiem jak długo próbować, nie zmieni się stonki w jedwabnika. Gdy stwierdziłem, że wszystko, co dzięki temu uzyskamy, to parę jedwabników ukrywających się pod przebraniem stonki w obawie, aby pozostałe nie pomyliły ich z kartoflami, okrzyknięto mnie wtedy rasistą.

Sally uśmiechnęła się półgębkiem.

–Święte słowa – powtórzyła. – Sama wychowałam się na farmie we Fresno. Udawałam właśnie taką stonkę pośród dziewcząt w klasie. Sądziły, że szczytem

marzeń młodej kobiety jest wyjść za mąż za chłopaka z sąsiedniej farmy, który wyciągałby około stu tysięcy rocznie przed trzydziestką, wygrać za młodu z raz czy dwa tytuł miss potańcówki w wesołym miasteczku, potem drzeć przez resztę życia pierze na pierzyny i smażyć konfitury, no i oczywiście odchowac na dobrych chrześcijan czeredę bachorów i nigdy przenigdy nie podskakiwać mężowi. Uważały wtedy, że to one są jedwabnikami, a ja niewydarzoną stonką walczącą o jakąś niezrozumiałą mrzonkę pod tytułem wolność i życie dla samej siebie. Więc udawałam, aż do śmierci mojego dziecka i rozvodu z mężem. Lecz takich jak one jest dużo więcej niż takich jak ja, i kto tu ma rację?

Wuj Stan kiwnął głową.

–Może nikt nie ma racji – powiedział. – Może ludzie muszą iść przez życie swoimi własnymi drogami i nikt nie ma prawa próbować zmieniać na siłę stonki w jedwabnika lub na tej samej zasadzie jedwabnika w stonkę, nawet jeśli dane mu było się urodzić w rodzinie stonek. Moja rodzina też kręciła nosem, kiedy zdecydowałem się przenieść w góry i zamieszkać z moimi kozami. Marzyło im się, żebym został lekarzem, prawnikiem bądź inną szacowną miejską personą. Tyle tylko, że ja wolę kozy od większości ludzi.

–Meee – zażartowała Sally.

Kiedy ucichł śmiech, Stan Cameron przeniósł kolejną paterę z ciastkami z kredensu na stół, usiadł wygodnie w fotelu, spojrzał na Fentona i zapytał:

–Mówiąc o sceptykach i prawdach objawionych, czy wiesz coś nowego w sprawie, o której ostatnio rozmawialiśmy?

Fenton zrozumiał, że chwila beztroskiej przerwy od zmartwień dobiegła końca i że będzie musiał opowiedzieć wujowi całą historię wbrew możliwemu oburzeniu i niesmakowi Sally. Zdecydował się jednak nie unikać tematu.

–Sprawy mają się podobnie, jak się miały – odparł. – Jedynie zeszłej nocy zdarzył się nieprzyjemny incydent, który mnie trochę zaniepokoił. Sally wspominała o niezrównoważonych studentach z naszego instytutu. Taka właśnie jest niejaka Amy Brittman. Opowiedział Stanowi całą historię dziewczyny od momentu, gdy ujrzał ją po raz pierwszy u boku Pentarna i nie wiedział, kim jest, nadmienił o niedoszłej do skutku wizycie w domu Amy przy Telegraph Avenue, a skończył na przejściach ostatniej nocy, w wyniku których zawiadomił policję i złożył na dziewczynę doniesienie.

Kawa stygła w kubkach, ciasteczka nie tknięte leżały na paterze, a wuj Stan słuchał wciąż uważnie, w zamyśleniu słów Fentona. Sally spoglądała raz na jednego, raz na drugiego, lecz nie komentowała opowieści.

–Wydaje się, Sally, że trafiłaś w samo sedno, kiedy mówiłaś o wszechświecie, który jest dziwniejszy niż nam się może wydawać – zauważył wuj Stan i uśmiechnął się do niej. – To musi być niesamowite uczucie odkrywać nieprawidłowość przeświadczeń, co do których nie miało się przedtem wątpliwości, prawda?

–Nie jestem pewna, czy... choć teraz... – Przyjrzała się badawczo starszemu mężczyźnie. – Panie Cameron... – zaczęła – czy pan w to wszystko wierzy, czy naprawdę pan w to wszystko wierzy?

Stan Cameron przytaknął.

–Nie mam najmniejszego powodu nie wierzyć. Cam nigdy mnie nie okłamał.

–A te ślady... tych potworów, no... żelazorów, czy widział je pan na własne oczy?

–Tak, widziałem. Nawet je sfotografowałem, ale zdjęcia wyszły bardzo słabo. Na pewno jednak nie były to ślady niedźwiedzia, a żadne mniejsze zwierzę nie mogłoby unieść siekiery. Czemu pytasz?

Sally zignorowała pytanie; wpatrywała się w swoje ręce, brwi miała zmarszczone.

–Ale przecież... to jest takie niesamowite, tak sprzeczne ze wszystkim, co wiemy o budowie wszechświata. – Nie pierwszy to raz w końcu okazuje się, że nasze zasady nie pasują do rzeczywistości – rzekł Stan. – Dawniej ludzie myśleli, że Słońce kręci się wokół Ziemi, a prawa Newtona miały być uniwersalne, i były, ale tylko do momentu, kiedy Einstein je obalił. Jeśli więc przychodzi chwila, w której stwierdzamy, że nasze prawa i zasady przestają pasować, należy zacząć myśleć nad takimi, które pasują.

–Co jest podejściem godnym prawdziwego naukowca – wtrąciła Sally. – Podejściem, które powinno być moim na tym etapie – dokończyła ponuro. Oparła się łokciami o blat stołu, po czym wyciągnęła rękę do Fentona i uścisnęła jego dłoń.

–Wybacz mi, Cam – poprosiła go patrząc mu prosto w oczy. – Robiłam dokładnie to samo, o co oskarżałam innych: wypowiadałam niczym nie udokumentowane opinie. Należało od początku przyjąć, że mówisz prawdę, zanim nie natrafiłabym na coś, co dawałoby mi prawo podważyć twoje racje. A przynajmniej powinnam się powstrzymać od wydawania sądów.

–Ale co sprawiło, że teraz zmieniałaś zdanie?

–Rodzaj porozumienia, jaki istnieje między tobą i wujem i sposób, w jaki ze sobą rozmawiacie. Mógłbyś z pewnych, zupełnie dla mnie niezrozumiałych powodów próbować oszukiwać czy nabierać mnie, ale jestem absolutnie przekonana, że nigdy nie mówiłbyś wujowi niczego, co nie byłoby prawdą. Nie wyobrażam sobie również,

aby wuj nie przejrzał cię na wylot, nawet gdybyś próbował go oszukać. – Kiedy mówiła, uśmiechała się do Stana Camerona.

–Zdaje się, że usłyszałem komplement – odezwał się wuj.

–Bez względu na faktyczny powód czuję się bardzo szczęśliwy – wyznał Fenton. – Pytanie brzmi jednak, co z tym fantem teraz pocniemy?

–Chciałabym wiedzieć – odparła Sally. – Potrzebuję trochę czasu, żeby się z tym wszystkim oswoić. Będę musiała przestawić swoje dotychczasowe myślenie. Wciąż nie mogę dać wiary wszystkiemu, o czym opowiadałeś, Cam. Ale na pewno przestałam z góry odrzucać to, co mówisz, i spróbuję zaakceptować to, czego się dowiedziałam, przyjmując, że opisywane przez ciebie wydarzenia rzeczywiście miały miejsce.

Popatrzyła na niego, a on znów w niemożliwy do sprecyzowania sposób stwierdził jej uderzające podobieństwo do Kerridis. Była jedna rzecz, o której nie opowiedział przy stole: o swych uczuciach do Kerridis. Nie miało sensu wspomnianie o tym wujowi Stanowi, a na wyjaśnienie ich Sally nie czuł się jeszcze przygotowany.

I znowu zaczęła nim rzucać huśtawka sprzecznych uczuć. Kerridis była w końcu Panią Alfarów, jego Królową Wrózek, odległą i nieosiągalną, a Sally była w zasięgu ręki, bliska i kochana, i właśnie udowodniła mu w wystarczającym stopniu swoją postawą, że zależy jej na nim – z otwartym umysłem zaakceptowała istnienie zjawisk, które przeczyły wszystkiemu, co dotąd stanowiło podstawę jej rozumienia świata.

Nalała sobie kolejną filiżankę kawy.

–Opowiedz mi, proszę, wszystko raz jeszcze, Cam. Opowiedz całą historię od początku do końca. Mam wrażenie, że kiedy opowiadałeś mi ją po raz pierwszy, tak naprawdę nie słuchałam cię. Na samym wstępie uznałam wszystko za halucynacje.

–Ja też chciałbym usłyszeć całość od początku przyłączył się Stan Cameron.

Fenton rozparł się więc wygodnie w fotelu i zaczął snuć opowieść poczynając od pierwszej wizyty w krainie Alfarów. Gdy po raz pierwszy pojawił się w jego opowiadaniu Pentarn, którego ujrzał w jaskiniach żelazorów, Sally poruszyła się i można było odnieść wrażenie, że chce coś powiedzieć. Gdy jednak zawiesił głos i spojrzał na nią pytająco, potrząsnęła szybko głową i rzekła: – Mów dalej, Cam. Później ci powiem.

Ciągnął więc swoją historię i skończył na tym, jak policjanci wzięli od niego dane Amy Brittman i zabrali broń, która, jak podejrzewał, pochodziła z arsenału Pentarna. Tym razem nie pominął niczego, z wyjątkiem epizodu o pocałunku z Kerridis jak z kobietą ze snu. Tego nigdy nikomu by nie opowiedział.

–Zastanawiam się – zaczął Stan Cameron – co policja zrobi z tą bronią.

–Bóg jeden wie – rzuciła Sally. – Nie obchodzi mnie specjalnie sama broń. Bardziej obawiam się tego, co Pentarn może zrobić Amy, gdy tylko się dowie, że zawiodła. Dziewczyna jest głupia, ale jest moją studentką, i na swój sposób czuję się za nią odpowiedzialna; zarekomendowałam ją Garnockowi do udziału w eksperymencie z antarilem. I mam wyrzuty sumienia, bo gdy przyszła do mnie ze swymi obawami dotyczącymi możliwych zamiarów i planów Pentarna, potraktowałam ją dokładnie tak samo jak ciebie, Cam. Odsunęłam od eksperymentu, ponieważ stwierdziłam, że stała się uzależniona psychicznie od narkotyku. Jest obsesyjnie zafascynowana Pentarnem, emocjonalnie, seksualnie i pod każdym innym względem. Ponieważ byłam przekonana, że Pentarn jest postacią fantastyczną, uznałam, że Amy cierpi na dewiację psychiczną, syndrom diabła-kochanka.

Stan Cameron zacisnął usta.

–Nie wiem – zaczął – ale gdyby ta mała Brittman była moją siostrą albo córką, czułbym się bardziej spokojny, gdyby była zakochana w fantastycznym, a nie realnym Pentarnie, przynajmniej miałbym pewność, że nie uszkodzi jej fizycznie.

–Coś w tym jest – przytaknęła Sally. – Dziewczyna ma obsesję na jego punkcie, ale również panicznie się go boi.

–Nie na darmo Pentarn nazywa ją kobietą Wielkiego Wodza – wtrącił Fenton. – Nie wydaje się, że miałby jej zrobić krzywdę. Ta obsesja, czy jak to nazwiemy, jest chyba wzajemna.

–Nie byłabym tego taka pewna – zauważyła Sally z powątpiewaniem w głosie.

–A ja wcale bym się tym nie przejmował – rzekł wuj Stan. – Pentarn i tak nic jej nie może zrobić, jeśli dziewczyna siedzi teraz bezpiecznie za kratkami za włamanie do twojego mieszkania, Cam. Pewnie mógłby dostać się do jej celi jako ten... no, Cień, ale wtedy nie mógłby jej nawet sprać na kwaśne jabłko, nie mówiąc już o poważnym uszkodzeniu, a gdyby pojawił się w ciele, nie mógłby wejść do celi. Mogę się założyć, że gliniarze w Berkeley, jeśli już kogoś zamykają, to i pilnują, żeby mu się nic nie stało. Nazwijmy to aresztem z ochroną.

–No, chyba nie jest najgorzej – powiedziała Sally z otuchą w głosie.

Ale Fenton nie był przekonany. Zdał sobie sprawę, co bardzo go zirytowało, że przybyło mu jeszcze jedno zmartwienie. Nie dość, że niepokoił się poważnie o losy Kerridis i Irielle, miał się jeszcze czuć odpowiedzialny za losy panny Brittman. Czy znaczyło to, że miałby lepsze samopoczucie, gdyby Sally pozostawała obojętna na losy swej studentki? Z pewnością nie.

Stan Cameron rzucił okiem na zegar ścienny.

–Północ – oznajmił i ziewnął. – Jutro mam pracowity dzień. Przyjeżdża grupa młodziaków z plecakami. Pójdźmy może już spać. – Popatrzył na nich rozbawiony. – Jedno czy dwa łóżka? – zapytał. – Nie wiem, na jakiej jesteście stopie. Mam jeden osobny pokój, a Cam mógłby się spokojnie rozłożyć na podłodze, jeśli tak wolicie. Ale jeśli chcecie się wygodnie wyspać, duże łóżko jest do waszej dyspozycji. Jeżeli chodzi o mnie, nie przywykłem regulować osobistych kwestii moich gości.

–Duże łóżko – zdecydowała Sally bez wahania i dodała. – Byłam głupia, Cam, ale nie chcę tracić już więcej czasu.

Następnego dnia Stan Cameron wyruszył wcześniej rano z wycieczkowiczami. Po śniadaniu Fenton i Sally zajęli się karmieniem kóz i wygonili je do zagrody za gospodarstwem. Cieszyli się ze sposobności prostej fizycznej pracy, z dala od miejskiego zgiełku. Gdy skończyli, Fenton zabrał Sally na przechadzkę do lasu, do miejsca, w którym żelazor ukradł staremu Stanowi siekiere. Jego ślady zniknęły dawno temu, ale Sally bacznie przyglądała się ziemi pod stopami.

–Siekiera się nigdzie nie odnalazła, prawda? – zapytała.

–Jestem pewien, że wuj powiedziałby nam o tym odparł Fenton. – Zresztą, nie widziałem żadnej siekiery w szopie z narzędziami.

Wracając do domu Sally szła zamyślona.

–Czy pamiętasz dokładnie, co Kerridis, czy może Findhal – zapytała – opowiadali o czasach, kiedy żelazory mogły przechodzić z wymiaru do wymiaru tylko o wybranych porach? Zastanawiam się, czy to właśnie nie było przyczyną rozkwitu astrologii i śledzenia cykli zmian astrologicznych. Chodziło prawdopodobnie o obliczanie momentów, w których mogłoby dochodzić do wizyt nieproszonych gości.

Fenton powtórzył wszystko, co na ten temat pamiętał. – Więc Bramy otwierają się teraz częściej, a Kerridis uważa, że to przez szachrajstwa Pentarna. – Sally zamyśliła się. – Przypuszczam, że w jego potężnym arsenale może się po prostu znajdować machina do wyważania Bram. To by wszystko tłumaczyło. – Zamilkła i weszła do domu po swoją torbę podróżną. Kiedy wsiadała do samochodu, zapytała Fentona: – Czy myślisz, że mógłbyś się dostać teraz do Domu na Rozstajach?

–Jeśli tylko na niego trafię. – Fenton uśmiechnął się kwaśno.

Powtórzył jej również wszystko, co usłyszał na temat ich instytutu od młodych ludzi grających w Dungeons Dragons w Domu na Rozstajach. Odpowiedziała wzruszeniem ramion i że zawsze istniały różnice między ludźmi pracującymi naukowo i praktykami w danej dziedzinie.

–Wystarczy spytać terapeutę w domu dla niedorozwiniętych dzieci, co myśli o akademickiej psychologii edukacyjnej lub nawet lepiej: belfrów z kryminogennych, wielorasowych dzielnic miasta, a poznasz ich entuzjazm! – spierała się.

–Problem polega na tym, że jak dotąd w parapsychologii stosowanej nie prowadzono żadnych badań pozalaboratoryjnych – zwrócił uwagę Fenton. Z wyjątkiem może paru zapaleńców nagrywających jęki i filmujących duchy po nawiedzonych domach albo wręcz próbujących je uciszać po ich uprzednim psychoanalitycznym rozebraniu. – Fenton zachichotał i zatrzasnął zapakowany bagażnik. – Kiedy tak siebie słucham, przypomina mi się Garnock mówiący o Domu na Rozstajach.

Sally usiadła za kierownicą.

–Musisz się z tym pogodzić, Cam – perswadowała. – Przyjęcie tych faktów do wiadomości i pogodzenie się z nimi wymaga czasu. Właśnie utarło mi nos, kiedy stwierdzono, że bez względu na głoszoną postawę naukowego obiektywizmu kieruję się w moim rozumowaniu głównie tym, w co kiedyś uwierzyłam i uznałam za jedynie słuszne. Fakt, że zaczęłam teraz wierzyć w to, co opowiadasz, w najmniejszym stopniu nie wpłynie na nastawienie Garnocka. Pomyśli najzwyczajniej, że – na twarzy Sally pojawił się ten jej radosny zniewalający uśmiech – jestem drugim po Amy Brittman przypadkiem zaniku funkcji racjonalnego myślenia u kobiety, wynikłym z opętania seksualnego przez samca.

Kiedy wkładała kluczyk do stacyjki samochodu, Fenton położył dłoń na jej ręce i zacisnął na niej mocno palce.

–Akurat to mnie nie martwi, dajmy sobie spokój z Garnockiem.

Ale oboje dobrze wiedzieli, że wcale nie będzie łatwo. Całą powrotną drogę dyskutowali nad sposobem przekonania Garnocka. Wiedzieli, że pierwszym zadaniem, które ich czeka, jest odnalezienie Domu na Rozstajach. Gnana ciekawością, Sally podjęła ryzyko utknięcia w korku na Telegraph Avenue, lecz na miejscu znaleźli tylko pralnię chemiczną. Sally była rozczarowana. Fenton czuł, iż miała nadzieję, że przynajmniej rzuci okiem na antykwariat. Byłby to dla niej dodatkowy dowód.

Chciała, by razem wrócili do jej mieszkania, ale Fenton się uparł, że musi iść do siebie i posprzątać.

–Wpadnę później – obiecał.

–Może miałeś rację, Cam, kiedy mówiłeś, że powinniśmy razem zamieszkać. Zaczynam o tym poważnie myśleć, ale nie jestem chyba jeszcze gotowa. – Zarumieniła się.

Fenton zapytał, o której przyjść.

–Muszę przygotować zajęcia na jutro, zadzwonię do ciebie, jak skończę, dobrze?

Zatrzymali się pod domem Cama. Sally przytuliła się i pocałowała go w policzek.

Wchodził na górę, smętnie rozmyślając o pozostałościach po stajni Augiasza, które miał za chwilę sprzątać. Powinien jeszcze wyjść do sklepu, żeby kupić mopa, butelkę jakiegoś środka czyszczącego i zmywak. Przypomnił sobie także o gumowych rękawiczkach – pamiętał, że po podłodze wałały się resztki szkła. Gdy dotarł na swoje piętro, zobaczył drzwi swego mieszkania otwarte na oścież. Serce zabiło mu mocniej. Kto tym razem? Pentarn? Amy Brittman z kolejną wizytą? A może żelazory?

Skoncentrował się na przygotowaniu do obrony, wdzięczny losowi za kilka lekcji karate udzielonych mu kiedyś przez znajomego Japończyka. Obawiał się jednak, że w starciu z włochatymi stworami jego umiejętności mogą się okazać niewystarczające. Wpadł do środka i błyskawicznie objął wzrokiem całe wnętrze.

–Tylko spokojnie! – rozległ się stanowczy głos. Nie ruszaj się Fenton. Ręce na ścianę, nogi w rozkroku.

Stał przed nim policjant mundurowy z Berkeley. W rękę trzymał odbezpieczony rewolwer, wycelowany prosto w Fentona.

ROZDZIAŁ 16

W mieszkaniu znajdowało się dwóch policjantów w towarzystwie niskiej, krępej policjantki, która mimo że robiła wrażenie kobiety, była nabita i atletycznie umięśniona. Fenton posłusznie i w milczeniu wykonywał wszystkie nakazy. Jeden z policjantów starannie rewidował zawartość jego kieszeni i ubranie, kiedy ten stał pod ścianą.

–Nie uzbrojony – oznajmił pozostałym. – Żadnej broni, z wyjątkiem... a co to właściwie takiego? – Pokazał Fentonowi przedmiot, który trzymał w dłoni.

–To igła weterynaryjna. Dziś rano zszywałem nią kozła na farmie mojego wuja w górach Siewa. – Fentonowi mignął przed oczami obraz Sally dojącej krowę i odpychającej od matki natrętne koźlątko. Nagła zmiana towarzystwa była dość szokująca. – Czy mógłbym się dowiedzieć, o co chodzi, sierżancie?

–Siadaj, Fenton – warknęła policjantka nie zwróciwszy uwagi na jego pytanie. – Pełne nazwisko Cameron Fenton, zgadza się?

–Tak, ale co...

–Czy to pańskie mieszkanie? Jest pan tu zameldowany? – Przeczytała na głos jego adres. Zdezorientowany Fenton przytaknął. Zaczynało mu to wszystko bardzo śmierdzieć. Nie trzeba było pod wyższego ilorazu, żeby to zauważyć. Policja z Berkeley tkwiła po uszy w robocie i nie fatygowałaby się powtórnie z powodu jakiegoś zwykłego włamania, podczas którego na dodatek nic ważnego nie skradziono. Nawet jeśli chcieliby, żeby składał jakieś oświadczenie albo oficjalną skargę na Amy Brittman, pewnie zadzwoniliby, żeby się stawił w komisariacie, a nie jechaliby tu, i to w dodatku we troje.

–Cameron Fenton, jest pan oskarżony o zabójstwo z premedytacją – oświadczyła policjantka. – Według prawa stanu Kalifornia mam obowiązek poinformować pana, że może pan zgodnie z prawem nie udzielać odpowiedzi na nasze pytania. Jeśli jednak będzie pan odpowiadał, wszystko co pan powie, zostanie zapisane i może być wykorzystane przeciwko panu. Ma pan prawo wezwać adwokata, a jeśli pana nie stać, przysługuje panu adwokat z urzędu. Zrozumiał pan? Nie musi pan odpowiadać na pytania i może wezwać prawnika, teraz albo potem. Jasne?

–Oczywiście – odparł Fenton. – Mogę udzielać odpowiedzi na wszystkie pytania, ale chciałbym się dowiedzieć, o co chodzi. Nie zrobiłem nic złego.

–Nie? – zdziwił się jeden z policjantów. – Podejrzewam, że zmienisz też swoją wersję, powiesz nam, że nie znasz tej dziewczyny, że nigdy jej tu nie było i nie wiesz, kto zdemolował twoje mieszkanie. Oczywiście, nie wpłaciłeś za nią kaucji, nie

poszedłeś z nią do jej domu, nie zabiłeś jej i nie okaleczyłeś jej zwłok.

–O Boże – jęknął Fenton. – Amy Brittman? – Zna jej nazwisko. Zapiszcie to, sierżancie zwrócił się jeden z policjantów do policjantki. Dziewczyna wykonała polecenie.

–To prawda, że zdemolowała mi mieszkanie przyznał Fenton – a ja wezwałem policję i przekazałem informacje o niej waszym ludziom. Nie wpłacałem za nią jednak żadnej kaucji i nie zbliżyłem się nigdy do jej mieszkania. – Tu poprawił się: – To znaczy, nigdy nie wszedłem do jej mieszkania. Stałem tam raz pod drzwiami, ale gdy tylko je otworzyła, zatrzasnęła natychmiast przed moim nosem.

–Według pańskiej wersji nie widział się pan z nią od chwili, kiedy opuściła to mieszkanie?

–To nie jest żadna „moja wersja”, tak było. Nie widziałem jej od czasu, kiedy stąd uciekła. Oddałem policji jej broń i na tym się kończy moja wiedza w tej sprawie. Czy ona nie żyje?

–Z całą pewnością nie – odpowiedział jeden z policjantów. – A my mamy kilkunastu świadków, gotowych zeznać pod przysięgą, że wczoraj koło południa widzieli mężczyznę dokładnie odpowiadającego pańskiemu rysopisowi, z przyprawioną sztuczną brodą i ubranego w jakieś idiotyczne średniowieczne łachy, wpłacającego kaucję za Amy Brittman, która wraz z nim opuściła komisariat policji i udała się do swojego mieszkania. Dodam, że mężczyzna podał pańskie nazwisko. Czy teraz zechce pan zmienić swą opowieść, Fenton?

Zapytany zaprzeczył ruchem głowy. Ale wiadomości wstrząsnęły nim. To musiał być Pentarn!

–Nie – odparł policjantowi. – Powiedziałem całą prawdę. Opuściłem miasto w trzy godziny po wezwaniu policji i udałem się na ranczo mojego wuja, Stana Camerona, w górach Sierra. Towarzyszyła mi koleżanka z uniwersytetu, panna Lobeck z Instytutu Parapsychologii. Można to sprawdzić.

–Z pewnością nie omieszkamy. Ale teraz konieczne jest zidentyfikowanie ciała. Ta mała Brittman nie miała w Berkeley żadnych krewnych. Na uniwersytecie dowiedzieliśmy się, że panna Lobeck była jej opiekunem naukowym. Jeśli tylko potwierdzi pańską wersję wydarzeń, najprawdopodobniej nie ma się pan czego obawiać.

–A może razem ją zamordowali? – zasugerowała podejrzliwie policjantka.

–Jak miałbym ją zabić? – spytał Fenton. – Przecież przekazałem broń policji.

–Skąd wniosek, że została zastrzelona? – zdziwił się rozmawiający z Fentonem funkcjonariusz. A w ogóle to my tu jesteśmy od zadawania pytań.

–Czy mogę zatelefonować?

–Będzie pan mógł zadzwonić dopiero z komisariatu, po wszystkich formalnościach. Chyba że dostaniemy nazwisko adwokata i skontaktujemy się z nim natychmiast.

–Nie znam żadnych adwokatów – odparł Fenton. – Do cholery, nigdy nie potrzebowiałem żadnego adwokata.

–Obawiam się, że teraz nie masz wyjścia, kolego powiedział policjant bez złośliwości, ale ze śmiertelną powagą.

–Jak tylko będzie możliwe, zadzwonię do profesora Garnocka, który poda mi nazwisko prawnika naszego instytutu – postanowił Fenton.

Podczas jazdy radiowozem do komisariatu uprzytomnił sobie jednak ponuro, że Garnock może nie zechcieć, by wiązano instytut ze sprawą morderstwa.

Zawieźli go do komisariatu, spisali i zrobili zdjęcia. Potem pozwolili mu zatelefonować do Garnocka. Profesor był zupełnie zaszokowany, obiecał przyjechać od razu z prawnikiem i reprezentantem wydziału, żeby poświadczyć za Fentona i wpłacić kaucję, jeżeli Cam by tego chciał. Fenton zastanawiał się, czy Garnock sądzi, że on – Fenton – padł ofiarą ubocznych skutków antariu i stał się na tyle obłąkany, iż mógłby się dopuścić morderstwa. Po spisaniu danych policjanci spytali, czy nie ma nic przeciwko testom medycznym. Potem wzięli próbki jego owłosienia z głowy i z ciała oraz wydlubali mu trochę brudu z paznokci. Dokładnie oglądali jego całe ciało sprawdzając, czy nie ma sińców, zadrapań lub ran. Poprosili o próbkę spermy i spytali o ostatnie stosunki seksualne. Powiedział prawdę. Nie wątpił, że w sytuacji tak poważnej jak ta, Sally nie będzie miała nic przeciwko temu. Czy Amy Britzman została zgwałcona przed śmiercią? Jeśli zabił ją Pentarn, nie było to konieczne.

Siedział w celi, przerażony tym, co ma nastąpić, a wyobraźnia podsuwała mu niewesołe rozwiązania. Przy podejrzeniu o zabójstwo oskarżony nie miał prawa być zwolniony za kaucją. Wyszedł z celi tylko raz tego dnia, żeby zidentyfikować ciało Amy Britzman jako tej, którą nakrył na okradaniu swego mieszkania.

Leżała w kostnicy, owinięta resztkami ubrania. Szyję miała okręconą zszarganymi i poplamionymi kawałkami materiału. Jej zastygła twarz wyrażała nieme przerażenie. Ciało pokrywały plamy i sińce. Jednak najbardziej odrażające były ślady pazurów, kłów i jakiejś hakowatej broni, którą oberwano jej pół dłoni i szarpano szyję w okolicy gardła z lewej strony. Jedna z piersi Amy została naderwana, a górna część uda przy pachwinie wygryziona – inaczej nie dało się tego określić.

–O Boże – jęknął Fenton i ukrył twarz w dłoniach. – Dobry Boże! Żaden człowiek nie byłby w stanie zrobić czegoś takiego! Nawet gdybym mógł zabić tę dziewczynę, chociaż nie mam najmniejszego powodu, to przecież ona została zgwałcona... uduszona... pokłuta. Zadżgana! Co wy sobie myślicie, że jestem Kubą Rozpruwaczem, czy jak?!

Nikt nie odpowiedział. Fenton nie spodziewał się, że odpowiedzą. Zabrali go z powrotem do więzienia, do jego celi. Tam dostał coś do jedzenia, co prawdopodobnie miało być gulaszem z syntetycznych protein, a do picia coś, co przywoływało wspomnienie kawy. Potem został w celi sam. Brudna żarówka paliła się nieprzerwanie całą noc.

Długo nie mógł zasnąć. Obraz podżganych, szkaradnie zniekształconych i poranionych zwłok Amy Britzman majaczył mu od czasu do czasu przed oczami. Fenton żałował, że wezwał wtedy policję. Powinien oddać Amy pistolet i puścić ją wolno, a Pentarn nie miałby powodu do takiej zemsty – jeśli była to robota Pentarna. Ten – podobnie jak Fenton – sam nie potrafiłby załatwić ciała dziewczyny w tak makabryczny sposób. Boże odpuść, pomyślał Fenton, ona została częściowo zjedzona. Potem, kiedy już prawie zasypiał, przed oczami pojawił mu się obraz żelazorów krojących na plastry konie Alfarów i napychających sobie do ryjów pokrwawione szczątki.

Żelazory! Czyżby właśnie one zdołały się wedrzeć do tej rzeczywistości i zamordowały biedną Amy? Przypomniawszy sobie ich kościste pazury, maczetopodobną broń i ogromne kły. Ale dlaczego zostawiły prawie całe ciało?

Pierwszym dowodem na to, że żelazory mogły się wdzierać również do tego świata, było zdarzenie u wuja Stana – Fenton widział tam żelazora umykającego z siekierą wuja. Dlaczego nie ostrzegł nikogo? No cóż, przecież próbował. Powinien sprawić, aby uwierzyli, mimo że było to takie trudne.

Nie należało wierzyć w zwykły zbieg okoliczności w sytuacji, kiedy pierwszą ofiarą żelazorów w tym świecie – pierwszą, o której Fenton wiedział – została kobieta tak blisko związana z Pentarnem, a ten przecież miał nad nimi pewną kontrolę. Oczywiście, można też było oskarżyć o mord jakiegoś psychopaty.

Wiedziałem, że Pentarn jest zły, rozmyślał Fenton. Jego własny syn uciekł od niego, porzucił całe swoje dziedzictwo, pałac... Ale nawet Pentarn... czy byłby zdolny napuścić żelazory na kobietę, którą kochał? Albo tylko twierdził, że kochał.

Z rozkazu Pentarna żelazory zaatakowały Kerridis i Irielle. To powinno wystarczyć za odpowiedź.

Nie mogąc zmrużyć oka, odwrócił się tyłem do światła i naciągnął więzienne

prześcieradło na głowę. Zdał sobie sprawę, że czuje się winny. Powinien był znaleźć sposób, jakiś sposób, żeby ostrzec przed zagrożeniem ze strony żelazorów swój własny świat.

Tak. Już to sobie wyobrażam. Jadę do komisariatu w Berkeley i ostrzegam, że małe, włochate bestie z innego wymiaru kręcą się po świecie i pożerają ludzi. Miał tylko nadzieję, że Amy Britzman umarła, zanim zrobili jej to wszystko, ale chyba nie było się co ludzić. Nie przepadał za dziewczyną, nie miał powodów, żeby ją lubić, ale nie zasłużyła na tak okrutną śmierć. Zastanawiał się, czy prawdziwi mordercy boją się tak samo jak on, ale było to mało prawdopodobne.

W końcu zasnął niespokojnie. Męczyły go sny. Śnił, że Irielle przygląda mu się w milczeniu zza barykady, Joel Tarnsson podnosi z ziemi vrillowy miecz i szarżuje z furją, podczas gdy Pentarn stoi w kręgu żelazorów, nieudolnie próbując uciszyć ich wściekłe wrzaski, a Kerridis prowadzi Cama do drzwi Domu na Rozstajach. Kerridis. Jak się jej powiodło z doradcami na Radzie? W kategoriach tego świata można by powiedzieć, że odszedł opuściwszy ją w potrzebie.

Cóż jednak mógł dla niej zrobić?

Sny powtarzały się bez końca, w tym samym lub nieco zmienionym kształcie, aż przyszedł ranek. Fenton otrzymał napój, ironicznie zwany przez więźniów kawą, i coś, co przypominało owsiankę. Nie mógł nic przełknąć. Siedział drżąc na więziennym łóżku i czekał, aż coś się stanie.

I tak nadeszło południe.

Ktoś przyszedł i oddał mu pasek, buty, krawat i portfel, podsunął kwitek do podpisania, oddał pieniądze, klucze, weterynaryjną igłę wuja Stana i wyprowadził go do poczekalni, gdzie siedzieli zniecierpliwieni Garnock, Sally i Stan Cameron.

–Dobra, Fenton – rzekł policjant – twoje zeznania zostały sprawdzone i potwierdzone. Wydaje nam się, że nie mogłeś zabić tej dziewczyny. – Nie wyglądał na zadowolonego, a Fenton nie był wcale zdziwiony. W sposobie, w jaki policjant mówił, nie w samych słowach, można było wyczytać, że dopiero teraz musi dochodzić, kto zamordował Amy Britzman. Czekало go nieprzyjemne zadanie odnalezienia psychopaty, który okrutnie zgwałcił, udusił i okaleczył młodą dziewczynę. Fenton czuł się znowu winny, że nie jest w stanie ostrzec policjanta przed żelazorami kręcącymi się być może wokół i że istnieje duże ryzyko, iż tego rodzaju morderstwa mogą się powtórzyć. Miał już jednak dość kłopotów. Ledwo co dzikim trafem wyślizgał się z jednego, nie zamierzał więc ładować się z deszczu pod rynnę.

Nie zazdrościł także oficerowi. Dobrze wiedział, że nie znajdą winnego psychopaty. Był przekonany, że szybciej piekło pochłonie wysokiego, brodatego anachronistę w

długich butach, który zapłacił kaucję za Amy Britzman, niż policja go znajdzie.

A nawet jeśli tak by się stało, Pentarn mógłby w każdej chwili wskoczyć w przenośną Bramę, którą nosił pod pachą, zniknąć i zwinąć ją za sobą.

Brzmiało to głupio nawet dla samego Fentona, lecz był przekonany, że to prawda. Już sobie wyobraził, jak na te rewelacje zareagowałby oficer policji. Nie powiedział więc nic.

–Wydaje mi się, że teraz mamy tylko jedną rzecz do zrobienia – oświadczył Stan Cameron.

Poszli wszyscy do gabinetu Garnocka, gdzie Fenton opowiedział całą historię od początku. Nie był pewien, czy Garnock uwierzył mu do końca, ale zauważył, że profesor jest do głębi wstrząśnięty tym, co się stało z Amy. Nie musiał identyfikować poturbowanego ciała – tak jak Sally – ale widział sensacyjne nagłówki i zdjęcia w gazetach. Teraz bardzo chciał usłyszeć, co Fenton ma do powiedzenia o żelazorach.

–Zadanie jest jasne – powtórzył wuj Stan. Trzeba ostrzec przed nimi ludzi.

–Przecież nikt nam nie uwierzy – zaproponował Garnock. – Niech pan zrozumie, panie Cameron. Jestem szefem Instytutu Parapsychologii i dzięki temu mam świadomość, co ludzie uważają za niemożliwe. Ja sam uważam siebie za człowieka, dla którego codziennym wyzwaniem jest wiara w zjawiska odrzucane przez większość, a nawet właśnie mnie potrzeba było tragicznej śmierci mojej studentki, żebym choć trochę uwierzył w to wszystko. Jeśli w ogóle w to wierzę dodał. – Jak, u diabła, chcecie sprawić, żeby ktokolwiek dał temu wiarę?

–Zechcą wierzyć czy nie – rzucił Stan Cameron moim obowiązkiem jest ich ostrzec.

Oczy Sally zaiskrzyły się.

–Jakie dobro może im pan wyświadczyć z za kratek szpitala psychiatrycznego?

–Takie samo – odpowiedział. – Muszę spróbować. Na tym polega moja odpowiedzialność. Czy uwierzą, czy nie, to już ich sprawa.

Żaden z argumentów, jakich próbowali, nie odwiódł go od decyzji. W końcu Stan Cameron wyszedł z gabinetu Garnocka i samotnie udał się na policję.

–Jeśli zamkną mnie razem z czubkami – odezwał się w drzwiach do Cama – załatw kogoś do opieki nad moimi kozami, dobrze?

Kiedy stary człowiek zamknął za sobą drzwi, Garnock pokręcił głową.

–Podziwiam jego odwagę – odezwał się – ale nie sądzę, że go gdzieś zamkną... To przecież jest bez sensu, Cam. Mam już dość zmagania się z siłami walczącymi w tej rzeczywistości, jak więc sobie poradzić z dwunastoma światami wokół nas?

–Myślę, że właśnie po to istnieje Dom na Rozstajach – odparł Fenton. – Żeby było pewne, iż wewnętrzne konflikty jednego wymiaru nie przenikają się z konfliktami innych. Ale chyba coś tu wzięło w łeb. Ludzie w Domu na Rozstajach nie działają tak jak powinni. – Przypomniał sobie starca Myrilla, powtarzającego w kółko, że nic nie przechodziło przez jego Bramę i że jego Brama nie ma nic wspólnego z innymi. Jeśli Kerridis albo jej ludzie powierzyli obowiązek trzymania pieczy nad Domem na Rozstajach takiemu człowiekowi, mogli mieć pertensje o to, co się stało, tylko do siebie.

W takim razie kto powinien strzec Domu na Rozstajach? Jedyni ludzie, jakich Fenton widział po tej stronie Domu, to dziewczyna – Jennifer – i młodzi mężczyźni, zgromadzeni wokół makiety gry Dungeons Dragons. Jak określić predyspozycje tych, którzy mogliby wziąć na siebie odpowiedzialność doglądania Domu na Rozstajach?

–Istnieją stare podania – odezwała się zamyślona dotąd Sally – o tajemniczych społecznościach, które miały klucze do innych światów. Może Dom na Rozstajach zawsze był pod ich opieką... – Widok zwłok Amy Britzman jakby zniweczył jej wszelkie wątpliwości.

–Ale większość tak zwanych tajemniczych społeczności zachowuje się dzisiaj jak oszuści podatkowi zauważył Fenton. – Może zgubili drogę i nie robią tego, czego należałoby od nich oczekiwać. Zatracili sekretną umiejętność właściwego zajmowania się Domem na Rozstajach.

–To mogłoby się wydarzyć w jednej rzeczywistości, ale jest mało prawdopodobne, aby wydarzyło się we wszystkich jednocześnie – miał obiekcje Garnock. – Z twojej wypowiedzi należy wnioskować, że stało się coś niedobrego na wszystkich poziomach.

–Największy problem, zdaje się, jest taki, że większość intruzów, którzy nawiedzają świat Alfarów, i ten też, nie dostaje się przez Dom na Rozstajach nawet wtedy, kiedy Bramy są zwykle otwarte – odparł Fenton. – Problem ma podobno swe źródło w świecie Pentarna. Może właśnie dlatego, że przez wieki nie było kłopotów, strażnicy Bram stali się mniej uważni i kiedy ktoś taki jak Pentarn zaczął odstawiać swoje sztuczki, dali się zaskoczyć i nie zdołali przed nim obronić. Jestem pewien, że to właśnie Pentarn wprowadza żelazory do świata Alfarów.

–A czy one są z jego świata? Jak sądzisz? – zapytała Sally.

–Myślę, że nie. Z tego co mówił gnom, wynika, że na pewno nie. Moim zdaniem Pentarn znalazł sposób na otwieranie Bramy do świata gnoma i żelazory przechodzą przez ten świat nawet wtedy, gdy Bramy są zamknięte.

–Dlaczego gnom pozwala im na to? – spytała Sally?

–Myślę, że nie zdawał sobie sprawy z tego, co się naprawdę działo, dopóki się tam nie pojawiłem. Mówiłem ci już, że on chyba postrzegał tylko dwa rodzaje zjawisk: siebie i innych. Jeśli natomiast nie mógł zamienić tego czegoś w siebie, chciał się tego jak najszybciej pozbyć – mówił Fenton. – Bez złych intencji wobec Alfarów otwierał więc Bramę, która do nich prowadziła i w ten sposób szybko pozbywał się żelazorów. Sally zasugerowała:

–Mógłbyś spróbować dostać się jeszcze raz do świata gnoma za pomocą tej samej podróży antarilu co poprzednim razem i...

Garnock i Fenton zaprotestowali jednocześnie.

–W żadnym wypadku – dodał Fenton. – Amy go ukradła. Pewnie oddała Pentarnowi, oczywiście, jeśli zdążyła. Już go nie mam. Może i mógłbym poszukać handlarza, ale oni są niepewni. Mógłbym dostać zupełnie inny towar i wylądować gdzieś daleko od świata gnoma.

–No dobrze, ale jeśli gnom zdałby sobie sprawę z tego, co robi – zapytała Sally – czy zechciałby pomóc?

–Skąd mam wiedzieć? Próbowalaś kiedyś przekonywać gnoma? – spytał Fenton i przypomniał sobie niebezpieczeństwo wynikłe z tego niezwykłego doświadczenia. – Wydaje mi się, że jedyną rzeczą, którą możemy spróbować zrobić, jest odnalezienie Domu na Rozstajach i rozmowa z tymi, którzy są tam na straży. Jednak nie z tymi, którzy pilnują, ale z ich zwierzchnikami, jeśli tacy istnieją.

Garnock zmarszczył brwi.

–Nie bardzo jest sens dawać ci antaril tylko po to. Jeśli jednak trafiłbyś znowu do Alfarów...

Fenton potrząsnął głową i zaprotestował:

–Moje przebywanie u Alfarów w postaci Cienia jest bezużyteczne. Mam już dość bycia wyłącznie bezradną ofiarą okoliczności. Jeżeli znowu pójdę tam jako Cień, zawsze już tak będzie.

Zdecydował, że nie pójdzie więcej do Alfarów – ani do żadnego innego świata – bez ciała, cokolwiek by się działo. Nie pójdzie bezbronny i smagany ręką przypadku,

niematerialny Cień, przechodzący przez ściany bez możliwości wpływania na zdarzenia, które się tam rozgrywają.

–Oddaj mi mój talizman, doktorze. – Kiedy jednak Garnock gapił się na niego nie rozumiejąc, o co mu chodzi, dodał: – Kamień, aport czy jak go zwiesz. Tym razem albo pójdę tam w ciebie, albo w ogóle.

Garnock zaczął protestować. Fenton zacisnął zęby i wycodził:

–Posłuchaj, profesorze. Jak przed chwilą powiedział wuj Stan, czy inni nam uwierzą, czy nie, to ich sprawa. A to jest moja sprawa. Wracam tam, wracam z talizmanem, więc mogę iść jako Przechodzień. Oddaj mi mój talizman w tej chwili. – Garnock ciągle się wahał, więc Fenton podniósł się i groźnie zbliżył do niego. – Mówię poważnie. Nie lubię się z tobą kłócić, ale chcę go mieć z powrotem, i to wszystko. Jeśli zaraz mi go nie przyniesiesz, rozwalę ci tę pieprzoną szklaną gablotę i sam sobie wezmę! Lub stanę sobie tutaj i zawołam go, a wtedy okaże się, czy mam wystarczająco dużo zdolności telekinetycznych, żeby go wyrwać. Twój wybór, profesorze, ale radzę ci, żebyś mi go dał.

Garnock nie ruszał się. Siedział tak przez dłuższą chwilę i patrzył na swojego byłego studenta. Potem wolno powiedział:

–W porządku, Cam. Na twoją odpowiedzialność. W końcu jest twój. – Podeszedł go gabloty, otworzył ją kluczem wyjętym uprzednio z kieszeni. Sięgnął po kamień. Przez chwilę trzymał go niedbale w dłoniach.

–Czy na pewno chcesz to zrobić w ten sposób? – Nie mam wyboru.

–Co teraz?

–Pójdę wzdłuż Telegraph Avenue, aż dotrę do Domu na Rozstajach albo przynajmniej do małego antykwariatu, który jest jednym z wejść do Domu na Rozstajach. Pójdę z talizmanem w dłoni i zażądam przejścia do krainy Alfarów. Ta dziewczyna, Jennifer, widziała mnie z Kerridis. Ja wiem, co oni myślą o Cieniach. Nie mógłbym niczego żądać, gdybym znowu poszedł tam jako Cień. Muszę iść z talizmanem, żeby wejść jako Przechodzień.

Garnock wręczył mu kamień i rzekł:

–W porządku. Stawiam na ciebie w tym rozdaniu. Chyba jestem ci to winien, po tym jak dopuściłem do morderstwa Amy Britzman. Weź ten swój talizman... Pójdę razem z tobą na Telegraph Avenue. Chciałbym sobie obejrzeć Dom na Rozstajach.

–Ja też – rzuciła Sally, ale Garnock zgromił ją wzrokiem.

–Nie, ty nie pójdziesz. Dwóch wariatów jednocześnie w Instytucie Parapsychologii chwilowo wystarczy. Masz tu zostać i zastąpić mnie na ćwiczeniach z dowodzenia naukowego w parapsychologii!

ROZDZIAŁ 17

Nie zamienili ani słowa, kiedy zmierzali przez kampus do bramy Sather, żeby wyjść na Telegraph Avenue. Fenton zdał sobie sprawę, że drży z podniecenia. Czuł ciężar i chłód kamienia niesionego w kieszeni, który był płaskim kawałkiem szarej skały. Cieszyło go, gdy dotykał palcami drobnych, ledwo wyczuwalnych rytów. Wyjął kamień z kieszeni i przyjrzał mu się. Nie, zwykły kawałek skały.

Minęli jeden, potem drugi budynek. Fentonowi zaczęło się robić słabo i niedobrze. Przypuśćmy, że Domu na Rozstajach wcale tam nie ma, przypuśćmy, że zamiast małego antykwariatu znów znajdą pralnię chemiczną. Spojrzał na przeciwległą stronę ulicy i serce mu zamarło. Wydawało mu się, że na fasadzie któregoś z budynków widzi wyraźny biały napis: PRALNIA CHEMICZNA...

–Czy to jest ten antykwariat, o którym mówiłeś, Cam? – zapytał Garnock.

Fenton zamrugał oczami i zobaczył go. Mały antykwariat z rycinami Rackhama na wystawie, grami, książkami i albumami fantasy oraz wielowymiarową planszą Dungeons Dragons. Dom na Rozstajach Światów. Fenton poczuł drapanie w gardle. Chwycił w rękę talizman, a kiedy przekroczyli próg antykwariatu, pod opuszkami palców czuł coraz wyraźniejsze ryty...

–Profesorze, spójrz na to!

Na jego otwartej dłoni talizman zmieniał się wirując z furkotem. Nie był już teraz okrągłym kamieniem. Był płaski, twardy i półprzezroczysty. Wyglądał trochę jak jadeit z misternie wyrzeźbionymi na powierzchni runami. Kiedy Fenton patrzył na niego, kamień zmienił się znowu, tym razem w połyskujący złotawy klejnot, ten sam, który wręczyła mu Irielle. Wydawało się, że Garnockowi oczy wyjdą z orbit.

–Niech mu się przyjrzę. Cam, nie mogę w to uwierzyć. Garnock wyjął kamień z ręki Fentona. Młoda kobieta z długimi włosami i w babcinych okularach zbliżyła się wolno w ich stronę. – W czym mogę panom pomóc?

Fenton chciał wyjąć talizman z rąk Garnocka, ale ten ścisnął go kurczowo i przyglądał mu się uważnie, więc Fenton złapał Garnocka za nadgarstek i pociągnął w stronę kobiety. Przypomniał sobie jej imię.

–Jennifer, dobrze wiesz, co to jest.

Wiedziała. Można było to wyczytać z wyrazu jej twarzy.

–Tędy, proszę – powiedziała. – Proszę przejść tędy.

Podłoga zakolysała się pod nogami Fentona. Garnock zniknął z wrzaskiem; cały czas ścisnął talizman w dłoni. Zdezorientowany i zamroczony, Fenton chciał go chwycić, ale złapał tylko powietrze. Krzyknął, a wokół zawirowała przestrzeń pustego pokoju, następnie długi korytarz pełen drzwi, coś odległego i dziwnego, podobnego do kryształowej jaskini. Z daleka dobiegł go czyjś głos:

–Nie, Kerridis mówiła wyraźnie. Pentarn nie może przejść przez tę Bramę do Alfarów.

Przestrzeń znów zawirowała wokół z zawrotną prędkością. Fenton chciał krzyknąć, że to głupia pomyłka, że on nie jest Pentarnem, ale wiedział, iż nikt nie będzie go słuchał.

Próbował zebrać myśli. Stał w ciemnościach na twardym gruncie. Nie miał zielonego pojęcia, gdzie się znajduje. Czy Garnock z jego talizmanem w dłoni przedostał się do świata Alfarów? A on, wzięty za Pentarna z powodu ich nieszczęsnego podobieństwa, został wysłany gdzie indziej? A jeżeli tak się stało, to gdzie jest?

Jedno było pewne. Opuścił mały antykwariat, który był dworcem albo stacją, albo drzwiami Domu na Rozstajach w tej części świata. Cam znajdował się na otwartej przestrzeni. Było zimno, nie mógł więc trafić do świata gnoma. Natężył wzrok rozglądając się wokół, żeby zobaczyć choćby promyk światła majaczący gdzieś w oddali. Bezskutecznie. Ciemność była tak zupełna, że przez moment Fenton w panice myślał, iż ośleplł albo że jest zamknięty w jakiejś podziemnej jamie.

–Halo – odezwał się na próbę.

Nie odpowiedziało mu nawet echo, nie był więc w jamie, a z brzmienia dźwięku wywnioskował, że jest jednak na powietrzu.

Wolno jego oczy przywykły do głębokiej ciemności i powoli odzyskiwał wzrok. Pojawiły się zarysy jakichś kształtów, ciemniejsze jeszcze niż przestrzeń wokół. Płaskie plamy odległych wzgórz albo budynków – trudno było je rozpoznać, ale coś na pewno przesłaniało horyzont. Daleko, wysoko na niebie było widać niepewnie migoczące gwiazdy. To pomogło Festonowi ustalić przynajmniej jeden fakt. Nie mógł być w krainie Alfarów, bo tam nigdy nie widział gwiazd.

Gdzie więc był? Mógł obrać jakiś kierunek i ruszyć w poszukiwaniu światła, ale wtedy zdałby się na przypadek. Mógł stać tu i czekać, aż znajdzie się jeszcze gdzieś indziej albo że to samo zaklęcie, które sprowadziło go tutaj, wydobędzie go stąd. Oba rozwiązania wydawały się równie beznadziejne.

Nie było sensu tak po prostu tu stać. Ale z drugiej strony dlaczego nie? Przecież to równie korzystne jak pójście w nieznanym kierunku, ku nieznanemu celowi, bo nie było widać ani słońca, ani księżyca, które pomogłyby Fentonowi zorientować się w

terenie. Przemysławszy wszystko dokładnie – ciągle nie widział powodu, że należy gdzieś iść albo cokolwiek robić – zaczął uważnie przyglądać się najbliższemu kształtowi wylaniającemu się z ciemności i wolno ruszył w jego kierunku.

Kiedy tak szedł, miał dużo czasu, żeby jego wyobraźnia podsuwała mu koszarne wizje. Tym razem nie znalazł się w innym świecie w wyniku działania antariu, nie miał więc pewności, że kiedy przeczeka odpowiedni okres i będzie się trzymał z dala od kłopotów, czy srebrna lina bezpiecznie doprowadzi go tam, gdzie będzie czekało jego ciało. Jeżeli pomylili go z Pentarnem i odmówili mu wejścia do świata Alfarów, to było możliwe, że wysłali go do takiej rzeczywistości, do której Pentarn miał wolny dostęp. Mógł być wszędzie, nie był na pewno bliżej Kerridis i Alfarów, by ich przestrzec. Właściwie nie potrzebowali ostrzeżenia. Dobrze wiedzieli, co może im grozić ze strony żelazorów, znali też lepiej niż on sam perfidię Pentarna.

Co jednak działo się z Przechodniem, który nie zapowiadany, nie zaproszony zjawił się w obcym świecie, w jakimkolwiek świecie? Co mogło się czaić tutaj, w tej rzeczywistości? Wszystko, pomyślał ponuro Fenton, ze smokami-ludożercami włącznie. Można było podejrzewać i uznać za całkiem prawdopodobne, że we wszechświecie, który zamieszkiwały żelazory, gnomy i Wielki Wódz, istnieją nawet smoki. Sally miała rację, kosmos okazał się dziwny, nie tylko dziwniejszy niż Fenton kiedykolwiek sobie wyobrażał, ale dziwniejszy niż Cam był w stanie sobie wyobrazić. Zniechęcony i świadom, że najzwyczajniej w świecie użala się nad sobą, włókł się znikąd donikąd. Tyle pozostało z jego mocnego postanowienia wzięcia biegu wypadków we własne ręce i niedopuszczenia do sytuacji, w której byłby bezbronny przedmiotem przestawianym ręką przypadku. Znalazł się w jeszcze gorszym położeniu niż w czasie poprzednich wizyt, w nie lepszym też znajdowali się Alfarowie.

Nagle zobaczył światło.

Zaświeciło w nicości z ogromną mocą. Potem pojawiło się drugie światło, a obok nich inne i wolno zbliżały się w jego kierunku. Usłyszał głosy, nie były to śpiewne głosy Alfarów ani ostre pomruki żelazorów, ale szorstkie męskie głosy. Głosy istot ludzkich.

–Myślałem, że to gdzieś tutaj. Coś wpadło przez dziurę. Zakłócenie. Nie zdziwię się, jak to jakiś przeklęty Alfar przyszedł coś podwędzić.

–Co się w takim razie stało z Bramami, jeśli tak często coś wpada?

–Jeżeli chcesz znać moje zdanie – odpowiedział ktoś konspiracyjnym szeptem – to bez obrażania Wielkiego Wodza, cała ta babranina wokół Bram może mieć oślakane skutki. Brama to jedno, ale robienie dziur w samej przestrzeni, żeby wchodzić i wychodzić bez zawracania sobie głowy Bramami, to zupełnie co innego. Myślę, że to niebezpieczna zabawa i lepiej by było, gdyby znalazł inny sposób na załatwianie

swoich porachunków, rozumiesz?

–Ani ty, ani ja nie powinniśmy krytykować Wielkiego Wodza – odezwał się pierwszy głos i Fenton już wiedział, gdzie jest. Znalazł się w świecie Pentarna, a ci ludzie musieli być w służbie Wielkiego Wodza – inaczej mówiąc byli ludźmi Pentarna.

Nagle światło poraziło go w oczy. Nie używali pochodni, lecz silnych, elektrycznych latarek.

Mężczyźni uklonili się, a jeden z nich powiedział: – Nie wiedzieliśmy, że to ty, Wielki Wodzu. Mężczyzna ceremonialnym gestem wskazał mu drogę. Ale zanim Fenton zorientował się, że oni również są ofiarami pomyłki, i postanowił, jak wykorzystać sytuację, jeden z nich podszedł bliżej i skrzywił się.

–Dość grzeczności, panowie. To nie jest Wielki Wódz. To ten żalosny Cień, to on wpadł tu przed chwilą. Powinniśmy sprzedać mu kopa i wysłać tam, skąd przyszedł, przez dziurę.

To wybawiłoby mnie z kłopotów, pomyślał Fenton. Oczywiście nie spełnili groźby. Jeden z mężczyzn wysunął się naprzód i popatrzył Fentonowi prosto w twarz.

–On jest analogiem Wielkiego Wodza. Otrzymałem rozkaz przyprowadzić go przed oblicze Wodza natychmiast, skoro pojawi się tu z powrotem. Ruszamy, panowie.

Prowadzili go między sobą poszturchując latarkami. Świadomość, że nie znalazł się w nieznanym zakątku nieznannej rzeczywistości i nie grozi mu bezsensowne wałęsanie się oraz śmierć głodowa, przywróciła Fentonowi odrobinę spokoju. Lecz lądowanie w świecie Pentarna nie było najlepszym rozwiązaniem. Po jakimś czasie weszli między ogromne budynki, które wyglądały trochę jak magazyny albo mrówkowce bez żywej duszy w środku. Były wielkimi konstrukcjami z ogromną liczbą okien i Fenton nie mógł się zorientować, jakie jest ich przeznaczenie. Stopniowo ziemista droga pod nogami zamieniła się w gładki asfalt. Mężczyźni rozmawiali między sobą ściszonymi głosami i w ogóle nie zwracali uwagi na Fentona. Po dość długim marszu dotarli do budynku jeszcze wyższego niż tamte; z jego drzwi wylewało się na zewnątrz światło.

–Proszę do środka – powiedział jeden z mężczyzn i wepchnął Cama do wnętrza czegoś, co wyglądało jak koszary z ławami, napisami na ścianach i jakimś człowiekiem w mundurze, który czekał prawdopodobnie na zmianę warty. Atmosfera była tu trochę taka jak w komisariacie policji w czasie martwych godzin, ale zamiast rozłożonych gazet, wykańczania papierkowej roboty i picia kawy jeden z ludzi czyścił i oliwił broń, inny rozpracowywał jakąś sznurkową grę, która zdawała się dziewczęcym koszyczkiem, trzeci zaś drzemał z głową zawieszoną nad pustym drewnianym stołem. Jeszcze jeden gryzł jakieś orzechy nieznanego kształtu i

przeżuwał je z głośnym chrzęstem.

Po chwili podniósł się i zapytał:

–No, no, co przyprowadziliście nam tym razem? Mężczyzna, który postanowił doprowadzić Fentona do Pentarna, odpowiedział:

–Wygląda jak analog Wielkiego Wodza. Dostałem rozkaz przyprowadzić go, kiedy tylko się pojawi.

–A więc to tak? To on wpadł przez dziurę? Co ci ludzie na Bramach sobie myślą?

–Brama nie ma z tym nic wspólnego, wiesz o tym równie dobrze jak ja – odparł tamten smętnym tonem. – Wszystko przez te wędrujące dziury. Wspomnicie moje słowa, jeszcze przyjdzie taki dzień, kiedy przestrzeń wokół Bram nie będzie już przeszkodą. A wtedy dopiero różne świństwa zaczną przyłazić nieproszone. Alfarowie na pewno, choć są nieszkodliwi, i zaczną wymachiwać tymi swoimi mieczami. No cóż, dopóki mam to, nie mam się czego bać. – Poklepał ufnie swoją broń i Fenton bez zaskoczenia zauważył, że jest identyczna jak ta, z której Amy Britzman mierzyła do niego w mieszkaniu. – Ale na myśl o żelazorach włos mi się jeży na głowie, a przecież to jeszcze nie najgorsze stworzenia żyjące za Bramami i dziurami.

–Powstrzymaj się – powiedział inny. – Byłeś tak samo zadowolony jak my wszyscy, kiedy Wielki Wódz sprawił, że mogliśmy grabić i plądrować w różnych dziwnych miejscach. Pamiętam kilka kobiet z tego miasta na czerwonych skałach...

–Pewnie, jestem żołnierzem i biorę, co mi wchodzi w ręce, ale wystarczy tego dobrego. I nie podoba mi się to, co dzieje się z Bramami.

–Wielki Wódz poradzi sobie z nimi – wtrącił trzeci z przekonaniem. – Jeszcze lepiej niż kiedykolwiek robili to starzy Królowie. To były dobre czasy dla naszego ludu, kiedy poślubił córkę starego Króla... i kraj jest teraz lepiej rządzony, niż kiedy Królowie byli u władzy. Wielki Wódz wie jak dbać o armię.

–Za to reszta nic go nie obchodzi – odezwał się znowu pierwszy. – Spytaj ludzi z miasta, co sądzą o tym wszystkim. A gdzie jest chłopak? Odpowiedz mi, proszę, gdzie jest książę Joel. Wielki Wódz obiecał, że książę zasiądzie na tronie, jak tylko skończą się nasze kłopoty. Podejrzewam, że chłopak nie żyje, a Wielki Wódz boi się nam to obwieścić z obawy, że zwolennicy starego Króla powstaną przeciwko niemu.

–Słyszałem, że chłopak jest obiecany księżniczce Alfarów. Oto sposób związania dwóch światów – zasugerował inny, ale jego słowa powitało pohukiwanie pełne drwin.

Mężczyzna przeżuwiający orzechy powiedział:

–Dość gadania, spróbujmy znaleźć Wielkiego Wodza... oczywiście, jeżeli jest w Pałacu, a nie szwenda się gdzieś po drugiej stronie Bram. – Użył czegoś podobnego do telefonu komórkowego, a potem zwrócił się znów do kompanów:

–Nie mogę się połączyć z Wielkim Wodzem, ale jeden z przybocznych poinformował mnie, że Wódz jest w Pałacu. Słyszałem, że ma nową kobietę, pewnie jest z nią teraz, ale jeśli wyślemy tam analoga, może znajdzie dla niego chwilę w nocy. – Spojrzał na Fentona uważnie, lecz nie całkiem wrogo. – Wyglądasz jak po forsownym marszu – odezwał się do niego. – Jesteś głodny?

–Nie bądź głupi – rzucił inny. – Cienie nie jedzą. – Nie potrafisz rozpoznać Przechodnia, nawet jak patrzysz prosto na niego? Spójrz na jego cień. Jeśli zacnie się wrywać, założymy mu kajdanki, on dobrze o tym wie – powiedział ten, który telefonował. – Ale nie ma sensu traktować go źle, chyba że będziemy musieli. Daj mu porcję jedzenia. Jeżeli jest analogiem Wielkiego Wodza, to Wódz będzie zapewne chciał mieć z niego pożytek, więc powinien być w dobrej kondycji. Proszę – zwrócił się do Fentona i wręczył mu wilgotną bryłkę jakiejś masy. – To tylko strawa regeneracyjna. Dzięki niej żołądek nie przyrośnie ci do pleców. Przynieś mu kufel piwa ze spiżarni, Jem.

Jeden z mężczyzn wyszedł na chwilę i wrócił z powyginanym blaszanym kubkiem w rękę. Fenton spróbował znajdującego się w nim napoju i poczuł w ustach smak mocnego, gorzkiego piwa. Wypił piwo do dna jednym haustem i kiedy wychodzili z koszar i szli pustymi ulicami, za radą mężczyzny zaczął żuć strawę. Było to istotnie jedzenie i, inaczej niż wspaniałe napój, którym poczęstowali go Alfarowie, rzeczywiście zaspokajało głód i pragnienie. Strawa była wilgotną, mocno sprasowaną bryłką czegoś, co smakowało jak zimna, tłusta peklowana wołowina, zmieszana z kawałkami chleba i suchymi rodzynkami, jak konserwa z suszonego mięsa; z całą pewnością stanowiła zapasy żywnościowe. Była sycąca i bez wątplenia odżywcza, ale jej smak należał nie do wiekopomnych.

Spacer pustymi ulicami był tym razem krótki. Minąwszy kilka budynków znaleźli się w miejscu, które Fenton natychmiast rozpoznał. Był to arsenał, do którego przyprowadził go kiedyś Pentarn, z ogromnymi portretami Wielkiego Wodza na ścianach. Fenton zauważył teraz dokładnie, że jest podobny do Pentarna. Gdyby zapuścił brodę, byłby jego sobowtórem. Muszę pamiętać, żeby nigdy nie zapuścić brody, postanowił.

–Wielki Wódz jest zajęty i nie chce teraz nikogo widzieć – oznajmił umundurowany oficer stojący przy barierce. – Wydał rozkaz, żeby mu nie przeszkadzać. Ale możesz usiąść tu i poczekać, młody człowieku.

Fenton usiadł na wskazanym miejscu i przełknął ostatnie kęsy stawy regeneracyjnej, zadowolony, że cokolwiek zjadł. Zanosilo się na długie czekanie. Tak czy inaczej dzięki temu, że tu przyszedł, sporo się dowiedział. Ludzie Pentarna – wojsko, goryle, służby specjalne lub jak ich tam zwał – odnosili się do niego jak należy. Ponadto usłyszał, że nie tylko on i Garnock niepokoją się tym, co się dzieje z delikatną strukturą chroniącą Bramy.

Ciekawe, od kiedy funkcjonuje Dom na Rozstajach? Prawdopodobnie, myślał Fenton, od niepamiętnych czasów, jeżeli czas ma znaczenie w nowym obrazie kosmosu, jaki stworzyło pojawienie się Domu na Rozstajach. Kiedyś w momencie tego procesu załamała się kontrola nad Bramami. W świecie Pentarna Bramy dostały się w ręce pijanego władzą dyktatora, który używał ich do własnych celów nie bacząc zupełnie na konsekwencje swoich działań. W świecie Fentona ich istnienie zostało zupełnie zapomniane, trzymane w sekrecie, a końcu ich kontrola stała się domeną amatorów i ochotników, bo okazało się, że światek naukowy jest zupełnie nie przygotowany do zaakceptowania takiego zjawiska. Zapewne tu również czas można by mierzyć w tysiącach lat. Bramy Światów nie były znane również w przeszłości, ale przeszłość historyczna – według najnowszych teorii – była tylko krótkim wycinkiem dziejów gatunku ludzkiego na Ziemi... Chyba że należało wierzyć w starą historię mówiącą, że wszystko zaczęło się w roku 4004 przed naszą erą, kiedy to Bóg w siedem dni stworzył świat razem ze skamielinami... by zamieszać w głowach niewiernym.

Noc odpełzła cicho. Fenton rozmyślał, czy Pentarn pociesza się nową kobietą po śmierci Amy. Zastanawiał się, co robi Sally. Czekają, prowadzi zajęcia za Garnocka. Ciekaw był, jak Garnock radzi sobie tam, gdzie się znalazł, i czy jest to kraina Alfarów. Zastanawiał się również, czy Irielle i Kerridis są bezpieczne, czy żelazory nadal przedzierają się przez dziury w przestrzeni, które były dziełem obłąkańczej zemsty Pentarna za wyrodnego syna. W końcu stwierdził ze złością, że nie wie, dlaczego tak go to wszystko zaprzęta, skoro i tak nie jest w stanie nic zrobić.

Mierzenie czasu w obcym wymiarze zawsze było trudne, ale mimo to łatwiejsze dla Przechodnia niż Cienia; przynajmniej wewnętrzne rytmy organizmu pomagały mierzyć jego upływ. Powoli nastawał świt. Białe niebo jaśniało pierwszymi promieniami słońca. Fenton uznał, że kufel piwa i kawałek stawy regeneracyjnej zjadł już dość dawno, wystarczająco dawno i że znów odczuwa głód. Nie miałby nic przeciw następnemu treściwemu posiłkowi. W tym momencie drzwi do prywatnych apartamentów Pentarna otworzyły się.

W drzwiach stał Pentarn. Wyglądał na bardzo zmęczonego. Podniósł zdziwione oczy na Fentona i zapytał: – A co ty tu robisz?

–Przeleciał przez dziurę, Wielki Wodzu – poinformował go strażnik. – Myśleliśmy, że to ty po niego posłałeś.

Pentarn zaprzeczył ruchem głowy.

–Nieproszeni goście czasem wpadają przez dziury. No cóż, skoro już tu jesteś, właściwie możesz wejść rzekł do Fentona i gestem zaprosił go do środka.

Cama jeszcze raz uderzyła niezwykła skromność małych prywatnych pokoi dyktatora. Jakiegokolwiek korzyści ciągnął Pentarn z bycia Wielkim Wodzem, nie były to na pewno zbytek i luksus. Łóżko i krzesła wyglądały na niewiele bardziej komfortowe od tych w mieszkaniu Fentona i niewiele ładniejsze od ławek w koszarach strażników.

Wielki Wódz wyglądał starzej niż wtedy, kiedy Fenton widział go ostatni raz. Czyżby naprawdę się postarzał, czy czas upływał inaczej w tym wymiarze? A może był to skutek brzemienia niepokoju i żalu? Patrzył przez jakiś czas na Fentona w milczeniu, potem spytał:

–Jak się tu dostałeś?

Fenton wzruszył ramionami. Nie zamierzał wyjaśniać, że zaczął wędrówkę z talizmanem, który miał go zaprowadzić do świata Alfarów. Mógł jednak precyzyjnie odpowiedzieć na pytanie Pentarna, gdyż zupełnie nie wiedział, jak dostał się właśnie tutaj.

–Sam chciałem wiedzieć.

–Widzę, że tym razem udało ci się tu przyjść w postaci Przechodnia – zauważył Pentarn. – To przyjemniejsze, prawda? Sam nieraz wędrowałem jako Cień i zapewniam cię, że nie z własnej woli. No dobrze, może udało ci się przynajmniej przynieść mi trochę tego narkotyku? Potrzebuję próbki, która wystarczyłaby moim chemikom do analizy.

–Ale ten środek wysyła ludzi w inne wymiary jako Cienie – rzekł Fenton.

–Cienie są mi potrzebne – powiedział Pentarn. Mogą dla mnie szpiegować i nie można ich zabić. Oczywiście, do momentu kiedy nie napotkają kogoś z vrillem w ręku, kto wiedziałby, jak go użyć. Narkotyk jest mi potrzebny i możesz być pewny, że dobrze za niego zapłacę. Przydałby mi się również dubler, a ty jesteś tak do mnie podobny, że doklejenie ci krótkiej brody uczyniłoby nas niemożliwymi do odróżnienia. Dobrze płacę wszystkim moim współpracownikom, a będę płacił jeszcze lepiej, gdy przezwyciężę wszystkie przeszkody w moich podróżach między światami.

Fenton nie mógł się powstrzymać i spytał:

–Czy dostanę taką samą zapłatę jak Amy Brittman?... Czy zostanę rozdarty na kawałki przez żelazory? Wielkie dzięki, już wiem, jak kończą twoi przyjaciele.

Twarz Pentarna była zszarzała z wycieńczenia.

–O czym ty mówisz? Amy? – spytał. – Przecież wyciągnąłem ją z więzienia. Pożyczyłem sobie twoje nazwisko, ale to chyba nie wyrządziło ci wielkiej szkody. Ukaralem ją tylko w ten sposób, że zabroniłem przychodzić do siebie przez jakiś czas. Płakała i lamentowała jak to zwykle kobiety, ale to przecież nie była wielka kara. Dlaczego uważasz, że ona nie żyje? Czy mówiła ci, że groziłem jej śmiercią? Nie zabiłbym nawet kobiety za tak małe przewinienie.

–Wiem, że nie żyje – odparł Fenton ostro – bo widziałem jej zwłoki.

Pentarn wpatrywał się w niego przerażony.

–Nie! Nie! – powtarzał kilka razy. Nagle podejrzliwie zmarszczył brwi. – Mów wszystko, co wiesz o tej sprawie!

–Och, wiem więcej, niż chciałbym wiedzieć, uwierz mi – powiedział Fenton i wyjaśnił, że w związku z morderstwem Amy spędził w areszcie całą noc. – Miałem piekielne szczęście, że w tym czasie byłem dwieście kilometrów na północ od miasta. Inaczej do tej pory musiałbym ich przekonywać, że nie jestem tym zboczeńcem, który zgwałcił dziewczynę, udusił ją, a następnie powrywał z niej kawałki ciała. – Kiedy opowiadał to Pentarnowi, specjalnie dobierał ostrych słów. Nie zamierzał niczego owijać w bawełnę.

–To okropne, wstrząsające – rzekł Pentarn, i zaskoczony Fenton zauważył łzy w jego oczach. – Biedna mała Amalie, biedne dziecko. Gdybym tylko pozwolił jej wrócić ze mną. Nie powinienem karać jej tak surowo!

Krokodyle łzy, pomyślał Fenton z nagłą wściekłością. Pentarn wpuścił żelazory do naszego świata. Doprawdy szczęśliwy traf, że jego kobieta została przez nie zamordowana. Mogłaby to być jakaś niewinna studentka, której śmiercią Pentarn wcale by się nie przejął.

–Czy nie jesteś w stanie kontrolować swoich sprzymierzeńców? – spytał Cam podenerwowany. Jeśli nie możesz kontrolować żelazorów, jest mało prawdopodobne, abyś zyskał nowych przyjaciół, jeśli w ogóle jakichkolwiek masz, w co wątpię. Ktoś, kto napuszcza żelazory na niewinnych popleczników...

–Nic nie rozumiesz – powiedział Pentarn. – One są jedyną bronią, jaką mam przeciw Alfarom. W ten czy inny sposób muszę ich zniszczyć... co do jednego. Wytlukę ich do nogi!

–Z powodu osobistej urazy dasz żelazorom wolną rękę w stosunku do Alfarów?

–Ty nic nie wiesz o Alfarach – rzucił wściekle Pentarn. – Zaslugują na jeszcze więcej

niż to... o wiele więcej. A może już cię wzięli na swoją muzyczkę, płasy i klejnoty, co?

Nic by nie uzyskał, gdyby doprowadził Pentarna do szału. Fenton przypomniał sobie, że tym razem jest tu jako Przechodzień i może zostać fizycznie zraniony w każdej chwili. Powiedział więc tylko:

–To już kiedyś od ciebie słyszałem.

–Uwierz mi, jestem przerażony tym, co opowiadasz o biednej Amalie, przerażony, wstrząśnięty, przytłoczony... – mówił Pentarn. – Zapewniam cię, że odpowiedzialni za to zostaną surowo ukarani. Ale nic już nie przywróci do życia tej biednej dziewczyny i musimy się z tym jakoś pogodzić. Chciałbym, żebyś spojrzał na sprawę rozsądnie. Mogę cię odesłać i dać ci talizman, który umożliwi ci powrót w każdej chwili. Nie będziesz musiał omijać moich straży, znajdziesz się bezpośrednio w moich prywatnych apartamentach. Tylko kilku strażników będzie wiedziało, że mam soboftóra. Innym powiem, że pozbyłem się intruza, który próbował się pode mnie podszyć. Będziesz żył w luksusie, jeśli ci na tym zależy. Będziesz miał kobiety, jakich zapragniesz. W zamian za to chcę próbki antarilu i pełnej instrukcji, jak go bezpiecznie dawkować. Nie chcę kupować niczego od sprzedawców ulicznych w twoim świecie. Ich towar bywa tak zanieczyszczony, że używanie go może być niebezpieczne. Czasami jest tak silny, że może przenieść zażywającego do bardzo odległych światów czasoprzestrzeni, a mnie na tym zupełnie nie zależy. Jeżeli jesteś w stanie załatwić mi trochę czystego preparatu, mogą mi go potem zsyntetyzować.

Fenton kiwał głową, jakby rozważał propozycję. Jeśli wydostałby się stąd żywy z talizmanem i wrócił na Ziemię, może zdołałby pociągnąć Pentarna do odpowiedzialności za śmierć Amy Brittman. Obietnicę Pentarna puścił mimo uszu. Życie w luksusie, łatwe kobiety... niekoniecznie. Przypuszczał, że strażnicy nie uchyliby swoim obowiązkom – intruz podszywający się pod Wielkiego Wodza zostałby natychmiast zabity.

–Chyba zdołałbym ci załatwić próbkę narkotyku. Czystego, stosowanego dożylnie, prosto z laboratorium Instytutu Parapsychologii – zgodził się Fenton. Nie przypuszczał, że mógłby coś takiego zrobić. Nawet gdyby naprawdę chciał...

Pentarn uśmiechnął się; przypominał teraz wygłodniałe zwierzę.

–Świetnie! Świetnie! Kiedy?

–Może za trzy dni – odparł Fenton na chybił trafił. – Jak cię zawiadomić, kiedy już będę go miał? Pentarn wziął z małego drewnianego biurka wąski metalowy pasek i powiedział:

–Założ to na nadgarstek. Widzisz ten przycisk? Naciśnij go, kiedy będziesz chciał znaleźć się tutaj, a on przeprowadzi cię bezpośrednio do tego pokoju. Wyglądasz na

zmęczonego. Myślę, że powinienem cię odesłać z powrotem. Im wcześniej wrócisz, tym wcześniej pojawisz się tutaj z narkotykiem. Ponieważ chodzą słuchy, że Alfarowie zamkną zupełnie Bramy do swojego świata, muszę mieć Cienie, które przechodzą w obie strony nie zauważone i nie odnoszą ran.

Fenton zastanawiał się, czy Pentarn wie o Skalnym Lochu, który mógł uwięzić nawet Cienia. Miał wielką nadzieję że nie.

–Pośpiech jest wskazany – ciągnął Pentarn. Wydaje mi się... – przerwał i odwrócił się nagle jak rozjuszony zwierzę. – Co to znaczy, Malar? Rozkazałem, aby nikt mi nie przeszkadzał...

To nie był Malar. Z rogu pokoju, w którym Pentarn opowiadał o Bramach – Fenton przypuszczał, że to właśnie o nich Pentarn myślał, kiedy używał słowa „dziura” – dobiegał szmer, a powietrze zakołysało się, i jakby nagle pojawiła się ciemna, gęsta chmura. Potem doszły ich stłumione pomrukiwania przerwane piskliwym okrzykiem:

–Pentarn!

Około tuzina żelazorów wtargnęło do prywatnego pokoju Pentarna.

Ten odwrócił się, a na jego twarzy pojawił się grymas niesmaku.

–Jak się tu dostałyście? – spytał. – Wiecie, co ustaliliśmy. Czekać na dogodny moment, który ja wyznaczam, i nigdy, przenigdy tu nie przychodzicie. Spotykamy się tylko w Świecie Przejściowym.

–Mamy już dość czekania na moment odpowiedni dla ciebie, Pentarn – wybełkotał jeden z nich. – Zawarliśmy umowę i chcemy, byś jej dotrzymał. Cóż dostaliśmy do tej pory? Dwie wycieczki na Alfarów i kilka koni! Chcemy więcej... o wiele więcej!

–Czego jeszcze chcecie?

–Chcemy kobiet i łupów. – Jeden z żelazorów oblizał się lubieżnie. – I będziemy je mieli. Chcemy takich talizmanów, jakie dałeś swoim ludziom, żebyśmy mogli przechodzić do Alfarów bez twojej pomocy, nie tylko wtedy, kiedy nas potrzebujesz! Przyprowadzimy ci tego twojego młodzika, jeśli dasz nam wolną rękę. W zamian za to chcemy Alfarów, chcemy ich teraz! Powiedzieliśmy już, że ich dostaniemy...

Pentarn podniósł dłoń.

–Słuchajcie, wszystkie obietnice zostaną spełnione w odpowiednim czasie. Musicie jednak poczekać, aż taka chwila nadejdzie...

–Ta chwila już nadeszła! – wrzasnął jeden z żelazorów, a potem cała zgraja otoczyła

Pentarna ciasnym kręgiem; wyły mlaszcząc i szczerząc kły.

Fenton nie rozumiał wszystkich słów, ale zdołał uchwycić powtarzające się wśród ryków: „Kobiet i łupów! Chcemy Alfarów!”

–Zaraz, zaraz...! – powstrzymywał ich Pentarn. Był już całkiem otoczony.

Nie zauważony Fenton zrobił szybki krok w stronę biurka, na którym Pentarn położył jasny metalowy pasek – miał on, jak obiecywał Pentarn. przeprowadzić Fentona z powrotem. Następny krok i Cam zapinał już pasek na nadgarstku. Teraz pozostała mu najniebezpieczniejsza część zadania. Wyobrażał sobie, co z nim zrobią, jeśli go zobaczą. Błyskawicznie obrócił się i pobiegł na złamanie karku w stronę dziury.

Pentarn zobaczył to, a jego krzyk przebił się przez wrzaski żelazorów:

–Łapać go! Zatrzymać! Dwie żelazne siekiery dla tego, kto mi go przyprowadzi!

Żelazory przerwały ujadanie i rzuciły się za Fentonem. Ciarki przeszły mu po plecach, bo zdał sobie sprawę, że jeżeli obrał zły kierunek w stronę Bramy, albo dziury, to umrze powolną, straszliwą śmiercią. Tym razem nie był już Cieniem, lecz Przechodniem. Przez chwilę wydawało mu się, że biegnie prosto na ścianę i że żelazory zapędzą go w ślepy zaułek, ale kiedy czuł już na karku ich kły i doszedł go śmierdzący oddech bestii, ziemia zakołysała mu się pod nogami, zatoczył się i zrobił długi krok, a potem upadł na twardą ziemię.

Za nim zawirowała ścieżka i zniknęła. Stał bezpiecznie na tarasie widokowym nad Greckim Teatrem na kampusie w Berkeley i z trudem łapał oddech. Słońce właśnie wschodziło. Był zmęczony ciągłym dostosowywaniem się do różnic czasu między światami. Spojrzał w dół na migoczące światła Berkeley i na zatokę, która z tego miejsca wyglądała jak roztopiona plama żelaza. Tym razem nie było już srebrnej pępowiny, która zaprowadziłaby go do domu. Będzie musiał wracać stopem do centrum kampusu. Spojrzał na nadgarstek. Jasny metalowy pasek, który założył w pokoju Pentarna, miał ciągle na ręce. Pasek nie był już z jasnego metalu, ale z dziwnej zielonkawej substancji – Fenton nie miał nawet pewności czy to metal. Pośrodku paska dostrzegł mały krążek, który wyglądał jak biały gumowy guzik. Jeśli go naciśnie, znajdzie się bezpośrednio w prywatnych apartamentach Wielkiego Wodza Pentarna. Nie wiedział, czy w ogóle go użyje. Jeszcze nie wiedział. Wiedział jednak, że w obecnej trudnej sytuacji okoliczność ta może się okazać bardzo sprzyjająca.

ROZDZIAŁ 18

Fenton dotarł na miejsce, ale gabinet Garnocka podobnie jak cały budynek parapsychologii – był ciemny i opuszczony. Według zegara na wieży bibliotecznej dochodziła czwarta rano. Zastanawiał się, czy Garnock trafił do świata Alfarów lub może ugrzązł pomiędzy wymiarami. Przypomniawszy sobie, że profesor jest cały czas w posiadaniu talizmanu Irielle, stwierdził, że nie ma co się o niego obawiać. Rozważał, czy nie pójść do swojego mieszkania, żeby coś zjeść, wziąć prysznic i przespać się, ale uświadomił sobie, że mieszkanie jest wciąż nie do użytku po dwóch nalotach, pierwszym dokonanych przez nieszczęsną Amy Brittman, a drugim przez policję. Po drodze wszedł do całodobowej knajpki, gdzie zjadł hamburgera i wypił dwa kubki kawopodobnej cieczy. Zdecydował się pójść do Sally.

Kiedy dotarł pod jej dom, zastanawiał się, czy postępuje właściwie. Czy Sally otworzy komukolwiek drzwi o czwartej rano? Gdy jednak nacisnął guzik domofonu, jej głos natychmiast odezwał się z głośnika:

–Kto tam? Czy to pan, profesorze?

Czekała więc cały czas na któregoś z nich. Wynikało z tego, że Garnock jeszcze nie wrócił. Gdyby było inaczej, Sally z pewnością skontaktowałyby się z nim w Smythe Hall albo pod jego domowym numerem.

–To ja, Cam.

–Och, dzięki Bogu. – Otworzyła Fentonowi drzwi. W progu rzuciła mu się na szyję. – Gdzie byłeś? Co się stało?

W kilkunastu zdaniach streścił jej wydarzenia ostatnich godzin. Kiedy zbliżał się do końca, przerwała mu w pół zdania:

–Musisz umierać z głodu. – Zakrzętnęła się w kuchni i już wbijała jajka na patelnię.

Zaczął mówić, że jadł po drodze, ale zdał sobie sprawę, że jest zbyt poruszona, by zwrócić na to uwagę i że najprawdopodobniej, czekając na nich, sama nic nie jadła. Powiedział więc, że z przyjemnością zje coś przyzwoitego, bo od kilku dni nie miał w ustach nic godnego uwagi. To akurat było prawdą, ponieważ ani dieta aresztancka, ani strawa regeneracyjna u Pentarna, ani też mdławy hamburger nie były doprawdy niczym specjalnym. Omlet Sally zdecydowanie okazał się arcydziełem kulinarnym. Kiedy postawiła przed Fentonem talerz, odezwał się:

–Mam nadzieję, że nigdy nie będziesz uważała, iż musisz zarzucić pracę zawodową, by zostać dla mnie kuchtą, kochanie. Ale nie obrazisz się, jeżeli powiem, że twój omlet jest wart nieznacznej dyskryminacji płciowej?

Pochyliła się nad nim i uściśniła go z całej siły.

–Wiem, że nieczęsto gotuję, ale miło mi, jeśli doceniasz, kiedy to robię.

Nałożyła sobie solidny kawał omletu na talerz i nalala szklankę mleka. Kiedy zmyli naczynia, usiadła naprzeciw Fentona i przyglądała mu się uważnie marszcząc brwi.

–Rozumiem, że manipulowanie przy Bramach zaczęło się w końcu mścić na Pentarnie, prawda?

–Tak myślę. – Przypomniał sobie przerażający widok Pentarna otoczonego rozwścieczonymi, wrzeszczącymi żelazorami. – Zaryzykowałbym twierdzenie, że stracił również kontrolę nad żelazorami. Pentarn nie wzbudza mojej sympatii, zasługuje na wszystko, co mu się teraz dostaje. Obawiam się jednak, że zechce utrzymać lojalność żelazorów i da im wolną rękę w kwestii Alfarów. Szczerze mówiąc, nie sądzę, że Alfarowie będą w stanie obronić się przed zmasowanym atakiem wszystkich żelazorów, podobnie jak nie powstrzymają maszyny wojennej Pentarna. Nie znasz Alfarów, Sally. To dobry, nieszkodliwy lud. Czuję się tak, jakbym oglądał najazd oddziałów SS na kokosową wyspę Polinezji, zamieszkaną przez tubylców. Nie można tak po prostu stać i patrzeć, kiedy mordują cały gatunek.

–Oczywiście, że nie można – zgodziła się natychmiast. – Żaden normalny człowiek by nie mógł, jeśli byłby jakiś sposób, żeby je powstrzymać. Czuję się temu częściowo winna, Cam. Gdybym potraktowała was oboje poważnie i połączyła to, co mówiłeś o Alfarach i to, co Amy mówiła o Pentarnie, może udałoby mi się przekonać Garnocka. Myślę, że nawet on nazwałby to niezależną weryfikacją.

–Nie obwiniaj się – pocieszył ją. – Nie mogłaś wiedzieć. Myślałaś w kategoriach podświadomości zbiorowej, któż mógłby cię za to oskarżać? Wszechświat jest bardziej zadziwiający, niż możemy sobie wyobrazić, nie oskarżaj siebie, że nie byłaś nadczłowiekiem.

–Masz rację, poczucie winy nic tu nie pomoże. Co się stało, to się nie odstanie. A Garnock, mój Boże, myślał, że przeprowadza eksperyment nad nową metodą bezbłędnego odczytywania kart przy podwyższonym ESP, bez wdawania się w politykę co najmniej kilku wymiarów. Ciekawe, gdzie on teraz jest? Czy myślisz, że ma szansę ostrzec Alfarów?

–Mógłby – odparł Fenton trzeźwo – ale nie ma powodów, żeby to robić. On nie widział żelazorów, nie wie, jakie są. Nawet nie musiał oglądać zwłok Amy Brittman. – Patrząc na smukłą dłoń Sally leżącą przed nim pomyślał o pociemniałych, nadpalonych palcach Kerridis. Jeśli Pentarn będzie zmuszony odstąpić od swego wymogu, że Kerridis ma pozostać cała i zdrowa, i nie będzie już jej potrzebował na wymianę za syna, co się z nią stanie? A Irielle? To, co żelazory zrobiły Amy Brittman,

mogą zrobić i jej. Nie sądził, że Pentarn zechce ją chronić tylko dlatego, że jest ukochaną Joela, a jeśli nawet, żelazory i tak robią swoje. Ale to, co może spotkać Kerridis, której ciało czernieje i węgla się od samego ich dotyku – przekraczało ludzkie pojęcie. Fentonowi aż zrobiło się niedobrze. W przerażeniu zacisnął oczy.

–Cam, kochanie, co się stało?

–Kerridis. Jakoś muszę ich ostrzec. Musimy tam przejść i powiedzieć im, że... Pentarn nie kontroluje już żelazorów, że nawet jeśli zawrą z nim ugodę, nawet jeśli Joel zgodzi się wrócić, on i tak nie powstrzyma żelazorów. Nie chcę myśleć, co stanie się z Kerridis, jeśli wpadnie w łapy żelazorów...

Sally pokiwała głową.

–Widziałam zwłoki Amy Brittman. Jeśli nikt nie powstrzyma żelazorów, każdej kobiecie może się to przydarzyć – powiedziała, a Fenton przypomniał sobie żelazory domagające się „kobiet i łupów”. – Musimy ich jakoś ostrzec, ale jak? – zapytała.

–Czy możesz zdobyć antaril z laboratorium Instytutu Parapsychologii?

–Jeśli będzie to konieczne – odparła. – Mam klucze Garnocka. Mogłabym pójść do tego świata i spróbować ich ostrzec. Ale oni mnie nie znają i nie ma powodów, żeby mi ufali. Dla nich mogę być po prostu kobietą ze świata Pentarna. Przecież mówiłeś, że świat Pentarna zamieszkują ludzie.

Smętnie kiwnął głową.

–Pentarn jest w wystarczającym stopniu ludzki, ale Bóg jeden wie. W każdym razie przynosi wstyd ludzkiej rasie. Mogłyby cię też złapać żelazory...

Sally wzdrygnęła się, a odzyskawszy odwagę:

–Byłabym... jak ty to nazywasz, Cieniem – powiedziała. – Ciało zostałoby tutaj, więc nie mogłyby mi wyrządzić poważnej krzywdy.

–Nie jestem do końca pewien. – Przypomniał sobie ślady kłów wilkołaka na swojej nodze, która poboлеwała go jeszcze od czasu do czasu. A przecież były one jedynie odzwierciedleniem tego, co spotkało jego ciało duchowe – astralne – w obcym wymiarze.

–Mogłabym zaryzykować, Cam, jeśli byś tego chciał. Możemy też pójść tam razem.

–Do tego dopuszczę jedynie w ostateczności – powiedział. – Nie powinniśmy marnować tyle czasu. – Popatrzył na dziwaczną bransoletkę na nadgarstku. – W końcu mógłbym nacisnąć ten guzik, znaleźć się w prywatnych apartamentach

Pentarna i zastrzelić go. Może to by coś rozwiązało.

–Ale nie powstrzymałoby żelazorów – zauważyła Sally. – Jeżeli nieproszone mogą się przedrzeć do prywatnych pokoi Pentarna, musiały nauczyć się włączyć prawie wszędzie. Nawet jeśli ostrzeżemy Alfarów, to nie wiem, czy powstrzymamy inwazję żelazorów. No i Pentarna, ale głównie żelazorów.

–Myślę, że istota problemu tkwi w Domu na Rozstajach – rzekł Fenton. – W nielegalnym używaniu Bram, w manipulacjach Pentarna, jego dziurach.

–Gdyby ludzie z Domu na Rozstajach mogli temu przeciwdziałać, chyba już by to zrobili? – zapytała Sally, a Fenton pokiwał głową.

Zbytнім uproszczeniem byłoby sądzić, że mogliby tak zwyczajnie donieść na Pentarna, a „oni” – jacyś wszechmocni, wszechogarniający „oni”, jacyś Tajemni Mistrzowie albo Stróże Ludzkości – wyciągnęliby rękę i dali Pentarnowi po łapach za łamanie przepisów. Ciągłe jednak istniała szansa. W końcu kto mógł zapewnić, że nie istnieli jacyś wszechpotężni strażnicy rodzaju ludzkiego? Po tym co Fenton widział przez ostatnie kilka dni, nie śmiał twierdzić, że coś jest niemożliwe.

Ale raz ujrzawszy ludzi, którzy pełnili straż w Domu na Rozstajach, nie bardzo chciał w to wierzyć. Jeśli istnieliby jacyś poważni zwierzchnicy, nie zostawiliby Bramy pod opieką starego, niekompetentnego, zręczliwego Myrilla.

Sally spojrzała na bijący zegar na kominku.

–Jest czwarta – oznajmiła. – Myślę, że moglibyśmy sprawdzić, czy Dom na Rozstajach jest tam, gdzie się czasami pojawia. Jeśli jednak mały antykwariat okaże się otwarty o tej porze, czy przez samo to nie będzie zwracał na siebie uwagi? Czy nie powinni przestrzegać stałych godzin otwarcia?

Fenton zdał sobie sprawę, że mają dużą szansę znaleźć na miejscu Domu na Rozstajach zamkniętą na kłódkę pralnię chemiczną. Jeśli zaczekaliby na porę, o której codziennie zaczyna się handel na Telegraph Avenue, antykwariat mógłby być otwarty bez zwracania na siebie uwagi, ale wtedy straciliby pół dnia. Fenton ziewnął i powiedział:

–Myślę, że powinniśmy pójść i spróbować go odnaleźć.

Jedyną dobrą stroną tak wczesnej pory było to, że bez trudu znaleźli miejsce do parkowania na zwykle zatłoczonym terenie kampusu. Kiedy szli ulicą, Sally wsunęła dłoń w rękę Fentona. Jej bliskość i świadomość, że jest po jego stronie, dodawała mu otuchy.

–Przynajmniej nie ma pralni chemicznej – zauważyła Sally i przysunęła się bliżej do

niego. – Cam, to przerażające. Wierzyłam ci, tym razem wierzyłam każdemu twojemu słowu, ale gdzieś głęboko w środku wiedziałam, że pralnia chemiczna będzie na miejscu, że musi się tu znajdować. Ale nie ma jej, i ja nie wiem, czy... – jej głos zadrżał... – czy kiedykolwiek będę mogła żyć spokojnie z tą myślą.

–Jest zamknięty – rzekł Fenton gapiąc się na zatrzaśnięte drzwi i ryciny Rackhama w witrynie. Zamknięty na amen.

–Ale pali się światło w środku.

–W połowie sklepów na tej ulicy zostawia się na noc zapalone światło, Sally. Zwykle światło jest ciągle najtańszym systemem antywłamaniowym.

–To prawda – powiedziała z nosem przyklejonym do szyby. – Lecz wydaje mi się, że ktoś jest w środku. – Nie widzę nikogo.

–Ja też nie, ale mam przeczucie, Cam – wyznała z przekonaniem w głosie. – Po prostu nie mogę uwierzyć, że miejsce tak ważne jak to, mogłoby być nieczynne dla przychodzących z zewnątrz. Musi istnieć sposób kontaktowania się z Domem na Rozstajach, kiedy zachodzi pilna potrzeba.

Lekko zmarszczył brwi. Jej przeczucia traktował nad wyraz poważnie; Sally była profesjonalnym parapsychologiem i z pewnością umiała odróżnić faktyczne przeczucie od pobożnego życzenia. Jednak przypomniał sobie i powtórzył to, co usłyszał od Irielle. Wtedy tego nie rozumiał.

–Dom na Rozstajach jest w ciągłym ruchu. Nie można go odnaleźć, chyba że sam chce być odnaleziony. W innym wypadku szukający sprawia swoimi myślami, że się przed nim chowa. Nie sądzę, żeby Irielle umiała mi wyjaśnić techniczne zawłości, ale chyba właściwie ujęła główną myśl. Mogę się założyć, że w tej chwili to najwyczejniejszy w świecie sklepik z rycinami, a Dom na Rozstajach jest zupełnie gdzie indziej i ukrywa się przed naszymi oczami.

–Niemożliwe, Cam. Oznaczałoby to, że nikt z zewnątrz nie miałby prawa decydować o dostępie do Domu na Rozstajach, jedynie ci, którzy przebywają wewnątrz.

Fenton musiał przyznać, że rozumowanie Sally nie jest pozbawione sensu, lecz w dalszym ciągu myślał pesymistycznie.

–Mogę się założyć o wszystko – urgotował Fenton, że ludzie z zewnątrz, którzy muszą się tam dostać, mają coś w rodzaju awaryjnego numeru telefonicznego, albo talizmanu, takiego jak ten, który mi ofiarowała Irielle. Lub wiedzą, gdzie znajduje się Dom na Rozstajach wtedy, kiedy go tu nie cna. Możliwe, że chodzi o miejsce czynne przez całą dobę, takie jak stacja obsługi samochodów albo całodobowy bar.

–Cam, nie możemy teraz zrezygnować tak po prostu. Musimy spróbować – oświadczyła Sally i zaczęła mocno pukać w drzwi. Odpowiedziała im jedynie cisza. Sally zastukała powtórnie, mocniej niż za pierwszym razem. – Ty też spróbuj, Cam! – poprosiła go.

–I za dziesięć minut zwiną nas glinarze za zakłócanie spokoju publicznego – zrzędził.

Po chwili zamrugnął oczami, bo ujrzał coś, czego nie dostrzegł przedtem. Czy w ogóle tu było wcześniej? W słabym świetle, nie silniejszym niż światło kontrolne przełącznika, ujrzeli małą tabliczkę z nadrukiem. Musieli się nachylić, by przeczytać:

DZWONIĆ W NOCY I W SYTUACJACH WYJĄTKOWYCH

–Patrz! Nie widziałem tu tego dzwonka, a ty? – Nie widziałam go, bo niczego tu nie było – od

parła cicho, ale z takim przekonaniem, że Camowi przeszły ciarki po plecach. – Rób to, co jest napisane, mamy noc i sytuację wyjątkową – dodała.

Zadzwoił kilka razy. W oświetlonym wnętrzu pustego sklepu nic się nie poruszyło, ale wydawało im się, że z zaplecza dobiegły ich jakieś dźwięki. I choć żadne nowe światła nie zapaliły się, Fenton odniósł wrażenie, że wnętrze antykwariatu pojaśniało.

Po chwili drzwi otworzyły się i stanęła w nich Jennifer. Zmarszczyła brwi ujrzawszy Fentona i Sally.

–Słucham – zapytała szorstko.

–Musisz nas wpuścić, Jennifer. Chcemy porozmawiać z kimś ze zwierzchników – odezwał się cicho Fenton. – Pentarn manipulował przy Bramach i nieupoważnieni przechodzą z wymiaru do wymiaru.

–Ja nie... ja nie...

–Na miłość boską, nie mów tylko, że nie masz z tym nic wspólnego! – zagrzmiał Fenton. – Słyszałem to już od starego Myrilla i do dziś się zastanawiam, jak Kerridis mogła powierzyć taką władzę tak niekompetentnemu człowiekowi...

Jennifer zaprzeczyła ruchem głowy.

–Myrill nie ma żadnej władzy – wyjaśniła. W świecie Alfarów nie ma żadnego prawdziwego Strażnika. Nie było ich tam przez całe wieki. Wejdźcie do środka.

Przeprowadziła ich przez pusty sklep na zaplecze. Nie było tam już żadnego z młodych ludzi, którzy grali poprzednio w Dungeons Dragons. Ujrzeni jedynie rozświetlony labirynt planszy do gry z kilkoma słabo połyskującymi na niej figurami stojącymi w bezruchu. Jennifer rzuciła na planszę rutynowe spojrzenie i powiedziała:

–Na ile mogę to w tej chwili ocenić, wszystko wydaje się w porządku. O co chodzi, profesorze Fenton?

–Nie jestem profesorem – odparł Cam poirytowany.

Jennifer wzruszyła ramionami.

–Ale chyba nie przyszedł pan tu po to, żeby się spierać. Powiedział pan, że Pentarn manipuluje przy Bramach. – Ruchem ręki zaprosiła ich do stołu. Proszę usiąść, ale nie dotykać niczego. To nie jest gra. Czasami rozstawiamy tu tylko planszę do gry, ale w nocy włączamy monitor. Nie widzę nielegalnych dziur rzuciła – ale do końca oczywiście nie wiadomo. Pentarn odkrył większość z nich, a my nie jesteśmy w stanie bez przerwy pilnować wszystkich. Większość w ogóle nie otwiera się do naszego świata, a nawet gdybyśmy zapieczętowali te, które do nas prowadzą, nie zdołamy zrobić niczego w związku z tym, co dzieje się w innych wymiarach. – Jeszcze raz uważnie obejrzała planszę. – Wszystko jest w tej chwili zamknięte, a już z całą pewnością wszystko na tym kontynencie.

–Czy możesz nas przepuścić, żebyśmy ostrzegli Alfarów o zamiarach Pentarna? – zapytał Fenton. Jennifer zaprzeczyła ruchem głowy.

–Nie mogę tego zrobić. To kwalifikowałoby się jako ingerencja w wewnętrzne sprawy innych wymiarów. Jeśli ktoś ingerowałby w sprawy tego świata, mogłabym to zgłosić... nie żeby tak naprawdę ktoś istniał, do kogo można cokolwiek zgłaszać, ale mogłabym doprowadzić do zamknięcia Bramy w miejscu, w którym zachodziłaby ingerencja, a załogi pozostałych Bram zrobiłyby to samo i uniemożliwiły otwieranie się jakichkolwiek dziur. Nie mogę jednak być stroną w konflikcie między Pentarnem i Alfarami, choć doprawdy bym tego chciała, ani nawet w sporze między Pentarnem i żelazorami.

–To jakieś niewiarygodne wypaczenie zasady sprawiedliwości! – wypaliła Sally. – Czy należy przez to rozumieć, że wszyscy będą stali i przyglądali się, jak żelazory wyrzynają Alfarów? Czy zdaje pani sobie sprawę z tego, że wczoraj doszło do morderstwa połączonego z okaleczeniem ciała młodej kobiety, dokonanego przez żelazory na mojej studentce, i to tu, w tym świecie?

Twarz Jennifer stężała.

–Wiem – przyznała dziewczyna. – Wczoraj zamknęliśmy tę dziurę i w dalszym ciągu jej pilnujemy. Proszę spojrzeć. – Wskazała dłonią na jedną z części ekranu monitora. Przy bliższym przyjrzeniu się Fenton dostrzegł małe figurki siedzące wokół mieniącego się na niebiesko krystalicznego kamienia. – Daję pani słowo, poparte przysięgą Strażnika – dodała Jennifer – że nawet jeden żelazor nigdy więcej nie przedostanie się przez tę dziurę. Spójrzcie! – Podążyli wzrokiem za jej palcem i Fenton zobaczył na makiecie mgliście zarysowany kontur Greckiego Teatru, skąd przyszedł kilka godzin wcześniej. – Widzieliśmy, że ktoś tędy przeszedł, ale nie wiedzieliśmy, że to pan. Wiedzieliśmy, że to ze świata Pentarna, ale nic już więcej nie przejdzie przez tę dziurę: ani żelazory, ani nikt inny. Została zamknięta. Ale jak pan się przedostał? Czy Pentarn odesłał pana z jednym z tych jego cholernych

gadżetów?

–Nie – odparł Fenton. – Sam się odesłałem z jednym z tych jego cholernych gadżetów. A zgraję żelazorów miałem tuż za plecami, powinienem jeszcze dodać. Pokiwała głową.

–Widzieliśmy żelazory i zamknęliśmy za panem przejście. Jest pan z tego świata, więc miał prawo tu wejść, nawet przez dziurę. One nie. Proszę mi to dać. Wyciągnęła rękę i wskazała pasek na nadgarstku Fentona. – Dopóki on istnieje, dziura może ponownie zostać otwarta. Jeśli go będę miała, możemy zamknąć ją już na dobre.

Fenton zawahał się, nie bardzo skory do oddania urządzenia. Dopóki je miał, istniała możliwość powrotu do pokoju Pentarna i zastrzelenia go, co położyłoby tym samym kres jego naruszaniu struktury Bram. Jennifer spojrzała na Fentona chmurnie zza babcinych okularów i powiedziała:

–Chce pan go zatrzymać? Jest pan tak zły jak Pentarn! Chce pan złamać wszystkie zasady, czy tak?! Chce pan władzy, żeby udawać Pana Boga!

–A czy wy nie udajecie Pana Boga odbierając mi prawo przejścia do Pentarna i powstrzymania go od tego, co wyprawia?

Potrząsnęła głową. Wyglądała bardzo młodo, ale sposób, w jaki mówiła, spowodował, że Fenton zaczął się zastanawiać, ile dziewczyna może mieć lat. Odezwała się cicho:

–To nie to samo. Chcemy zamknąć Pentarna w jego świecie bez ingerencji w to, co robi w innych. Mamy pełne prawo trzymać go z dala od naszego świata, lecz o innych decydują wyłącznie ich mieszkańcy.

–Ale Alfarowie są przecież zupełnie wobec niego bezbronni...

–Pan nic nie rozumie, i zupełnie nie wiem, jak to wytłumaczyć. Nie przeszedł pan szkolenia. Alfarowie mogą utrzymać go z dala od swego świata, jeżeli będą mieli wystarczająco dużo odwagi. Jeżeli zwrócą się do nas o pomoc, zamkniemy wszystkie przejścia przez nasz świat. Ale nie wolno nam ingerować. Rozumiecie to? Nie wolno nam ingerować. Jeżeli zrobimy wyjątek w drobnej sprawie, będziemy ingerować potem w wielkie. Władza jest narkotykiem. Nie mamy prawa wejść gdzieś i chronić kogoś, podobnie jak nie mamy prawa wejść gdzieś i karać kogokolwiek. My nie ingerujemy. Całe zło Pentarna wzięło się stąd, że myślał, iż ingerencja mu się uda. Nie odebrał swego syna ani nie pozwolił mu zostać, lecz wmieszał w sprawę trzecią stronę – żelazory. Wtedy równowaga została naruszona.

–Więc będziecie tu stać i przyglądać się, jak Alfarowie giną z rąk tych potworów?

–Serce by mi pękło, jeśli tak by się stało – odparła Jennifer, i nie można było wątpić w szczerść jej słów. – Ja również kocham Alfarów, a boję się żelazorów. Lecz złożyłam przysięgę i dotrzymam jej. Nie zrobię nic, nic, co byłoby ingerencją w inny świat. Na tym polega moja odpowiedzialność. Co robią Alfarowie, co robią żelazory, to już ich sprawa.

Pewne jej argumenty nasunęły Fentonowi skojarzenie z wujem Stanem. Ta kobieta miała ten sam co wuj Stan rodzaj wewnętrznej prawości, który nie pozwalał jej zejść z raz obranego szlaku. Fenton pochylił głowę, odpiął metalowy pasek Pentarna i oddał jej.

–Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę z tego, co robisz? – zwróciła się gorzko Sally do Jennifer. Dziewczyna spojrzała na nią. Mimo że wyglądała młodo, Fenton pomyślał nagle, że musi być starsza od Sally. Powiedziała bardzo łagodnie:

–Tak, wiem co teraz zrobię. Ani Pentarn, ani żelazory nie użyją już więcej tego przejścia. Popatrzcie. Położyła bransoletkę na planszy i podniosła coś, co wyglądało jak światłowód. W języku, którego Fenton nigdy nie słyszał, wyszeptała prędko kilka słów. Odbiły się echem w cichym pokoju i Fenton zauważył, że małe figurki na podświetlonej makiecie poruszyły się i zaczęły przemieszczać. Przeszył go nagły dreszcz. Wydawało się, że figurki skupiły się wokół bransolety.

Metalowy pasek zaczął świecić silnym czerwonym światłem, potem równie silnym białym, potem białoniebieskim. Świecił tak jasno, że Fenton zakrył oczy dłonią. Kiedy znów spojrzał, lecz między palcami, przedmiot zniknął. Na jego miejscu została tylko garstka szklanego proszku, a ruch na planszy zamarł; świeciła tylko słabym światłem jak przedtem. Figurki stały w bezruchu jak pionki do gry z modeliny.

Jennifer odezwała się cicho:

–Już nikt nigdy nie użyje tego przejścia. Włókna przestrzeni zostały zaszyte. Teraz Pentarn będzie musiał przyjść tutaj, jeżeli znowu zechce przejść.

–Ale ciągle ma dziury do innych światów – zauważył rozgoryczony Fenton.

Dziewczyna wyciągnęła dłoń i dotknęła jego ręki. Dziwna nuta żalu lub może pobłażania zabrzmiała w jej głosie, kiedy powiedziała:

–Jeszcze dużo musi się pan nauczyć, profesorze Fenton. Przepraszam, że wzięłam pana za Pentarna. Ja też nie jestem nieomylna, nie jestem nadczłowiekiem. Próbuję tylko dotrzymywać przysięgi, najlepiej jak umiem. Nikt, ani wy, ani ktokolwiek inny, nie może zrobić więcej.

–Czy to jedyne przejście do innych wymiarów na naszej planecie? – spytała Sally.

Jennifer potrząsnęła głową.

–Nie. To odnaleziono dopiero kilka lat temu, więc wybudowano wokół niego Dom na Rozstajach. Robimy tak zawsze, kiedy jakaś nie strzeżona Brama albo ścieżka pojawi się i nie zniknie sama z siebie w ciągu kilku dni. Bramy zmieniają swoje położenie. Istnieją też puste Domy na Rozstajach. Wcześniej czy później zaczynają służyć powszednim celom. Na przykład Stonehenge. Jest zamknięte. Żaden człowiek nie przeszedł tamtędy od kilkuset lat. Nie ma tam nawet Obserwatora, nie mówiąc już o Strażniku. Większość starożytnych świątyń to miejsca, w których były lub nadal istnieją Domy na Rozstajach. Nie mamy tak wielu ludzi, żeby je wszystkie obsadzić. – Uśmiechnęła się nieznacznie do Sally i powiedziała: – Słyszałam raz pani wykład w Instytucie Parapsychologii. Mówiła pani o trudnościach ze znalezieniem ludzi, którzy nie byłiby ani sceptykami, ani wyznawcami prawdy objawionej. Proszę mi wierzyć, pani Lobeck, podpisuję się pod tym obiema rękami. Rozmawiałam raz z Amy Brittman, zanim jeszcze dołączyła do Pentarna. – Jej głos był szorstki. Fenton obserwował grę napiętych mięśni na szyi Jennifer. – Nie powinna tak zginąć. Ponieważ niektórzy ludzie zlekceważyli nakaz nieingerowania, dlatego doszło do tego nieszczęścia. Albo dlatego, że nie było wystarczającej liczby osób, które wykonywałyby swoje zadania prawidłowo. Ja... – głos załamał jej się na chwilę – ja nie mogę być wszędzie, jestem w końcu tylko Obserwatorem. Brakuje nam odpowiednich ludzi, i dlatego żelazory mogły się przedostać.

–Myślałem, że nie macie problemów z ochotnikami – wtrącił Fenton.

–Nie chodzi o ochotników, ale trudność polega na znalezieniu ludzi, którym będzie można w pełni zaufać, którzy nigdy nie zaingerują niezależnie od tego, jak wielka będzie pokusa – mówiła, a w jej oczach pojawiły się łzy. – Amy umarła, a Alfarowie mogą nie zdołać przeciwstawić się żelazorom. Jeżeli jednak spróbowalibyśmy wkroczyć i coś zmienić, moglibyśmy spowodować nieprzewidziane zakłócenia równowagi gdzieś daleko. Jediną bezpieczną rzeczą jest strzec naszych własnych Bram, pilnować, aby nikt nie przechodził tędy z zamiarem skrzywdzenia Alfarów... i czekać. – Załkała. – To właśnie jest najtrudniejsze. Czekanie.

–I mówi pani, że wszystko co możemy zrobić to iść grzecznie do domu i czekać, nie wiedząc, czy Alfarowie przetrwają, czy nie? Jeśli ich przed tym nie ostrzeżemy, co im zagraża ze strony żelazorów? – zapytał Fenton.

–Ja tego nie powiedziałam – odparła. – Ktoś z Alfarów może do was przybyć. Ja mogę ich zawiadomić, żeby zamknęli swoje Bramy przed nieproszonymi gośćmi. Może i wy macie jakąś rolę do odegrania. Tego nie wiem. Ale jeżeli tak, dowiedcie się o tym. Ja jednak nie mogę ingerować w sprawy innego świata ani nawet pośredniczyć. Kiedy objęłam tę funkcję, przysięgałam, że nigdy nie będę ingerować. Przykro mi, profesorze Fenton – dodała.

Powodowany nagłym impulsem, Fenton przytulił Jennifer, a ta przylgnęła do niego na krótko.

–Musicie teraz wyjść – powiedziała rzuciwszy okiem na monitor. – Tak, za chwilę Dom odpłynie. Nie chcecie chyba zostać zamknięci w pralni chemicznej, prawda? Macie dziesięć sekund, żeby stąd wyjść.

Pospiesznie wskazała im drogę do wyjścia, a kiedy tylko przestąpili próg, ziemia zawirowała pod ich stopami. Chwilę później stali na chodniku przed zamkniętymi drzwiami i okiennicami pralni chemicznej.

Miejsce to zionęło pustką, a w jego wnętrzu nie ćmiło żadne światełko.

Kiedy jechali do domu, Sally dała wyraz swemu rozczarowaniu.

–Równie dobrze mogliśmy zostać w domu oświadczyła. – Nic nie zyskaliśmy, zupełnie nic!

–Nie jestem taki pewny. Powiedziała, że wysłała ostrzeżenie Alfarom, by zamknęli własne Bramy. Dodała jeszcze... – zmarszczył brwi, gdyż wiedział, że to, co wtedy powiedziała, było bardzo ważne, mimo że nie do końca rozumiał jej słowa. – ...że ktoś z Alfarów może przyjść do mnie, do nas. Że jeżeli mamy coś do zrobienia, dowiemy się o tym.

–Ciekawa jestem, co przez to rozumiała.

–Wiem tyle samo co ty – rzekł Fenton i objął Sally – Myślę, że chodziło jej o to, iż dowiemy się wszystkiego, kiedy przyjdzie odpowiednia pora.

–Zupełnie idiotyczne! Czyżbyś wierzył w ten mistyczny bełkot?

–Sally – powiedział Fenton zmęczonym głosem; nie próbował już nawet prawić jej wymówek, a tylko przypomniał oczywiste fakty: – Po tym, co przeszedłem dziś w nocy, nie zamierzam już nigdy uznać czegokolwiek za niemożliwe, aż tego nie udowodnię w ten lub inny sposób. Teraz twierdzę, że Jennifer dobrze wiedziała, o czym mówi. Wiedziała wystarczająco dużo, żeby zniszczyć przejście Pentarna, prawda? W związku z tym przypuszczam, że jeżeli rzeczywiście jest coś, co mogę zrobić, dowiem się o tym. Jednak zanim nie będę tego wiedział, nie zamierzam nic robić. Sally lekko się uśmiechnęła.

–A ja zamierzam – powiedziała. – Kiedy będziemy tak czekali na wieści stamtąd, zamierzam się przespać i proponuję, żebyś zrobił to samo.

Położyli się razem na kanapie w dużym pokoju nie wyjąwszy uprzednio pościeli, nie zdjęli też butów.

ROZDZIAŁ 19

Z korytarza dobiegał przeraźliwy, ogłuszający dzwonek. Słońce zaglądało Fentonowi pod powieki, a kark miał zdrętwiały. Odwrócił się w stronę, z której doehodził dźwięk i usłyszał, jak Sally wymamrotała:

–Wyłącz ten cholerny budzik, nie mam dzisiaj zajęć... – Nagle usiadła na kanapie z szeroko otwartymi oczami. – Cam! To telefon! – krzyknęła i rzuciła się do przedpokoju.

–Sally Lobeck, parapsychologia, słucham – powiedziała do słuchawki. – O mój Boże! Tak, profesorze, jest tutaj, już go proszę... – Przestraszona oddała Fentonowi słuchawkę. – To Garnock – szepnęła do ciebie. Brzmi koszmarnie.

–Cam – zachrypiał w słuchawce głos Garnocka. – Natychmiast... przyjdźcie... Powiem, że to nieudany eksperyment. Natychmiast... muszę wytrzymać do... – Gdzie pan jest?

–Laboratorium, Smythe Hall. Szybko... – W tym momencie głos zanikł i w słuchawce zaległa cisza.

–Profesorze, profesorze Garnock – powtórzył Cam kilka razy i odłożył słuchawkę. – Sally! Kluczyki do samochodu. Garnock jest ranny! Jedziemy! W głowie kłębiły mu się myśli o żelazorach, Pentarnie, Alfarach, vrillowej broni i innych rzeczach, które mogły przydarzyć się Garnockowi. – Ty prowadzisz, znasz najkrótszą drogę do laboratorium. – Uświadomił sobie, że ubranie ma wygniecione po spaniu na kanapie. Nie miało to jednak żadnego znaczenia.

Sally pojechała drogą na skróty i zaparkowała przy Dwinelle Hall. Rzuciła okiem na tablicę z napisem NIEUPOWAŻNIONYM PARKOWANIE WZBRONIONE, zaklęła szpetnie pod nosem i stwierdziła, że zapłaci już ten mandat. Pobiegli razem w stronę Smythe Hall. Wbiegali na schody instytutu przeskakując po trzy stopnie. Wkrótce byli już w laboratorium, gdzie zobaczyli Garnocka leżącego na podłodze. Obok niego stało krzesło obrotowe, z którego najprawdopodobniej się zsunął. Fenton uklęknął i z zapartym tchem nachylił się nad profesorem.

Ubranie Garnocka było podarte na strzępy i zwęglone. Na prawej nodze nie miał buta, a skóra na niej była spalona, tak że ujrzeli żywe mięso. Garnock jęknął, gdy tylko Fenton go dotknął.

–Co się stało, profesorze? Co się stało? – pytał. Na głowie Garnocka, wzdłuż skroni, biegł ślad oparzenia, który nie wyglądał poważnie, ale oparzenie musiało być bardzo bolesne. Włosy po tej stronie Garnock miał do połowy spalone.

–Pożar w jaskiniach – wymamrotał. – Pod jaskiniami Alfarowie. Żelazory... pułapka na żelazory. Znosi się na Termopile Alfarów.

Fentonowi przypomniały się jaskinie, do których żelazory zaciągnęły Kerridis.

–Przez Świat Kamienia... – szeptał Garnock. Zamknąć Bramę. Nie można zamknąć kamiennej Bramy. Irielle. Miałem jej talizman. Zabierz go dla niej. Czeka na ciebie w miejscu, gdzie drzewa tworzą krąg. Mówiła, że będziesz wiedział. Właściwe miejsce w obu światach. Tam gdzie napisała imię... Weź dla niej talizman. Ona... wysłała mnie z powrotem, bo zacząłem się palić, kiedy próbowałem zatrzaskać skałę. – Z jękiem rozwarł poparzone palce i mały przedmiot wytoczył się na podłogę. Fenton dobrze go znał. Był to jego talizman, który w tym świecie przybierał formę małego, niepozornego kamyka.

–Profesorze, jest pan ranny. Proszę mi pozwolić wezwać karetkę – prosiła Sally.

–Wezwij pogotowie – wyszeptał. – Powiedzcie im... wypadek w laboratorium. – Zamknął oczy. Cam dopadł do telefonu, ale Sally wyjęła mu słuchawkę z ręki.

–To informacja, o której mówiła Jennifer. Musisz już iść – ponagliła go. – Powiedziała przecież, że da ci znać, kiedy nadejdzie właściwy czas. Biegnij, Cam! Ja zajmę się Garnockiem!

–Czy myślisz, że z tego wyjdzie?

–Wydaje mi się, że tak – odparła Sally. – Puls bije mu równo. – Gdy Fenton się wahał, krzyknęła: Cam! Profesor ryzykował życie, aby przynieść ci ten talizman! Aż do naszego przyścia czekał z wezwaniem pogotowia! Gdyby nie to, wezwałby karetkę piętnaście minut temu. Czy nie widzisz, jak wszystko stało się dla niego ważne? – Zignorowała Fentona i zaczęła wykręcać numer pogotowia.

–Dobra. – Opanowany już Fenton zerwał się na równe nogi. Rzucił jeszcze jedno zatroskane spojrzenie na nieprzytomnego Garnocka i zdał sobie sprawę, że Sally ma rację. Wiedział, że musi tak postąpić. Jego przeświadczenie było niewzruszone. – Wiem, o jakim miejscu mówiła Irielle. Już tam biegnę. – Wziął do ręki talizman. W ostatniej chwili zatrzymał się i spojrzał na Sally. Miał dziwne i okropne przeczucie, że nie będzie jej długo widział. Był jednak bezradny. Musiał wykonać zadanie, które przed nim stało. Wiedział to dobrze i wiedziała o tym również Sally. W drzwiach odwrócił głowę i powiedział: – Kocham cię, Sally.

Chwilę potem zbiegał już po schodach Smythe Hall, a następnie przecinał Sproul Plaza. Nim dobiegł do Bramy wewnętrznego dziedzińca, usłyszał zawodzącą syrenę karetki, ale nie zwracał na nią uwagi. Biegł przez kampus mijając studentów zmierzających na poranne zajęcia i aktywistów politycznych ustawiających swe przenośne stoliki, na których rozkładali bibuły Młodych Konserwatystów, Młodych

Socjalistów i Młodych Libertarian. Minął grupę anachronistów rozgrywających na trawniku turniej rycerski przy użyciu drewnianych mieczy. Pomiedzy walczącymi skakał sędzia, oceniający ich poczynania. Fenton biegł jak oszalały i wpadł na porannego biegacza. Przewrócił go na chodnik, przeprosił go w biegu, ale przewrócony złościł się, do czego miał pełne prawo. Za chwilę Cam o mało nie wpadł pod koła roweru nadjeżdżającego z naprzeciwka, co nie wzbudziło również entuzjazmu rowerzysty. Fenton zignorował ich obu.

W końcu dotarł do gaju eukaliptusowego, który był zupełnie pusty, prześwietlony porannym słońcem. Cam przypomniał sobie grupę studentów grających tu w Dungeons Dragons, kiedy przekraczał granice światów po raz pierwszy. To byli zapewne zwykli gracze, a nie ludzie z Domu na Rozstajach, których gra raz toczyła się na zwykłej planszy, a innym razem plansza zamieniała się w magiczny monitor ukazujący Bramy Światów.

Czyżby więc Dungeons Dragons była rodzajem ćwiczenia umożliwiającego ludziom wyobrażenie sobie innych światów, uczącego odgrywania innych ról niż te przypisane im w ich świecie? Zamysłem, którego celem było – podobnie jak w przypadku anachronistów wprowadzenie w zdroworozsądkową codzienność współczesnej kultury idei przenikających się światów i ich różnorodności?

Fenton wszedł między drzewa gaju eukaliptusowego i usiadł na jednej z czerwonych ławek, które tam stały. W ręku trzymał kamienny talizman. Poczuł, że ten drży lekko w jego dłoni, a misterne zdobienia Alfarów poruszyły się gdzieś pod powierzchnią. Kamień jednak nie zmienił swej faktury. A przecież Irielle mówiła, że talizman zabierze Fentona do krainy Alfarów.

–Nie – powiedział delikatny, drżący głos. – On nie zabierze cię do naszego świata. nie tym razem. Bramy zostały zamknięte. Przeszłam tu do ciebie... Byłam w stanie przejść tylko dlatego, że to mój własny świat i nawet Lindhal nic mógł nic na to poradzić. Joel...

Fenton podniósł głowę i zobaczył Irielle idący w jego kierunku. Na jej bladej twarzy było widać ślady łez. – Joel odszedł do świata swego ojca – ciągnęła Irielle. – Powiedział... powiedział, że nie ma prawa z nami zostać, jeżeli to oznacza wojnę. Przysiągł, że wróci do mnie, jeśli będzie mógł. Lecz poświęci nawet moją miłość, jeżeli alternatywą jest chaos i pożoga.

Irielle łkała bezradnie. Fenton wyciągnął ramiona i dziewczyna wtuliła się w nie. Czuł, że Irielle nie ma ciała, jakby była duchem. Przyszła tu jako Cień, podjęła wielkie ryzyko, żeby prosić go o pomoc. Zastanawiał się, co może dla niej zrobić.

–Fenn-ton, Fenn-ton, ja wiem, że on ma rację, ale nie mogę tego znieść. Zrobił to, bo tak musi być, ja wiem. Ale wiem też, że szybciej się zabije, niż zostanie wodzem

armii Pentarna, która niesie śmierć i ruinę! Przysięgał, że prędzej umrze, i ja wiem, że nie kłamał!

Obejmował ją delikatnie, a później włożył do jej ręki talizman. Zacisnęła go w dłoni i Fenton poczuł, że dziewczyna materializuje się, że jej ciało staje się ciepłe, ludzkie. Odczuła to sama i odsunęła się od niego zawstydzona.

–Po co tu przyszedłaś, Irielle?

–Po talizman – odpowiedziała. – Muszę się jakoś dostać do Domu na Rozstajach i prosić ich, by mi pomogli zamknąć Bramę, która jest wciąż otwarta. Bramę do Świata Kamienia. Żelazory ciągle jeszcze przechodzą przez kamienie pod jaskiniami wulkanicznymi, a tam nie powinno już być żadnej Bramy. Wszystkie, o jakich wiedzą w Domu na Rozstajach, zostały zamknięte. Stary Myrill przysięgał. Ale istnieje Brama, która nie jest nasza i muszę znaleźć sposób, żeby ją zamknąć.

Fenton domyślił się natychmiast, że chodzi o Bramę ze świata gnoma. Nikt wprawdzie nie mógł ingerować w obce światy, ale Alfarowie chcieli zamknąć swoje Bramy i Irielle jako ich podrzutek miała prawo pójść do świata gnoma i żądać, aby zamknięto tę Bramę.

Gnom nie był przecież wrogiem Alfarów, ponadto nienawidził żelazorów. Z pewnością by im pomógł. Fenton zapytał:

–Irielle, czy nie mogłabyś przejść przez Dom na Rozstajach?

–Brama została zamknięta – odparła drżącym głosem. – Lebbrin, Erril i mój ojczym zmusili Kerridis, żeby zamknęła wszystkie. Myrill już nie robi wyjątku nawet dla mnie. Nie puścił mnie przez nielegalną Bramę pod jaskiniami. Próbowaliśmy tam zejść i zmusić Bramę, aby sama się zamknęła, ja i ten mężny człowiek z twojego świata. Kiedy skały się rozwarły i plunęły ogniem, bardzo się poparzył. Pozwoliłam mu zatrzymać talizman, żeby wrócił żywy do swojego świata. Findhal mógł wprawdzie go uleczyć, tak jak uleczył mnie w dzieciństwie, lecz nie chciał tego zrobić. Powiedział, że już nigdy nie zaufa żadnemu człowiekowi z twojego świata. – Irielle mówiąc płakała, mimo że próbowała

panować nad sobą. – Był tak ciężko ranny. Profesor... Już myślałam, że tam umrze. Dałam mu więc talizman, żeby wrócił, lecz nie mogłam z nim przejść. Chciałam mu jakoś pomóc, poparzenia były tak silne, ale nie mogłam go podtrzymać, bo sprawiało mu to ból...

A więc Irielle ryzykowała zupełną utratę talizmanu, a może nawet ostatnią szansę Alfarów, bo nie mogła patrzeć na śmierć dzielnego człowieka.

Mówiła dalej, jej głos brzmiał zupełnie bezradnie: – Findhal jest na mnie wściekły.

Wykłął mnie i powiedział, że jestem lojalna wobec świata pod słońcem, a nie wobec Alfarów, ponieważ nie pozwoliłam umrzeć profesorowi. On jednak nie przyszedł do nas z własnej woli. Nie było powodu, żeby umierał przez nasze spory. – Spojrzała na Fentona i poprosiła: – Czy zabierzesz mnie do Domu na Rozstajach?

–Oczywiście, oczywiście, że zabiorę. – Fenton ujął jej dłonie. Były teraz realne, ale zimne i drżące. Chodź.

Szli między budynkami uniwersytetu. Ludzie gapili się na młodego człowieka w wygniecionym ubraniu i na młodą dziewczynę w długiej ciężkiej sukni, okutaną w szale i chusty. Zdjęła podbity futrem płaszcz i przewiesiła go sobie przez ramię. Kiedy przechodzili koło grupy anachronistów, Fenton zauważył, że wygląda jak jedna z nich. Nagle Irielle usłyszała dźwięk uderzających o siebie mieczy i nerwowo chwyciła Cama za ramię.

–Co to jest?

–Gra. Zabawa w bitwę – wyjaśnił. Zadrżała i oświadczyła:

–Widziałam do tej pory tyle bitew, że już nigdy nie będę oglądać z przyjemnością tego rodzaju zabaw. Odwróciła głowę w drugą stronę. – Nawet gier planszowych z bitwami smoków.

A więc Alfarowie również znali gry planszowe. Ciekawe, czy mieli jakąś wersję gry Dungeons Dragons. Irielle wzdrygnęła się na widok tłumu, gdy szli wzdłuż Telegraph Avenue. Kątem oka Fenton zauważył ogolonego hipisa, który sprzedał mu kiedyś lewy antaril. Ciekaw był, czy on też ma do odegrania jakąś rolę w toczącym się dramacie. Upomniął się, żeby nie popadać w paranoję. W końcu muszą istnieć jacyś nieświadomi, niewinni przechodnie.

Minęli Rathskeller, księgarnię, grecką restaurację i pralnię chemiczną... niestety. Pralnia chemiczna wciąż tam się znajdowała. Zatrzymali się.

Fenton odezwał się głośno:

–Nic nam nie da, jeśli będziemy tu sterczeć.

–Co Fenn-ton?

Nie należało złościć się na Irelle.

–Co robisz kiedy nie możesz znaleźć Domu na Rozstajach? – zapytał.

–Zazwyczaj go znajduję – odparła niewinnie. – Przynajmniej w krainie Alfarów, ale tutaj nie wiem.

–Lepiej zacznij się rozglądać – powiedział – bo właśnie tutaj powinien być Dom na Rozstajach. Sęk w tym, że go tu nie ma.

–Tutaj? Ten biały budynek?

Przypomniał sobie, że Irielle nie umie przeczytać więcej niż kilka słów. Wprawdzie potrafiła napisać swoje imię, ale czyniła to nie zgrabniej od przedszkolaka.

–Tak tutaj. Czasem jest to mały sklepik, w którym sprzedaje się obrazki, a czasem Dom na Rozstajach. Ale teraz go nie ma.

Irielle pociągnęła go za rękę. – Co my teraz zrobimy'?

–Nie wiem – odpowiedział ponuro. – Może powinniśmy się pomodlić. Albo gdzieś go zlokalizować.

Przypomniał sobie małą tabliczkę na drzwiach, na której napisano: DZWONIĆ W NOCY I W SYTUACJACH WYJĄTKOWYCH.

Tym razem sytuacja była w takim stopniu wyjątkowa, że jak zwykle w takich wypadkach żadnego dzwonka nie było. Fenton podszedł bliżej do drzwi pralni i dokładnie obejrzał framugę w poszukiwaniu jakiejś informacji lub dzwonka na wypadek sytuacji awaryjnej. Przecież powinien istnieć jakiś sposób zmuszenia Domu na Rozstajach do pojawienia się wówczas, kiedy był tak bardzo potrzebny. Dom stosował się jednak tylko do swoich praw, a Fenton nie znał jeszcze wszystkich.

Nie było żadnego znaku, żadnej informacji ani dzwonka. Niczego. Cam patrzył tępo w drzwi pralni i uparcie próbował ściągnąć Dom myślami. Przypomniał sobie, że kiedy byli tu rano razem z Sally, na początku też Domu nie było. Mineło dziesięć minut i Fenton musiał przyznać, że ciągle go nie ma. Za to niski staruszek pracujący w pralni zaczął patrzeć na nich nieufnie.

W tej sytuacji należało się jak najszybciej wycofać, by uniknąć możliwego indagowania przez policję podejrzewającej włóczęgostwo.

Co jednak mieli teraz zrobić? Zaakceptować porażkę i postawić na wszystkim krzyżyk tylko dlatego, że Dom na Rozstajach nie był tam, gdzie spodziewali się go znaleźć?

Nie, do cholery. Irielle mówiła przecież kiedyś, że Dom na Rozstajach mógł się ukrywać przed kimś, kto nie miał w nim żadnego interesu. Zasada ta powinna jednak obowiązywać w obie strony. Realna potrzeba powinna być wystarczającym powodem dla ukazania się Domu poszukującym. Fentona ogarnęło w tym momencie tak silne przecucie, jakiego dotychczas nie doznał. Powiedział:

–Chodź, Irielle, chyba wiem, gdzie powinniśmy pójść.

Wziął ją pod rękę i ruszyli w kierunku jego domu. Nie weszli jednak do budynku, lecz podeszli do zaparkowanego samochodu Fentona. Przez chwilę przetrząsał kieszenie w poszukiwaniu kluczyków, po czym otworzył Irielle drzwi od strony pasażera. Dziewczyna była mocno przestraszona, kiedy wsiadała do samochodu.

–Nie byłam w żadnym... w żadnym powozie od czasu wypadku – wyznała.

Przypomniawszy sobie blizny na nodze Irielle, Fenton uspokoił ją:

–Zobaczysz, że nic ci się tym razem nie stanie. Nie bój się. – Nachylił się nad nią i zapiął jej pasy bezpieczeństwa. – Dzięki temu będziesz zupełnie bezpieczna. – Sprawdzał poziom alkoholu w baku, wsiadł do samochodu i ruszył.

Kiedy jechali w stronę mostu nad zatoką, Fenton złamał wszystkie możliwe ograniczenia prędkości. Kątem oka spostrzegł, że Irielle z otwartą buzią wlepia wzrok w zarys San Francisco mający na horyzoncie. Zdał sobie sprawę, że dziewczyna jest wstrząśnięta zmianami. Jeśli kiedykolwiek widziała San Francisco, musiało to być jeszcze przed trzęsieniem ziemi w 1906. Jadąc szybko w dużym ruchu ulicznym musiał ją uspokajać jeszcze kilka razy.

Zaparkował poza terenem North Beach. Na szczęście poranny szczyt skończył się, a obiadowy jeszcze nie zaczął. Dziesiątki tysięcy ludzi na ulicach skutecznie stłumiłyby każdy przekaz, który Fenton spróbowałby nadać, niezależnie od mocy telepatycznej, jaką dysponował. Lecz przecież dokonywał eksperymentów z ESP na terenie przeludnionego kampusu uniwersyteckiego, na którym mieszkało więcej studentów niż w średniej wielkości mieście. W takim razie mógł ich dokonywać wszędzie, ale przecież ten był najważniejszy w jego życiu.

Zaczął się teraz zastanawiać, gdzie widział tę małą księgarnię wiele lat temu. Mijał ją dwa lub trzy razy, lecz zawsze była zamknięta. Nie znajdowała się na pewno przy Grant Street, ale w jednej ze ślepych uliczek. Odbiegała od niej w miejscu, z którego wszystkie główne ulice odchodziły w stronę Broadwayu i kolorowego, zawsze pełnego turystów nabrzeża rybackiego. Fenton zwrócił się do Irielle:

–Weź talizman do ręki i skup się. Myśl uparcie o Domu na Rozstajach.

Popatrzyła na niego bez zrozumienia, ale zrobiła to, o co prosił. Wiedział, że na pewno to zrobiła, mimo że nigdy nie umiał czytać w myślach. Nadal podążał za niezwykle silnym przeczuciem, które wciąż narastało.

„Kiedy będziesz miał coś zrobić, dowiesz się o tym.” To były słowa Jennifer. On zaś wierzył niezłomnie, że miała rację.

Nagle nowa myśl zaświtała mu w głowie. Śmieszne było szwendanie się po nieznanym ulicach i przywoływanie Domu jak zgubionego psa. „Tutaj, Domku, do nas... No chodź...” Fenton stłumił chichot. Oczywiście, wołanie Domu w ten sposób brzmiało śmiesznie. Czy jednak było o wiele głupsze niż to, że mały antykwariat był czasami pralnią chemiczną, a dziewczynę rozdarły na kawałki włochate stwory z ilustracji Rackhama? A jednak wszystko było rzeczywiste, zatrważająco rzeczywiste. I taki też był Dom na Rozstajach. I siła, która miała go przywołać do Fentona. Cam uważnie sformułował myśl: Zaszła wielka potrzeba. Musimy znaleźć Dom na Rozstajach. Wiele istnień od tego zależy. Mogą zginąć z powodu czyjejś niewiedzy.

Przez jakiś czas powtarzał tę myśl nie pozwalając, by cokolwiek go zdekoncentrowało. Irielle szła obok niego jak w transie, trzymając w dłoni talizman. Weszli w boczną uliczkę, a potem skręcili jeszcze raz. W pewnej chwili wydawało mu się, że odnalazł to, czego szukał, ale za moment stwierdził, że się pomylił. Największy kłopot polegał na tym, że Fenton nie mógł sobie dokładnie przypomnieć, jak uliczka wyglądała. Był jednak przekonany, że ją rozpozna, gdy ta tylko pojawi się w polu widzenia. Skręcili w kolejny zaułek, a za chwilę skręcili raz jeszcze.

–Fenn-ton...

–O co chodzi, Irielle?

–Talizman poruszył się w mojej dłoni.

Z wrażenia ciarki przeszły mu po plecach. Ciepłej, ciepłej, pomyślał. Było jednak trochę za wcześnie na świętowanie sukcesu. Odezwał się ściszym głosem: – Dobrze, powiedz mi, jeśli to się powtórzy.

Otwarta księgarnia, książki w koszach, zakurzone i zniszczone, z czwartej ręki, po dolarze. Włoska spaghetteria, w środku nie domyty kościsty nastolatek zmywający podłogę mopem i tłusta kobieta wypisująca na tablicy ceny posiłków. Przyjemne zapachy. Dalej duży stragan obwieszony warkoczami czosnku i długimi, fallicznymi salami, związanymi w pęki. Fasada sklepu z wymalowaną plakatką napisem: KOŚCIÓŁ ŻŁOTEGO ŚWIATŁA. MSZA – NIEDZIELA WIECZÓR. MODLITWA – CODZIENNIE, WSZYSCY MILE WIDZIANI. Kolejne stoisko z czasopismami.

Poszukujemy Domu na Rozstajach. Zaszła wielka potrzeba. Musimy znaleźć Dom na Rozstajach. Wiele istnień od tego zależy. Mogą zginąć z powodu czyjejś niewiedzy, ponieważ ktoś manipulował przy Bramach...

–Talizman – szepnęła Irielle. – Zaczął świecić... Mimo że trzymała go w zaciśniętej dłoni, wokół niej rysowała się poświata. Dom na Rozstajach, aby być przechodnią Bramą między wymiarami, musiał stanowić centrum jakiejś przepotężnej siły. Jak w ogóle było możliwe, by blisko takiego miejsca mieszkali ludzie nieświadomi, że

znajdują się tuż obok przejścia między wymiarami? A może wiedzieli, podobnie jak gracze w Dungeons Dragons, którzy siedzieli za stołem w pokoju na zapleczu małego antykwariatu?

Fenton poczuł ciepło w miejscu, gdzie miał w spodniach kieszeń. Sięgnął do niej i wyciągnął coś, co wyglądało na płaski krążek tandetnego plastyku. Vrill, który dała mu Kerridis.

–Czy masz ze sobą vrill? – zapytał cicho Irielle. – Mój miecz. Na wypadek, gdybym spotkała żelazora – wymamrotała.

–Wyjmij go. Możemy go potrzebować.

W momencie kiedy wyjęła miecz, Fenton poczuł szarpnięcie jakiejś siły, a może po prostu tylko na to czekał. Nie musiał już szukać drogi, szedł tylko szybko do następnej ulicy. Podniósł głowę dopiero na progu pewnego domu i zobaczył szyld oraz książki na wystawie: starą, pewnie bezcenną kopię dzieła Chambersa *The King in Yellow*, zniszczony egzemplarz *Our Lady of Darkness* Leibera i „Królową Powietrza i Ciemności” Andersona oraz kilkanaście innych woluminów leżących obok nich. Wewnątrz sklepu poczuł unoszącą się w powietrzu energię. Zobaczył wysokiego, chudego, starego człowieka o wysuszonej twarzy przypominającej zamyślonego wielbłąda. Już wiedział, że stoi przed nim ktoś, kogo Jennifer nazwałaby Strażnikiem.

Nie tracąc czasu, wyciągnął na dłoni krążek vrillu i talizman.

–Wie pan, co to jest. Musimy przejść.

–Tędy – rzekł stary człowiek i przeprowadził ich przez zaplecze sklepu. Spojrzał ostro na Irielle i powiedział: – Należysz do tego świata, ale jesteś podrzutkiem Alfarów. Czy chcesz tam wracać? Wprawdzie wszystkie Bramy do krainy Alfarów zostały zamknięte, ale ty masz prawo tam być.

Potrząsnęła głową.

–Chcę przejść do Świata Kamienia. Tam jedna Brama pozostała otwarta, a nie powinna, i żelazory przechodzą nią do świata Alfarów. Muszę jakoś przekonać tych ze Świata Kamienia, żeby zamknęli tę Bramę. Starzec wyglądał na zakłopotanego.

–Znasz prawa, moje dziecko. Jestem Strażnikiem. My, z Domu na Rozstajach nie możemy ingerować ani nawet sprzyjać którejś stronie.

–Ma pan rację – wtrącił Fenton ku własnemu zdziwieniu. – Ale mówicie również, że trzecia strona też nie powinna ingerować. Gnom to robi nieświadomie. Pozwala, żeby przechodzono przez jego świat do krainy Alfarów i nie wie, że przyczynia się do ich

śmierci. On ma prawo wyboru, ma prawo działać niezależnie, ale musi wiedzieć, co robi. Ma prawo wiedzieć. Jeśli poprze żelazorów przeciwko Alfarom, będzie to jego decyzja. Powinien jednak znać prawdę.

Starzec, ciągle zakłopotany, powiedział:

–Jest prawdą wszystko, co mówisz. Ja jednak nie mam prawa iść nie proszony do Świata Gnoma...

–Tego nie wiem – rzekł Fenton. – Wiem jednak na pewno, że ja mam jego zaproszenie. Gnom prosił mnie, żebym wrócił. – Całą duszą pragnął wrócić do kamiennego świata, gdzie na krótko stracił poczucie odrębności i doznał szczęścia, zamieniony w rozgrzany słońcem kamień. Kamień w kamiennej jedności bez poczucia odrębności własnego JA. Teraz chciał tam wrócić dla Alfarów i dla przyjaznego gнома. Wiedział, że to właśnie rola, którą ma odegrać. Wszystko, co wydarzyło się od momentu, kiedy zażył lewy antaril, nieuchronnie prowadziło w tym kierunku. „Jeśli czeka cię

zadanie, dowiesz się o tym.” Ciągle kierowało nim to przeświadczenie. Ujrzał wielkie, przestraszone oczy Irielle, ale zignorował jej strach i uśmiechnął się tylko uspokajająco.

Starzec zapytał:

–Czy jesteś świadom zagrożeń? Fenton skinął głową.

–Świat Kamienia jest niebezpieczny dla istot ludzkich. Ja sam zawędrowałem tam tylko raz, gdy zdobywałem wiedzę o Bramach. Nigdy jednak nie chciałem tam wrócić.

–Wszystko się zgadza – przytaknął Fenton. Mam jednak prawo wyboru ryzyka, skoro je podejmuję. – Świadomie podejmował różnorakie wyzwania, odkąd wybrał parapsychologię jako pole swojego działania. Po pierwsze podjął ryzyko zarzucenia powszechnie szanowanego zawodu psychologa. Po drugie specjalizował się w przypadkach rzadko spotykanych, a przez to niewiarygodnych talentów. Potem eksperymenty z narkotykiem, który mógł mu poluzować wewnętrzne spoiwa umysłu. Zastanawiał się, czy te wyzwania były tylko wprawką do tego jednego.

–Nie jestem przekonany, że znasz wszystkie zagrożenia. Jednym z moich obowiązków jest powstrzymywanie szaleńczych ignorantów.

Gdy Fenton się odezwał, w jego głosie brzmiała absolutna pewność:

–Nie należy do pańskich prerogatyw powstrzymywanie zaproszonego gościa od przejścia do któregoś ze światów wybranego przez niego z własnej woli, zwłaszcza jeśli nie zamierza nikomu wyrządzić szkody. – Nie wiedział, czy czyta w myślach

starca, czy to intuicja, czy jasnowidzenie. Być może we wszechświecie, który zaczynał teraz zamieszkiwać, nie było między nimi żadnej różnicy. Po prostu wiedział. Jennifer też nie wiadomo skąd wiedziała, że jest gotów na przyjęcie tej wiedzy. Cameron Fenton był parapsychologiem od dziesięciu lat. Pojął, że dopiero w tej chwili zaczyna poznawać podstawy parapsychologii. To było jak drzwi otwierające się do nowego świata, nowego kosmosu.

Starzec skinął głową i zachował się tak, jakby rozpoznawał Fentona. Powiedział nawet:

–Poznaję cię. – Wziął do ręki szklaną różdżkę podobną do „światłowodu”, którym Jennifer łącała dziury. – Tędy. – Wskazał drogę na zaplecze. – Tę Bramę niełatwo odnaleźć.

–A Iriellw? – Lecz zanim starzec się odezwał. Fenton znał już odpowiedź.

–Irielle ma dwa wyjścia: pozostać tu albo powrócić do krainy Altarów. Nie mogę jej wpuścić do Świata Kamienia. Nie jest do tego przygotowana.

–Fenn-ton...

Jej dłonie ścisnęły jego ręce. Patrzyła na niego przestraszone. Przytulił ją do siebie po ojcowsku, po czym delikatnie odsunął i powiedział:

–Nie bój się, Emmo. – Nie wiedział, czemu użył jej ziemskiego imienia. – Dam sobie radę. Poczekaj tu na mnie albo wróć do Kerridis. Ona może cię potrzebować. Tu zrobiłaś już wszystko. Ja też zrobię co w mojej mocy. Jeżeli cokolwiek mi się nie uda, to znaczy, że jest niemożliwe do wykonania. Jeśli poniosę porażkę, będziemy musieli pogodzić się ze wszystkim, co nadejdzie. Po raz pierwszy i ostatni delikatnie ucałował jej miękkie wargi. – Jeśli... jeśli coś się stanie, jeśli mi się nie uda, powiedz Kerridis... – Nie, do cholew, pomyślał, jeszcze nie, nie teraz. – Powiedz Kerridis... 'powiedz jej, że zrobiłem wszystko, co mogłem. Jeśli będzie to możliwe, na pewno się z tobą zobaczę, mała. – Odwrócił się zdecydowanie i podążył za starcem. Nie obejrzał się, choć wiedział, że Irielle płacze.

ROZDZIAŁ 20

Gorące, pomarańczowe słońce wędrowało wysoko po nieboskłonie. Fenton stał pośród piasków i skał przy niskim murku ciągnącym się w nieskończoność. Słyszał szelest poruszających się wokół jego stóp małych stworków. One również były częścią gnoma. Ktokolwiek jest kamieniem i Ktokolwiek jest małymi stworkami.

–Gnomie – odezwał się, a kamienie poruszyły się w jego polu widzenia i z wolna zaczęły układać w niską postać o pieńkowatej głowie i krótkich, grubaśnych paluchach.

–Ktokolwiek radującym się z powrotu. Z razemowania. Ktokolwiek witającym w szczęśliwości.

Fenton pomyślał: Mnie również miło cię widzieć, gnomie.

–Inny smucącym się – usłyszał znowu głos gnoma. – Prośba, przychodzący mówiącym, czemu Inny nie radującym się.

Fenton wywołał w myślach klarowny obraz żelazorów. W tej samej chwili w jego umyśle ukazał się obraz przekazany przez umysł gnoma. Przedstawiał on Bramę, przez którą nie proszone i nie oczekiwane żelazory dostawały się do skalnego świata, traktując go jak drogę na skróty do krainy Alfarów. Bez tego przejścia mogły się tam przedostawać jedynie w odpowiednim czasie.

–Widzącym jako najeżdżających. Nie chcącym. Poruszali się w świecie gnoma z prędkością myśli, co sprawiło, że Fenton natychmiast zobaczył rozdziawioną paszczę skalnej Bramy i wylewające się z niej hordy wyjących, zagrzewających się do boju żelazorów. Odraza i niesmak gnoma sparaliżowały go i zatrzymały ten obraz na dłuższą chwilę w umysłach obu obserwujących. Odraza wypełniała również unayst Fentona i Cam poczuł, jak jego tożsamość zaczyna się siapia~ w jedno z wszechogarniającą tożsamością gnoma. Poczuł znów spokój rozgrzanego słońcem kamienia, ale dzielił teraz również jego niesmak i przerażenie na widok intruzów wyłamujących Bramy jego świata i plugawiących go samą swoją obecnością. Po chwili Fenton ujrzał otwartą paszczę drugiej kamiennej Bramy, która wyrzygiwała ciemną masę wyjących żelazorów na ośnieżone wzgórza kraju Alfarów. Zobaczył też wejście do jaskiń, w których uprzednio ukrywały się żelazory i z których robiły wypadki na Alfarów.

–Nie! – Udręczony krzyk wstrząsnął gnomem i zdeformował jego postać. Rozpadające się kamienie dołączyły do bezkształtnego murka. Chwilę potem, bardzo powoli, postać gnoma zaczęła się wynurzać z kamienia. Najpierw wychyliła się okrągła głowa, a po niej nieforemna ręka o grubaśnych paluchach, która wyciągnęła się w stronę Fentona. Gnom robił wrażenie zdezorientowanego.

–Przyjacieli! Inny smucącym się, różniącym, pytanie. – Czy ty naprawdę nie wiesz, na co pozwalasz żelazorom? Czy nie wiesz, że dajesz im przejście do świata Alfarów, w którym zabijają, palą i gwałcą...` – Fenton stworzył w swym umyśle straszliwy obraz krwiożerczych stworów wylewających się z jaskiń, napadających na Alfarów, ćwiartujących ich żywcem, krojących ich konie w plastry i napychających sobie pyski krwawiącymi jeszcze kawałkami mięsa, wlokących Kerridis, której ciało czernieje od samego ich dotyku... Poczul, jak przerażenie połączone z nagłym uświadomieniem sobie straszliwej prawdy, wobec której gnom był bezradny, wypełnia cały jego umysł. Wszechograniającym ciałem gnoma wstrząsał spazm rozpaczy.

–Nie wiedzącym. Jak mogącym powstrzymanie? – Wyślij je tam. skąd przyszły! – wyrzucił z siebie gwałtownie Fenton. – a najlepiej nie pozwól im tu już więcej wchodzić, ale nie rzucaj ich na Alfarów! Alfarowie nie zrobili ci nigdy nic złego!

Fala konwulsyjnego bólu przetoczyła się przez ciało gnoma i podłączonego do niego Cama.

–Nie wiedzącym. Powstrzymującym. Nie życzącym złego światu taneczności. Światu świetności.

Po raz drugi wydało im się, że cały świat wokół jęknął i rozdziawił paszczę, że jest wypełniony wrzaskliwym wyciem żelazorów, ich wściekłym głodem i bólem, niezaspokojoną, barbarzyńską żądzą krwi. Fenton poczul, że oczy wybałuszają mu się tak samo jak żelazorom, a lędźwia tężeją pożądaniem, jakby był jednym z nich i biegł wyrzaskując ich zawołanie: „Łupów i kobiet!” Czas przyspieszył i Fenton tym razem poczul, jak sam roztapia się w ich wrzasku, staje się jednym z potworną masą stworów, choć równocześnie mdlił go wstręt i odraza do obrzydliwych nachodzących...

Głos – głos gnoma – zaskrzeczał i przeniknął całą jego świadomość:

–Powstrzymującym.

Świat konwulsyjnie się wybrzuszył, zionął ogniem i wrzącym strumieniem czerwonej lawy zalewającej żelazory i pokrywającej je szczelnie, parząc, paląc i połykając stwory do wtóru ich agonialnego jęku. Śmiertelny wrzask żelazorów rozrywał gardło Cama i wibrował w całym jego ciele; Fenton czuł, jak umierają. Czuł je wszystkie, połykane żywcem.

I umierał razem z nimi.

Po dłuższym czasie Fenton uświadomił sobie, że leży w ciszy, spokojnie, wygrzewając się w słońcu, zwinięty w kłębek i wtulony w kojące ciepło kamienia. Gdzieś w odległym zakątku umysłu odnalazł wspomnienie agonii i wielu, wielu śmierci. Teraz jednak nie istniało nic oprócz ciszy, słońca i skały grzanej jego

promieniami, i murku, w którego cieniu Fenton leżał. Ale kiedy stopniowo wracała mu pamięć, skała poruszyła się i znów zaczęła powoli przybierać postać podobną do ludzkiej, postać gнома.

Pieńkowata głowa w kształcie pocisku, grube, małe dłonie i słaby zarys czegoś jeszcze, innej formy. W postaci gнома w jakiś dziwny sposób pozostał ślad kształtu żelazom.

–Pewność – powiedział gnom. – Włochaci nachodzący teraz część ziemiorodności. Nieszkodzącymi. Zmieniającymi tożsamość. Zmieniającymi w bolesności i umieraniu. Kamień nigdy już w takiej spokojności, ale włochate stwory nigdy więcej nachodzącymi. Ktokolwiek zamykającym. Powstrzymującym na zawsze. Zamykającym na zawsze. Inni zapominający – istnienie jednym. Krzywdzącymi światy taneczności, światy roślinności, światy światłości. Czyniącymi im bolesność. Ktokolwiek ziemiorodnością pokazującym, że wszystko jest jednym.

Fenton wyciągnął rękę po małą, ciepłą i chropowatą dłoń gнома. Czuł się zbyt zmęczony, aby pojąć to wszystko. Ziemiorodek wchłonął żelazory w siebie. Udowodnił im, że całe życie jest jednością. Również Fenton odczuł tę monstrualną apokalipsę samym sobą.

Życie jest jednością.

–Teraz powracającym – odezwał się gnom. Ktokolwiek znającym jedną drogę w powrotność. Zamykającym Bramę za Przyjacielem. Nic nie nachodzącym spokojności kamienia. Mówiącym: istnienie jednym. Jego twarda, mała dłoń mocno uściśniła dłoń Fentona, skała zaśniła i...

...Fenton stał na położonej na wzgórzu drodze, którą pierwszy raz przyszedł do świata Alfarów, gdzie pierwszy raz zobaczył żelazory, wybiegające z jaskini, żeby porwać Kerridis. Śnieg skrzypiał pod jego butami. Przy wejściu do jaskini stało dwóch wartowników Alfarów.

Jeden z nich odwrócił się, spostrzegł go i rozpoznał.

–Chaos i żelazo! – odezwał się. – To ten Cień, który ciągle wraca jak kamyk w tanecznym kręgu. Hej, ty Co tu robisz? Czy Findhal nie wydał rozkazu, że nikt ze świata pod słońcem nie może tu wejść? Odpowiedz za to, Cieniu!

–Nie jestem Cieniem – rzekł Fenton świadom, że tym razem jest tu Przechodniem, jest realny. Z tyłu na śniegu zobaczył swój cień. – Mam dobre wieści dla Kerridis. Zaprowadźcie mnie do niej.

–Zaprowadźcie mnie do Kerridis – zakpił rozzłoszczony wojownik Alfarów. – Czy uważasz, że Pani Alfarów jest na twoje zawołanie? Co ty sobie myślisz, że kim

jesteś?

–Posłałam po niego – odezwała się Kerridis i wolno wyłoniła z wejścia do grotty.

Fenton nie zdążył się nawet zdziwić, że była tam i czekała na niego. Teraz już nic go nie dziwiło. Wiedział, że ma tylko poruszać się po ścieżce wyznaczonej specjalnie dla niego. Kerridis podeszła do Cama i po raz pierwszy poczuł na swojej materialnej dłoni jej pewny, choć delikatny uścisk.

–Fenn-ton, powiedz mi, co się działo.

–Bramy w skałach są zamknięte – odparł. Zakołysał się; poczuł nagle, że jest wycieńczony. Ile czasu upłynęło od chwili, kiedy stał zespoleony z Kamieniem, słuchając śmiertelnych wrzasków żelazorów? Żaden z nich nie przejdzie już tamtą Bramą. Nigdy.

–Wtargnęli do naszego świata. Żądali kobiet i łupów – powiedziała Kerridis. – A potem... nie pojawił się już ani jeden. Nasi wojownicy przygotowali się do ostatecznej rozprawy z nimi. – Kerridis wzięła Fentona za rękę i poprowadziła w dół do grotty. W oddali usłyszał odgłosy bitwy, pobrzmiwały wojenne zawołania Alfarów i żelazorów. Stał z Kerridis na skalnej półce ponad główną grotą i obserwował bitwę. Wojownicy Alfarów wyrzynali żelazory vrillowymi mieczami. Nie przypomina to już w niczym samobójczej walki, którą przewidywała Irielle – stwierdziła Kerridis wsparta o Fentona. – Żelazory nie stawiły się w takiej liczbie, jak przypuszczaliśmy i jesteśmy je w stanie zwyciężyć... Spójrz! Spójrz! Są pokonane, zdziesiątkowane. Śmierć i ruina! Między nimi jest Pentarn...

Z miejsca, w którym stał, Fenton dostrzegł postać Pentarna otoczonego przez żelazory. Byli jednak zbyt daleko, żeby cokolwiek usłyszeć. Głosy tonęły we wrzawie bitwy, ale kilka słów Pentarna dobiegło ich uszu. Nawoływał żelazory do ponownego natarcia. Stracił jednak u nich wszelki posłuch. Rozwścieczone odwróciły się w jego stronę i zaczęły go spychać na krawędź urwiska. Z całą pewnością domagały się przy tym wyjaśnienia przyczyn klęski w bitwie, do której je poprowadził obiecawszy łatwe zwycięstwo. Powietrze wokół Pentarna zawirowało. Raz jeszcze zamierzał skorzystać ze swego wyjścia awaryjnego przez dziurę w przestrzeni, jaką potrafił wyłamać w dowolnym miejscu.

Cała wiedza przyswojona przez Fentona od momentu wejścia do Domu na Rozstajach złożyła się na decyzję, którą nagle podjął. W dalszym ciągu miał w kieszeni kawałek vrillu. Alfarowie używali tego materiału do wyrobu białej broni. Ale vrill, który istniał we wszystkich światach, był czymś więcej niż bronią. Był nawet czymś więcej niż kamieniem życia, którym zaleczano rany zadane przez żelazory. Vrill mógł leczyć nawet Bramy. Fenton wyszarpnął go z kieszeni i skierował w stronę Pentarna. Postąpił jak Jennifer ze szklaną różdżką, która również była zrobiona z

vrillu, i maksymalnie się na nim skoncentrował.

Zawirowanie w powietrzu ustało. Dziura zasyczała i zamknęła się; odcięła Pentarnowi drogę ucieczki. Ten odwrócił się, stanął twarzą w twarz z żelazorami, które najpierw powiódł do haniebnego podboju, a później na rzeź pod mieczami Alfarów. W ciągu kilku chwil rozszarpały go szponami i wdeptały jego szczątki w ziemię. Kerridis krzyknęła i przywarła twarzą do piersi Fentona. Przytulił ją mocno i pochylił się nad nią. Gdy wkrótce uniósł głowę, by się rozejrzeć, zobaczył już tylko czerwone plamy na ziemi i wojowników Alfarów dobijających resztę żelazorów. Po Pentarnie nie było śladu. Jego krew zmieszała się na ziemi z krwią wycinanych żelazorów. Fenton wzdrygnął się. Zdał sobie sprawę, że była to szybsza i bardziej litościwa śmierć od tej, jaką Pentarn zgotował swym ofiarom. Na pewno szybsza niż śmierć Amy Brittan.

Oszołomiony spojrzał na vrill, który trzymał w dłoni. To on uwięził tu Pentarna, żeby stanął twarzą w twarz ze swoim losem. Fenton natomiast zlikwidował nielegalną dziurę w przestrzeni, która była dziełem jego analogi. Zostały już tylko legalne Bramy.

Kerridis ujęła Fentona za rękę i wyprowadziła go z jaskini śmierci w jasność Czarodziejskiej Krainy.

–Chciałbym zostać u Alfarów na zawsze – powiedział Joel Tarnsson. – Tutaj znalazłem szczęście. Będę jednak potrzebny w świecie mojego ojca. Moja matka była córką starego Króla. Moim obowiązkiem jest panować tam w jej imieniu i w końcu wykorzystać armię, którą mój ojciec zorganizował dla podboju, do jakichś lepszych celów. – Spojrzał na Findhala buntowniczo, a jednocześnie błagalnie. – Nie zdołam tego zrobić bez Irielle u boku. Dla dobra obu światów, czy pozwolisz jej pójść do mojego jako mojej żonie?

Wielki Alfar westchnął i położył swe potężne dłonie na ramionach szczupłego młodzieńca.

–Niech i tak będzie, chłopcze. Będzie mi jej brakowało, ale przecież każdy ojciec chowając ukochaną córkę pamięta, że kiedyś będzie musiał ją oddać innemu. Oboje pochodzicie ze światów pod słońcem. Myślę, że będziecie razem szczęśliwi. – Uśmiechnął się i dodał: – Weź ją z moim błogosławieństwem, Joelu Tarnssonie, ale pozwól jej przychodzić do nas czasami, kiedy księżyc będzie w pełni, a Bramy otwarte. Niech zatańczy z nami w lasach Alfarów.

Joel uśmiechnął się i objął Irielle.

–Jeśli tylko będę mógł przyjść razem z nią – odparł.

Teraz Kerridis objęła Irielle i pocałowała ją w czoło. – Masz również moje

błogosławieństwo, drogie dziecko. Przyjdź zaśpiewać z nami od czasu do czasu. Bądź szczęśliwa ze swoim ukochanym w świecie pod słońcem. – Odwróciła się z uśmiechem do Fentona i powiedziała: – Na początku myślałam, że to ty zabierzesz nam Irielle z powrotem do świata pod słońcem.

Uśmiechnął się również i potrząsnął głową.

–Ja też tak myślałem przez jakiś czas. – Przemknęła mu myśl, że to bardzo dziwne, iż Irielle, która jest jego praciotką, a może nawet jego prapraciotką, w dziwny sposób stała się jego córką.

–Twoje przeznaczenie także prowadzi cię do świata pod słońcem – zauważyła Kerridis z uśmiechem. Chodź, zaprowadzę cię z powrotem do Domu na Rozstajach, ale najpierw powiedz, czy jeszcze tu wrócisz? Podniosła ku niemu twarz.

Już wiedział, czego od niego chce, mimo że była panią Alfarów. Przyciągnął ją blisko do siebie i pocałował. Od czasu kiedy się rozstali, pocałunek był obietnicą i początkiem. Uśmiechnęła się znów do niego i trzymając się za ręce ruszyli w stronę zacienionego gaju, gdzie otworzył się przed nimi wielki dziedziniec pełen drzwi. Kerridis odezwała się z wahaniem:

–Mogę wymagać od moich ludzi wszystkiego, ale ciebie mogę tylko prosić jak przyjaciela. Wiesz, jak traktują mnie w Domu na Rozstajach. Fiooihał zbyt długo prowadził moje armie do boju bez żadnej nagrody. Zamierzam wysłać go tam jako Strażnika. Jednak potrzebuję tam też przyjaciela. Nie mam prawa cię prosić, ale, Fenn-ton, czy zgłosisz się do Domu na Rozstajach, żeby zostać Obserwatorem, a może pewnego dnia Strażnikiem? – Spojrzała mu prosto w oczy. Jej drobna dłoń spoczywała na jego ramieniu. – Jeśli znajdziesz się tam, Fenn-ton, będę się czuła bezpieczna. Będę wiedziała, że żadne zło nie przedostanie się do nas przynajmniej z waszego świata.

–Myślę, że nie mam nic przeciwko temu – odpowiedział łagodnie Fenton i ścisnął jej dłoń.

–Będziesz blisko nas w Domu na Rozstajach, będziesz mógł nas czasami odwiedzać...

–Będę – obiecał.

Wewnątrz Domu spotkali starego Myrilla, który na życzenie Kerridis wezwał Jennifer. Ta popatrzyła na Fentona.

–Kiedy nadszedł mój czas, wszystko wiedziałem rzekł pewnym głosem.

–Oczywiście – odparła dziewczyna prawie obojętnie. – Czy będziesz naszym

Obserwatorem? Musisz zdawać sobie sprawę, że to ciężka praca. Cała zapłata, jaką otrzymujesz, to wynagrodzenie za pracę w antykwariacie. Będziesz musiał sprzedawać książki i ilustracje po tamtej stronie ludziom, którzy wchodzą do środka nic nie wiedząc. Będziesz tam również wtedy, kiedy przyjdą ludzie, którzy naprawdę potrzebują Domu na Rozstajach. Nasza Pani Kerridis jak widzę, darzy cię zaufaniem.

–Ja... – Fenton poczuł nagle, że musi to zrobić, że po to się urodził, że długa droga przez parapsychologię była tylko przygotowaniem wiodącym go tutaj, w to miejsce.

Miejsce jego przeznaczenia, Dom na Rozstajach Światów, było tym miejscem, w którym objawiała się prawdziwa natura wszechświata.

–Zostanę tu – powiedział wreszcie.

–Będziesz musiał złożyć przysięgę Obserwatora poinformowała go Jennifer. Fenton zdał sobie sprawę, że podczas gdy rozmawiali, prowadziła go na zaplecze małego antykwariatu. Tym razem bez wirowania ziemi pod stopami znalazł się obok planszy gry, która była zarazem monitorem struktury czasoprzestrzeni i sprzężonych światów. – A pewnego dnia przysięgę Strażnika – dodała dziewczyna.

Młodzi mężczyźni siedzący wokół stołu przestawiali małe figurki.

–Kogo przyprowadziłaś, Jenny?

–Oto profesor Fenton – odparła, a Fenton poprawił ją:

–Cam.

Młody mężczyzna wzruszył ramionami.

–Tytuły są kwestią tradycji – powiedział. – Bez względu na to, jak ci na imię, w tym Domu będziesz miał nowe imię Strażnika. Ja nazywam się Lance, to jest Artur, Kay, a to Gareth, a to... – wskazał przez stół... – Morgana. Jest tu nowa, ale jest analogiem, i wiemy, że z miejsca tu przynależy.

Zdezorientowany Fenton spojrzał prosto w oczy Sally, która posłała mu rozbrajający uśmiech.

–Witamy, albo witamy z powrotem, Cam – wyszeptała.

Spojrzał na stół. Leżała na nim teraz plansza do gry, ale wiedział, że we właściwym czasie, w chwili przeniknięcia się światów, plansza zamieni się w ekran monitora podglądającego zmieniające się w czasie i przestrzeni równoległe wszechświaty.

Spoglądał na miejsce, w którym zniknął alfarski dziedziniec Bram. Nie było mu dane

pożegnać się z Kerridis. Wiedział jednak, że nie ma mowy o żegnaniu się. Wiedział, że będzie zmieniał światy jeszcze wiele, wiele razy. Obietnica ponownego spotkania czekała tylko na moment dogodny dla jej spełnienia. Tymczasem była przy nim Sally, którą kochał. Chciał teraz przede wszystkim sprawdzić, jak się czują Ciarnock i wuj Stan. Chciał też wiedzieć, co przywiodło tu Sally, ale zdawał sobie sprawę, że znajdzie jeszcze czas, by to wyjaśnić.

– Twój ruch, Cam – powiedział do niego Gareth znad planszy, a Fenton spojrział na małe, świecące figurki. – Teraz, gdy już się wszyscy znamy, wybierz swój wszechświat.

Cameron Fenton uśmiechnął się do Sally i nowych współpracowników. Zaakceptował swoje przeznaczenie. Miał jeszcze dużo czasu, żeby poznać obowiązki Obserwatora. Oczekując na ich podjęcie mógł się nauczyć grać w tę wersję Dungeons Dragons.

Zakładał, że grą zajmowali się wszyscy Strażnicy i Obserwatorzy w oczekiwaniu na przyływy i odpływy i że robili to w takiej lub innej formie od czasów króla Artura, albo nawet wcześniej.

Zajął miejsce za Okrągłym Stołem i rzucił kość, którą podał mu Gareth. Wkrótce miał poznać swoje nowe imię.

Marion Zimmer Bradley, amerykańska pisarka SF i fantasy, urodziła się 3 czerwca 1930. Studiowała anglistykę, iberystykę, psychologię. Jest redaktorem naczelnym Marion Zimmer Bradley's Fantasy Magazine założonego w 1989. Redaguje serię oryginalnych antologii Sword and Sorceress, których ukazało się dotąd 11 (1984-1994). Wcześniej zainteresowała się fantastyką pod wpływem lektur groszowych magazynów. Aktywnie działała w fandomie.

Debiutowała w 1953 opowiadaniem SF „Keyhole” i „Women Only”. Pierwszą powieść SF The Door Through Space wydała w 1961. Jej wczesna twórczość wykazuje wpływy Catherine L. Moore, Leigh Brackett i jej męża Edmonda Hamiltona. Miejsca akcji na obcych planetach przypominają bajkowy Dzik Zachód, a bohaterowie i bohaterki walczą nie tylko nowoczesną bronią, ale i białą, posługując się mieczami. Podobnie jest z wczesnymi powieściami obszernego i słynnego cyklu „Darkover”, choć w późniejszych dojrzewające i doskonalące się pióro autorki coraz większą wagę przywiązuje do starannej charakterystyki postaci i tła historycznego i socjologicznego. Darkover to planeta o bogatej historii, zamieszkiwana przez wiele etnicznych grup humanoidalnych, na której dochodzi do zderzenia kultur: ziemskiej i darkoverskich. Akcja części powieści toczy się na Darkoverze przed przybyciem Ziemi. Na cykl składają się tomy (w kolejności publikowania): The Sword of Aldones (1964; wydanie bardzo zmienione i rozszerzone: The Heritage of Hastur 1975, Sharra's Exile 1981; oba tomy ukazały się także łącznie pt. The Children of

Hastur 1982), The Planet Savers (1962; popr. i rozsz. 1972), The Bloody Sun (1964, popr. i rozsz. 1979), Star of Danger (1965), The Winds of Darkover (1970), The World Wreckers (1971), The Spell Sword (1974), The Shattered Chain (1976), The Forbidden Tower (1977),

Stormqueen! (1978), Two to Conquer (1980), Hawkmistress! (1982), Thendara House (1983), City of Sorcery (1984), The Heirs of Hammerfell (1989). W 1993 ukazała się kolejna powieść cyklu, napisana razem z Mercedes Lackey, pt. Rediscovery oraz tom z 14 opowiadaniem Marion Zimmer Bradley's Darkover.

Do najciekawszych powieści MZB poza cyklem „Darkover” należą napisane razem z bratem Paulem Edwinem Zimmerem książki Łowcy z Czerwonego Księżyca (1973) i z tymi samymi bohaterami Zwycięzcy (1979). W latach osiemdziesiątych MZB sięgnęła do czystej fantazy i tu największym sukcesem okazał się bestseller Mgły Avalonu (1983) o tematyce arturiańskiej. Tom drugi nosi tytuł The Forests of Avalon (1994). Z innych można wymienić dylogię o Atlantydzie The Fall of Atlantis (faktycznie napisaną w młodości): Web of Light (1983), Web of Darkness (1984), Dom Świątów (1980, popr. 1981), Night's Daughter (1985), The Firebrand (1987), cykl opowiadań Lythande (1986), The Forest House (1993). MZB pisuje też romanse, powieści obyczajowe, gotyckie thrillery. Ghostlight (1995) to współczesna gotycka low fantasy.

Chociaż nie otrzymała ani jednej z dwóch głównych nagród przyznawanych w USA za twórczość fantastyczną, do Nebuli nominowano The Heritage of Hastur, a do Hugona The Forbidden Tower. Jej książki sprzedawały się dobrze, ale ograniczenie się do jednego wydawcy paperbackowego (Ace, potem DAW) do 1977 nie sprzyjało dotarciu do szerszego odbiorcy. Dopiero fakt, iż wydawnictwo Gregg Press zaczęło wznawiać jej powieści w twardej oprawie, sprawił, że ich popularność i sprzedaż zaczęły systematycznie wzrastać. W latach osiemdziesiątych zainteresowanie cyklem „Darkover” osiągnęło wręcz kultowy stopień. Antologii opowiadań tworzonych przez „przyjaciół Darkoveru” pod opieką MZB powstało już 11: The Keeper's Price (1980), Sword of Chaos (1982), Free Amazons of Darkover (1985), Red Sun of Darkover (1987), The Other Side of the Mirror (1987), Four Moons of Darkover (1988), Domain of Darkover (1990), Renunciates of Darkover (1991), Leroni of Darkover (1991), Towers of Darkover (1993), SnoH~s of Darkover (1994).

Opr. Marek S. Nowowiejski

BIBLIOTEKA FANTASTYKI

1. Poul Anderson: WOJNA

SKRZYDLATYCH

2. Krzysztof Boruń: CZŁOWIEK Z

MGŁY

3. A. i B. Strugaccy: ŚLIMAK NA ZBOCZU

4. Lloyd Biggle: POMNIK

5. H. Rider Haggard: ERYK

PROMIENNOOKI

6. Lino Aldani: KSIĄŻYC

DWUDZIESTU RĄK

7. James White: SZPITAL

KOSMICZNY

8. Edmund Cooper: PO DRUGIEJ STRONIE NIEBA

9. Ian Watson: ŁOWCA ŚMIERCI

10. Rafał Ziemkiewicz: WŁADCA SZCZURÓW

11. Robert E. Howard: CONAN Z

CIMMERII

12. Robert E. Howard: CONAN: DROGA DO TRONU

13. Robert E. Howard: CONAN: GODZINA SMOKA

14. Arthur C. Clarke: SPOTKANIE

Z MEDUZĄ

15. J.T. McIntosh: DZIESIĄTE PODEJŚCIE

16. A. i B. Strugaccy: DALEKA TĘCZA. PRÓBA UCIECZKI

17. A.E. Van Vogt: KRYPTA BESTII

18. A.E. Van Vogt: SLAN

19. Jerzy Siewierski: PRZERAŻLIWY

CHŁÓD

20. Wolfgang Jeschke: PIELGRZYMI CZASU

21. Piers Anthony: SFERY

22. Tanith Lee: CZARNOKSII~ŹNIK Z VOLKYANU

23. Greg Bear: KONCERT

NIESKOŃCZONOŚCI

24. Poul Andersom ZAKUTY MIECZ

25. Clifford D. Simak: REZERWAT

GOBLINÓW

26. M. Kaye, P. Godwin: WŁADCY SAMOTNOŚCI

27. Greg Bear: PIEŚŃ KRWI

28. Fritz Leiber: MIECZE I

CIEMNE SIŁY

29. Roger Zelazny: ODMIENIEC

30. Roge: Zelazny: SZALONY RÓŻDŹKARZ

31. Hannes Bok: STATEK

CZARNOKSII~ŻNIKA

32. Philip K. Dick: NASI PRZYJACIELE Z FROLIXA

33. Abraham Merritt: TWARZ W

OTCHŁANI

34. Tanith Lee: DEMON CIEMNOŚCI

35. C.J. Cherryh: LUDZIE Z GWIAZDY PELLA

36. Glen Cook: SŁODKI SREBRNY

BLUES

37. L. Sprague de Camp i Catherine C. de Camp: RYCERZ MIMO WOLI

38. Poul Andersom DZIECI WODNIKA

39. Marion Zimmer Bradley: ŁOWCY Z CZERWONEGO KSIĘŻYCA

40. SAMOTNY MYŚLIWY: THE BEST

OF ANDRZEJ ZIMNIAK

41. Julian May: WIELOBARWNY KRAJ (Saga o Pliocieńskim Wygnaniu t. 1)

42. Abraham Merritt: PIERŚCIENŃ

KRAKENA

43. L. Sprague de Camp i Fletcher Pratt: UCZEŃ CZARNOKSIIYŻNIKA (Przygody Harolda Shea t. 1)

44. Clark Ashton Smith: MIASTO ŚPIEWAJĄCEGO PŁOMIENIA

45. D. Bischoff, R. Brown i L. Richardson: MÓJ OSOBISTY DEMON

46. Clifford D. Simak: TAM GDZIE MIESZKA ZŁY 47. Peter S. Beagle: OSTATNI JEDNOROŻEC

48. Jack L. Chalker: I POGRZĄŻY CIĘ DIABEŁ

49. L. Sprague de Camp i Fletcher Pratt: ŻELAZNE ZAMCZYSKO (Przygody Harolda Shea t. 2)

50. Julian May: ZŁOTA OBRĘCZ (Saga o Pliocenijskim Wygnaniu t. 2)

51. Dave Duncan: ZAKUTA WNIKA (Człowiek ze Słowem t. 1)

52. L. Sprague de Camp: DEMON DO SPECJALNYCH PORUCZEŃ

53. Marion Zimmer Bradley i Paul Edwin Zimmer: ZWYCIĘZCY

54. Marion Zimmer Bradley: DOM

ŚWIATÓW

55. Clifford D. Simak: Z KWIECIA POWSTANIESZ

56. Mike Resnick: POŻERACZ DUSZ

57. Abraham Merritt: KSIĄŻCOWE

JEZIORO

58. Colin Greenland: LEGENDY KOSMICZNYCH SZLAKÓW

59. Dave Duncan: KRAJE BAŚNI ZATRACONE (Człowiek ze Słowem t. 2)

60. Tanith Lee: PAN ŚMIERCI

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-11-23

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/